

KATHLEEN TESSARO

Elegancja



Jakiś czas temu miałam szczęście natrafić w antykwariacie na niezwykłą książkę Genevieve Antoine Dariaux zatytułowaną *Elegancja*. Po latach książka ta stała się inspiracją dla mojej własnej powieści.

Za uprzejmą zgodą autorki wolno mi było wykorzystać część oryginalnych nagłówków, które przystosowałam do potrzeb mojej historii (jedynie *b — Brzydsze górę* w całości pochodzi ode mnie). Jednak w dużej mierze ton powieści, a zwłaszcza wspaniałe klejnoty mądrych rad pochodzą od Madame Antoine Dariaux.

Z ogromną wdzięcznością pragnę podkreślić jej wkład w moją książkę, a także podziękować za to, że przez ostatnie dwa i pół roku była moją muzą i miarą wszystkiego, co eleganckie. Pozostaje mi zapewnić czytelnika, że jako osoba jest jeszcze bardziej czarująca i pełna wdzięku, niż można wnosić z jej mądrych słów.

Pragnę podziękować moim przyjaciołom Marii i Gavinowi za inspirację i zachętę do dalszej pracy, a wszystkim dziewczynom z Wtorkowych Wieczornych Warsztatów Pisarskich przy Wimpole Street za porady, jak pisać. Dziękuję Jonny'emu Gellerowi, Lynne Drew i pozostałym pracownikom firm HarperCollins, William Morrow i Curtis Brown za wsparcie i pomysły. Chciałabym podziękować również londyńskiemu oddziałowi Wellington Management, a w szczególności Stephenowi McDermottowi, który kilkakrotnie ocalił mój rękopis.

*Ukochanemu mężowi Jimmiemu
oraz mojej przyjaciółce i mentorce Jill*

Jest straszliwie zimny wieczór. Luty. Mój mąż i ja stoimy przed National Portrait Gallery na Trafalgar Square.

— No, to jesteśmy — mówi. Ale żadne z nas nie rusza się z miejsca.

— Słuchaj - próbuje pertraktować - jak będzie okropnie, po prostu wyjdziemy. Wypijemy po drinku i wyjdziemy. Ustalmy słowo-szyfr: kartofel. Jak tylko będziesz chciała wyjść, po prostu użyj w zdaniu słowa „kartofel”, a ja już będę wiedział, o co chodzi. Zgoda?

— Mogłabym ci zwyczajnie powiedzieć, że chcę wyjść — zauważam. Marszczy brwi.

— Wiem, że ci się nie chce, Louise, ale mogłabyś się choć trochę wysilić. Na litość boską, to moja matka, obiecałem jej, że przyjdziemy. Nie co dzień jest się częścią ważnej wystawy fotograficznej. Poza tym ona cię naprawdę lubi. Zawsze powtarza, że nasza trójka powinna trzymać się razem.

Nasza trójka. Dobre sobie.

Z westchnieniem wbijam wzrok w ziemię. Tak strasznie chciałabym powiedzieć: kartofel. Kartofel, kartofel, kartofel.

Wiem, że to okropnie banalne nie znosić swojej teściowej. A ja nie cierpię banału. Ale gdy za teściową ma się być modelką z lat pięćdziesiątych, która specjalizuje się w rozgniataniu człowieka na miazgę, ilekroć nadarzy się okazja, przychodzi do głowy tylko jedno: kartofel.

Obejmuje mnie ramieniem.

— To naprawdę nic takiego, Pączusiu. Wolałabym, żeby nie nazywał mnie pączusiem.

Ale są rzeczy, które się robi, jeśli nie z miłości, to dla świętego spokoju. Poza tym zapłaciliśmy za taksówkę, on się ogolił, a ja włożyłam długą popielatą suknię, którą zwykle trzymam w plastikowej torbie z pralni. Za daleko zabrnęliśmy, żeby się teraz wycofać.

Podnoszę głowę i zmuszam się do uśmiechu.

— Dobrze, chodźmy.

Mijamy dwóch potężnych ochroniarzy i wchodzimy do środka.

Zdejmuję z siebie brązowy wełniany płaszcz i podaję szatniarzowi, drugą ręką macając dyskretnie talię. Wyczuwam delikatne wybrzuszenie. Za dużo makaronu na obiad. To moje ustawiczne dogadzanie sobie, podjadanie. Czemu akurat dziś? Próbuję wciągnąć brzuch, ale to za duży wysiłek, więc rezygnuję.

Wyciągam rękę. On ją ujmuje i razem wstępujemy w chłodny, biały świat Twentieth Century Galleries. Zgiełk rozmów zalewa nas, gdy ruszamy po jasnej marmurowej posadzce, przepychając się przez tłum. Młodzi ludzie w sztywnych, świeżo wyprasowanych koszulach z gracją balansują tacami z szampanem. We wnętrzu trio jazzowe gra wyszukane rytmy Mackiego Majchra.

Wdech, wydech, powtarzam sobie. Tylko spokojnie. Wdech, wydech.

I wtedy je dostrzegam: fotografie. Kolekcja prac słynnego fotografa Horsta z lat trzydziestych po późne sześćdziesiąte. Dłu-

gie rzędy zachwycających czarno-białych portretów i zdjęć mody, gładkich i srebrzystych na tle surowej bieli ścian. Z fotografii spoglądają na mnie nieskazitelne, wyniosłe twarze. Chciałabym zatrzymać się przy nich dłużej, zatracić się w ich świetle.

Ale mój mąż chwyta mnie za ramię i prowadzi naprzód, machając do swojej matki Mony stojącej przy barze w gromadce wytwornych starszych pań.

- Witajcie! — wykrzykuje, nagle ożywiony, zdążając w ich kierunku z przesadną wesołością. Zmęczony, milczący człowiek z taksówki staje się nagle olśniewającym lwem salonowym. Mona zauważa nas i odwzajemnia pozdrowienie królewskim skinieniem dłoni, dając nam znak, byśmy się do niej przyłączyli. Przepychamy się przez tłum, starając się omijać pełne kieliszki i żarzące się papierosy. Gdy jesteśmy dostatecznie blisko, przybieram minę, która — mam nadzieję - zostaje uznana za uśmiech.

Ależ ona jest wspaniale, fantastycznie, nadludzko dobrze zakonserwowana! Bujne srebrno-białe włosy odgarnięte z twarzy i zebrane w wyszukany kok czynią jej kości policzkowe jeszcze wydatniejszymi i sprawiają, że jej oczy zdają się bardziej kocie. Trzyma się idealnie prosto, jak gdyby całe dzieciństwo spędziła z plecami przygwożdżonymi do deski, a czarny spodniom zdradza swobodną elegancję sztuki krawieckiej Donny Karan. A że towarzyszki Mony są wykrojone z tej samej kosztownej materii, podejrzewam, że szykuje się nam udział w czymś na kształt zjazdu starzejących się modelek.

- Kochanie! - Ujmuje swojego syna pod ramię i całuje go w oba policzki. — Tak się cieszę, że zdołaliście przyjść!

Mój mąż odpowiada lekkim uściskiem. — Za nic w świecie nie przepuścilibyśmy takiej okazji, prawda, Louise?

- Oczywiście! - mówię o pół tonu za wesoło, żeby to brzmiało szczerze.

Szybkim skinieniem głowy Mona zaznacza, że zauważyła moją obecność, po czym ponownie kieruje całą uwagę na syna.

— Jak sztuka, kochanie? Pewnie jesteś wymęczony. Parę dni temu spotkałam Geralda i Ritę; powiedzieli, że byłeś najlepszym Konstantym, jakiego w życiu widzieli. Mówiłam wam już? — zwraca się do towarzyszek. — Mój syn gra w *Mewie* w Narodowym! Jak byście kiedyś chciały bilety, koniecznie dajcie znać.

On rozkłada ręce.

— Wszystko wyprzedane. Nie mogę nic zrobić. Dolna warga wysuwa się płacząco.

— Nawet dla mnie? On ustępuje.

— No, mogę spróbować. Ona zapala papierosa.

— Dobry chłopiec. Pozwól, że cię przedstawię, to jest Carmen, to ta ze słoniami na przeciwległej ścianie, to Dorian, rozpoznasz przynajmniej plecy ze sławnego ujęcia w gorsecie, a to Penny. Penny, byłaś twarzą roku 1959, nieprawdaż?

Śmiejemy się, a Penny wzdycha rzewnie, wyjmując z torebki paczkę dunhilli. - To były czasy! Masz ogień, Mona?

Mona podaje jej złotą, grawerowaną zapalniczkę. Mój mąż kręci głową. — Mamo, obiecałaś przestać.

— Ależ, kochanie, to jedyny sposób na zachowanie sylwetki, prawda, dziewczyny? - Wszystkie głowy spowite gęstą chmurą potakują równocześnie.

I wtedy stało się: zostałam zauważona.

— A to z pewnością twoja zooona! — Penny aż się zatchnęła, zwracając się w moją stronę. Potrząsa głową z niedowierzaniem, szeroko rozpościerając ramiona, i przez jeden przeraźliwy moment zdaje się oczekiwać, że się w nie rzucę. Kiedy, zawahawszy się, już mam postąpić naprzód, nagle cała aż kuli się z radości. — Jesteś zaaaachwycająca! — grucha, szukając wzrokiem potwierdzenia u pozostałych. - Czyż ona nie jest wprost zaaaaachwycająca?

Stoję, szczerząc się idiotycznie, a one się na mnie gapią.

Mój mąż przychodzi mi z pomocą. — Czy mogę przynieść paniom po jeszcze jednym drinku? — Usiłuje zwrócić uwagę barmana.

— Och, mój ty aniele! — Mona gładzi go po włosach. -Szampan dla wszystkich!

— A dla ciebie? — zwraca się do mnie.

— Tak, szampan, czemu nie.

Mona władczy gestem bierze mnie pod ramię i lekko przygarnia do siebie tym rozbrajającym uściskiem najlepszej przyjaciółki z dzieciństwa, od którego serce aż skakało z radości. Teraz też podskoczyło od tego niespodziewanego przejawu serdeczności. Niemal nienawidzę się za to. Już to przerabiałam i wiem, jak niebezpiecznie jest dać jej się uwieść, choćby przez moment.

— Więc, Louise — glos ma nadspodziewanie mocny i głęboki — powiedz mi, jak się miewasz. Chcę wiedzieć wszystko!

— No... - desperacko przebiegam w myślach fakty z życia w poszukiwaniu jakiegoś klejnociku. Pozostałe panie spoglądają na mnie wyczekująco. — Wszystko w porządku, Mona. Naprawdę.

— A jak rodzice? Jaka pogoda w Pittsburghu? Louise pochodzi z Pittsburgha - dodaje *sotto voce*.

— Zdrowi, dziękuję.

Kiwa głową. Czuję się jak zawodniczka w quizie, w którym, gdy uczestnik zaczyna się gubić, prowadzący show naprowadza go na właściwy trop.

— Pracujesz? - Słowo „pracujesz” wypowiada znacząco, w sposób w jaki czynią to wszyscy ludzie show-biznesu. W końcu cała wielka przepaść dzieli „pracowanie” od zajmowania posady, kiedy się jest w „zawodzie”.

Wiem to wszystko, lecz nie mam zamiaru podejmować wątku.

— Owszem. Nadal w Phoenix Theatre Company.

— Czy to coś związanego z aktorstwem? Nasza Louise ma się trochę za aktorkę - dodaje gwoli wyjaśnienia.

— Byłam aktorką — strzelam. Zawsze udaje jej się wpuścić mnie w maliny, bez względu na to, jak się staram tego uniknąć. — To znaczy właściwie od jakiegoś czasu nie pracuję w tym zawodzie. Nie, nie zajmuję się aktorstwem, teraz pracuję od frontu, w kasie.

— Aha — uśmiecha się, jakby dostrzegła głębsze znaczenie, którego nie jestem świadoma. I wtedy Dorian zadaje pytanie najstraszniejsze:

— Czy my cię w czymś widziałyśmy?

— Tak, oczywiście, grałam w paru reklamach. - Staram się brzmieć naturalnie, wzruszając przy tym ramionami, co ma oznaczać: „Któż nie grał”.

— Naprawdę? — unosi brew, idealnie wcielając się w rolę kobiety pod wrażeniem. — W jakich reklamach?

Cholera.

— No... - myślę usilnie - była taka kampania zakładów pieniężnych Reader's Digest. Mogłyście mnie w tym widzieć.

Patrzy na mnie w osłupieniu.

— No, ta gdzie latają balonem nad Anglią, piją szampana i szukają zwycięzców. Dziewczyna z lewej, z mapą w ręku, wskazująca na Luton, to ja.

— Ach, tak — stara się być uprzejma. - Musiała być niezła zabawa.

— A teraz pracujesz w kasie — Mona zwija rozsnuty wątek w jeden zgrabny motek.

— Tak... to jest... mam na coś tam widoki... ale w tym momencie to właśnie robię.

Bardzo chcę już odzyskać swoje ramię. Tymczasem Mona znowu lekko je ściska.

— To jest trudny zawód, kochanie. Dobrze jest znać granice swoich możliwości. Zawsze doradzam młodym kobietom, żeby unikały aktorstwa jak zarazy. Prosta prawda jest taka, że wymaga ono więcej dyscypliny i poświęcenia, niż dzisiejsze dziewczęta są skłonne w nie włożyć. Widziałaś moje zdjęcie?

Nie przestawaj się uśmiechać, przepowiadam sobie. Jak będziesz się uśmiechać, przenigdy się nie domyśli, że najchętniej widziałabyś ją martwą.

— Nie, nie miałam jeszcze szansy się rozejrzeć; dopiero co przyszliśmy.

— Tędy, pozwól. — Ciągnie mnie w stronę swojej dużej fotografii z lat pięćdziesiątych.

Jest niewiarygodnie młoda, prawie nie do poznania, wyjątkiem są charakterystyczne oczy w kształcie migdałów i słynne kości policzkowe nietknięte przez czas. Opiera się plecami o klasycystyczną kolumnę, z twarzą na pół oświetloną, na pół skrytą w cieniu i lekko zwróconą w stronę kamery. Jasne włosy opadają na ramiona w wymyślnie ufryzowanych lokach. Ubrana jest w suknię bez ramiączek, z przylegających do ciała warstw leciutkiego, jedwabnego szyfonu. I podpis: „Vogue”, 1959.

— Co o tym myślisz? — pyta, przyglądając mi się uważnie.

— Piękne - mówię zgodnie z prawdą.

— Masz gust — uśmiecha się.

Jakiś fotoreporter rozpoznaje ją i pyta, czy może zrobić zdjęcie.

— Taki los! - śmieje się. Wykorzystuję chwilę, kiedy pozuje, i wycofuję się.

W zatłoczonej sali szukam wzrokiem swojego męża. Wreszcie dostrzegam go, stoi w rogu z grupką ludzi i z czegoś się śmieje. Trzyma dwa kieliszki z szampanem, a gdy zaczynam przepychać się w tamtym kierunku, podnosi głowę i wymieniamy spojrzenia.

Uśmiecham się, on coś mówi, odwraca się i podchodzi do mnie, zanim ja do nich dojdę.

— Kto to? - pytam, gdy podaje mi kieliszek.

— Nikt, tacy z jednego z tych klubów teatralnych. Rozpoznali mnie, bo widzieli sztukę. — Prowadzi mnie z powrotem w stronę fotografii.

— Jak ci idzie z Mamusiami?

— Dobrze — kłamię. — W porządku. — Odwracam się i spoglądam w miejsce, gdzie przed chwilą stali, ale już ich nie ma, znikli wchłonięci przez kłębiący się ustawicznie tłum. — Nie chciałeś mnie przedstawić, co?

Śmieje się i klepie mnie po siedzeniu, czego nie znoszę, a co robi, zdaje się, wyłącznie w miejscach publicznych.

— Nic podobnego, nie wariuj. Szczerze mówiąc, są trochę, że tak powiem, nazbyt entuzjastyczni. Po co mają zanudzać moją czarującą żoneczkę?

— A któż to taki? - pytam bardziej zgryźliwie, niż zamierzałam.

Na to nie mówi nic, tylko znowu mnie klepie.

Przystajemy naprzeciw fotografii kobiety palącej papierosa, z oczami przysłoniętymi rondem kapelusza. Stoi wsparta wyczekująco o drzwi bramy na ciemnej, opustoszałej ulicy. Zdjęcie musiało być zrobione zaraz po drugiej wojnie światowej. Jest coś niepokojącego w kontraście między zrujnowanym otoczeniem a nieskazitelną doskonałością świeżego, szytego na miarę kostiumu.

— To jest styl — wzdycha mój mąż.

Nagle robi mi się gorąco. Czuję się przytłoczona przez cały ten ścisk, dym, szum nazbyt ożywionych rozmów. Mona znów do nas macha, pozwalam mężowi iść do niej, a sama przechodzę do mniejszej, mniej zatłoczonej sali poza obrębem głównej galerii. Na środku stoi płaska, drewniana ławka. Siadam i zamykam oczy.

Nie ma sensu być tak spiętą. Za godzinę będzie po wszystkim. Mona zazna już swojej chwili chwały i będziemy w drodze do domu. Trzeba się odprężyć, dobrze się bawić. Otwieram oczy i biorę głęboki oddech.

Ściany są zawieszane portretami — Picasso, Coco Chanel, Katharine Hepburn, Cary Grant — całe rzędy wycyzelowanych, wspaniałych twarzy. Oczy mają ciemniejsze i bardziej przenikliwe od zwykłych oczu, a nosy prostsze, szlachetniej-

sze. Ulegając czarowi tego nadmiaru piękna, pozwalałam sobie popaść w coś w rodzaju zadumy.

W pewnej chwili zauważam portret jakiejś nieznanej mi kobiety o lśniących, ciemnych włosach przedzielonych przedziałkiem i okalających twarz masą czarnych pukli. Rysy ma wyraziste: wysokie kości policzkowe, cienki łuk ust i bardzo czarne, inteligentne oczy. Pochylona, z policzkiem lekko wspartym na dłoni, jakby zaskoczono ją w samym środku niezwykle zajmującej rozmowy. Jej prosta, skrojona ze skosu suknia z jasnej satyny połyskuje na tle matowego szezlonga, a całą biżuterię stanowi sznur idealnie dobranych pereł. I choć nie jest to ani najświetniejsza, ani nawet najatrakcyjniejsza ze zdobiących salę twarzy, coś sprawia, że jest najbardziej przekonująca. Wstaję, żeby przeczytać podpis: Genevieve Dariaux, Paryż 1934.

Moja błoga samotność nie trwa jednak długo.

— Tu jesteś! Mona wysłała nas, żebyśmy cię znaleźli. — Do sali wkracza Penny wsparta na ramieniu mojego najwyraźniej opornego męża.

Tylko spokojnie, powtarzam sobie, łykając szybko odrobinę tak potrzebnego mi teraz szampana. — Witaj, Penny, oglądałam sobie wystawę.

Nachyla się ku mnie i grozi mi palcem tuż przed twarzą.

— No wiesz co, Louise, jesteś strasznie, strasznie niegrzeczna. — Puszczą oko do mojego męża. — Jakże ty jej możesz pozwalać pić? Jesteście siebie warci, jedno gorsze od drugiego!

Mój mąż i ja wymieniamy spojrzenia. Znowu to samo? Penny nachyla się jeszcze bliżej i zniża głos do scenicznego szeptu.

— Trzeba przyznać, że wyglądasz zdumiewająco! A to — ciągnie, ostrożnie ujmując w dwa palce skrawek mojej sukni — całkiem, całkiem. Większość z nich jest jak namiot, ale ta twoja jest kochana. Moja córka ma rodzić w maju i okropnie potrzebuje właśnie czegoś takiego do chodzenia po domu.

Czuję, jak krew odpływa mi z twarzy.

Uśmiecha się do nas obojga.

— Musicie się baaaaardzo cieszyć! Z trudem przetykam ślinę.

— Ja nie jestem w ciąży.

W zakłopotaniu marszczy brew.

— Proszę?

— Nie jestem w ciąży — powtarzam, tym razem głośniej. Mój mąż śmieje się nerwowo. - Zapewniam cię, że jeśli tak będzie, dowiesz się o tym pierwsza.

— Nie, myślę, że to ja dowiem się pierwsza — mówię, a on znów się śmieje, tym razem odrobinę histerycznie.

Penny w dalszym ciągu wpatruje się we mnie z niedowierzaniem. — No ale ta sukienka... wybacz... chciałam powiedzieć, jest...

Odwracam się do mojego męża.

— Złotko?

Wydaje się nagle niezmiernie zafascynowany czymś na podłodze.
-Uhm?

— Kartoffel.

Nie wiem, czego się z jego strony spodziewałam, może jakiegoś poparcia albo że chociaż będzie wyglądał na współczującego. Tymczasem on się dalej wgapia w podłogę.

— Dobra.

Odwracam się i odchodzę. Mam wrażenie, że wyjdę z siebie, ale jakoś udaje mi się dotrzeć do ubikacji. Kiedy wchodzę, kilka dziewcząt zajętych jest poprawianiem makijażu, przeciskam się więc do wolnej kabiny i zamykam na klucz. Przytulona plecami do chłodnego metalu zamykam oczy i czekam. Powtarzam sobie, że z poniżenia jeszcze nikt nie umarł. Gdyby tak było, nie żyłabym już od lat.

Nareszcie, wychodzą. Otwieram drzwi i staję przed lustrem. Jak każda zwyczajna kobieta patrzę w lustro codziennie, przy myciu zębów, myciu twarzy, przy czesaniu. Tylko że

zazwyczaj oglądam się kawałkami, unikając łączenia ich w całość. Sama nie wiem czemu, po prostu tak jest jakoś bezpieczniej.

Ale teraz zmuszam się do spojrzenia na całość. I nagle widzę, że wszystkie części składają się na kogoś, kogo nie znam, kogoś, kim nigdy nie zamierzałam być.

Włosy trzeba przyciąć i właściwie to powinnam je ufarbować, żeby pozbyć się tych przedwcześnie posiwiałych pasm. Niezwykle gęste, w kolorze popiołu, leniwie opadają, spięte z boku klamrą imitującą szylkret. Twarz, zawsze blada, jest nienaturalnie biała. Nie jak alabaster albo jak kość słoniowa, ale raczej w ogóle bez koloru jak jakieś morskie stworzenie, które nigdy nie widziało słońca. Na tym tle ostra czerwień szminki wydaje się zbyt krzykliwa, a usta za duże, niby zięjące w poprzek twarzy szkarłatne rozcięcie na jednej trzeciej wysokości. Jestem spocona z gorąca panującego w tłumie; nos mi się świeci, rozpalone policzki błyszczą, ale nie mam pudru.

Moja ulubiona suknia, chociaż prosto z pralni, jest, skoro już mówimy szczerze, bezkształtna w sposób, w jaki było to modne pięć lat temu, ale teraz zdecydowanie już nie jest. Pamiętam, jak czułam się w niej pewnie i seksownie, gdy nieznacznie tylko muskała zarysy mojej figury, sugerując zmysłowość sylfidy. Teraz, gdy ważę pięć kilo więcej, efekt nie jest ten sam. Całości dopełniają buty na rzepy, wyrób Mary Jones, na niskim obcasie, praktyczne, w których moje nogi w kostkach wyglądają jak dwa grube pnie. Wyblakłe i zdarte, to buty do chodzenia na co dzień, kupione co najmniej dwa lata temu i tak naprawdę zbyt znoszone, żeby można się było w nich gdziekolwiek pokazać.

Rzeczywiście trzeba przyznać, że całość aż krzyczy: „Kobieta w ciąży”. Albo raczej: „Zważywszy na zaistniałą sytuację, lepiej już nie będzie”.

Wpatruję się w swoje odbicie z przerażeniem. Nie, ten ktoś w lustrze to nie jestem ja. To jakaś straszliwa pomyłka — Trój-

kąt Bermudzki Dnia Kołtuna, Workowatej Sukienki i Rozczłapanych Butów z Piekła Rodem. Muszę się uspokoić. Skoncentrować się.

Przeprowadzam eksperyment.

— Cześć, nazywam się Louise Canova, mam trzydzieści dwa lata i nie jestem w ciąży.

Mój głos odbija się echem od ścian pustej ubikacji.

To na nic. Serce mi wali i czuję, jak ogarnia mnie panika. Zamykam oczy, próbuję się zmusić do koncentracji, myśleć pozytywnie, lecz zamiast tego przez głowę przelatują mi lśniące czarno-białe twarze. To tak, jakbym nawet nie należała do tego samego gatunku.

Nagle drzwi za mną otwierają się i wchodzi Mona.

Pieprzony kartofel do sześcianu.

W pozie pełnej dramatyzmu wspiera się o umywalkę.

— Louise, właśnie się dowiedziałam. Słuchaj, jestem pewna, że ona nie miała niczego na myśli. A poza tym jest ślepa jak kret.

Czemuż on jej musi o wszystkim opowiadać?

— Dziękuję, Mona, doceniam troskę.

— Tak czy owak — staje za mną i dwoma palcami pracowicie wymanicurowanych rąk odgarnia mi włosy z twarzy - jeśli chcesz, chętnie dam ci namiary na mojego fryzjera, jest naprawdę bardzo do rzeczy.

Gdy wychodzę, mój mąż już czeka. Podaje mi płaszcz i w milczeniu opuszczamy przyjęcie, żeby w niecałe pół godziny po tym jak tu przyszliśmy, znaleźć się znów na Trafalgar Square. Rozglądając się za taksówką, wyciąga z kieszeni paczkę papierosów i zapala.

— Co ty robisz? - pytam.

— Palę papierosa - mówi. (Mój mąż nie pali). Daję mu spokój.

Robi się mgła. Z oddali majaczy żółte światło taksówki, macham więc ręką opętańczo. Taksówka zwalnia i wsiadamy.

Mój mąż opada ciężko na tylne siedzenie, po czym znowu pochyla się do przodu, żeby uchylić okno.

Nagle chcę go rozśmieszyć, przytulić, a raczej żeby on mnie przytulił. W końcu czy to ważne, jak wyglądam i co ktoś inny sobie myśli? On mnie i tak kocha. Wyciągam rękę i kładę dłoń na jego dłoni.

-Kochanie? Czy... czy naprawdę uważasz, że nie wyglądam źle?

Bierze mnie za rękę i lekko ją ściska.

— Słuchaj, Pączusiu, wyglądasz w porządku. Tak samo jak zawsze. Nie zwracaj na nią uwagi. Pewnie po prostu ci zazdrości, że jesteś młoda i masz męża.

— No tak - przytakuje machinalnie, choć nie było to morze wylewnych komplementów, na jakie robiłam sobie nadzieję.

Ponownie ściska mnie za rękę i całuje w czoło.

— Poza tym wiesz, że takie głupstwa mnie nie obchodzą. Taksówka mknie w ciemność i gdy tak siedzę, a zimny pęd

powietrza owiewa mi twarz, przez głowę przebiega mi jedna, gwałtowna myśl: ale mnie obchodzą!

Czym jest elegancja?

Rodzajem harmonii, w dużej mierze przypominającym piękno, z tą jednak różnicą, że piękno jest przeważnie darem natury, elegancja zaś owocem sztuki, jeśli wolno mi użyć górnolotnego określenia dla sztuki tak drugorzędnej, powiem, że przeistoczenie kobiety nieładnej w kobietę elegancką jest misją mojego życia.

Genevieve Antoine Danaux

Była to cienka szara książeczka zatytułowana *Elegancja*, skryta między opasłym i zdaje się nigdy nieruszonym tomiszczem o historii francuskiej monarchii a wydaniem *Zakochanych kobiet* D.H. Lawrence'a w miękkiej okładce i z oślimi uszami. Wyższa i cieńsza od pozostałych książek na półce górowała pogardliwie nad skromnymi sąsiadkami, a tłoczone litery tytułu połyskiwały na tle srebrnej satyny okładki niby zatopiony w płytkim strumyku pieniędzy.

Mój mąż uważa, że mam niezdrową obsesję odwiedzania antykwariatów i że w ogóle za dużo czasu spędzam z głową w chmurach. Ale albo się z natury rozumie czar buszowania między rzędami zakurzonych półek w poszukiwaniu ukrytego skarbu, albo nie; to jest pasja granicząca z szaleństwem, którego nie da się wytłumaczyć nikomu, kto sam nie jest nią dotknięty.

Prawda, antykwariaty nie są dla ludzi o płochliwym sercu. Zwariowane i chaotyczne, kapryśne i doprowadzające do frustracji, rządzą się pewnymi prawami fizyki, które podobnie jak grawitacja raczej nie podlegają dyskusji. Miękkie wydania D.H. Lawrence'a muszą stanowić nie mniej niż 55 procent całości towaru. Prawo naturalne nakazuje również, żeby wśród pozostałych 45 procent znalazły się co najmniej dwie półki krytyki *Raju utraconego*, a w podziemiach zawsze powinno być jedno pomieszczenie poświęcone historii wojskowości, które — to czysty przypadek — nawiedzał będzie pewien siedemdziesięcioparoletni pan. (Prywatnie prowadzone badania dowodzą, że jest to zawsze jeden i ten sam człowiek. Bez względu na to, jak szybko by się przemieszczać z jednego antykwariatu do drugiego, on zawsze tam jest. Wyleciało mu z głowy coś związanego z wojną, czego nie znajdzie w żadnej książce, lecz niczym postać z greckiej mitologii skazany jest na wieczną wędrówkę od jednego sklepowego podziemia do drugiego, by wertować memuary z najlepszych, czy może najgorszych dni swojego życia).

Nowoczesne księgarnie nie mogą rywalizować z ekscentrycznym czarem antykwariatów. Otwarte zawsze w tych samych godzinach, mają centralne ogrzewanie i zatrudniają czyściuteńkich młodych ludzi w czarnych podkoszulkach. Brak w nich piwnic i upadłych greckich herosów w nieświeżych tweedowych marynarkach. Nie uświadczysz tam psów czy kotów przytulnie zwiniętych przy staroświeckich grzejnikach ani odurzającego zapachu pleśni, który równie dobrze

wydzielać mogą krzywo poustawiane tomy co sam właściciel. Do Waterstone'a ludzie wchodzą i wychodzą. A do antykwariatów się pielgrzymuje. Hasło „nakład wyczerpany” jest wezwaniem do boju dla poszukiwaczy świętego Graala słowa pisanego.

Ostrożnie zdejmuję książkę z półki. Sadowiąc się na stercie pozycji z historii militariów (przy odrobinie nieuwagi będą się przemieszczać), otwieram ją na stronie tytułowej.

Genevieve Antoine Dariaux

Elegancja

obwieszczają wyszukane zawijasy, a poniżej:

Wyczerpujący przewodnik dla każdej kobiety, która chce być dobrze i odpowiednio ubrana na każdą okazję

Dariaux, znam to nazwisko. Czyżby to była ta sama kobieta, którą widziałam na fotografii? Kartkuję pożółkłe stronicę; wydzielają słabą woń jaśminowych perfum. Książka, napisana w 1964 roku, wygląda na coś w rodzaju encyklopedii, której hasła od A do Z odpowiadają wszelkim możliwym dylematom związanym z modą. Nigdy przedtem nie widziałam czegoś takiego. Przerzucam kartki w poszukiwaniu zdjęcia autorki. Ostatnia strona wynagradza moje wysiłki.

Na oko sądząc, ma pod sześćdziesiątkę, jej rysy są klasyczne i pełne symetrii, a włosy obficie spryskane lakierem — jak włosy Margaret Thatcher, zanim jeszcze dorobiły się własnej kariery. Ale oczy — czarne, połyskliwe, inteligentne — są te same. I ten sam władczy układ ust. Rozpoznaję też markowy sznur pereł, idealnie dobrany, lśniący teraz na tle czerni uwydatniającego sylwetkę zapinanego sweterka. Podpis pod fotografią oznajmia: Madame Georges Antoine Dariaux. Nie pa-

trzy wprost w oko kamery z tą urzekającą szczerością charakterystyczną dla wcześniejszego portretu, lecz *raczej* spogląda gdzieś w dal, jak gdyby uprzejmość nie pozwalała jej wyzywać naszego spojrzenia. Rozumie się, że będąc starszą, jest także bardziej dyskretna, a dyskrecja jest w końcu kamieniem węgielnym elegancji.

Z zapalem zabieram się do czytania wstępu.

Elegancja jest w dzisiejszym świecie rzadkością, jako że wymaga precyzji, przywiązywania wagi do szczegółu, a także uważnego kształtowania subtelного gustu tak w manierach, jak i stylu. Krótko mówiąc, większości kobiet nie przychodzi i zapewne nigdy nie będzie przychodzić ona łatwo.

Jednakże w ciągu trzydziestu lat, kiedy przewodniczyłam paryskiemu salonowi Niny Ricci, moje życie polegało na udzielaniu rad naszym klientkom i pomocy w dokonywaniu najbardziej twarzowych wyborów. Niektóre z klientek są niezwykle piękne i nie potrzebują żadnej pomocy z mojej strony. Lubię je podziwiać, tak jak lubimy podziwiać dzieła sztuki, ale to nie one cieszą mnie najbardziej. Moje ulubione klientki to te, którym brakuje czasu i doświadczenia niezbędnego do tego, by umiejętnie uprawiać sztukę ubierania się. Dla tych kobiet gotowa jestem wyrócić na nice całą wyobraźnię.

Co byś powiedziała na małą zabawę w Pigmaliona? Jeśli choć troszkę mi zaufasz, chętnie podzielę się z tobą kilkoma praktycznymi sugestiami na temat jednej z najpewniejszych dróg do spełnienia się w życiu: elegancji. Twojej własnej elegancji.

Nareszcie, znalazłam swojego Graala.

Kiedy wychodzę ze sklepu, robi się już ciemno, choć jest dopiero czwarta po południu. Wędruję ulicami — w dół Bell Street, przez Marble Arch, przechodzę przez St James's Park, aż dochodzę do Westminster — ściskając swoją magiczną paczuszkę.

Słyszę jeszcze stłumione bicie Big Bena, gdy otwieram drzwi i witają mnie dźwięki odkurzacza. Mój mąż jest w domu.

Jest coś w tej uporczywej, męczącej nachalności domowego zacisza, co dla mojego męża równoznaczne jest z komendą: do broni! (ci, którzy znają go jedynie jako wschodzącą gwiazdę londyńskiej sceny, w rzeczywistości nie widzą jego najbardziej zadziwiających talentów). Co dzień od nowa dzielnie wojuje z nacierającym nań brudem, niechlujstwem, nieporządkiem i rozpadem. Jego zaradność w niecałe pół godziny przeistacza wszelki zamęt w czyste, nadające się do zamieszkania otoczenie.

Nie słyszał, jak weszłam, więc zaglądam do salonu, gdzie właśnie z pasją jeździ odkurzaczem po parkiecie (twierdzi, że dosłownie widzi, jak kurz osadza się na podłodze, tak bardzo jest wyczulony), i wołam:

-Hej!

Wyłączając odkurzacza, opiera dłonie na uchwycie z niedbałym wdziękiem telewizyjnego kowboja wspartego o ogrodzenie. Jest w swoim żywiole, przywraca świat do porządku.

— Hej, hej. A co ty tam zmajstrowałaś?

— E, nic — wykręcam się, kryjąc za plecami paczuszkę owiniętą w szary papier. Wobec programu domowych ulepszeń, który mój mąż wdraża w życie niestrudzenie, popołudnie spędzone na myszkowaniu po antykwariatach wydaje się zdradą.

— Zwróciłaś ten abażur?

— A, tak... — potakuję — ale nie mogłam znaleźć nic lepszego, więc dali mi notę kredytową.

Wzdycha i oboje spoglądamy smutno na lampę z jasnego marmuru, którą miesiąc temu podarowała nam Mona.

W każdym małżeństwie są jakieś scalające je więzy. Dużo bardziej znaczące niż małżeńska przysięga są właśnie te niewypowiedziane siły, które w prawdziwym życiu z dnia na dzień i z roku na rok sprawiają, że związek się trzyma mimo ciągłych prób i przeciwności. Dla niektórych są to ambicje to-

warzyskie, dla innych dzieci. W naszym wypadku wystarczy poszukiwanie idealnego abażuru.

Nas, mego męża i mnie, wiąże całkowite, wytrwałe oddanie sprawom urządzania wnętrza. A ta lampa jest jak niesubordynowany nastolatek, jak mały narkoman zagrażający spokojowi domowego ogniska przez swoją odmowę dopasowania się do jakiegokolwiek abażuru w rozsądnej cenie. Lampa jest strasznie ciężka i nie sposób ją podnieść. Jesteśmy skazani na los Syzyfa: wieczne kupowanie abażurów po to tylko, by następnego dnia oddawać je do sklepu.

Mój mąż kręci głową.

- Będziemy musieli pójść do Harrodsa — mówi ponuro. Harrods to zawsze ostatnia deska ratunku. U Harrodsa nie będzie abażurów w „rozsądnej” cenie.

- Ale wiesz co? - dodaje, a twarz mu się rozjaśnia - możesz pójść ze mną i zrobimy sobie miły dzień.

- Pewnie — uśmiecham się.

No to mamy Święto Ażurów - na pewno czeka nas też Wielka Feta Treliaży i Wieczór Tuzina Wężów Ogrodowych. Za nic w świecie nie przepuściłabym takiej okazji.

- To świetnie — mówi i otwiera okno, by porozkoszować się chłodnym powiewem. - Pewnie cię ucieszy, że jak ty byłaś w mieście, ja tymczasem odniosłem tutaj znaczny sukces.

- Naprawdę?

- Wiesz o tych gołębiach, które nocowały na rynnie, tuż nad oknem sypialni?

- No... — kłamię.

- Otóż owinąłem rynnę drutem kolczastym. Więcej się tu nie pokażą. Nadal próbuję przypomnieć sobie te gołębie. — Dzielnie się spisałeś!

- Ale to nie wszystko. Mam świetny pomysł na osuszenie ścieżki w ogrodzie, rozrysuję to podczas antraktu. Może później rzucisz okiem?

— Brzmi nieźle. Słuchaj, idę poczytać do drugiego pokoju. Zajrzysz do mnie przed wyjściem?

Przytakuje, z zadowoleniem wodząc wzrokiem po salonie.

— Wszystko zaczyna się układać, Louise. To znaczy naprawdę zaczyna tu być ładnie. Teraz brakuje nam tylko tego abażuru.

Patrzę, jak znowu włącza odkurzacz.

Zawsze jest jeszcze jeden abażur, jeszcze jeden zestaw kominkowy w stylu Jerzego V (wygląda jak oryginalny), jeszcze jeden chodnik antypoślizgowy *a la* worek z juty. Jak zielone światło lampy w pokoju Daisy z *Wielkiego Gatsbyego* wszystkie te przedmioty mamiają nas obietnicą ostatecznego, trwałego szczęścia, lecz zawsze pozostają poza zasięgiem.

Wycofuję się do sypialni, zamykam drzwi, zrzucam buty i zwijam się w kłębek na łóżku.

Łóżko jest ogromne. Właściwie są to dwa połączone łóżka jednoosobowe. „Mażeńskie błyskawiczne”, jak nazwał je sprzedawca u Johna Lewisa. Chcieliśmy łóżko, które byłoby dostatecznie duże, żebyśmy sobie nie przeszkadzali: mój mąż przez sen wierci się niemiłosiernie, a ja nie mogę znieść hałasu ani żadnego ruchu.

— Są państwo pewni, że chcą spać razem? - zapytał sprzedawca, kiedy przedstawiliśmy nasze wymagania. Lecz mój mąż był niewzruszony.

— Dopiero co się pobraliśmy — oznajmił wyniośle, dając tym samym do zrozumienia nietaktownemu facetowi, że jakoby chodzi o bujne życie erotyczne świeżo poślubionej pary, z trudem tylko mogące się pomieścić w granicach solidnego, dwuosobowego łóżka. Teraz więc on wierci się gdzieś na zachód ode mnie, podczas gdy ja śpię jak zabita kilometr na wschód.

Wtulona w kołdrę wyciągam delikatny tomik z papierowej torby. Czuję, że nadchodzi coś bardzo wielkiego, bardzo prawdziwego.

To jest to.

Otwieram rozdział pierwszy.

Następne co wiem, to to, że zasypiam.

Kiedy się budzę, już go nie ma. Wyszedł do teatru. Na stole kuchennym leży kartka: „Chrapałaś, nie chciałem cię budzić”. Mój mąż umie wyrażać się zwięźle.

Niedobrze.

Prawda jest taka, że śpię stanowczo za dużo — wstaję późno, drzemie po południu, wcześniej się kładę. Spędzam życie z jedną nogą zanurzoną w czarnej, ciepłej toni nieświadomości, gotowa w każdej chwili ześlizgnąć się do niej cała. Ale że całe to spanie jest odrobinę nietowarzyskie, staram się je ukrywać.

Robię sobie tosta (to jest chyba to, co nazywamy gotowaniem dla jednej osoby). Potem znowu sadowię się na łóżku. Otwieram książkę na pierwszej literze alfabetu, starając się nie zatłuścić kartek masłem.

Aksesoria

Zawsze można ocenić charakter kobiety na podstawie tego, ile troski i uwagi poświęca szczególnie swojego ubioru. Towarzystwo strojowi akcesoria - rękawiczki, kapelusz, buty i torebka - należą do najważniejszych elementów eleganckiego wyglądu. Podczas gdy skromna sukienka czy kostium okażą się trzykrotnie efektowniejsze dzięki eleganckiemu kapeluszu, torebce, rękawiczkom i butom - nierozważnie dobrane dodatki mogą sprawić, że oryginalne dzieło projektanta wiele straci. Niezbędne jest posiadanie pełnego zestawu dodatków w kolorze czarnym i jeśli to możliwe, także brązowym, plus para beżowych butów i beżowa pleciona torebka na lato. Przy takim podstawowym minimum prawie każda kombinacja jest atrakcyjna.

Rzecz jasna, idealnie byłoby mieć każdy z tych zestawów w dwóch wersjach: sportowej i wieczorowej. Tutaj nie potrafię powstrzymać się od wyrażenia rozpaczy, jaka ogarnia mnie na widok kobiety, która łączy torebkę ze skóry aligatora z wieczorowym zestawem tylko dlatego, że zapłaciła za nią bajątką sumę. Za-

równo torebki, jak i buty z aligatora mają charakter wyłącznie sportowy i podróżny, a nobliwemu gadowi po godzinie piątej po południu należy się wypoczynek.

Tutaj jak w żadnej innej dziedzinie liczy się przede wszystkim jakość. Bądź względem siebie wymagająca. Odkładaj pieniądze. Jeśli trzeba, oszczędzaj najedzeniu (wierz mi, to ci dobrze zrobi!), ale nie na torebkach czy obuwiu. Nie daj się uwieść niczemu, co nie jest najwyższej jakości. Powiedzenie: „Nie stać mnie na tanie kupowanie” nigdy nie miało w sobie więcej prawdy. Chociaż do bogactwa mi daleko, od lat kupuję torebki od Hermesa, Germaine Guerin i Roberty. Wydałam z domu wszystkie bez wyjątku tanie nowinki, którym wcześniej nie mogłam się oprzeć. To samo tyczy się butów i rękawiczek.

Zdają sobie sprawę, że takie postępowanie wydaje się niezwykle kosztowne. Ale te wysiłki są kluczem, magicznym zakładem, które otwiera szam elegancji.

Spoglądam na swoją własną torebkę zmiętą w niedbały kłęb na podłodze: granatowy plecaczek, z tych, których dno zdaje się przyciągać kawałki podeschniętych herbatników, nawet jeśli nie jadło się herbatników od miesiący. Nie ma co, przydałoby się go wyprać. Albo potraktować szklanką mleka.

Ciekawe, czy można go uznać za torebkę sportową. Pamiętam kupowanie go w dziale szkolnym parę sezonów temu i towarzyszące mi wtedy uczucie podniecenia faktem, że oto udało mi się za jednym zamachem położyć kres wszystkim moim rozterkom związanym z kupnem torebki. Nigdy w życiu nie przyszłoby mi do głowy, żeby kupować więcej niż jedną torebkę w więcej niż jednym stylu czy kolorze.

Jedyną torbą, jaką posiadam poza tym, jest wygnieciona, bordowa, skórzana torba na ramię, którą kupiłam cztery lata temu na wyprzedaży u Hobbsa. Skóra się poprzecierała i stelaż wylazł na wierzch, ale zbyt jestem do niej przywiązana, że-

by się jej pozbyć. Chociaż zupełnie wyszła z mody, ciągle udaję, że oddam ją do naprawy.

Im bardziej się zastanawiam, tym bardziej męczy mnie pytanie, czy którekolwiek z posiadanych przeze mnie akcesoriów można by uznać za choć odrobinę stylowe, nie mówiąc już o najwyższej jakości. Bo na pewno nie kolekcję brązowych i szarych wełnianych beretów, z którymi się nie rozstaję, niezwykle praktycznych z uwagi na to, że nie dają się zwiać z głowy w czasie wietrznych londyńskich zim, a także ponieważ są niezastąpione w dni (coraz częstsze), kiedy włosy mam nieumyte, a nawet nieuczesane. Ochrzciałam je w myślach „włosy awaryjne”.

Łapię się na tym, że przyglądam się swoim stopom, a raczej parze zdobiących je znoszonych beżowych tenisówek. Padało, całe więc przemokły. Materiał przetarł się na dużym palcu, tak że prześwituje zielono-czerwona skarpetka (gwiazdkowy prezent od mamy). Kiwam dużym palcem.

Leje mi się z nosa. Szperając w kieszeni w poszukiwaniu chusteczki, natykam się na czarne rękawiczki nie do pary, które przed dwoma tygodniami znalazłam na podłodze w kinie. Wtedy wydawały mi się niezłym znaleziskiem, lecz teraz nagle staje się jasne, nawet dla mnie, że oczywiście nie poświęcałam szczegółom swojego stroju wystarczająco dużo uwagi.

Elegancja może tkwić w szczególe, ale moja sytuacja zdaje się trochę poważniejsza. Jasno widać, że konieczne jest drastyczne działanie. W nieznanym sobie dotychczas wybuchu entuzjazmu postanawiam rozpocząć proces transformacji od przeprowadzenia bezwzględnej czystki w szafie ubraniowej. Działając systematycznie i po kolei, wypłenię wszystko, w czym nie jest mi do twarzy, a wtedy będę mogła stworzyć nowe, ulepszone otoczenie dla tego, w czym wyglądam dobrze.

Świetnie, do dzieła! Gwałtownym, dramatycznym szarpnięciem otwieram drzwi i omal nie mdleję, powalona beznadzieją tego, co widzę.

Jestem posiadaczką drążka w szafie zawieszonych rzeczami wyszperanymi w ciucholandach całego kraju. Wszystko, na co patrzę, symbolizuje jakiś kompromis. Spódnice obcisłe w pasie i biodrach, ale za to rozkloszowane dołem niczym u Marii von Trapp. Sterty szorstkich albo nadjedzonych przez mole wełnianych swetrów, z których ani jeden nie jest w moim rozmiarze. Płaszcz z dziwnych tkanin czy żakiety bez pasujących do nich spódnic, kupione tylko dlatego, że dobrze leżały, co samo w sobie było wydarzeniem.

Ale nie to jest najgorsze. To, co wprawia mnie w osłupienie, to kolor. A raczej jego brak. Kiedy u licha uznałam, że brąz równa się czerń, szarość, szkarłat, granat czy co tam jeszcze da się wymyślić? Co powiedziałyby na to dziewczyny od sztuki dobierania kolorów? Albo Freud?

Z tęskną fascynacją wpatruję się w odważny karmin bawialni w domu naprzeciwko, ale moje własne ściany są koloru magnolii. Matowej na dodatek. I oto zgubne skutki ostrożności. Moja szafa jest szafą osiemdziesięcioletniego Irlandczyka. Konkretnie, osiemdziesięcioletniego Irlandczyka, któremu obojętne jest, jak wygląda.

A jednak się nie zrażę.

Otwieram szufladę z bielizną.

Wyrzucam całą zawartość na podłogę.

Przerzucam stosy znoszonych i mniej znoszonych rajstop (tylko takie posiadam), porozciąganych majtek, w których widać gumkę, biustonoszy, których nie powinnam była wrzucać do pralki, bo teraz szczerzą się z nich fragmenty fiszbinów. Pracowicie układam wszystko w dwóch kupkach: to co do użytku — osobno, to co do śmieci - osobno.

Gotowe.

Idę do kuchni, chwytam czarny worek na śmieci i zaczynam go napełniać. Napędzana dziwną, nieznaną energią, nawet nie wiem, kiedy przekopuję się przez pozostałe ciuchy.

Stosy brzydkich, nieokreślonych, brązowych ubiorów znikają w okamgnieniu. Wyrzucam swetry, żakiety i wszystkie spódnice w stylu tych z *Dźwięków muzyki*. I następny worek: znikają w nim znoszone buty, pstrokate chustki. Za nimi bordowa torba od Hobbsa. Mogę kupić nową. Po twarzy spływają mi krople potu, a w szafie puste wieszaki uderzają o siebie z brzękiem. Zawiążuję worki i wywlekam je do kubła na śmieci za domem. Jest ciemno. Czuję się jak przestępca zacierający ślady jakiejś wyjątkowo krwawej zbrodni.

Wreszcie stoję naprzeciw prawie pustej szafy, by poddać oględzinom rezultat całej akcji. Z drążka zwiesza się bladoróżowa bluzka, jedna czarna spódnica i dopasowana granatowa sukienka bez rękawów. Na podłodze przede mną — skromny stosik jako tako nadającej się do noszenia bielizny.

Tyle. To jest teraz podstawa mojej nowej garderoby, nowej tożsamości i nowego życia.

Biorę z biurka samoprzylepną karteczkę, przyklejam w rogu lustra na drzwiach szafy i wściekle czerwonym markerem piszę: „Nigdy nie daj się uwieść niczemu, co nie jest najwyższej jakości”. Nigdy.

Jadę pociągiem w kierunku Brondesbury Park na spotkanie z terapeutką. To pomysł mojego męża: uważa, że ze mną jest coś nie tak.

Kiedy się pobraliśmy, zaczęłam mieć powtarzające się koszmary. Budziłam się z krzykiem przekonana, że obok łóżka stoi jakiś mężczyzna. Pokój wyglądał tak samo jak na jawie, aż tu nagle pojawiał się on i pochylał się nade mną. Przeganiałam go, ale powracał co noc bez wyjątku. Po jakimś czasie mój mąż nauczył się przesypiać te nocne zrywy, ale kiedy w ciągu dnia zaczęłam wybuchać niepohamowanym płaczem, zaprotestował. Wyjaśnił mi, że doznaję zbyt wielu uczuć i muszę (oś z tym zrobić).

Gdy dochodzę do mieszkania terapeutki, dzwonię do drzwi i zostaję wprowadzona do poczekalni będącej w istocie częścią przedpokoju zaopatrzoną w krzesło i stolik. Leżą tu słownie trzy czasopisma, te same od początku mojej dwuletniej jak dotąd terapii: „Dom i Ogród” z wiosny 1997 i dwa egzemplarze „National Geographic”. Znam je na pamięć. Mimo to otwieram „Dom i Ogród” i po raz któryś oglądam do-

mek przeistoczony w sezam pełen szwedzkich antyków za pomocą mebli z Ikei i paru pociągnięć pędzla. Już prawie zasypiam, gdy wreszcie drzwi się otwierają i pani P. prosi mnie do środka.

Zdejmuję płaszcz i siadam na brzeжку kozetki, w mniemaniu pani P. służącej za kanapę. Pokój jest wyciszony i sterylny. Nawet pejzaże na ścianach mają w sobie złowrogi spokój, coś jakby van Gogh po lobotomii — nie ma tu miejsca na dziki, namiętny zamęt. Lubię myśleć, że po drugiej stronie szyby dzielącej gabinet od reszty mieszkania piętrzy się kolekcja fallicznej sztuki prymitywnej, a nowoczesne umeblowanie niebezpiecznie wybucha szaleństwem barw. Mało prawdopodobne, ale ta nadzieja mnie podtrzymuje na duchu.

Pani P. jest kobietą w średnim wieku i jest Niemką. Jej gustowi w sprawach stroju, podobnie jak mojemu, brak pewnego *savoir-faire u*. Dzisiaj ma na sobie kremową spódnicę i podko-lanówki; gdy siada, widzę miejsce, w które wpija się gumka, tworząc tuż pod kolanem czerwony, napuchnięty wałek skóry. Niemieckość nie ułatwia sprawy. Ilekroć ta kobieta o coś mnie pyta, mam wrażenie, że odgrywamy kiepsko napisaną scenę przesłuchania z jakiegoś filmu o drugiej wojnie światowej. To może, acz nie musi, leżeć u źródła naszych problemów z porozumiewaniem się.

Ja siedzę, a ona gapi się na mnie zza swoich okularów w kwadratowej oprawce.

Jesteśmy w impasie: to część naszej cotygodniowej rutyny.

Uśmiecham się trwożliwie.

— Chyba będę dzisiaj na siedząco — mówię.

Pani P. przymyka oczy i pozostaje niewzruszona. — A dlaczego tego chcesz ?

- Chcę panią widzieć.

-Ale dlaczego tego chcesz? — powtarza. Oni zawsze chcą wiedzieć dlaczego; właściwie różnica między terapeutą a czterolatkiem jest niewielka.

- Nie lubię być sama. Na leżąc czuję się, jakbym była sama.
- Ale nie jesteś sama — zauważa — ja tu jestem.
- Tak, ale ja pani nie widzę — zaczynam się czuć naprawdę sfrustrowana.

- Więc — poprawia okulary — musisz kogoś widzieć, żeby nie mieć poczucia, że jesteś sama? — mówi do mnie, akcentując wyrazy i celując we mnie moimi własnymi słowami, tak jak jest to w zwyczaju terapeutów.

Nie dam się zastraszyć.

- Nie, nie zawsze. Ale skoro mam z panią rozmawiać, wolałabym patrzeć na panią — co mówiąc, poprawiam się na kozetce, tak by plecy oparły się o ścianę.

Zaczynam bawić się farfocłami z białej koronkowej kapy narzuconej na kozetkę (dobrze znam te farfocle). Trzy czy cztery minuty upływają w ciszy.

- Nie masz do mnie zaufania — mówi w końcu.

- Nie mam - zgadzam się, nie tyle dlatego, że w to wierzę, ile raczej dlatego, że mówi to ona, a jest, było nie było, moją terapeutką.

- Myślę, że potrzeba ci więcej spotkań - wzdycha.

Ilekcio nie robię tego, czego sobie życzy, potrzeba mi więcej spotkań. Były całe miesiące, kiedy musiałam przychodzić codziennie. Oto gdzie zwykle dochodzimy: dwa lata spędziłyśmy na sprzeczaniu się o to, czy wolno mi siedzieć na kozetce. Ale dzisiaj mam coś do powiedzenia.

- Wczoraj kupiłam książkę. Zatytułowana jest *Elegancja*.

- Czy to powieść?

- Nie, to coś w rodzaju poradnika, taki przewodnik, który mówi, jak stać się elegancką.

Unosi brwi.

- A co dla ciebie znaczy „bycie elegancką”?

- Bycie szykowną, wyrafinowaną. No, wie pani, jak Audrey Hepburn czy Grace Kelly.

— A dlaczego to jest ważne?

Czuję się nagle dziewczęco i frywolnie - jak członkini partii komunistycznej schwyta na czytaniu numeru „yogue'a”.

— No, nie uważam, że to jest ważne, ale warto do tego dążyć, nie sądzi pani? — I wtedy zauważam jej beżowe sandały ortopedyczne.

Może nie.

Próbuję z innej strony.

— Chodzi mi o to, że one zawsze były jak spod igły, nigdy nie wyglądały niestosownie ani w jakikolwiek sposób niechlujnie. Ilekroć się je widziało, były idealnie zadbane, ubrane bez zarzutu.

— Czyli właśnie taka chciałabyś być: „Jak spod igły, nigdy nie wyglądać niestosownie ani w jakikolwiek sposób niechlujnie”, czy tak?

Przez chwilę się zastanawiam.

— Tak — mówię wreszcie. — Strasznie bym chciała być czysta, szykowna i w ogóle nie być tak kompletnie do niczego.

— Rozumiem — kiwa głową. - Nie jesteś czysta. To sprawia, że jesteś brudna. Ani szykowna. To czyni cię niemodną. I kompletnie do niczego. Nie po prostu do niczego, ale kompletnie do niczego. A więc czujesz się nieatrakcyjna.

W jej ustach wszystko to wydaje się dużo gorsze niż w rzeczywistości.

A jednak coś jest na rzeczy.

— Tak, nie czuję się specjalnie atrakcyjna — przyznaję, wewnętrznie się wzdragając. — Prawdę powiedziawszy, czuję się przeciwieństwem atrakcyjności. Tak jakby było wszystko jedno, jak wyglądam.

Rzuca mi badawcze spojrzenie znad okularów.

— A dlaczego wszystko jedno, jak wyglądasz?

Czuję, jak wysoka fala nieświadomości nadciąga, by mnie pochłonać.

— No bo... nie wiem... bo po prostu wszystko jedno.

Bezskutecznie próbuję stłumić ziewanie.

— Ale twój mąż na pewno zauważył - ciągnie sprawę dalej. Ciekawe, co też ona ma na myśli, mówiąc „zauważył”. Czy to jakiś eufemizm? Czy jej mąż „zauważył” ją w jej podkolanówkach i spódnicy?

— Nie, on nie jest taki — wyjaśniam, odpędzając nachodzące mnie wizje ich dwojga „zauważających” się nawzajem. — Jego te sprawy nie interesują.

Powieki opadły mi już do połowy masztu; zdają się ważyć tonę.

— Jakie sprawy?

— Nie wiem... ciało, wygląd, ciuchy.

— Jak się z tym czujesz? - drażni dalej uparcie. — Z tym, że on nie interesuje się twoim ciałem, twoim wyglądem, twoimi ubraniami?

Przez chwilę milczę.

— Męczy mnie — mówię w końcu — męczy mnie to. Tak czy owak, dlaczego te rzeczy miałyby go interesować? Kocha mnie za to, kim jestem, nie za to, jak wyglądam. — Zapadam się w kozetkę coraz głębiej i głębiej, niczym balon, z którego uszło powietrze.

— No tak, ale miłość to nie tylko uczucie — ciągnie, nie dając się zniechęcić. — Ani idea. Zupełnie naturalne, że ma też aspekt fizyczny. Jesteś młoda. Jesteś atrakcyjna. Jesteś... pogrążona w drzemce, nieprawdaż?

Podrywam się gwałtownie.

— Nie, wszystko w porządku. Jestem tylko troszkę senna. Późno poszłam spać.

Nie wiem, czemu się na kłamstwa. Może ma rację, mówiąc, że jej nie ufam.

— Tak czy inaczej, wystarczy na dzisiaj.

Na dźwięk tych słów natychmiast zaczynam odżywać. Wychodzę, kieruję się wprost do kiosku na rogu i kupuję dwa batoniki Kit Kat. Pochłaniam pośpiesznie jeden po dru-

gim, czekając na pociąg. Nigdy nie pojmem, o co chodzi w tym całym cyrku z terapią. Nie mogę się doczekać, kiedy mnie wreszcie wyleczą i dadzą mi jakiś świstek jako dowód, do pokazania mojemu mężowi.

Bezosobowy głos dochodzący z megafonu ogłasza, że z powodu problemów z sygnalizacją kolejny pociąg na południe przyjedzie za dwanaście minut. Siadam na ławce w kącie i wyciągam z torby *Elegancję*. Nagły podmuch otwiera ją na stronie z przedmowy.

Od najwcześniejszego dzieciństwa pochłaniało mnie pragnienie bycia dobrze ubraną, którą to cokolwiek wybujałą jak na ten wiek ambicję zawdzięczam matce, niezwykle wrażliwej na kwestię mody. Razem chadzałyśmy do krawca i wybierałyśmy połączenia tkanin i stylów, tak by nasze stroje były w stu procentach oryginalne i nie do podrobienia.

Myślę o mojej matce i o tym, jak nie znosiła zakupów, strojenia się i patrzenia w lustro. Sądzę, że nie tylko nie aspirowała do elegancji, ale wręcz uważała dążenie do niej za podejrzanę. Pogoń za elegancją, jako przynależna do świata gwiazd filmowych, młodych dam z towarzystwa i rozwódek, pozostawała w sprzeczności z estetyką jej rygorystycznego katolickiego wychowania.

Błada i w okularach, z krótkimi ciemnymi włosami, które sama przycinała, wolała spędzać większość czasu w sandałach na płaskiej gumowej podeszwie i w zwyczajnych, luźnych spodniach, być może dlatego, że w zdominowanym przez mężczyzn świecie nauki, gdzie była osobą wybitną, moda miała niewielkie znaczenie praktyczne. Jednakże w podręcznikowym Freudowskim stylu jej niezrealizowane marzenia i plany przelane zostały na moją siostrę i na mnie. Pragnęła, żebyśmy zostały baletnicami, ucieleśnieniem wdzięku i dyscypliny, i w tymże celu godzinami codziennie po lekcjach ćwiczyły-

śmy. Ciągała nas na dziwaczne wyprawy po sklepach, tym bardziej surrealistyczne, że rzadko zwieńczone zakupem dziecięcych ubrań. Było tak, jakby wyprawiała się z nami na zakupy po swoje *alter ego*.

Jest sobotni ranek. Moja matka właśnie odebrała mnie z lekcji tańca i stoimy w domu towarowym Kaufmanna w Pittsburghu. Mam jakieś dwanaście lat, ale już pysznię się parą butów na gumowych koturnach, a do tego obcisłą sukienką z džinsu, zupełnie jak moja ulubiona Farah Fawcett w serialu *Aniołki Charliego*. Podobnie jak inne dziewczynki ze szkoły baletowej chcę wyglądać jak primabalerina. Wszystkie zużywamy całe tony podkładu, kredki do oczu i cieni do powiek i wywracamy oczami jak gwiazdy kina niemego na haju. Jesteśmy jak konające łabędzie z tymi przesadnymi pozami, idiotycznie wysztafirowane, z włosami mocno związanymi z tyłu. I nigdy nie przyjdzie nam do głowy, że makijaż przeznaczony do występowania na scenie, taki by było się widocznym w ostatnim rzędzie Metropolitan Opera, może się nie nadawać do noszenia na ulicy.

Obie z matką robimy zakupy w dziale odzieży wieczorowej. Jest wpół do jedenastej przed południem, oglądamy cekiny i taftę. Matka wybiera się razem z ojcem na bożonarodzeniowe przyjęcie i jesteśmy tu, żeby coś dla niej kupić, ale ona nie może znieść mierzenia czegokolwiek ani przyglądania się sobie w lustrze. Noszę jeden za drugim różne stroje do przy-mierzalni, gdzie ona siedzi na taborecie, jakby przymięta, stłamszona, w samym tylko biustonoszu i pasie do pończoch, z głową ukrytą w dłoniach. — Ty to zmierz — mówi, więc przymierzam, mizdrząc się i przeginając niczym Maria Callas w miniaturowej. Przy tych przebierankach moja matka wygląda jak duch, chudo i mizernie. — Jesteś taka szczupła — mówi, gdy wślizguję się w wąską różową sukienkę ozdobioną cekinami. We wszystkim ci do twarzy. Dobrych kilka godzin spędzamy, brodząc w zwojach jedwabiu i satyny; w końcu kupuje mi czarny top z cekinami

i kosztowny kremowy zakieciak z piórkami, który noszę na szkolny mundur, chociaż kosztuje mnie to odsiadanie w kozie przez miesiąc.

Sobie moja matka nie kupuje nic.

Po skończonych zakupach idziemy do lady ze słodyczami, gdzie kupujemy pudełko czekoladek, które pochłaniamy w samochodzie w drodze powrotnej. Moja matka i ja nie jadamy obiadów. W końcu obiady tuczą. Zamiast tego siedzimy na przednich siedzeniach, nie patrząc na siebie, i zapychamy się czekoladkami.

Kiedy docieramy do domu, po całym zakupowym entuzjazmie nie ma już śladu. Wyparował. Mama jest nagle strasznie zła, a mnie przytłacza strach i wstyd. Wysiada, zatrzaskuje drzwiczki i wielkimi krokami przechodzi przez garaż do domu, gdzie słyszę, jak krzyczy na mojego brata. Krzyczy bez powodu — bo ręcznik jest krzywo poskładany albo telewizor jest włączony. Krzyczy, bo ma do siebie wstręt; bo wydała trzysta funtów na wieczorowe stroje dla dwunastolatki; bo jest tak wściekła, że musi wybuchnąć. Rzuca czymś, ale nie trafia.

Słyszę, jak pędzi na górę niczym burza i zatrzaskuje za sobą drzwi sypialni. Wysiadając z samochodu z torbami, zabieram puste już pudełko po czekoladkach. Nie trzeba, żeby ktoś je zobaczył. Wchodzę do domu drobnym krokiem tancerki. Mój brat, zapłakany, stoi pośrodku mnóstwa szklanych i plastikowych odłamków, które kiedyś były zegarem. Spogląda na moje torby od Kaufmanna i pudełko po czekoladkach i wiem, że mnie nienawidzi. Z wysoko podniesioną głową przechodzę obok niego. Jestem niedobra. Bardzo niedobra.

Matka nie idzie na bożonarodzeniowe przyjęcie. Zamiast tego, pokłóciwszy się z ojcem, spędza wieczór zamknięta w swoim pokoju.

Zamykam książkę, wstaję i idę na koniec peronu. W samym rogu, tam gdzie kończy się beton, a zaczyna trawa i żużel, odwracam się i wymiotuję batonikami Kit Kat.

Światło dnia zaczyna przygasać i nagle, gdy wycieram ręce w czystą chusteczkę, słyszę, że ptaki śpiewają, tak jak czasem o zmierzchu w wiosenne wieczory. Ich śpiew jest nieznośnie pełen nadziei. I wtedy dociera do mnie, że może jest coś, co nas łączy: moją matkę i mnie.

Może obie należymy do całej masy kobiet przekonanych, że są kompletnie do niczego.

Brzydsze górą

Od zarania dziejów kobiety podążały za pięknem namiętnie i z determinacją jak Menelaos w pogoni za Heleną Trojańską i często z równie dramatycznym skutkiem. A czemuż by nie? Bycie piękną zawsze było równoznaczne z wodzeniem świata za nos, a która dziewczyna by tego nie chciała?

Na nieszczęście jedynie Bóg i natura władni są stworzyć kobietę piękną i szczerze mówiąc, większość z nas do tej ekskluzywnej kategorii nie należy i nigdy należeć nie będzie. Być może uznacie mnie za nazbyt dosadną - i może macie rację. Lecz wedle mojej filozofii najlepiej jest jak najwcześniej uświadomić sobie pewne prawdy na swój temat, zwłaszcza te najbardziej niemiłe, i pogodzić się z nimi, zamiast tracić całe lata na nerwowym dążeniu do osiągnięcia celów i spełnienia oczekiwań pozostających poza naszym zasięgiem.

Poza tym bycie piękną nie gwarantuje szczęścia na ziemi. Znałam wiele kobiet pięknych, które z braku elegancji, inteligencji i ogłady były tak beznadziejnie nieatrakcyjne, że przeciętna uro-

da uczyniłaby ich życie dużo prostszym i mniej bolesnym. Kobieta musi mieć bardzo silny charakter, żeby nie dać się uwieść własnej niezwyklej mocy zwracania na siebie uwagi, gdziekolwiek się pojawi. Nie ma nic tragiczniejszego niż widok starzejącej się piękności, która nigdy nie musiała rozwijać wyobraźni ani ostrzyć dowcipu, by zabawić towarzystwo, i chcąc zrobić na innych wrażenie, zawsze polegała na swojej idealnej sylwetce, nie zaś na elegancji ubioru. Takie kobiety same są marnym towarzystwem i prawie zawsze robią im się podwójne podbródki.

Uroda jest w swej najczystszej fizycznej formie wyłącznie darem natury, wdzięk i styl natomiast są nieporównanie bardziej demokratyczne. Odrobina dyscypliny i spostrzegawczość połączone z dużą dawką dobrego humoru i wysiłkiem - oto wszystko, czego potrzeba do kultywowania tych imponujących cech. Dziewczyna o przeciętnej urodzie, o ile poświęci trochę czasu szczerzej autorefleksji i będzie wytrwale dążyć do udoskonalania swego charakteru i umysłu, szybko odkryje, że oto rozwinęła się w dojrzałego łabędzia. Czas spędzony samotnie z dala od zgiełku umocni ją, a wyrobiona za młodu dyscyplina pozwoli jej z wdziękiem i odwagą wejść w wiek dojrzały. Przede wszystkim zaś stanie się zdolna do współczucia, które niezawodnie czyni kobietę bardziej atrakcyjną dla otoczenia.

Sięgam do nocnego stolika, skąd biorę samoprzylepne karteczki i pióro, upijając jednocześnie kolejny łyk herbaty. Ze wszystkich życiowych przyjemności poranne czytanie w łóżku przy kubku świeżo zaparzonej, gorącej herbaty jest z pewnością największym luksusem. Ubijam górę poduszek w wygodniejszy kłęb i opieram się na nim.

Być piękną... Są dni, kiedy czuję się niemal pewna swojej atrakcyjności, ale czy ja jestem i czy kiedykolwiek mogłabym być piękna? Czy może jestem jedną z tych kobiet, którym lepiej byłoby pogodzić się z „niemiłymi prawdami”?

Właściwie nie jest to pytanie, nad którym dziewczyna powinna rozmyślać przed dziewiątą rano, z jeszcze ciężką głową i ubrana w swoją ulubioną, wymiętą koszulę nocną ze Snoopym (nie mogłam się jakoś zmusić do jej wyrzucenia). Wypieram więc tę kwestię z myśli i zdecydowanie oddzieram kolejną samoprzylepną karteczkę. „Uroda nie jest gwarancją szczęścia - piszę pewną ręką — zamiast tego staraj się być elegancka, mieć wdzięk i styl”, po czym umieszczam nowe hasło obok poprzedniej kartki na lustrze w szafie. Mój mąż, który właśnie ubiera się do wyjścia do BBC, gdzie ma nagrywać słuchowisko, wzdycha ze znużeniem.

— Mam szczerą nadzieję, że nasz dom nie stanie się jednym z tych milutkich, wesolutkich mieszkanek, z góry na dół pooklejanych cudownymi sentencjami. — Sięga po granatowe drelichy i znoszony sweter z napisem Oxford, który matka kupiła mu na Gwiazdkę dwa lata temu. — Nie chcę, żeby wyglądał jak salka szkoły niedzielnej w domu parafialnym.

— A co ty niby wiesz o salkach szkoły niedzielnej? — odparowuję natychmiast. - W każdym razie, jak się zamknie drzwi do szafy, to nawet nie widać.

— A jednak - ciągnie, wsuwając stopy w prehistoryczne mokasyny — uważam, że dość tego. Nie mam ochoty ubierać się rano, mając przed oczyma tysiąc sloganów głoszących: „Jestem wystarczająco dobra” i „To także minie” czy czym tam jeszcze się rzuca w żargonie popularnych poradników.

— W porządku — mówię, bardziej żeby skończyć tę rozmowę niż po cokolwiek innego. — Będę je trzymać dla siebie.

Przychodzi mi na myśl, że skoro jego dzisiaj cały dzień nie ma, to jest to świetna okazja dla mnie, żeby odnowić członkostwo w naszej lokalnej siłowni. Schylam się i sięgam pod łóżko, skąd w końcu udaje mi się wyłowić moją starą, pokrytą kurzem torbę ze strojem gimnastycznym, jeszcze nierozładowaną, z czającymi się na dnie zmaltretowanymi trampkami.

Doskonale.

Mój mąż jeszcze nie skończył. Zdejmuje najnowszą karteczkę i bacznie się jej przygląda.

— „Uroda nie jest gwarancją szczęścia, zamiast tego staraj się być elegancka, mieć wdzięk i styl”. O co w tym wszystkim chodzi, Louise? Chyba nie zaczynasz bzikować, co? Jak stoją sprawy z terapeutką?

Jestem pewna, że gdzieś mam jeszcze jakieś spodnie od dresu i że gdzieś musi się pętać skarpetka do pary. Przekopuję kosz z brudami.

— Nie, nie zaczynam bzikować — zapewniam go, szperając w stercie brudnych ciuchów — i z terapeutką wszystko idzie dobrze. Ja tylko próbuję się jak najlepiej realizować i tyle. To jest coś, co robię dla siebie.

Nie wygląda na przekonanego, więc próbuję inaczej.

— Chodzi mi o to, że chciałabym, żebyś był ze mnie dumny. Rysy mu łagodnieją.

— Ależ Pączusiu, ja już jestem z ciebie dumny. Jesteś dobrą dziewczynką — mówi, całując mnie w czoło i gładząc po głowie. — Jesteś bardzo dobrą dziewczynką i bardzo dobrym Pączusiem.

— Tak, dzięki — mówię, uśmiechając się w odpowiedzi — tylko czy mógłbyś nie nazywać mnie Pączusiem?

Obrzuca mnie takim spojrzeniem, jakbym właśnie wymierzyła mu policzek.

— Nie nazywać cię Pączusiem? Co złego jest w Pączusiu?

— Wiem, że traktujesz to jako określenie pieszczotliwe, ale Pączuś brzmi jakoś tak tłusto. Jakoś okrągło i ciężko. Nie moglibyśmy wymyślić czegoś innego? A gdybyś tak mówił do mnie na przykład: Moja Złota albo Aniele, albo... albo, no nie wiem, a może Moja Ty Piękności?

Marszczy brwi.

— No dobrze, to może Śliczna? Moja Śliczna? Tak jest ładnie, prawda?

— *Zawsze* nazywałem cię Pączusiem. Jesteś moim Pączusiem - mówi stanowczo.

— Tak, wiem, ale przecież chyba wolno nam zmienić przezwisko - staram się go udobruchać, obejmując go, ale uchyla się, żeby sięgnąć po kurtkę wiszącą na oparciu krzesła.

— Nie można ot tak wymyślić nowego przezwiska, bo się ma na to ochotę. To w końcu ja jestem tym, który musi je wypowiadać. A „Moja Śliczna” brzmi jak kwestia korsarza z przedstawienia dla dzieci*.

— No dobrze. Ja tylko proszę, żebym mogła mieć jakieś bardziej atrakcyjne przezwisko... nie wiem... jeśli to musi być coś jedzeniowego, no to może Rodzynecek? Rodzynki są znacznie drobniejsze od pączków.

— Ja nie jestem jakąś starzejącą się pięknością, Louise. — Po czym wzdycha, przyciskając palce do czoła i zamykając oczy dla lepszej koncentracji. - No dobrze — mówi w końcu — a co byś powiedziała na Paróweczkę? To moja ostatnia propozycja.

— Paróweczka! Też coś!

— Jestem Anglikiem. Wiedziałaś o tym, kiedy za mnie wychodziłaś. Nie mogę nazywać żony Rodzyneczkiem ani Moim Małym Pierożkiem, ani żadnym innym przyjętym w świecie pieszczotliwym określeniem z kategorii tych cieszących podniebienie.

— Ale Paróweczką możesz mnie nazywać?

— No, nie po prostu Paróweczką. Moją Małą Paróweczką. - Uśmiecha się. - Tak jest słodko.

Teraz moja kolej, by wyglądać na niezbyt przekonaną. Wzrusza ramionami.

— Poza wszystkim innym, nie mam teraz na to czasu. Muszę się zbierać. - Maszeruje do przedpokoju i zabiera scena-

*** Chodzi o tradycyjne muzyczne przedstawienie gwiazdkowe, w którym obok innych postaci występuje korsarz zwracający się w ten sposób do swojej papugi (przyp. tłum.).**

riusz ze stolika przy drzwiach. Nachyla się i składa mi na czole szybki pocałunek. — Do zobaczenia wieczorem, Paróweczko. Drzwi się zatrzasują.

Wracam do sypialni i wbijam wzrok w zakurzoną torbę i poskręcane trampki. Właściwie jaki sens ma ten cały wysiłek, jeśli i tak nie będę piękna, a najbardziej pochlebne określenie, jakie przychodzi do głowy mojemu mężowi, to Paróweczka?

Syreni śpiew kołdry zaczyna mnie wzywać, chcąc ponownie zwabić mnie do łóżka, jak najdalej od siłowni i tego bezsensownego dążenia do samoulepszenia. W końcu przede mną tylko kilka bezcennych godzin samotności, które zanim mój mąż wróci, mogę spędzić w stanie zupełnego zapomnienia. Powieki mi ciążą, a oddech staje się wolniejszy.

I wtedy ją dostrzegam, małą żółtą karteczkę, której przyglądał się mój mąż. Unosi się jak motyl tuż przy mojej głowie. „Uroda nie jest gwarancją szczęścia, zamiast tego staraj się być elegancka, mieć wdzięk i styl”. Podnoszę kartkę i ponownie przyklejam do lustra.

- Nie jestem żaden pączuś — mówię do swojego odbicia — ani paróweczka.

Biorę torbę ze strojem gimnastycznym i śpiesznie wychodzę z sypialni.

Dopóki jeszcze mogę.

Cena wygody

Kwestia wygody przeniknęła we wszystkie dziedziny współczesnego życia, stając się jednym z jego imperatywów kategorycznych. Nie jesteśmy już w stanie pogodzić się z myślą o najdrobniejszym choćby ograniczeniu fizycznym bądź moralnym, a wiele z drobiazgów będących swego czasu znakiem elegancji dziś popadło w niełaskę ze względu na wygodę właśnie. Precz ze sztywnymi kołnierzykami, wykrochmalonymi koszulami, nieporęcznymi kapeluszami i ciężkimi kokami! Jedyne damskie buty jeszcze się jakoś trzymają.

Jednakże jeśli kobiety nadal kierować się będą wygodą przedkładaną ponad wszystko inne dwadzieścia cztery godziny na dobę i dwanaście miesięcy w roku, mogą w końcu odkryć, że oto stały się niewolnicami gumowej podeszwy, nylonu od stóp do głów, obiadów z mrożonek, turystyki zorganizowanej, funkcjonalnej uniformizacji i ogólnego oglupienia. Wygoda jako cel sam w sobie to dla elegancji wróg numer jeden.

Jest sobota, kwadrans po siódmej rano, właśnie wybieram się do pracy. Mimo że część mnie wciąż marzy o aktorstwie, w rzeczywistości zarabiam, sprzedając bilety w kasie małego, samofinansującego się teatru na Charing Cross.

Mój mąż śpi na drugiej części łóżka, ubieram się po ciemku. W szafie ubraniowej nie bardzo jest w czym wybierać, wkładam więc granatową sukienkę bez rękawów i różową bluzkę. Sukienka jest bardzo obcisła, dlatego od lat nie miałam jej na sobie. Gdy zapinam suwak, kręgosłup prostuje się jak struna, ujęty w kleszcze ciasno skrojonego gorsu. Próbuję przyjąć na powrót swoją zwykłą przygarbioną postawę, przez co omal się nie duszę. Następnie wślizguję się w ślubne ciemnobrązowe szpilki — jedyne buty na wysokim obcasie, które przetrwały Wielki Odstrzał. I oto nagle drobię po mieszkaniu niczym mała Marilyn Monroe. Po tylu dniach spędzonych w byle jakich tenisówkach i luźnych drelichach czuję się dość niezwykle. Zaczესuję włosy na bok i zapinam klamrą z górskiego kryształu, po czym pokrywam usta łagodną czerwienią. Kiedy podchodzę do drzwi wyjściowych, w lustrze w przedpokoju miga mi moje odbicie.

Kim jest ta kobieta?

Spóźnię się. Nie uwzględniłam znacznego ograniczenia ruchów, jakie spowoduje połączenie długiej prostej sukienki ze szpilkami. W takim stroju można się przechadzać po mieszkaniu, ale z pewnością nie jest on pomyślany na długodystansowe eskapady. Im szybciej staram się przebierać nogami, tym bardziej upodabnam się do nakręcanej lalki. Jedyнным sposobem posuwania się naprzód jest w tej sytuacji przenoszenie wagi ciała z jednego biodra na drugie powolnymi, okrągłymi ruchami. Teraz rządzi sukienka; to ona decyduje, kiedy i jak dotrę do pracy. A więc chwiejnie sunę przed siebie, lekko się kołysząc.

Jest coś w kobiecie poruszającej się powoli pośród ruchu ulicznego. Wszyscy i wszystko się zmienia. I odkrywam, że po-

wolny chód ma w sobie moc. To co innego niż bycie chorym czy w depresji. Sukienka sprawia, że trzymam się prosto, i nadaje mi wygląd wyniosłego dostojeństwa, jakbym była ponad przyziemne troski, takie jak zdążenie do pracy na czas. Wydaje się, że idę dla przyjemności, a nie dlatego że muszę. W morzu pędzących gdzieś przechodniów stałam się majestatyczna.

Idąc tak niespiesznie, można się też uśmiechać. Wtedy robi się naprawdę ciekawie. Taksówkarze zwalniają mimo zielonego światła tylko po to, żeby pozwolić mi przejść przez jezdnię. Policjanci przed Parlamentem mówią: „Dzień dobry”, uchylając czapki. A sfrustrowani turyści — stłoczeni pod Big Benem i celujący weń aparatami fotograficznymi — uprzejmie ustępują mi z drogi, jak gdyby nagle znaleźli się na samym środku ogromnego salonu i właśnie się zorientowali, że on jest mój.

Tak, świat jest moim salonem, a ja uprzejmą gospodynią, która przechodząc, sprawdza, czy wszystko jest w porządku.

Rozglądam się wokół. To kolejna zaleta chodzenia powoli — mnóstwo czasu na rozglądanie się. Powietrze jest łagodne i świeże, słońce przyświeca dobrotliwie. Oddycham głęboko, a raczej na tyle głęboko, na ile pozwala mi sukienka, i spływa na mnie nieznane dotąd uczucie, że wszystko jest, jak być powinno. Naprawdę.

Kiedy tanecznym krokiem wchodzę do foyer, serce bije mi mocno, a policzki płoną. Spoglądam na swoją dłoń, jak naciska mosiężną klamkę drzwi do kasy; zdaje się drobna, delikatna i śliczna. Przez chwilę nie jestem całkiem pewna, czy to moja dłoń. Ale tak, to moja dłoń. I jest drobna, delikatna i śliczna.

Colin już na mnie czeka. Ja mam klucze do kasy.

— Proszę, proszę! — mówi, całując mnie w policzek. Uśmiecham się figlarnie.

— Co też pan ma na myśli, panie Riley? — otwieram drzwi i zapalam światło.

— Co też mam na myśli, ciekawe. Nastawmy wodę na herbatę i chcę usłyszeć całą historię!

Stało się coś niesłychanego. Przestałam być niewidzialna.

Colin jest moim najlepszym przyjacielem. Nie wie o tym, ale jest. Zawsze mnie łaje, że jestem nieprzystępna i odległa, ale tak naprawdę wie o mnie więcej niż moja terapeutka i mój mąż razem wzięci. Skruszony „Wymoczek z West Endu” był tancerzem w *Kotach*, dopóki uszkodzenie ścięgna nie położyło kresu jego karierze. Ciągłe jest w stanie wykonać imponujący piruet, jeśli ma na to ochotę, ale teraz zadowala się prowadzeniem w lokalnym domu kultury aerobiku na siedząco dla ludzi po sześćdziesiątce (uwielbia to, bo wszyscy go tam nazywają „Młodym Człowiekiem”) i pracą w kasie na pół etatu, razem ze mną. Łączy nas nie tylko miłość do tańca i teatru, ale także niemal identyczne katolickie wychowanie — wygląda na to, że te same sadystyczne zakonnice (lub ich powinowate) dawały nam obojgu po łapach, tyle tylko że po dwu stronach oceanu.

-Ale się dzisiaj ubrałaś! Co tu jest grane? Masz romans? — Z przyzwyczajenia sprawdza, czy wewnątrz czajnika nie zbiera się jeszcze osad. Nasz czajnik dwa razy w tygodniu czyści się z kamienia, a gdy Colin się nudzi, kubki są pucowane wybielaczem. Przyzwyczailiśmy się do kawy, która musuje i usuwa plamy z zębów.

— Nie powiedziałaabym — mówię i włączam komputer. Wyjmuje z plecaka woreczek, a z niego ciasno opakowane plastikowe pojemniczki i wrzuca je do lodówki.

— Co dziś mamy na lunch, Col?

To kolejna z jego pasji; nie może się oprzeć kupowaniu jedzenia, które supermarket przecenił z powodu upływu daty ważności. Tak więc przygotowywane przez niego lunchy — o odważnych kombinacjach smaków, uwarunkowanych zawartością półek z żywnością przecenioną - dostarczają podniebieniu wrażeń niezwykłych.

— Dzisiaj jemy kawałek fantastycznej pieczeni baraniej, której właśnie upłynął termin ważności, ale pachniała w po-

rządka, i małą sałatkę z rakiety, papryki i młodych kartofli. Co prawda, ta rakieta nie jest taka świeżutka, jak lubię, ale nie można mieć wszystkiego.

Colin dobrze gotuje, ale jego kuchnia wymaga żelaznego żołądka.

— No więc — lustruje mnie od stóp do głów — co to za historia? Wyglądasz wspaniale. Kawy czy herbaty?

— Proszę kawy, tylko niedużo wybielacza. Właściwie nie ma tu nic do opowiadania. Uporządkowałam szafę ubraniową i to wszystko, co zostało. Podoba ci się?

— Bardzo, Louise — zawsze mówi na mnie „Louise”, z bezdechem na samogłosce, jako że imię „Louise” jest zbyt długie i skomplikowane, żeby wymawiać je w całości. — Najwyższy czas. Zaczynałem się już obawiać o twoje życie erotyczne. A co sądzi Pan i Władca?

— Nie widział mnie dzisiaj. Spał, kiedy wychodziłam. A poza tym wiesz, że ja nie mam życia erotycznego. Jestem mężatką.

— Kochanie, na twoim miejscu kupiłbym sobie dodatkowy zapas kondomów i nastawiłbym się na kilkudniowe trudności z utrzymaniem się w pionie. Pomyśli, że zbliża się już Boże Narodzenie!

— Colinie Riley, nie bądź paskudą! — śmieję się. — Pamiętaj, że Dzieciątko może usłyszeć! — Ale w środku czuję się dziwnie, jakoś słabo. Nie wiem, czy chcę znów przez to przechodzić.

Lecz w byciu katolikiem tkwi jeszcze jedno niebezpieczeństwo: wiara w cuda.

Tego wieczora, gdy wracam do domu, postanawiam spróbować. W końcu minęło dużo czasu. Mieszkanie jest puste, ale dostrzegam mego męża w ogrodzie, jak szpera w coś uzbrojony w gumowe rękawice. Przekradam się do łazienki, poprawiam włosy i robię makijaż. Nieczęsto to robię. Tak rzadko staram się w ogóle być jeszcze dla niego interesująca.

Nie jestem pewna, co ze sobą zrobić i jak zacząć, więc idę do salonu i siadam na brzeжку kanapy.

Czuję się jak w gabinecie lekarskim.

Mój mąż i ja wydziwiamy nad tym pokojem. Mamy obsesję na jego punkcie. W nieskończoność próbujemy tak go urządzić, żeby wydawał się ciepły, wygodny i gościnnie. Robimy rysunki, szkicujemy plany, wycinamy w skali małe papierowe modele mebli i przestawiamy je na kartce papieru z zaangażowaniem godnym partii szachów rozgrywanej przez światowych mistrzów. Ale rezultat pozostaje ten sam. Wokół kanapy hula wiatr. Między zielonym fotelem a stolikiem rozciąga się ocean parkietu (widziałam, jak goście z trudem wyciągają się, żeby móc sięgnąć po filiżankę kawy). Stół czai się w kącie niczym odziedziczone po inkwizycji narzędzie tortur (nasze przyjęcia dowodzą trafności tego skojarzenia).

Biorę do ręki czasopismo i właśnie przerzucam strony, gdy on wchodzi.

- Jest tam kto? - woła.

- Hej, tu jestem! — mam ściśnięte gardło i mój głos jest trochę wyższy niż zwykle.

Wychyla się zza drzwi. Nadal w gumowych rękawicach, niesie teraz kubek na śmieci z sypialni.

- Louise — zaczyna.

- Tak? — powoli wstaję, żeby mógł mnie zobaczyć w całej okazałości mojej obcisłej sukienki, z filuternym uśmiechem niegrzecznej dziewczynki. To ryzykowne posunięcie. Wyjdę albo na boginię seksu, albo na Jacka Nicholsona w *Lśnieniu*.

Mój mąż zamarł w bezruchu. Jest słodki i zmieszany, gdy stoi w tych swoich spranych, luźnych spodniach od dresu. Chichoczę i postępuję krok naprzód.

- Tak — powtarzam, tylko tym razem łagodniej, raczej jak odpowiedź niż jak pytanie.

Stoimy teraz bardzo blisko siebie. Dzieli nas tylko kosz na śmieci. Czuję zapach wilgotnego ciepła jego włosów i czystą,

świeżą woń płynu zmiękczającego z jego podkoszulka. Zaglądam mu w oczy i przez moment świat wiruje, topnieje. Teraz uśmiecham się naprawdę, całą swoją istotą, i wiem, że nie wyglądam jak Jack Nicholson. Wyciągam rękę, swoją śliczną, delikatną rękę, i podchodzę jeszcze bliżej, żeby pogłodzić łagodną krzywiznę jego policzka, gdy wtem dostrzegam coś, co mnie powstrzymuje.

W miarę jak moja dłoń się zbliża, jego ciało tężeje. Stoi tuż-tuż, naprzeciwko mnie, ale w dziwny sposób, bez najmniejszego poruszenia, zaczyna się wycofywać. Kryje się za fasadą nagle wyostrzonych rysów. Jego twarz przybiera wyraz twarzy dziecka zmuszonego znieść niemłą, lecz nieuniknioną karę cielesną; spontaniczny wyraz zupełnej rezygnacji.

Oniemiała robię krok w tył, z ręką nadal wzniesioną jak u lalki. Nasze oczy się spotykają, w jego spojrzeniu maluje się zdziwienie. Wokół nas tworzy się próżnia, ciężka od wstydu i ponizenia, niemożliwa do wytrzymania.

Mój mąż otrząsa się pierwszy, z twarzą przyobleczoną w maskę oburzenia.

Podnosi kubek na śmieci. - Louise, co to jest?

Spoglądam na zawartość kubła. Wpatruję się weń, ale zobaczenie czegokolwiek przychodzi mi z trudem.

- Śmieci - to najlepsze, co jestem w stanie wymyślić. Sięga do kubła, wyciąga pudło po papierze do drukarki

i unosi je wysoko. -A to?

Teraz mnie ma.

- Też śmieci? — odpowiadam niepewnie.

Przewraca oczami i wzdycha westchnieniem nad westchnieniami. Westchnieniem, które mówi: „Czy ja muszę to jeszcze raz powtórzyć dla inteligentnych inaczej?”.

- No dobrze, spójrz. — Wkłada pogniecione pudło z powrotem do kubła. - Co tu widzisz?

Łzy cisną mi się do oczu. Mrugam, żeby nie popłynęły.

— Widzę pudło w kubie na śmieci.
— Otóż nie, Louise, to, co widzisz, to jest pudło zajmujące cały kubel. Calusieńki.
— No i co z tego? To jest kubel na śmieci, więc go opróżnij! — Gardzę nim. Za żadne skarby się nie rozplaczę. Nie ma mowy.
— I kto niby ma to zrobić? Oczywiście ja.
— Niekoniecznie.
— Błagam! — znowu przewraca oczami. Wyszłam za żydowską mamuszkę*.
— Więc nie musisz. Nie musisz być samozwańczym dyżurnym do wynoszenia śmieci. Jakoś bez tego przeżyjemy.
— Ty jednak nie łapiesz, o co chodzi. Ja proszę tylko, żebyś zechciała wyrzucać wszystkie szczególnie duże śmieci do kuchennego kubła. W porządku? Zrozumiałaś?
— Szczególnie duże śmieci.
— Tak. I nie udawaj, dobrze wiesz, o czym mówię.
— Oczywiście. — Jest mi zimno. Chcę wejść zaraz pod kołdrę i zasnąć.
— No więc jak, dogadaliśmy się?
— Tak, duże śmieci do dużego kubła. Wszystko jasne.
— To nie jest wielki wysiłek.
— Nie. Oczywiście, że nie.
Odwraca się, żeby wyjść, ale zatrzymuje się przy drzwiach.
— Ta sukienka... — zaczyna.
— Tak? — Gorąco uderza mi do twarzy. Gdybym tylko nie była taka blada, taka przezroczysta.
— Jest... to znaczy, chciałem powiedzieć... wyglądasz bardzo ładnie. Wpatruję się w niego przez ocean parkietu.
— Dziękuję.

*** Ang. *Jewish mother* kojarzy się z nadopiekuńczością i ciągłym narzekaniem (przyp. tłum.).**

— Ale jakbyś się przebrała w jakiś bardziej odpowiedni strój, to może moglibyśmy zacząć oczyszczać tę ścieżkę w ogrodzie. W końcu to jest coś, co powinniśmy robić we dwójkę.

Przez chwilę nie rusza się, stojąc w drzwiach, czekając na jakąś odpowiedź.

Nie ma tu nic do powiedzenia.

— W takim razie, jak tylko będziesz gotowa... — mówi w końcu i wychodzi.

Odwraca się i idzie do ogrodu. Zostaje sama.

Tego wieczora czytam długo w noc, szukając wskazówek na kartach *Elegancji*. Przecież musi być jakieś wyjście. Ktoś tak mądry i doświadczony jak Madame Dariaux musi być w stanie mi pomóc. Jestem pewna, absolutnie pewna, że nie zawsze tak to wyglądało. Jeśli tylko uda mi się znaleźć klucz, odtworzyć moment, kiedy skręciłam w lewo zamiast w prawo, albo powiedziałam tak zamiast nie, to zrozumieć, co zrobiłam nie tak, jak trzeba.

Reszta jest łatwa.

Po prostu to odkręcę.

Dziewczynki

Zrozumiałe jest, że córeczki są dumą i radością swoich matek, ale niestety bardzo często są także odzwierciedleniem ich braku elegancji. Widząc biedną dziewczynę wysztafirowaną, całą w lokach, obwieszoną wstążkami, uginającą się pod ciężarem torebki, parasola i ogromnych kolczyków, lub też ubraną w buty na gumowej podeszwie do aksamitnej sukienki, można być pewnym, że jej matka nie ma ani krzty dobrego smaku.

Takie wychowanie stanowi poważne obciążenie, bo dziewczynka musi być obdarzona bardzo silną osobowością, żeby wyzbyć się wpojonych w dzieciństwie złych przyzwyczajeń. Im prościej - sweterki i spódniczki zimą, bawełniane sukienki latem - tym gustowniej. Nigdy nie jest za wcześnie na nauczenie się, że umiar i prostota są podstawą elegancji.

Gdy miałam jakieś dziewięć lat, przeniesiono mnie ze szkoły katolickiej do żeńskiej szkoły z internatem. Tam po-

znałam Lisę Finegold, która przez następne półtora roku była moją najlepszą koleżanką, a na całe życie pozostała moim ideałem mody. Jej matka Nancy pochodziła z Nowego Jorku, co czyniło ją wyrafinowaną. Smukła jak brzoźka, o długich ciemnych włosach i eleganckich rysach twarzy, poruszała się, jakby była z kruchej porcelany.

Tamtego roku, ku memu wielkiemu zażenowaniu, moja matka eksperymentowała z ubraniami uniseks. Po lekturze książki o komunistycznych Chinach była pod tak wielkim wrażeniem tamtejszego surowego trybu życia, że poczęła go naśladować, ubierając się przez cały miesiąc w ten sam kostium w czerwoną szkocką kratę (to były lata siedemdziesiąte). Nancy Finegold nigdy nie ruszała się z domu w butach innych niż szpilki, moja matka zaś regularnie zaganiała nas na długie, wyczerpujące wędrówki po lesie, ubrana w uszyte przez siebie solidne półbuty i jeden z ulubionych podkoszulków z napisem *Greenpeace*. Bardzo pragnęłam, żeby zapuściła włosy, nawet wygrzebałam jej starą perukę, kupioną w latach sześćdziesiątych, lecz ona ani myślała zmienić firmowe uczesanie. „To nie jest aż tak ważne”, mawiała. Ale cóż, kiedy ja sekretnie marzyłam, żeby też pochodziła z Nowego Jorku i była z porcelany.

Lisa miała własną sypialnię, a w niej ogromne łóżko z baldachimem, całe w falbankach, jak w *Przeminęło z wiatrem*. Miało obszyte koronką poduszki, które nie były do spania, tylko do ozdoby. Nad kominkiem starannie poukładane siedziały piękne porcelanowe lalki, a za szkłem stojącej w kącie mahoniowej gablotki pyszniła się kolekcja porcelanowych figurek.

Były jeszcze ubrania Lisy kupowane przez jej matkę podczas nowojorskich wielkich wypraw na zakupy. Większość z nich nadawała się tylko do czyszczenia chemicznego i wisiała w równiutkich rządach na pokrytych jedwabiem wieszakach. Wszystko było wyprasowane, czyste i co dziwniejsze, we właściwym rozmiarze. Nie było tam ani jednej rzeczy odziedziczonej po starszym rodzeństwie.

Zanim poznałam Lisę, wszystkie moje koleżanki i koledzy byli tacy jak ja. Chcąc nie chcąc, dzieliliśmy pokoje z rodzeństwem, wytyczając na środku podłogi niewidzialne granice przypominające linie ognia z czasów wojny secesyjnej, bezskutecznie usiłując wywalczyć sobie trochę autonomii i własne „ja”. Spaliśmy na piętrowych łóżkach, na poduszkach kładło się głowę i wolno je było obśliniać, a jak ktoś się pochorował — prało się je w pralce. Nawet meble mieliśmy łatwe do ścierania i odporne na zniszczenia, takie, po których można było skakać do woli. A kolekcje mieliśmy żywe, złożone z pajaków, ślimaków, robali i dżdżownic, wyeksponowanych w słoikach i tekturowych pudełkach trzymanyh w chłodnym bloku pod schodami na werandę od strony podwórza. Jest wiele podwórkowych sprawności, które trzeba zaliczyć, dotknięcie i schwywanie potężnej rosówki po burzy jest tylko jedną z nich.

W czasie przerw Lisa i ja, objęte w pól, spacerowałyśmy w nieskończoność naokoło placu zabaw (Lisa nigdy nie biegała ani nie grała w berka, ani w ogóle nie robiła nic, przy czym można się spocić), a ja wypytywałam ją o szczegóły jej codziennego życia. Regularnie snułam marzenia o tym, jak to moi rodzice giną w strasznym wypadku drogowym i wtedy, u szczytu mej bezbrzeżnej rozpacz, adoptują mnie Finegoldowie i zostają siostrą Lisy.

Kiedy Lisa po raz pierwszy zaprosiła mnie do domu, żebyśmy się u niej bawiły, poczułam się jak we śnie. Drzwi otworzyła mi gosposia w fartuszku, kropka w kropkę jak służąca z *Dynastii*. Ugotowała nam obiad, który był nie tylko gorący, ale składał się ze spaghetti z sosem domowej roboty, naprawdę przygotowanym własnoręcznie, nie z puszek. I jakby tego było nie dość, na deser dostałyśmy pudding z tapioki — słodki, puszysty i, wedle słów Lisy, z dodatkiem ikry, co sprawiło, że ona go nie tknęła, a ja poprosiłam o dokładkę.

W końcu poszłyśmy na górę do pokoju Lisy i usiadłyśmy na łóżku, które zaścielone stanowiło imponującą kompozycję;

właściwie nie dało się go dotknąć bez naruszenia efektu, siadłyśmy więc obok siebie na brzeżku, nie na środku. Lisa wygładzała fałdy spódnicy i wyglądała na znudzoną (właśnie ta niezwykła zdolność bycia znudzoną stanowiła jej najbardziej atrakcyjną cechę).

— Może pobawimy się lalkami? — zasugerowałam, wpatrując się łapczywie w jej wspaniałą kolekcję. Miałam już obmyślane, które będą baletnicami, a które będą opętane przez diabła. Tego roku wszedł na ekrany *Egzorcysta* i chociaż byliśmy za mali, żeby go oglądać, moja siostra, brat i ja byliśmy zafascynowani opętaniem, zielonymi wymiotami i mówieniem przerażającym głosem. Poza tym pozostawało to w miłym kontraście z tematyką baletową.

— Te z ciemnymi włosami mogłyby być opętane, a te z jasnymi byłyby baletnicami, dobrze?

Zapanowała cisza i Lisa spojrzała na mnie tak, jakbym była cofnięta w rozwoju.

— Albo na odwrót — byłam skłonna pójść na ustępstwa.

— One nie są do zabawy — powiedziała Lisa — one są tylko do oglądania.

Chciałam zapytać dlaczego, ale moje pragnienie zrobienia na niej dobrego wrażenia powstrzymało mnie od zwrócenia uwagi na to, że nie jestem w pełni obeznana z etykietą obowiązującą właścicieli porcelanowych lalek.

— No tak. To może zbudujemy miniaturowy świat pod łóżkiem? Możemy powyjmować z gablotki wszystkie figurki, wziąć zielone chusteczki i zrobić z nich stawek, a potem użyć tego stolika przy łóżku i to będzie Kraina Olbrzymów, do której oni idą...

Ze zbolalego wyrazu twarzy Lisy wyczytałam, że ją tracę.

— Louise — zaczęła, po czym urwała.

Lisa nie umiała wytłumaczyć mi swojego świata ani ja nie potrafiłam go zrozumieć. Nigdy wcześniej nie było to konieczne. Wreszcie jak dziecko recytujące katechizm powiedziała:

— Niektóre rzeczy są do oglądania, nie do dotykania.

— Aha. — Nie pojmowałam tego ani w ząb. Uśmiechnęła się do mnie. Więc ja też się uśmiechnęłam.

I tak siedziałyśmy, uśmiechając się do siebie, uważając się nawzajem za niespełna rozumu.

— Wiem — powiedziała w końcu. — Chodźmy na strych i przebierzmy psa za dziecko.

Na szczęście istnieją pewne ludzkie doświadczenia przekraczające podziały kulturowe.

Któregoś razu Finegoldowie zaprosili mnie na wspólną kolację w mieście. Specjalnie na tę okazję włożyłam swoją najlepszą sukienkę, uszytą według moich ścisłych wskazówek przez babcię Irenę. Razem wybierałyśmy wzór i materiał, świeżą białą bawełnę w jaskrawoniebieskie i czerwone kwiatki, a babcia doszyła też króciutkie rękawki z koronką i ręcznie zmarszczyła przód.

Powieszoną na wieszaku sukienkę zabrałam ze sobą do szkoły i zawiesiłam w swojej szafce. Od czasu do czasu pokazywałam ją którejś z koleżanek, ale Lisie chciałam zrobić niespodziankę; byłam pewna, że gdy mnie w niej zobaczy, sama zaproponuje, żebyśmy zostały siostrami.

Po lekcjach poszłyśmy bawić się u Lisy, co tamtego dnia polegało na wyjmowaniu z gablotki wszystkich figurek, oglądaniu ich i wkładaniu z powrotem na miejsce dokładnie tak, jak były. Po jakimś czasie usłyszałyśmy, że ktoś wszedł, i Lisa powiedziała: „Trzeba się szykować do wyjścia”. Włożyłyśmy każda swoją sukienkę, uczesałyśmy się nawzajem i zeszyłyśmy na dół. Lisa nie mówiła nic na temat mojej, a ja na temat jej sukienki, uszytej z czarnego aksamitu, z kremową atłasową wstęgą. Rozumiało się samo przez się, że obie wyglądamy olśniewająco.

W kuchni zastałyśmy doktora Finegolda nad wyjętą z lodówki salaterką puddingu z tapioki. Wysoki i szczupły, z czarnymi, falującymi włosami, romantycznym wąsikiem i mięk-

kim spojrzeniem ciemnych oczu, był chyba najpiękniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziałam. Miał ogromną kolekcję żółwi, które trzymał w różnych akwariach i plastikowych basenikach w piwnicy; uważałam, że są świetne, lecz zdaniem Lisy były ohydne. Ale najbardziej lubił grać na fortepianie.

— Tatusiu, nie rób tego — Lisa zganiła go bez przekonania (nawet rodzice sprawiali jej drobne niedogodności).

— To nasz mały sekret — powiedział, wrzucając do zlewu łyżeczkę. — A gdybym wam tak, dziewczynki, zagrał jakąś melodyjkę?

Przeszliśmy do salonu, doktor Finegold zaczął grać. Tańczyłam wokół fortepianu i oboje zaśmiewaliśmy się, nawzajem się dopingując. Robiłam piruet i wtedy on wołał: „No dalej, zrób jeszcze jeden!”, po czym on wygrywał niesamowity pasaż, a ja klaskałam i zmuszałam go, żeby zrobił to jeszcze raz. Lisa nie tańczyła za dobrze, co wynikało z jej ogólnego strachu przed aktywnością fizyczną, stała więc koło fortepianu nadąsana i znudzona. Doktor Finegold odśpiewał *Mona Lise*, co mnie wydało się komiczne, a Lisa zupełnie go zignorowała. Reasumując, mieliśmy pyszną zabawę.

Nawet nie słyszeliśmy, jak weszła Nancy, ale nagle się pojawiła i doktor Finegold przestał grać. Stałam cała rozpromieniona, dysząc ciężko i z trudem łapiąc oddech. Oto właśnie wykonałam cztery piruety i miałam na sobie najpiękniejszą na świecie sukienkę. Jeśli kiedykolwiek mogą chcieć mnie adoptować, to teraz.

Nancy Finegold bez słowa stała w drzwiach.

— Dziewczynki, chyba powinnyście się szykować — powiedziała w końcu.

— Jesteśmy gotowe, mamusiu — głos Lisy był dziwnie cichy. Nancy zwróciła się do mnie. — Czy idziesz w tym stroju? Skinęłam głową. Czy to było pytanie podchwytliwe? Odwróciwszy się do mnie tyłem, zapytała Lisę:

— Nie masz czegoś, co mogłabyś jej pożyczyć? Poczułam, że przenika mnie chłód; jak wtedy, gdy ktoś mówi o nas, jakbyśmy byli krzesłem.

- Nan! - przerwał doktor Finegold. Obrzuciła go zbrzydzonym spojrzeniem.

— Nie urządź scen, Mel. — Nachylając się nade mną, żeby dokładniej przyjrzeć się mojej sukience, uśmiechnęła się słodko. — Ta sukienka jest dobra, Louise, tylko Lisa ma taką, która będzie lepsza.

— Mamo! — malujące się na twarzy Lisy przerażenie miało oczywistą przyczynę: nigdy przedtem nie wymagano od niej dzielenia się czymkolwiek.

Nancy Finegold była geniuszem uwięzionym w świecie głupców. Westchnęła zniecierpliwiona, przewracając oczami, co czyniło wyraz jej twarzy dorosłym odpowiednikiem ulubionej miny Lisy.

- No dobrze już. W takim razie może zapinany sweterek? Doktor Finegold wyszedł, a Lisa wbiła smutny wzrok w podłogę.

W płaszczu z norek i wysokich szpilkach Nancy wydawała się zbyt szczupłą, by móc długo utrzymać się w pionie. Wodziła po pokoju dużymi brązowymi oczyma w poszukiwaniu jakiegokolwiek znaku przychylności lub słabości, po czym, nie znajdując go, otworzyła usta, żeby się odezwać, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Zamknęła usta w sposób, który przywodził na myśl kukłę brzuchomówcy; przez jedną straszną chwilę bałam się, że się roześmieję. Jej wspaniałe dłonie, zaciśnięte w pełnym frustracji geście, nagle opadły bezwładnie wzdłuż ciała, a złote bransolety zadźwięczały, uderzając o siebie, jakby ktoś nagle wypuścił z rąk trzymane dotąd sznurki.

Nie mogłam dłużej tego wytrzymać.

- Pójdę w sweterku - zaofiarowałam się.

Wgapiła się we mnie przez chwilę, po czym uśmiechnęła się zwycięsko. Popchnęła Lisę, mówiąc:

— No już, biegnij na górę i przynieś mi jeden ze swoich niebieskich sweterków zapinanych na guziki.

Lisa ruszyła z wielkim pośpiechem jednego z moich ogromnych ślimaków.

Teraz zostałyśmy tylko we dwie. Wpatrywałam się w Nancy, ale ona na mnie nie patrzyła. Zamiast tego, przyklęknawszy, podciągnęła mi podkolanówki, zwijając brzeżki idealnie równo. Czułam zapach jej perfum i lakieru do włosów, a także piżmową, jakby aluminiową woń jej futra, a ona przyglądała mi włosy. Chciałam, żeby mnie zawsze dotykała, chciałam podbiec i objąć ją ramionami, przytulić głowę do jej ramienia i powiedzieć jej, jak bardzo ją kocham. A teraz, kiedy nareszcie znalazłam się w samym centrum jej uwagi, nie byłam w stanie się poruszyć.

Niektóre rzeczy są do oglądania, nie do dotykania. Nancy Finegold była jedną z nich.

Poszliśmy na kolację i miałam na sobie zapinany sweterek.

Mój ojciec przyjechał po mnie starym brązowym wozem i kiedy wskoczyłam na przednie siedzenie, poczułam się wolna i bardzo, bardzo stara.

— Jak było, Rodzyneczku? - zapytał. — Podobała im się twoja sukienka?

— Myślę, że nie zrozumieli, tatusiu. Roześmiał się.

— A co tu jest do rozumienia?

— Wszystko — odrzekłam. Absolutnie wszystko.

Estetyka ciąży

Okres, w którym kobieta spodziewa się dziecka, nie zawsze jest, trzeba przyznać, najbardziej sprzyjający elegancji. Cera traci gładkość, talia się poszerza, a sylwetka staje się pod koniec trochę niezgrabna. Wszystko to sprawia, że nie patrzy się wtedy na swoje odbicie w lustrze z przyjemnością. Skoro jednak prawie każda z nas musi kiedyś przejść przez ten okres, warto podejść do sytuacji z pogodnym nastawieniem i starać się ją wykorzystać jak najlepiej.

Dobrym rozwiązaniem jest kupienie niewielu ciążowych rzeczy i noszenie ich do znudzenia. W ten sposób potem bez żalu się ich pozbędziesz. Przede wszystkim nie zwiężaj ich, kiedy już odzyskasz swą zwykłą figurę. Ubrania noszone podczas tych długich miesięcy będą napawać cię obrzydzeniem przez resztę życia.

Mój mąż i ja właśnie mamy gości, zaprzyjaźnioną, od dawna niewidzianą parę. Nie widzieliśmy się długo, bo mają dzie-

ci, córki bliźniaczki. Oboje z mężem nie najlepiej radzimy sobie z dziećmi. Bez względu na to, jak bardzo staramy się to ukryć, widać, że jesteśmy przerażeni. Ja wpatruję się w nie wzrokiem kogoś, kto właśnie traci przytomność, a on cały czas trzyma się na baczności, wymachując ścierką, jakby gotował się do walki z toksycznymi odpadami. Goście bardzo szybko zaczynają czuć się, jakby skalali sterylne sanktuarium naszego salonu, po zaledwie trzech kwadransach spędzonych w naszym towarzystwie dochodzą więc do wniosku, że dziewczynki są śpiące i trzeba je zabrać do domu. Wszyscy oddychają z ulgą, nawet dzieci, które mają dopiero po dziewięć miesięcy. Kiedy rodzice pakują je do samochodu, twarzyczki wyraźnie im się rozjaśniają.

Wszyscy nasi znajomi mają teraz dzieci; my jesteśmy te czarne owce. Przestali się już dopytywać, przestali z uśmiechem mówić: „Ale na pewno kiedyś będziecie chcieli mieć rodzinę”. Stało się już oczywiste, że tylko Boska interwencja mogłaby z nas uczynić rodziców. Machamy gościom na pożegnanie, po czym wracamy do naszego jałowego gniazda — z salonem bez jednego pyłku kurzu i z łóżkiem rozległym jak Kansas.

— Dzięki Bogu, że już po wszystkim — mówi mój mąż, schylając się po coś leżącego na podłodze. To pojedyncza bladoniebieska dziecinną skarpetka, jeszcze ciepła, pachnąca dzieckiem. Podaje mi ją. Nie mam pojęcia, co z nią zrobić ani gdzie położyć, wyrzucam ją więc do śmieci.

— Tak — zgadzam się — dzięki Bogu.

Pierwszy raz byłam w ciąży, mając szesnaście lat. Wtedy nie było jeszcze testów ciążowych, musiałam więc iść do lekarza, żeby powiedział mi to, co i tak już wiedziałam. Nie trzeba mieć za sobą doświadczenia ciąży, żeby zorientować się, że dzieje się coś osobliwego. Zaczęłam wymiotować rano i w ciągu dnia, a ponadto pojawiły się dziwne wydzieliny, jakich nigdy wcześniej nie miewałam. Wszystko pachniało inaczej,

wszystko było niesmaczne i przestałam żywić się pizzą. Pierwszy raz w życiu byłam zmuszona zwracać uwagę na własne ciało. Coś mną zawładnęło, jak w *Inwazji łowców ciał*. I nie puszczało.

Nie mogłam pójść do naszego rodzinnego lekarza — do człowieka, który mnie szczepił na ospę i który mnie ustawiał przy ściennej miarce z uśmiechniętymi zwierzątkami, żeby sprawdzić, ile urosłam. Coś mi dolegało, ale musiałam to ukryć. Przywykłam już do ukrywania wszystkiego, co dla mnie najważniejsze.

Przyzwyczałam się ukrywać to, że po każdym posiłku zwracam całe jedzenie w gościnnej łazience na piętrze, wkładając sobie palce do gardła. Przyzwyczałam się ukrywać łykane co rano małe czarne tabletki amfy kupione od Sary Blatz, grubej, rudowłosej dziewczyny z drużyny hokeja na trawie, której lekarz przepisał je jako środek odchudzający. Przyzwyczałam się także ukrywać przed rodzicami, gdzie wychodzę wieczorem, co robię, a zwłaszcza z kim.

Moja koleżanka Mary wzięła mnie do swojej lekarki, która przyjmowała w innej części miasta. Też miała na ścianie wykres wzrostu, ale że nigdy wcześniej mnie nie mierzyła, nie przeszkadzało mi to.

Mary miała stracha; nie była przyzwyczajona do ukrywania czegokolwiek, a może była przyzwyczajona do ukrywania tylko całkiem zwykłych rzeczy, takich jak to, że poszła na całość ze swoim chłopakiem, z którym chodziła od półtora roku, albo że na imprezie u znajomych w zeszłą sobotę upiła się i musiała zostać na noc.

Ja nie miałam chłopaka; zaszłam w ciążę z facetem, który nigdy więcej się nie odezwał, a pijana byłam co sobotę.

Po szkole Mary zawiozła mnie do lekarki wykonanym na zamówienie srebrnym cadillakiem matki, takim z klaksonem na melodię z *Ojca chrzestnego* (jej ojciec handlował wyrobami mięsnymi). Raz po raz przyciskała klakson i śmiałyśmy się -

bardziej z grzeczności niż z jakiegokolwiek innego powodu. Najwyraźniej robiła, co mogła, żeby mnie rozweselić, i byłam jej za to wdzięczna.

Lekarka pobrała mi krew i badała mnie siedzącą w papierowym chałaciku na pomarszczonym kawałku papieru, którym przykryta była leżanka. Gabinet mieścił się na siódmym piętrze nowoczesnego bloku, z widokiem na sznury samochodów ciągnące w kierunku pawilonu handlowego na dole. Przyglądałam się uważnie blademu błękitowi nieba, podczas gdy ona badała mi piersi, smutnie kręcąc głową.

— Wygląda mi to na ciążę — oznajmiła. — Wyniki testu będą jutro, ale mogę to powiedzieć już teraz: jesteś w ciąży.

Wiem, pomyślałam, wiem.

Mary chciała, żebym powiedziała o tym jej mamie, bo ona tak właśnie by zrobiła. Lecz ja wiedziałam, że resztę muszę zrobić bez niczyjej pomocy. Umówiłam się na zabieg, ale trzeba było czekać jeszcze cały miesiąc.

Tymczasem powiedziałam rodzicom, że mam wrzód żołądka; uwierzyli mi na słowo. Co dzień nad ranem, około wpół do piątej, wymiotowałam. I co dzień nad ranem mój ojciec wstawał kwadrans po czwartej i stawiał mi przy łóżku miseczkę owsianki dla uspokojenia żołądka. Potem wracał na górę, stąpając po omacku ciemnymi schodami, w swoim czerwonym szlafroku, żeby przespać się jeszcze półtorej godziny. Nigdy nie pytał, czy tego chcę; po prostu to robił. Jak wiele innych rzeczy u nas w domu, nawet gesty uprzejmości wykonywano w milczeniu. Zastanawiałam się, czy gdyby znał prawdę, robiłby to samo. Myślę, że tak.

Cera zrobiła mi się brzydka, a w ustach zagnieździł się smak metalu. W szkolnej szafce przechowywałam wielkie pudełko krakersów, które pochłaniałam w ogromnych ilościach. Mój jadłospis ograniczył się do krakersów, ziemniaczanego puree i owsianki. Od wszystkiego innego było mi niedobrze. Bez względu na to ile jadłam, zawsze wymiotowałam. I bez

względu na to jak często wymiotowałam, byłam ciągle głodna. Hardziej przerażało mnie, że mogę przytyć, niż to, że jestem w ciąży.

Zabieg kosztował dwieście trzydzieści dolarów, z czego dwieście dali mi rodzice, kiedy ich przekonałam, że potrzebuję *nowego płaszcza*, na zimę. Resztę zapłaciłam z kieszonkowego.

W końcu nadszedł ten dzień, marcowe sobotnie przedpołudnie. Kiedy wychodziłam z domu, świat był zamglony i padało.

Rodzicom powiedziałam, że jadę na zakupy z Anne, moją koleżanką, po czym pojechałam do kliniki i zarejestrowałam się. Było wcześnie, około dziewiątej. Poczekalnia pełna była poduszek w kwiatki, miłych deseni i jasnych, pastelowych kolorów. Ludzie czekali grupkami — para młodych ludzi, trzymając się ze ręce, coś do siebie szeptała; jakąś dziewczynę otaczała rodzina. Niewątpliwie dołożono wszelkich starań, aby to miejsce wyglądało przyjaźnie i normalnie. Lecz i tak wszyscy nawzajem unikali swego wzroku.

Zanim się to zrobiło, należało się spotkać z psychologiem. Wzywano nas pojedynczo i tak, żeby nie trzeba było mijać żadnej z pozostałych kobiet czekających na korytarzu. Wprowadzono mnie do niewielkiego gabinetu, gdzie czekała na mnie młoda kobieta z brązowymi włosami. Nie pamiętam ani jej nazwiska, ani sposobu, w jaki się przedstawiła, ale pamiętam jej wymuszoną, niemal urzędową uprzejmość. Przypominam sobie też, jak spytała, czy jestem sama, a ja odpowiedziałam, że tak.

W ustach mi zaschło, a wargi miałam lepkie. Gabinet był jak ubikacja, bez okien. Był tam stół i dwa krzesła, a na ścianie diagram kobiecej anatomii. Nawet tutaj zadbali o wrażenie zdrowej normalności, malując ściany na różowo. Było to niczym aborcyjny salon piękności. W pomieszczeniu panowała absolutna cisza, żadnych odgłosów ruchu ulicznego, żadnych rozmów za ścianą. Tylko ta kobieta i ja.

— Jestem tu po to, żeby ci powiedzieć o zabiegu i czego należy się spodziewać — zaczęła.

Skinęłam głową.

Wyjęła czerwony plastikowy model przeciętej na pół macicy.

— To jest model macicy — powiedziała.

Znowu skinęłam głową. Zastanawiałam się, skąd go ma, jaka firma produkuje takie rzeczy i co jeszcze mają w katalogu.

Zaczęła coś mówić, wskazując na model. Słyszałam jej głos, widziałam ruchy rąk, ale mój umysł jakby zdrętwiał. Wpatrując się w plastikową macicę, myślałam o tym, jaka jest czerwona i że prawdziwa chyba nie może być aż taka czerwona.

— Przepraszam - przerwałam po chwili — niedobrze mi. Muszę wymiotować.

— Oczywiście — powiedziała.

Wyszłam do kabiny obok i wymiotowałam. Wyglądało na to, że wszędzie są ubikacje - czyste małe pomieszczenia pełne wymiotujących kobiet. Kiedy wróciłam, ciągnęła dalej od miejsca, gdzie przerwała. To, że ludzie wymiotują w trakcie jej prezentacji, najwyraźniej nie było dla niej nowością.

— Podczas zabiegu usuniemy błonę wyścielającą macicę, wywołując tym samym coś w rodzaju sztucznego poronienia. Będziesz miała wszelkie objawy poronienia: obfite krwawienie, skurcze i zachwianie równowagi hormonalnej. Z tego powodu będziesz się czuła trochę słabsza niż zwykle. Ważne jest, żebyś potem odpoczęła i przez kilka dni na siebie uważała. Czy ktoś po ciebie przyjedzie?

Spojrzałam na nią, jakby nie rozumiejąc.

— Czy przyjechałaś sama? - powtórzyła.

W pokoju było zupełnie cicho. Kobieta była bez makijażu. Próbowałam wyobrazić ją sobie w barze rozmawiającą z nieznajomym długo po zamknięciu lokalu. Nie potrafiłam.

Czekała. Przywykła do czekania.

Otwarłam usta, żeby się odezwać; na języku miałam smak żółtych wymiocin. Zamknęłam usta i spróbowałam przełknąć.

— Podać ci wody?

Pokręciłam głową; od tego znowu bym wymiotowała.

— Nie musisz tego robić — powiedziała wreszcie. Patrzyła na mnie z tą swoją gładką, świeżą twarzą, twarzą matki z reklamy aspiryny dla dzieci.

Rozpłakałam się. Do tego też przywykła.

Nienawidziłam się, bo wiedziałam, że będziemy przechodzić przez to wszystko. Podała mi chusteczki. Za dwadzieścia minut będzie podawać chusteczki komuś następnemu, na przykład tej dziewczynie, która przyszła z chłopakiem.

- Może chciałabyś to jeszcze przemyśleć? — zaproponowała. Wolność wyboru.

— Nie — skończyłam płakać - zdecydowałam się. Wszystko było dokładnie tak, jak powiedziała. Godzinę później leżałam na szpitalnym fotelu, sącząc ulepkowatą herbatę i pogryzając herbatniki.

Cztery godziny później kupowałam z moją koleżanką Anne nowy płaszcz zimowy, posługując się kartą kredytową, którą ukradłam rodzicom.

- Twój wrzód jakoś ci mniej dokucza - zauważył mój ojciec po tygodniu.

- Tak. Chyba mi przeszło.

I przeszło. Do następnego razu.

W garderobie u moich rodziców wisi płaszcz. Granatowy jednorzędowy zimowy płaszcz, klasycznie skrojony, w idealnym stanie. Wisi tam od lat, ale nikt go nie zauważył. Nigdy nie był noszony.

Futra

Gdyby kobiety byty uczciwe wobec samych siebie, przyznałyby, że ich fascynacja futrami nie jest spowodowana wyłącznie ciepłem, które one dają. W końcu futro nigdy nie jest tylko futrem - bardziej niż jakikolwiek inny element garderoby jest także symbolem, przy czym wśród innych futer futro z norek jest symbolem najłatwiej rozpoznawalnym. Jest nie tylko oznakę prestiżu i luksusu, ale też sukcesu zarówno mężczyzny, który je kupił, jak i kobiety, która je nosi. Wiele jest prawdy w stwierdzeniu, że futro z norek to damska Legia Honorowa.

Futra są kamieniami milowymi w życiu kobiety i z zasady kupuje się je po długim namyśle i wielu deliberacjach. Dokonuj więc wyboru rozważnie. W końcu mężczyźni dziś przychodzą, jutro odchodzą, a dobre jutro jest na całe życie.

Jest taka historyjka o pewnej diwie operowej, która ćwiczyła Toskę przed występem w Metropolitan Opera. Po skończo-

nej próbie posyła garderobianą po swoje rzeczy i biedna kobieta wraca z czarnym wełnianym płaszczem.

Gwiazda pełna obrzydzenia potrząsa głową i przeszywa nieszczęsną lodowatym spojrzeniem. — Złotko, przecież wiesz, że nie noszę szmacianych płaszczy?

Diwy i futra z norek mają wiele wspólnego. Żeby zrobić futro z norek, trzeba najpierw coś zabić. Ich piękno jest straszliwe. Tak samo jest z diwami. I chociaż nie trzeba być diwą, żeby nosić norki, to znacznie pomaga.

Pierwsze futro z norek dostałam, gdy miałam dziewiętnaście lat. Dał mi je ktoś ze znajomych mojej mamy, kogo matka niedawno zmarła na alzheimera. Była drobnej budowy i nikt z rodziny nie mógł nosić futra po niej. Ani nie chciał.

To było długie futro, lśniące i ciężkie, a w czasie deszczu cuchnęło piżmem. Był to najbardziej niepoprawny politycznie ciuch, jaki tylko można było mieć. A jednak miało w sobie autorytet i silną, groźną wspaniałość. Ludzie reagowali nań gwałtownie: wściekłością, obrazą, zazdrością albo pożądaniem. W tym futrze był niemal biblijny symbolizm. Nic nie skrywało, nikogo nie starało się zadowolić. Nienawidzone, dawało się nienawidzić. Uwielbiane, przyjmowało to z obojętnością. To, co czyniło je odrażającym, było tym samym, co dodawało mu splendoru. I leżało na mnie jak ulał.

Z takim futrem jest ten problem, że może z łatwością zawładnąć twoim życiem, zdominować całą osobowość. Jeśli nie wiesz, kim jesteś, możesz łatwo stać się futrem z norek.

Miałam wtedy chłopaka. W szkole średniej kradł samochody, a teraz był dwa lata wyżej ode mnie w szkole aktorskiej. Nosił dżinsową kurtkę, która pamiętała policyjne obławy i na której znać było jeszcze ślady krwi — pamiątki z aresztu. Była bardzo znoszona, gdzieś kawałki materiału trzymały się na pojedynczych nitkach.

Płowe włosy i zielone oczy sprawiały, że wyglądaliśmy jak rodzeństwo. Żadne z nas nie wiedziało, czym jesteśmy ani

czym chcielibyśmy być, zostaliśmy więc aktorami. Wieczory spędzaliśmy w całodobowym lokalu o nazwie Chiefs — on w swojej wyświechtanej kurtce, ja w moim futrze z norek — paląc papierosa, zapijając piwem jajka i kłócąc się o pentametr jambiczny albo o to, czy Pinter tak naprawdę był geniuszem czy zwykłym oszustem. Mieliliśmy zostać wielkimi aktorami, być sławni i bogaci. Wymyślaliśmy o sobie różne historie, wkładaliśmy kostiumy, odgrywaliśmy sceny. I sami byliśmy swoimi ulubionymi bohaterami.

Tylko że ja zawsze byłam futrem z norek, a on dżinsową kurtką. Spotykaliśmy się i rozchodzili, mając je na sobie, i mimo całego picia, zaprzeczenia się i bójk, nie mogliśmy się przemóc, żeby je zdjąć.

Romea w spektaklu zaliczeniowym na koniec semestru grał z podbitym okiem. Oberwał od faceta, który nagabywał mnie w całonocnym klubie podczas przerwy świątecznej. Była trzecia rano. Piliśmy od szóstej. Ten facet powiedział coś, czego nie dosłyszałam, i nagle znaleźliśmy się na zewnątrz na mrozie.

Turlali się w czarnym zmarzniętym śniegu na środku jezdni, kopiąc się i okładając pięściami, a krew tworzyła blad różowe kałuże między plackami ciemnego żwiru. Wokół zebrał się tłumek gapiów i podjudzał ich, krzycząc i gwizdząc — sami tacy, co mają zwyczaj włóczyć się o tej porze.

Nie cierpiałam bycia w tle. Owinąwszy się ciasno futrem, odeszłam na swoich wysokich obcasach do samochodu, potykając się o zasy.

Teraz następowało zbliżenie: tylko norki i ja, gdy zobaczyłam go, jak biegnie w moją stronę, utykając. Krew lała mu się z nosa i miał poharatane palce. Facet miał sygnet i rozciął mu policzek.

— Ty pizdo! — wrzeszczał na cały parking — ty cuchnąca pieprzona pizdo!

A więc zaczynamy od Mameta.

DŹINSOWA KURTKA: To ja, kurwa, bronię twojego honoru, a ty sobie, kurwa, idziesz!

FUTRO Z NOREK: Wsiadaj.

DŹINSOWA KURTKA: Pieprz się!

FUTRO Z NOREK: Wsiadaj do pieprzonego auta!

DŹINSOWA KURTKA: Powiedziałem ci, pieprz się! A może mnie, kurwa, nie słyszałaś. Może byłaś za bardzo zajęta, sobie, kurwa, idąc.

FUTRO Z NOREK: Nie prosiłam cię, żebyś się z nim bił, nie?

DŹINSOWA KURTKA: Żaden facet nie przepuści czegoś takiego.

FUTRO Z NOREK: Ale to chodziło o mnie!

DŹINSOWA KURTKA: Nikt czegoś takiego, kurwa, nie przepuści, jasne? Jesteś moją dziewczyną. Facet mówi coś do ciebie, to jakby powiedział to do mnie. Zrozumiano?

FUTRO Z NOREK: Pieprz się!

DŹINSOWA KURTKA: Ty się pieprz!

(Pinterowska pauza)...

DŹINSOWA KURTKA: Poszłaś sobie.

FUTRO Z NOREK: Nie mogłam patrzeć, jak to robisz, kochanie. (Łzy napływające do oczu; łzy alkoholowe; łzy o trzeciej nad ranem). Po prostu nie mogłam patrzeć, jak ci robią coś złego.

(Chwyta mnie za ramiona; następuje nagły zwrot w stronę Tennessee Williamsa).

DŹINSOWA KURTKA: Musisz we mnie wierzyć, Louise, proszę cię. (Skrwawiona głowa na norkach). Potrzebuję, żebyś we mnie wierzyła, (*sotto voce*) Potrzebuję cię, kochanie. Potrzebuję.

(Kurtyna).

Tylko że kurtyna nigdy nie opadła.

Zerwaliśmy tuż przed moim wyjazdem do Anglii. Byłam wyczerpana. Odkryłam, że nie jestem diwą, że nie mam wytrzymałości potrzebnej w operze. A ilość sposobów, na które można powiedzieć komuś: „Pieprz się”, zanim naprawdę zacznie się tak myśleć, jest ograniczona.

Wyobrażałam sobie, że namiętność, dramat i miłość to jedno i to samo — że każde jest dowodem istnienia pozostałych. Tymczasem było odwrotnie: dramat i namiętność jedynie w bardzo przemyślny sposób skrywają brak miłości.

W końcu oddałam futro koleżance z Nowego Jorku. To było ciężkie futro i ulżyło mi, kiedy się go pozbyłam. Ale wkrótce potem zaczęłam czuć, że czegoś mi brak.

Myślałam, że charakter można zmieniać równie łatwo jak futro.
Ale od tamtej pory poszukuję odpowiedniego.

Galeria przyjaciółek

Nie należy nigdy wybierać się na zakupy ubraniowe z przyjaciółką. Będąc często także mimowolną rywalką, nieświadomie będzie się krzywić na wszystko, w czym jest ci najbardziej do twarzy. Nawet jeśli jest najlojalniejsza pod słońcem, darzy cię uwielbieniem i pragnie jedynie, żebyś wyglądała jak najpiękniej, nadał trwam przy swoim: rób zakupy w pojedynkę, a o poradę zwracaj się jedynie do specjalistów. Nawet jeśli nie są bezinteresowni, przynajmniej nie są zaangażowani emocjonalnie.

jest kilka typów przyjaciółek, wobec których żywię szczególne obawy:

1. Przyjaciółka, która chce być taka jak ty, od pierwszego wejrzenia zakochuje się w tej samej sukience, po czym z góry tłumaczy się, mówiąc: „Mam nadzieję, moja kochana, że nie masz nic przeciwko temu, poza tym rzadko chodzimy gdzieś razem, a w razie czego zawsze możemy się przedtem zdzwonić, żeby się upewnić, że nie włożymy ich obie” etc, etc... Jesteś wściekła, ale

nie dajesz tego po sobie poznać i następnego dnia zwracasz sukienkę do sklepu.

2. Przyjaciółka dysponująca skromniejszym niż ty budżetem, która nie może nawet marzyć o kupnie podobnych ubrań (tak naprawdę zaś marzy tylko o tym). Być może uważasz, że pójście z toba na zakupy to dla niej prawdziwa frajda. Ja nazywam to psychicznym okrucieństwem i zawsze czuję się bardzo zażenowana, widząc, jak niektóre kobiety każę swojej najbliższej przyjaciółce odgrywać rolę drugich skrzypiec. Poza tym jej obecność będzie dla ciebie zupełnie nieprzydatna - taka przyjaciółka zawsze aprobuje wszelkie twoje wybory, z tym większym entuzjazmem, im dany strój jest mniej odpowiedni.

3. Wreszcie przyjaciółka, która żyje dla ubrań i u której zasięgasz rady. Taka rozpuszczona i pewna siebie kobieta skupi na sobie całą uwagę sprzedawców, którzy z łatwością wyczują obiecującą klientkę. Usunięta w cień i zapomniana będziesz się zastanawiać, co najlepiej wygląda nie na tobie, lecz na twojej przyjaciółce.

Morał: Zawsze rób zakupy sama. Kobiety, które kupują w towarzystwie przyjaciółek, może i są lubiane, ale eleganckie NIE są.

Jadę do Notting Hill odwiedzić Nicki Sands, koleżankę, z którą razem piszemy. Zaczęłyśmy pracować nad scenariuszem jakiś rok temu, chociaż żadna z nas właściwie nie jest pisarką, co być może właśnie powoduje, że praca nie bardzo się posuwa. Spotykamy się rytualnie dwa razy w tygodniu, penetrując ten zawodowy ślepy zaułek. Pisanie stanowi więc przydatne alibi, odsuwając niewygodne pytania, jak na przykład: „Czym się zajmujesz?”.

W latach siedemdziesiątych i wczesnych osiemdziesiątych Nicki była modelką, a teraz mieszka z producentem płyt w ogromnej rezydencji w Notting Hill. Oboje jawnie sobą gar-

dzą. Żadne z nich nie musi pracować, zapelniają więc sobie czas, snując się z pokoju do pokoju i szukając coraz to nowych sposobów na wzajemne obrzydzanie sobie życia.

Kiedy o 10.30 przyjeżdżam na miejsce, zastaję Nicki i Dana kłębiących się w kuchni w stylu Santa Fe. Mają ekspres do cappuccino, którym żadne z nich nie umie się posługiwać. Właśnie stoją naprzeciw grilla i kominka z fałszywej palonej cegły, z pustymi filiżankami w ręku.

Co chwila jedno z nich ponawia próbę, a drugie w tym czasie komentuje.

- Dobrze, wsyp kawę i przekręć pokrętło... nie tak! Nie, źle!
- Zamknij się!
- Rany boskie, znowu źle to robisz! -Właśnie że dobrze!
- Para, ma lecieć para!
- Zamknij się! O co ci chodzi?
- O co mi chodzi? A o to, że jestem na nogach od szóstej i jeszcze nie piłem pieprzonej kawy!

Czytanie instrukcji uchodzi tu za oszukiwanie.

Po chwili Dan poddaje się i zalewa sobie neskę. Kosztujące trzysta funtów osiągnięcie włoskiej myśli technicznej znowu górą! Obie z Nicki postanawiamy iść na kawę do miasta i obgadać rozwój akcji. Ale zamiast tego siadamy w sklepiku -kawiarence ze zdrową żywnością „U Toma” i deliberujemy nad szczegółami rozpadającego się związku Nicki.

- On uważa, że młodo wygląda — syczy, wykonując w moją stronę pełen dramatyzmu przechył przez stół, jakby sprawa była niezwykle poufna. — To znaczy któregoś dnia powiedział mi: „Nie sądzę, żebym wyglądał na więcej niż trzydzieści pięć”. O mało co się nie udławiłam cappuccino. — Musieli być w kawiarni.

Mówi do mnie, ale nie spuszcza oczu z drzwi wejściowych, na wypadek gdyby pokazał się w nich ktoś szczuplejszy, ładniejszy i lepiej ubrany. A to nie zdarza się prawie nigdy. Właś-

nie zaczynam się jej] zwierzać, że może my z moim mężem też mamy jakiś poważny problem, gdy nagle wydaje z siebie pisk, gwałtownie chwyta mnie za ramię i ciągnie przez stół.

- O rany, Louise! — aż się zachłystuje. - To ta torebka, o której ci mówiłam! O, tam!

Potakuję z uśmiechem.

Przywykłam już do Nicki i do tego, że mnie ignoruje.

Nicki należy do kobiet, które mają tylko jedną przyjaciółkę naraz. Zamecza wszystkich żądaniem ciągłej uwagi, a jednocześnie jest zbyt zaborcza, żeby znieść towarzystwo więcej niż jednej dodatkowej kobiety. Znam to. Jednak podtrzymywanie przyjaźni nigdy nie było moją mocną stroną. Bo chociaż jestem towarzyska — lubię od czasu do czasu spędzić godzinkę na pogaduszkach w dowolnie liczonym gronie — to nie jestem zbyt dobra w szczerych wyznaniach i w wymienianiu intymnych zwierzeń, co stanowi trzon trwałych kobiecych przyjaźni. Bardzo pragnęłabym być otwarta i bezpośrednia, gdyby tylko moje życie nie było takie pogmatwane. Ale teraz nie czas na to. W końcu gdybym zaczęła się komuś zwierzać ze swoich najskrytszych problemów, musiałabym coś z nimi zrobić. A na to nie jestem jeszcze gotowa. Kiedyś, jak się wezmę w garść, może będę miała prawdziwą przyjaciółkę od serca.

Tymczasem Nicki nie oczekuje ode mnie żadnych głębokich zwierzeń osobistych, tylko tego, że od czasu do czasu do niej wpadnę i trochę się za nią powłóczę. A włóczenie się zupełnie mi odpowiada. Jest łatwe i niewymagające — nie poruszamy tematów bardziej doniosłych niż nowe szminki czy (choć ja nigdy nie mogłabym sobie na to pozwolić) wyższość metody Pilatesa nad hatha-jogą. Te cotygodniowe wyprawy mają swój urok. Lubię pławić się w świecie Nicki — pełnym przesytu i chaotycznego splendoru, domów za miliony funtów, kremów za sto i kawy po cztery funty za filiżankę — znajdując jednocześnie perwersyjne ukojenie w świadomości, że mimo tej całej góry pieniędzy Nicki i Dan są jednak strasznie nie-

szczęśliwi. Kiedy nasze własne życie pozostaje zastanawiającą, niedającą się rozwiązać zagadką, niewiele jest rzeczy bardziej pocieszających nad bliską obecność innych znękanych dusz.

Pochłonawszy niesamowite ilości kofeiny, wracamy do Nicki i ciskamy torebki na podłogę salonu urządzonego w stylu marokańskim. Prawie wszystko, co ginie Nicki i Danowi, znajduje się w końcu zakamuflowane wśród piętrzącej się lam góry kilimkowych poduszek. Nawet zasłony uszyte są ze starych perskich dywanów, co sprawia, że siedząc w salonie, ma się wrażenie, że zostało się pochłoniętym przez olbrzymią dywanową torbę.

Potem wspinamy się do gabinetu Nicki, utrzymanego dla odmiany w stylu wiktoriańskim. Ona siada do komputera, który wysuwa się z szafeczki o wyglądzie staromodnej toaletki, a ja na kozetce. Kozetka jest oryginalna i boleśnie niewygodna najwyraźniej zaprojektowana tak, żeby wiktoriańska dama nic zmrużyła oka.

- No, to do roboty — Nicki włącza komputer, otwiera nasz plik i ustawia kursor w miejscu, gdzie poprzednio skończyłyśmy.

- Jest, strona piętnasta — obwieszcza triumfalnie. Niezależnie od tego, ile zrobimy ani jak często się spotykamy, jesteśmy zawsze na stronie piętnastej.

- Więc na czym to stanęłyśmy? — staram się zdobyć na entuzjazm.

- Jan właśnie miała wyjawic Aaronowi, dlaczego się wyprowadziła.

- A, tak. Dobra. No, a co ustaliłyśmy?

Nicki przegląda poczynione przy kawie notatki.

- Wiesz co, chyba nie doszliśmy do żadnej jednoznacznej konkluzji w tej sprawie.

- Miałyśmy jakieś koncepcje?

Nicki ponownie przerzuca notatki. — Nie bardzo widzę tu cokolwiek, co można by uznać za jakąś skryształizowaną koncepcję.

- Aha. To nic — sadowię się wygodniej na zapadającej się kozetce. — No dobra. Zróbmy burzę mózgów.

W pokoju zalega cisza. Gdzieś z oddali dochodzi szczekanie psa. Nicki obgryza skórę przy paznokciu.

Nagle, niby głos Boga, zalewają nas dochodzące z góry dźwięki Dionne Warwick śpiewającej *Walk on by*. Nicki zrywa się na równe nogi.

- O Boże, to nie do wiary, co on wyprawia! Gnojek!

- Co wyprawia ?

- Puszczą Dionne Warwick! — wykrzykuje Nicki. Z impetem otwiera drzwi i jej krzyk niesie się po schodach. — Ja dobrze wiem, co robisz, ty gnojku! Wiem, co robisz!

- Na litość boską, Nicki, a cóż on takiego robi? - kompletnie nie pojmuję, o co chodzi.

- Ćwiczy! — wykrzykuje Nicki, wywracając oczami. — Nie wiesz, co to znaczy? Gnojek zaraz będzie szalał na bieżni — chowa twarz we wspaniale wymanikiurowanych dłoniach. — Już zaczynam dostawać migreny. Czuję to tutaj — mówi, wskazując na górną część lewej skroni. — Nie mogę tak pracować. Po prostu nie potrafię. Wybaczysz? Muszę stąd wyjść.

Idziemy więc na zakupy.

Zakupy z Nicki wymagają krzepy. I cierpliwości. I wielkiego hartu ducha.

Wszystko jest w porządku, dopóki poprzestajemy na przesiadywaniu w kawiarniach i w domu, ale jak tylko wychodzimy na zakupy, prawdziwe zakupy ubraniowe, brutalnie ujawnia się dzieląca nas przepaść. To intymne ciepło i urok celebrowanych powitanek w jednej chwili wyparowują, i oto staję w pełnej świadomości różnicy statusu, dramatycznej i nie do przeskokowania.

Po pierwsze, Nicki jest wysoka, nieprawdopodobnie szczupła, ma długie nogi i kształtny biust. Zakupy z nią są całkiem jak, cóż... zakupy z modelką.

Po drugie, kupuje u Prądy, Loewego, Harveya Nicholasa i Jo Malone - czyli w sklepach pozostających poza zasięgiem

mojego skromnego budżetu. Przywykłam do tego, że wyglądam *a la* porucznik Columbo, snując się koło przymierzalni w moim trenczu z ciucholandu, podczas gdy ona paradytuje po sklepie w samych majtkach, zgarniając całe stosy ubrań we wszelkich możliwych kolorach i krojach. Sprzedawczynie ją uwielbiają. Na mnie patrzą jak na brudnego psa.

Od czasu do czasu Nicki namawia mnie, żebym też coś przymierzyła. W pamięci mam okropne chwile, kiedy stoję przed lustrem przymierzalni w niedopasowanej sukience, ze znoszonych tenisówek wyzierają nieogolone nogi, a po chwili z sąsiedniej kabiny wyłania się Nicki w identycznej kiece (tylko o numer mniejszej) i wygląda, no tak, właśnie jak modelka.

Najbardziej żal mi sprzedawczyń. Odwracają wzrok, uśmiechają się i kłamią. Minuty wydają się godzinami, kiedy starają się wcisnąć coś jednej z nas, nam obu, a wreszcie żadnej.

Marszcząc brwi i wydymając wargi, Nicki upewnia się, czy aby gumka nie zostawiła, śladów na ciele, gdy ja tymczasem wycofuję się tyłem do swojej kabiny, chcąc jak najszybciej ukryć się znowu pod trenczem i brązowym beretem. Potem pomagam jej nieść pakunki. Uśmiecha się i głaszcze mnie po głowie, a w aucie w drodze powrotnej wysłuchuję, jak to trudno jest znaleźć coś odpowiedniego, mając rozmiar **6** i prawie metr siedemdziesiąt pięć wzrostu.

Byłoby szybciej i mniej by bolało, gdyby mnie zastrzeliła.

Taki jest nasz dotychczasowy schemat, ale to się niedługo zmieni.

Dzięki Madame Dariaux, kiedy następnym razem będę widzieć się z Nicki, nie będę miała na sobie brązowego beretu ani trencza z ciucholandu. Byłam już na zakupach. Sama.

Przemyślałam nad tym jakiś czas. Zbroiłam się na to. Zazwyczaj nie pozwalam sobie nawet na oglądanie wystaw sklepowych. Mówię sobie, że skoro i tak mnie nie stać, to samo patrzenie jest męczarnią. Albo mówię sobie, że jestem za gruba; że pójdę na zakupy, kiedy zeszczupleję (jak będę miała

metr siedemdziesiąt pięć wzrostu i rozmiar 6). Lecz od kiedy włożyłam do pracy tę granatową sukienkę bez rękawów, Colin wciąż mnie prześladowuje, nazywając „lisicą”. A w sobotę stała się rzecz wprost niezwykła.

Ktoś mnie zauważył.

Mężczyzna.

Miałam akurat przerwę na lunch i umierałam z głodu. Nie byłam tak po prostu głodna — byłam głodna jak wilk. Poleciałam do Pret a Manger i kupiłam sałatkę z tuńczyka, a do tego ciastko czekoladowe. Potem w teatrze, przemknawszy przez pustą widownię, zaszyłam się w jednej ze starych, obitych aksamitem łóż i zabrałam się do jedzenia. Jedzenie to właściwie za ładnie powiedziane. Ja po prostu swój lunch pożerałam, pochrzając przy tym bezwstydnie, z twarzą przy samym pojemniczku, żeby móc pochłonąć jak najwięcej w jak najkrótszym czasie. Jadłam tak, jak to się zdarza dziewczynie wyłącznie, kiedy jest sama, najczęściej usadowiona przed telewizorem, ubrana w rozwleczoną, niezdejmowaną od rana piżamę. Tylko że ja nie byłam sama; ktoś mi się przyglądał.

Nie był to nikt znajomy. Miał na sobie dzinsy i sprany niebieski podkoszulek, a spod ciemnych, prawie czarnych włosów spoglądały poważne brązowe oczy.

Stał tak, z rękami w kieszeniach, z utkwionym we mnie wzrokiem. Kiedy go spostrzegłam, niemal się udławiłam.

— To dziwne miejsce na posiłek — odezwał się z uśmiechem.

Pomyślałam z pogardą, że to któryś z techników. Jeden z tych, co to malują scenerię, eksponując tyłki. Odpieprz się i spływasz.

— Jeśli pójdę na górę, sprzątną mi moje ciacho, a jestem wściekle głodna — rzuciłam oschle. Zabrałam się do pochłaniania tego, co pozostało z przerwanej uczyty, gdy tymczasem on dalej tam stał, coraz głębiej wciskając ręce w kieszenie i kiwając się to w przód, to w tył.

- Jest pani tutaj nowa? Nie wydaje mi się, żebym już panią widział — ciągnął uprzejmie.

- Nie jestem nowa. Pracuję w kasie — każde zdanie kończyłam tak, aby stanowiło koniec rozmowy, lecz on nie ruszał się z miejsca, nie zważając na moje milczenie i obojętność. Leniwie dłubałam w jedzeniu. Zbił mnie z pantałyku: poczułam się skrępowana i aż nadto świadoma, że jem sałatkę z tuńczyka łyżką.

Zapytał mnie jeszcze o parę rzeczy, o godziny otwarcia kasy i o to, co myślę o firmie, ale przez większość czasu po prostu się na mnie gapił. Nie mogłam wyczytać, o co mu chodzi, ale denerwowało mnie to i czułam się niezręcznie. W końcu wyrzuciłam resztkę sałatki i wycofałam się, przepraszając, że muszę już iść. Wróciwszy do kasy, opowiedziałam Colinowi historię swojego nieudanego lunchu.

- No, moja lisiczko, a czego się spodziewałaś? — roześmiał się, nalewając mi herbaty. — On cię lubi.

- Mnie? Nie pleć bzdur, Col.

- Obudź się, Louise. Podobasz się temu facetowi. A tak poza tym, on nie jest z jakiejś tam ekipy technicznej. To nasz nowy ważniak-reżyser, nazywa się Oliver Wendt. Niczego sobie, jak na mój gust.

- Podobam mu się? — powtórzyłam. Golin przygarnął mnie ramieniem.

- Tak, Louise. Podobasz mu się i lepiej się do tego przyzwyczaj.

Kiedy po południu wychodziłam z teatru, Oliver Wendt właśnie palił papierosa na stopniach głównego wejścia.

Ktoś, kogo nigdy wcześniej nie zauważyłam, nagle zdawał się być wszędzie.

- Dobranoc, Louise — zawołał za mną. Stanęłam i odwróciłam się.

- Pan wie, jak mam na imię.

— Wiem - powiedział, rozgniatając obcasem peta. — A ja jestem Oliver, więc teraz ty wiesz, jak ja mam na imię.

Patrzył mi prosto w oczy. Czułam, że serce wali mi tak, iż jego łomot odbija się echem w pozornie pustej puszczy czaszki. Odwróciłam się i uśmiechnęłam do siebie.

— Dobranoc, Oliver — zawołałam i gdy mój głos nikał w oddali, byłam pewna, że Oliver też się uśmiecha.

Szłam do domu najwolniej, jak umiałam, nie chcąc, żeby ustał pęd szalejącej we mnie adrenaliny. Tej nocy, leżąc w łóżku obok męża, wyjątkowo nie zapadłam od razu w odmęty snu.

W niedzielę wstałam wcześnie, na długo zanim mój mąż się ocknął, i wyruszyłam na Oxford Street. Wszedłszy do Top Shopu, krążyłam godzinami po jego przepastnym wnętrzu, zahipnotyzowana migającymi ekranami, pulsującą muzyką i ogromnym wyborem odzieży.

Wreszcie, po przymierzeniu takiej ilości rzeczy, która z powodzeniem mogła stanowić połowę całego towaru, zdecydowałam się na stalowoszare spodnie z szerokimi nogawkami i obcisły, zapinany, bladoróżowy sweterek. Potem, podochocona dokonany zakupem, przeszłam na drugą stronę ulicy do Jonesa i kupiłam sobie czarne kozaczki na małej szpilce. I tak oto w ciągu jednego popołudnia dokonało się coś, na co nigdy sobie nie pozwalałam. Brązowy beret i trencz z ciucholandy zniknęły, a ja wyłoniłam się w pełni mojej Top Shopowej glorii niczym motyl.

Jest poniedziałek, w południe mam się spotkać z Nicki „U Toma”. Odrobinę się spóźniam i zastaję Nicki żłopiącą kawę z łapczywością ćpunka. Kiedy podnosi wzrok, macham ręką na powitanie. Lecz zamiast odpowiedzieć, patrzy na mnie z niesmakiem. Coś jest nie tak.

— Przepraszam za spóźnienie — mówię, wieszając palto na oparciu wolnego krzesła. — Długo czekałaś?

Mierzy mnie od stóp do głów, rejestrując każdy szczegół mojej osoby. — Wyglądasz jakoś inaczej — podsumowuje.

- Owszem — uśmiecham się ucieszona, że to zauważyła.
- Te spodnie są nowe! — To nie jest uwaga, ale pełne oburzenia oskarżenie.

- Tak — wysuwam krzesło, dumnie kołysząc biodrami.

- Kiedy byłaś na zakupach?

- W niedzielę.

Siadam i młody człowiek w fartuchu i z nastroszoną fryzurą podchodzi, żebym mogła złożyć zamówienie.

- Co pani podać? — uśmiecha się z błyskiem w oku. Zwykle muszę machać rękami niczym policjant na skrzyżowaniu, zanim ktokolwiek mnie dostrzeże, jest to więc miła odmiana. I uśmiecham się w odpowiedzi.

- A co by pan polecał? — pytam.

- No więc... mamy zupy, dzisiejsza zupa dnia jest z zasmażanej czerwonej papryki i awokado; to chłodnik — puszcza do mnie oko — a wygląda pani na osobę, która nie pogardzi chłodnikiem.

- Naprawdę? — chichoczę.

Nicki nie wytrzymuje. — Nie mamy na to czasu. Mamy robotę.

- Mogę przynieść natychmiast - proponuje kelner bardzo uprzejmie.

- Doskonale. I poproszę jeszcze sok pomarańczowy. Dziękuję.

- Już się robi. Świeżo wyciśnięty?

- Oczywiście.

- Powinienem był się domyślić — uśmiecha się.

- Przepraszam! — Nicki z impetem stawia filiżankę na spodeczku — zamówiłam coś prawie dwadzieścia minut temu, więc może byłby pan łaskaw!

- Oczywiście. - Na odchodnym znów puszcza do mnie oko. Nicki jest wściekła.

- Obsługa jest tu fatalna. I jedzenie też zeszło na psy. O Boże, mam tego dość. Idziemy — rzuca na stół piątaka. —

Chodźmy do Angelo's. — Narzuca czarną budrysówkę od Prądy i zbiega na dół jak burza.

— Przepraszam — rzucam do młodzieńca z nastroszonymi włosami, doganiając Nicki w drzwiach.

Nicki próbuje ochłonać na dworze.

— Słuchaj, chodźmy do domu — mówi — zrobię nam coś do jedzenia.

— Zgoda — mówię i w milczeniu idziemy do Nicki. Kiedy przychodzimy, Dan właśnie wysyła z kuchni faks.

— Hej, Louise. Świetnie wyglądasz! Zeszczuplałaś?

— Nie. Dzięki, Dan. Tylko kupiłam sobie nowe spodnie.

— Są super. Pokaż no się z tyłu.

Okręcam się w małym piruecie, a Nicki przewraca oczami. Rzuca palto na grzbiet psa i przepycha się między nami.

— Na litość boską, Dan. To tylko spodnie — syczy, wyrzucając na ladę zawartość lodówki.

— Gdzie je kupiłaś? - dopytuje się Dan.

— Dan! - Ciska pomidory ze sklepu ze zdrową żywnością do drewnianej miski. — Czy to ważne?

— W Top Shopie - mówię.

— W Top Shopie! - staje jak wryty. — Dziewczyny twe, chłopie, kupują w Top Shopie!

— Nieprawda! — Nicki zatrząskuje drzwiami lodówki. — Nikt z twoich znajomych nie kupuje w Top Shopie.

— Teraz owszem. Ile za nie zapłaciłaś?

— Śmieszne pieniądze, trzydzieści pięć funtów.

— Niemożliwe! — Sam pomysłu, że można kupić ciuch za jedyne trzydzieści pięć funtów, jest dla niego czymś nowym.

— Dan, zostaw nas w spokoju, mamy robotę — komenderuje Nicki, wskazując na drzwi.

Ale on pozostaje niewzruszony.

— Czemu ty nie kupujesz w Top Shopie, Nicks?

— Nie nazywaj mnie Nicks. — Sieka coś tak zajadle, że aż kawałeczki fruwały po całej kuchni.

- No, powiedz — drażny Dan — dlaczego sobie nie kupisz takich świetnych spodni jak Louise?

Kiedy Nicki się odwraca, dłoń ma zaciśniętą na nożu, a zamiast oczu dwie wąziutkie szparki.

- Otóż dlatego, kochanie, że ja nie muszę kupować w Top Shopie. Stać mnie na porządne ubrania od prawdziwych projektantów. Wszyscy staramy się jak najlepiej wykorzystać to, co mamy, i Louise świetnie sobie poradziła. To niełatwe dla dziewczyny ze skromnym budżetem, a poza tym pewne typy sylwetki stanowią, że tak powiem, większe wyzwanie niż inne. — Odwraca się znowu i nóż z głuchym łoskotem uderza o deskę.

Przez chwilę panuje zupełna cisza. Dan patrzy na Nicki z niedowierzaniem.

- Ale z ciebie ordynarna suka — mówi w końcu.

Nicki odwraca się i patrzy na mnie. Spojrzenie jej oczu jest martwe jak u rekina.

- Nie miałam tego na myśli. Chodziło mi tylko o to, że... Dan podchodzi do drzwi.

- Przykro mi, Louise. Naprawdę.

- Ani mi się waży przepraszać w moim imieniu! - krzyczy za nim.

Wyszedł i w kuchni zaległa cisza.

- No — odwraca się do mnie z uśmiechem. Gdy mówi, jej głos jest słodki jak miód. — Dodać ci tuńczyka do sałatki?

- Nie. Nie, dziękuję — to wszystko, co potrafię wydusić. Okręca się wokoło i zabiera do dalszego siekania.

- Jak chcesz.

Nicki i ja już nigdy nie przekraczamy piętnastej strony. Dochodzimy do wniosku, że nasze upodobania artystyczne są odmienne i zmierzamy w różnych kierunkach. Nigdy wcześniej tego nie zauważałyśmy, ale teraz widzimy tylko to.

Zważywszy, że miałam zwyczaj widywać się z nią dwa razy w tygodniu, powinnam bardziej za nią tęsknić.

Hasto: mąż

Są trzy typy mężów:

1. Mężczyzna Ślepy, który mówi: „Czy to czasem nie jest nowy kostium, kochanie?“, gdy wreszcie zauważy komplet, który nosisz od dwóch lat. Ten typ męża nie wymaga omawiania, zostawmy go więc w spokoju. Ma przynajmniej jedną zaletę: pozwala ci ubierać się wedle twojego upodobania.

2. Mąż Idealny, który dostrzega wszystko, szczerze go interesuje, jak jesteś ubrana, wypowiada swoje sugestie, zna się na modzie, doceniają i lubi o niej mówić, doskonale wie, w czym wyglądasz najlepiej i czego potrzebujesz, a także ubóstwia cię ponad wszystkie inne kobiety. Jeśli jesteś w posiadaniu takiego wymarzonego mężczyzny, trzymaj się go. Jest niezwykle rzadkością.

3. Dyktator, który wie lepiej od ciebie, w czym ci jest do twarzy, rozsądza, czy aktualnie panujący styl jest właściwy, czy nie, a tak-

że do jakiego sklepu i do którego fryzjera powinnaś chodzić. Zdarza się, że poglądy takiego mężczyzny na modę są zgodne z duchem czasu, przeważnie jednak pozostaje on pod silnym wpływem sposobu, w jaki ubierała się jego matka, stąd w kwestii mody jest, mówiąc najdelikatniej, zapóźniony o jakieś dwadzieścia lat.

Bez względu na to, który z tych typów reprezentuje twój mąż, moja rada brzmi: korzystaj z tego, jak potrafisz najlepiej, i spróbuj powściągnąć nieco swoje względem niego oczekiwania. Mimo wszelkich starań, jakich dołożyłaś, by go oczarować, nawet najbardziej oddany mężczyzna bywa roztargniony i zapominalski. Postępuj mądrze, nie zauważając tego. Lepiej jest wykształcić w sobie dobre wyczucie stylu, niż zbytnio polegać na opinii innych... nawet własnego męża.

Podaję memu mężowi, Mężczyźnie Ślepemu, filiżankę świeżej herbaty.

Przechodzę przez salon i stawiam mu herbatę na małym okrągłym stoliku.

Podnosi wzrok.

- Schudłaś - zauważa.

Staję niczym zastygły w miejscu królik oślepiiony światłem samochodu.

— Tak — zgadzam się.

I przez moment wydaje mi się, że zauważy. Przez nieskończenie długą sekundę wygląda na to, że zarejestruje fakt, że wszystko we mnie się zmieniło, powoli, ale zdecydowanie. Inaczej się czeszę. Kupiłam kilka nowych ciuchów. Zabrałam się poważnie do gimnastyki. Od tygodni wprowadzam dziesiątki drobnych udoskonaleń, w milczeniu czekając na jakąś reakcję.

I oto doczekałam się. Zauważył.

Lecz po chwili, równie nagle, przestaje mnie to obchodzić. Po latach bycia niewidzialną, ten nagły rozbłysk reflektorów

skupionej na mnie uwagi jest nie do zniesienia. Doprowadza mnie do pasji.

Na moje szczęście, jak się okazuje.

— Nie schudnij za bardzo - mówi, znikając na powrót za parawanem niedzielnej gazety. Oddycham z ulgą. Jestem bezpieczna.

Biorę do ręki dodatek o modzie z „Sunday Timesa” i przysiadam na krawędzi kanapy. Chwileczkę. Dlaczego ja właściwie czuję ulgę? Jakie motywy kierują moją zmianą wyglądu, skoro nawet nie chcę, żeby mój mąż ją zauważył?

Dość dobrze wychodzi mi udawanie, że czytam, a tak naprawdę zbieram myśli na temat tego, co się ze mną dzieje.

Zmieniam się. Szybko. Zaczęło się spokojnie, ale teraz nabrało rozpędu lawiny. Nie wiem, jak to się dzieje; coś, co jeszcze przed chwilą było zupełnie do przyjęcia, staje się nagle nie do zniesienia. Z początku chodziło tylko o ubrania, ale teraz wdziera się to we wszystko — w jedzenie, spanie, myślenie. Spoglądam ukradkiem na postać skrytą za parawanem gazety w drugim końcu pokoju. Tu tkwi cały szkopuł: czy potrafię to przed nim ukryć? I czy chcę?

Słyszę, jak chichocze pod nosem. — Ten telewizyjny show Clive'a dostał miążdzące recenzje.

Clive Foster jest rywalem numer jeden mojego męża i nie znosimy go. Mówię „my”, bo to jest część spoiny chroniącej nasz związek przed rozpadem. Niszczenie reputacji ludzi, którym się powiodło, rodzi pewne poczucie braterstwa, jest to rodzaj wspólnego hobby. A Clive należy tu do naszych ulubieńców. Nie tylko reprezentuje podobny do mojego męża typ fizyczny, przez co obaj zawsze ubiegają się o te same role, ale odnosi dużo większe sukcesy. Jakby samo to nie było wystarczającym powodem animozji, obaj występują teraz razem w *Bracie marnotrawnym*. Mój mąż przez większą część przedstawienia usiłuje przyćmić Clive'a, który z kolei odgryza się, wchodząc mu we wszystkie co zabawniejsze kwestie. To pa-

skudne gierki. Przede wszystkim jednak nienawidzimy Clive'a za to, że jest pełen entuzjazmu i determinacji, samym tym stanowiąc wielkie zagrożenie dla ludzi takich jak my. Znowu się śmieje.

- Ale numer! Nawet go wymieniają! „Clive Foster w roli Kllcrby'ego to fatalna pomyłka!" Wspaniale!

- Biedny Clive — wzdycham pod nosem. Biedny Clive?

Zupełnie niespodziewanie ogarnia mnie współczucie dla ('live'a. Tak, tego właśnie Clive'a, naszego prywatnego uosobienia wszelkiego zła i obrzydlistwa. Nagle osiągnięcie celów, rzucanie się na głębokie wody i podejmowanie ryzyka przestaje budzić odrazę. Wstrętne natomiast jest to, jak my kryjemy się za naszą jałową miernością, czerpiąc przyjemność z niepowodzeń kogoś, kto przynajmniej ma odwagę próbować.

W tym mniej więcej momencie zaczynam wypadać z roli.

- Biedny Clive — powtarzam głośniej.

Parawan z gazet opada i mój mąż spogląda na mnie jak na wariatkę.

- Biedny Clive? Czyś ty zgłupiała? Ten facet to drań!

W tym miejscu powinnam przytaknąć. Ale nie robię tego.

- A to czemu ?

- Louise, co z tobą? Wiesz czemu. — Parawan znowu się podnosi.

Czuję, jak wzbiera we mnie zupełnie bezsensowna wściekłość, Powinnam dać temu pokój. Pozwolić, żeby przeszło niezauważone. Ale nie.

- Wybacz... chyba zapomniałam, co w Clivie budzi taką odrazę.

Brak odpowiedzi.

Do licha, daj spokój. Biorę po raz drugi dodatek o modzie, po czym, sama nie wiedząc dlaczego, znów go odkładam.

- Może chodzi o to, że nie jest taki, jak byś chciał? Ze nie (rzęsie portkami i potrafi być otwarcie ambitny?

Parawan z gazety pozostaje nieruchomy, głos wydobywa się z niego.

— Zgrywasz idiotkę. Nie mam zamiaru prowadzić dalej tej rozmowy.

— Nie masz zamiaru jej prowadzić? Nie masz zamiaru... nie ty decydujesz, jakie rozmowy prowadzimy, a jakich nie!

Gazeta ani drgnie.

— Nie mam po co z tobą rozmawiać, skoro mówisz od rzeczy.

Czuję, jak krew napływa mi do twarzy, a serce wali tak głośno, że następne słowa prawie wykrzykuję.

— Nie mówię od rzeczy!

— Posłuchaj sama siebie — sarka z gazety.

Ogarnia mnie złość. W jednej chwili jestem w drugim końcu pokoju i targam dzielącą nas gazetę. Mój mąż patrzy na mnie z mieszaniną przestachu i niedowierzania. Kiedy się odzywam, głos mam zachrypnięty i z trudem chwytam oddech.

-Nigdy więcej nie waż się mnie lekceważyć! Rozmowa jest skończona, kiedy oboje skończymy mówić. Oboje!

Moja ręka zgniata papier, rwąc go na strzępki. On chwyta mnie za nadgarstek.

— Odpieprz się — mówi rzeczowo. — Odpieprz się, Louise. Zataczam się. On wygładza gazetę, ja wyciągam rękę, wyszarpuję cały dodatek i rzucam na środek pokoju. Teraz mnie zauważy.

— Skoro nie chcesz ze mną rozmawiać, to po co się w ogóle ze mną ożeniłeś?

Patrzy na mnie z obrzydzeniem.

— Ty to nazywasz rozmową? Czy to właśnie jest sztuka konwersacji?

— wpada w hiperangielski ton. - Rozmowa z tobą absolutnie mnie satysfakcjonuje, o ile jest rozsądna i prowadzona spokojnie.

— Nie, nie satysfakcjonuje cię! Właśnie próbowałam zacząć, na co ty powiedziałeś tylko, że nie masz zamiaru tej roz-

mowy prowadzić. Ale my jej nigdy nie prowadzimy. Nie rozmawiamy więcej niż inni! A niby z jakiej racji ty jesteś arbitrem, który decyduje, co jest spokojne i rozsądne? Dlaczego nie możemy prowadzić rozmowy nierozsądnej? Dlaczego nie możemy mówić o tym, o czym chcemy?

Chłodny i opanowany, mruga bladoniebieskimi oczyma.

- Na przykład o czym?

Zaczynam czuć się głupio i niezręcznie. I nagle to się wyrywa — nie wiadomo skąd.

- Nigdy się nie pieprzymy.

Świat się rozmywa, jakby przejął go w posiadanie Salvador Dali. Sięgnęłam nowych wyżyn absurdu. On śmieje się ze mnie, zaskoczony.

- A co to ma wspólnego z Clive'em albo jego show? Zwariowałam, mówię jak wariatka. Ale to, co mówię, jest prawdą. Mówię to jeszcze raz.

- Nigdy się nie pieprzymy.

Przestaje się śmiać, zupełnie nagle, jak Anthony Hopkins grający psychopatę.

- No i co z tego? Wielu ludzi nie uprawia seksu bez przerwy.

Mój oddech się uspokaja, ja też. Wypowiadam kolejną prawdę:

- Nie pociągam cię. Przez chwilę się namyśla.

- Jesteś bardzo pociągającą kobietą, kiedy nie jójczysz. — Wzrusza ramionami i przyjmuje ton *a la* biuro obsługi klienta; ton, którym posługuje się, żeby nakłonić nieprzychylnych sprzedawców do przyjęcia zwracanego zakupu. — Przykro mi, że cię nie zadowalam pod względem seksualnym. Najwyraźniej nie mam takiego jak ty popędu seksualnego — ostatnie słowo zostaje wysyczone z pogardą.

Wstydzę się swojej podłości. Tylko że mam już dość wstydzania się.

Wypowiadam ostatnią prawdę.

— Nie sądzę, żeby z moim popędem seksualnym było coś nie w porządku.

On wstaje, podchodzi do drzwi i uśmiecha się uprzejmie.

— W takim razie to moja wina — wykonuje w moją stronę lekki półukłon. — To ja jestem Ten Wybrakowany.

Jest ponad to, ponad mój prymitywny zwierzęcy popęd. W końcu jestem prostą kobietą z Pittsburga, gdzie nic tylko się pieprzą, piorą i puszczają bąki. Trzy razy P.

— Gdzie idziesz? — mój głos brzmi żałośnie i pusto.

— Idę do ogrodu. Chyba że masz mi coś jeszcze do zakomunikowania. — Odgrywa teraz końcówkę sceny Noela Cowarda*. — Jakże lubię te niedzielne poranne konwersacje.

Pieprzyć Noela Cowarda.

— Myślę, że powinniśmy pójść do poradni małżeńskiej — wyrzucam z siebie.

Mierzy mnie od stóp do głów.

— Droga wolna.

— Ale trzeba pójść razem.

— Louise, to ty masz problem. Z moim małżeństwem jest wszystko w porządku.

Znowu zostaję sama na pustym ugorze salonu. Podarta gazeta jest jedynym świadectwem życia.

Słowa: „Postąpisz mądrze, nie zauważając tego” cały czas chodzą mi po głowie. Nie postępuję mądrze. Sama nie wiem dlaczego.

Idę do sypialni i wyglądam przez okno; mój mąż plewi chwasty w ogrodzie. Jak on może? Jak może tak po prostu zajmować się zwykłymi domowymi pracami, gdy wszystko między nami się rozpada? Jakoś może.

*** Noel Coward (1899—1973) — angielski dramaturg, aktor i reżyser, autor popularnych komedii obyczajowych.**

Patrzę, jak za domem przestawia kubły na śmieci według wielkości i stopnia wypełnienia. Robi to uważnie i skwapliwie. Musi. Musi wierzyć w sprawę. Wierzyć, że chroni nas przed wszelkim chaosem — przed chaosem zakurzonych powierzchni, niesubordynacją nierówno ułożonych książek, przed szkodą nie do naprawienia, jaką wyrządza położenie cebuli obok jabłka na salaterce z owocami. Jest błędnym rycerzem pragnącym ocalić księżniczkę, która nie chce być ocalona. I która nawet nie chce być księżniczką i raczej woli przespać się ze smokiem niż z nim.

I wtedy to do mnie dociera. Wracam myślą do momentu, kiedy skomentował moje schudnięcie. Utrwalam tę scenę przed oczyma wyobraźni. Już wiem i jest to jasne jak słońce. Prawda jest taka, że ja nie chcę, żeby mnie zauważał ani przytulał, ani dotykał, ani mówił mi, jaka jestem piękna. Chcę tylko, żeby mnie zostawił w spokoju.

Po tym wszystkim nie chcę się z nim już nawet pieprzyć.

Oboje byliśmy ślepi.

Siedzę na brzeżku największego łóżka Zjednoczonego Królestwa.

Suwak się rozpiął, łóżka się rozsuwają i niedługo ściany sypialni nie będą w stanie zatrzymać oddalających się od siebie śpiących postaci.

W ciągu następnych tygodni dostaję obsesji na punkcie Olivera Wendta, znanego także jako Człowiek Który Mnie Widzi.

W nieskończoność krążę po teatrze, licząc na to, że może na niego natrafię, a gdy go widzę, uciekam. Łapię się na tym, że niczym tropiciel czatuję w ciemnościach naprzeciw jego ulubionego pubu, przygwożdżona do tego miejsca przez jakąś desperacką, niejasną żądzę. Osobliwe jest tu coś, z czego wtedy jeszcze nie zdaję sobie sprawy, a mianowicie, że obiektem tej żądzы jestem ja sama — oglądana jego oczami. Właściwie to nie chcę ani z nim rozmawiać, ani go poznać; chcę tylko być przez niego widziana.

— Czy te raporty trzeba zanieść na dół? Ja je wezmę.

— Ale dopiero co byłaś na dole, Louise. Możemy je zanieść później.

— Nie ma sprawy, zaniosę.

I już mnie nie ma - snuję się po budynku niby jakaś postać z bajki skazana okrutnym zaklęciem na wieczną tułaczkę w poszukiwaniu własnego odbicia.

Trwa to jakiś czas, widzimy się, gapimy się na siebie i ja uciekam. Aż pewnego dnia, kiedy absolutnie nie mogę dłużej wytrzymać, umawiam się z nim na drinka.

Akurat pali papierosa w foyer. Jest dzień premiery, a coś się akurat popsło w scenie obrotowej. Całą ekipę techniczną zagonił do roboty w nadgodzinach, a sam tymczasem dopala paczkę marlboro lights.

Powinam już była wyjść, a nawet powinno mnie tu dzisiaj w ogóle nie być, ale proszę, co się ze mną teraz dzieje. Łapię się na tym, że „wpadam do pracy” bez żadnego powodu i wystaję w holu albo chodzę po korytarzach — opętana, z oczami jak spodki, cały czas na granicy hysterii.

Dostrzegam go i pędzę do łazienki sprawdzić makijaż. Sprawdzam jeszcze raz. W porządku.

Biorę kilka głębokich oddechów i przeżegnawszy się, podchodzę do swojego Przeznaczenia.

- Hej, jak się masz?

Nie macie pojęcia, ile mnie to kosztuje. Głos mam o jakieś trzy oktawy wyższy niż normalnie i ręce mi się trzęsą, co jednak nie przeszkadza mi wyobrazić sobie, że jestem najsek-sowniejszą i najbardziej uwodzicielską istotą na ziemi i że gram w filmie z budzącą dreszcz ścieżką dźwiękową, nastrojowym oświetleniem i powalającym scenariuszem.

Mierzy mnie spojrzeniem, jakim zwykli patrzeć palacze, wydechając dym, ni to przymykając oczy, ni to marszcząc brwi, chcąc uniknąć żrącego dymu własnego papierosa.

- Świetnie, Louise. A ty?

Ach! On mówi! Serce wali mi szaleńczo, dławione dymem.

- Chce mi się pić - replikuję, odgarniając włosy. Patrzy na mnie jak na obłąkaną.

- Pić?

Uśmiecham się. Jakże inne jest to spojrzenie u niego niż u mojego męża!

— Tak — drażę temat - okropnie chce mi się pić. Można by nawet powiedzieć, że mnie suszy.

I nagle zaskoczyło, ze szczękiem. Śmieje się i zamasyście otwiera drzwi. Wstępujemy w chłód wieczoru i przechodzimy na drugą stronę ulicy do ulubionego pubu Olivera. Kupuje mi drinka i siadamy na niebezpiecznie wysokich stołkach, próbując podjąć konwersację.

Niestety, każdy związek ma swoje Waterloo. Naszym okazała się rozmowa.

Trudno jest rozmawiać, kiedy zadaniem numer jeden jest niezdradzenie niczego na swój temat. On mnie pyta, dajmy na to, skąd jestem i co robię w Londynie, a ja próbuję w jak najbardziej czarujący i zabawny sposób nie powiedzieć mu, że jestem mężatką. Zaciskam dłoń wokół bariery, żeby ukryć obrączkę. Nie wiem, czemu jej nie zdejmuję. Pewnie nie mogę. Po prostu. No więc siedzę tak, z ręką zwiniętą w pięść, chichocząc idiotycznie i piętrząc pytania.

— Od jak dawna jesteś w Londynie?

— Nie wiem, całe wieki. Jaki jest twój ulubiony kolor?

— Mój ulubiony kolor?

(Infantylnizm jest czarujący, nieprawdaż?) Zapala kolejnego papierosa.

— No... hmm, chyba zielony. A twój?

— Intensywny róż i kolor złotych cekinów.

— Czyli złoty, tak?

— No... niezupełnie. Nie po prostu złoty, tylko cekinowo-złoty.

O Boże, zdecydowanie za bardzo się staram. Wkładam szponiasto powykreślaną dłoń we włosy i studiuje etykiety na butelkach ustawionych za ladą, jak alkoholik, któremu zabrakło drobnych. Błagam, błagam, niech nie zalegnie cisza! O czym możemy porozmawiać, o czym możemy...

-A twój ojciec?

Unosi brew i przesyła mi spojrzenie, które odbieram jako Wyraz Absolutnej Fascynacji. -Jaki był?

- Stary. A twój ? To było szybkie.

- Uczciwy — mówię rozpaczliwie, wzięta przez zaskoczenie. - Mój ojciec jest bardzo uczciwym człowiekiem.

A ponieważ powiedziałam prawdę, spogląda na mnie ze szczerym zainteresowaniem.

- To dobra cecha.

- Tak... też tak myślę. — Po czym wlepiam wzrok w swoją szklanę, jakby to była szklana kula przepowiadająca przyszłość.

Wytrzymujemy jeszcze dwadzieścia minut, aż w końcu Oliver przeprosza mnie, mówiąc, że premiera się nie odbędzie, jeśli on nie dopilnuje jeszcze paru spraw i takie tam...

Wracamy, najwolniej jak się tylko da bez przystawania na środku ulicy.

-Więc kiedy mogę cię zaprosić na prawdziwego drinka? -ryzykuje, zerkając na mnie zza zasłony dymu.

- Ja... nie wiem... — zacinam się.

Chociaż to dziwne, znowu wziął mnie przez zaskoczenie. Czym innym jest karmienie fantazji wariackimi urojeniami, a czym innym rzeczywista reakcja obiektu tych urojeń. A poza tym co ja wyprawiam? Nie mogę umówić się na randkę, jestem mężatką! Jednak inny głos wewnętrzny odezwał się łagodnym, ale zdecydowanym szeptem: „Hej, gdzie problem? Wyluzuj się. Przecież nie idziesz z nim do łóżka, tylko... tylko... na drinka, to wszystko. No nie?”.

I znów jestem w filmie, robiąc, co mogę, by *odegrać femme fatale*.

- Chyba chciałabym wybrać się gdzieś, gdzie nigdy nie byłam — mówię, posyłając mu palące spojrzenia zza zasłony włosów *a la Veronica Lake*.

Znów pojawia się spojrzenie pod tytułem „Odbiło ci?”.

— No dobrze — w jego głosie słyhać irytację — ale skąd ja mam wiedzieć, gdzie byłaś?

No fakt.

Wzruszam ramionami i ładuję się wprost na tablicę z menu.

— O Jezu, przepraszam! O cholera, co ja wyprawiam! Przepraszam drewnianą tablicę! - Patrzy, jak próbuję wygramolić się z dań dnia. Kiedy wreszcie jestem wolna, ujmuje mnie pod ramię z troskliwą władczością, z jaką zwykło się traktować staruszki, i doprowadza bezpiecznie do drzwi teatru.

— Wracając do tego drinka... - czeka, ale nie mogę zebrać myśli. To musi być coś idealnego, jakieś kameralne miejsce, gdzie nie ma drewnianych tablic ani ludzi, którzy mnie znają.

Zaczyna się niecierpliwić.

— Czy możesz dać mi trochę czasu do namysłu? — proponuję.

— Oczywiście, proszę.

Uśmiecha się i znika w gwałtownie zapełniającym się foyer. Stoję na schodach jak porażona, serce mi łomocze, dłonie mam mokre od potu. Zostaję wciągnięta w tłum wirujący wokół mnie niby wody wartkiego potoku wokół spoczywającego na dnie kamienia.

Zrobiłam to. Wzięłam swoje życie we własne ręce i bez względu na to, czy będzie odtąd lepiej, czy gorzej, nic już nie będzie tak samo.

Tydzień później wsuwam bilecik do skrzynki Olivera Wendta. W prawym dolnym rogu szmaragdowo-zielonej karteczki napisałam: „Nigdy nie byłam w Ritzu”.

Dni mijają, a tu żadnej odpowiedzi.

Żadnej.

Ideal garderoby

Dla Kobiety Eleganckiej:

Dziewiąta rano. Tweedowe spódnice w brązowych jesiennych odcieniach i dobrane do nich swetry, noszone pod codziennym jutrem. Do tego brązowe buty na niezbyt wysokim obcasie i pojemna torba z aligatora. (Runo prawdziwie elegancka kobieta nigdy nie chodzi w czerni).

Pierwsza po południu. Kostium w nierzucającym się w oczy kolorze z futrzaną lamówką (brąz i czerń wykluczone), do tego futrzany kapelusz. Pod żakietem odpowiednio dobrany sweter, bluzka z dzianiny albo sukienka-bezrekawnik.

Trzecia po południu. Wełniana sukienka w gustownym odcieniu, zgodna lub skontrastowana ze ślicznym miejskim paltem w żywym kolorze.

Szósta po południu. Czarna wełniana sukienka niezbyt wydekoltowana. Możesz pokazać się w niej wszędzie, począwszy od bistro, a skończywszy na teatrze, wstępując po drodze na wszelkie nieformalne kolacje, które masz w swoim kalendarzu imprez.

***Siódma wieczorem.** Czarna suknia z krepy, tym razem mocniej wydekoltowana, na bardziej formalne kolacje i do elegant-szych restauracji. Biały kapelusz z norek.*

***Ósma wieczorem.** Płaszcz i suknia do kompletu, nazywane przez paryżan „zestawem koktajlowym”, co w rzeczywistości bywa zwykle na ta okazję zbyt szykowne, natomiast doskonale nadaje się na premiery teatralne i eleganckie kolacje.*

***Dziesiąta wieczorem.** Długa suknia wieczorowa, do noszenia przez cały rok (należy więc unikać aksamitu i deseni).*

Dziewiąta rano. Jestem na Whitehall ubrana w granatowy kostium z gabardyny i brązowy dzianinowy top od Kookaï z dekoltem w szpic. Na nogach mam czarne buty z rzemyczkami. Top jest cudnie przylegający, ale ma tendencje do prucia się pod pachami. Muszę pamiętać, żeby nie zdejmować żakietu. Wstępuję na śniadanie do Sushi Express — zamawiam koktajl owocowy i zieloną herbatę na wynos. To mój nowy reżim. Nie będę jadła dziś cukru. Nie będę. Kupuję dodatkowego banana, na wszelki wypadek. Kiedy przebiegam przez ulicę, żeby zdążyć na zielonym świetle, słońce świeci mi prosto w oczy. Mam już wprawę w bieganiu na wysokich obcasach. Muszę mieć. Awansowałam na kierownika kasy i cały dzień spędzam, kursując między okienkiem w holu a biurem na piętrze. Awans był wielką niespodzianką, dla mnie samej przede wszystkim. I silnym zastrzykiem pewności siebie. A bycie nieustannie zajęta jest prawdziwym błogosławieństwem.

Mój mąż i ja, o ile mi wiadomo, przestaliśmy ze sobą rozmawiać. Moja nowa praca ułatwia nam udawanie, że jesteśmy zbyt zajęci albo po prostu zbyt zmęczeni, by się porozumiewać. Żadne z nas nie jest gotowe wysłuchać tego, co to drugie ma do powiedzenia.

Pierwsza po południu. Jestem w szatni klubu gimnastycznego razem z jakąś trzydziestką innych kobiet, które mają godzinę na to, by wcisnąć się w lycrowe stroje gimnastyczne i wycisnąć z siebie ostatnie poty, ćwicząc zajadle, a potem wziąć prysznic, wysuszyć włosy i popędzić z powrotem do biura. Odkąd przed kilkoma miesiącami odnowiłam swoje członkostwo, udaje mi się jakimś cudem bywać tu cztery razy w tygodniu. Od czasów szkoły baletowej nie uprawiałam żadnej formy fizycznej aktywności z równie dobrym skutkiem. A efekty już widać. Szatnia jest też miejscem, gdzie można poznać prawdę dotyczącą ciał innych kobiet i zawartości ich szaf. Spędzamy równie dużo czasu, wzajemnie analizując ukradkiem swój wygląd, co drepcząc po bieżni. Wszystkie jednocześnie zamieramy, gdy spod prysznicza wyłania się ta smukła opalona blondyna. Udajemy, że poprawiamy włosy, ale tak naprawdę... ależ tak! Ona ma cellulitis! Życie jest pełne niespodzianek. Kto by przypuszczał, że prezenterka w kostiumie od Armaniego, z nieodłączną komórką przy uchu („Jestem w klubie gimnastycznym! W K-L-U-B-I-E!"), nosi sfatygowane białe majtki M&S i czarny prześwitujący biustonosz? Ale nagroda za nieoczekiwaną metamorfozę tygodnia należy się ubranej w kwiecisty komplet w stylu Laury Ashley 1984 dziewczyny / mysią grzywką, która rozbierając się, odsłania różową jedwabną kombinację, do kompletu z paskiem do pończoch, podwiązkami oraz nogami, na których widok Julia Roberts oszalałaby z zazdrości. Nawet smukła blondyna zamarła z rozdziawionymi ustami na środku łazienki. Wciągam na siebie intensywnie niebieską króciutką bluzeczkę, getry w podobnym kolorze i wściekle drogie buty Nike. Jestem przekonana, że usiłując wbić się w ten strój, spalę więcej kalorii niż przez cały trening.

Trzecia po południu. Jestem z powrotem w biurze, wykąpana, z nie całkiem dosuszonymi włosami (o te lepsze suszarki

toczy się zawsze ostra rywalizacja), ubrana w mój granatowy kostium. Jediną różnicę stanowi rezygnacja z czarnych butów z rzemyczkami. Nie można oczekiwać, żeby kobieta w nieskończoność tupała na czubkach palców, bo w końcu gotowa jest kogoś zamordować. Temperatura podskoczyła i mój żakiet wisi na oparciu krzesła, wystawiając na widok publiczny prujący się top od Kooka T. Zreperuję go. Zreperuję. Jutro go zszyję. Tymczasem pozbędę się tej zwisającej nitki... Z dziwną obojętnością patrzę, jak pruje się połowa rękawa. Powinam kończyć tygodniowy raport sprzedaży, ale właśnie nadszedł mój popołudniowy kryzys. To taka biologiczna usterka, która sprawia, że co dzień bez wyjątku między trzecią a czwartą wpadam w straszny dołek. Moja teoria jest taka, że jestem genetycznie zaprogramowana, by o tej porze odbywać drzemkę, ale niestety, nie żyję w klimacie, gdzie uznaje się sjęstę. Konsekwencje są dramatyczne. Uchodzi ze mnie woła życia i zamiast skupiać się na liczbach i rozliczeniach przedstawień, wyobrażam sobie różne formy samobójstwa. Dyndanie na stryczku, śmiertelne omdlenie na łóżku, unoszenie się w wodach strumienia. Albo drastyczne zacięcie się brzytwą przy strzyżeniu.

Na biurku naprzeciw rozzwania się telefon i gdy gramolę się, żeby go odebrać, zahaczam nogą o niewidoczną drzazgę w podłodze. Leci mi wielkie oko w pończosze, a na dodatek udaje mi się nie zdążyć do telefonu. Na szczęście Colin nastawia wodę na herbatę (w tej dziedzinie ma intuicję) i wyczarowuje skądś pudełko herbatników z dżemem („Dwa w cenie jednego, skarbie. Tylko odrobinę połamane”). Desperacko szukam swojego rezerwowego banana, aż w końcu znajduję go na dnie torebki, rozplaskanego na brązową papkę. Do diabła. Wraz ze spożyciem cukru poprawia mi się humor, a Colin zapewnia mnie, że Sinead O'Connor była szczęściarą; że większość kobiet nie potrafiłaby w dobrym stylu przebić się z taką ogoloną głową, chyba że którejś marzyłaby się kariera zawodowej zapaśniczki.

Szósta po południu niezawodnie przynosi drugi oddech. Apatia, w której pograżyło się całe biuro za kwadrans piąta — o tej pozbawionej nadziei godzinie, kiedy powrót do domu zdaje się jedynie okrutną, nieuzasadnioną pogłoską - za pięć szósta ustępuje miejsca atmosferze karnawału. Są tańce, śpiewy, opowiadanie kawałów. Koledzy z pracy poklepują się wzajem po ramieniu i przytrzymują sobie drzwi, wybiegając z biura ze śpiewem na ustach. Wartę przejmuje wieczorna zmiana o wyglądzie dożywotnych skazańców. Mam trochę ponad godzinę na dojście do domu i przebranie się, po czym mam być w teatrze na premierze nowej sztuki mego męża. Po przedstawieniu ma kolację ze swoim agentem i z reżyserem i spodziewają się tam mojej obecności, jako tej dumnej i wspierającej „małżonki”. Na samą myśl dostaję bólu głowy. Postanawiam zdjąć pończochy, bo oczko jest zbyt duże, by można się było tak pokazać publicznie, i wciskam opuchłe stopy w czarne buty z rzemyczkiem. Jeszcze tylko żakiet i wyrywam się na dwór, i człapiąc przez Whitehall w stronę domu.

Siódma wieczorem. Wzięłam szybki prysznic i poprawiam makijaż. Usiłując osiągnąć wygląd zaskakujący i wyrafinowany (czytałam „Vogue'a” w ubikacji), pomalowałam obficie brwi ołówkiem i wyglądam, jakbym miała Downa. Próbuję zrównoważyć wrażenie cyklopiej jednobrwiistości, aplikując sobie grubą warstwę czerwonej szminki, i oto patrzy na mnie druga Bette Davis z *Co się zdarzyło Baby Jane?* Kiedy w szaleńczym pośpiechu ścieram wszystkim całymi rolkami ręcznika papierowego, przychodzi mi do głowy, że eksperymentowanie z wyglądem na dziesięć minut przed umówioną porą spotkania nie jest dobrym pomysłem. Udaje mi się wreszcie stonować makijaż do poziomu Joan Crawford i teraz przetrzepuję szufladę z bielizną w poszukiwaniu pończoch, które by pasowały. Czy ja się kiedykolwiek pozbędę nawyku chomikowania dziurawych rajstop „na wszelki wy-

padek"? Wreszcie znajduję odpowiednią parę i wskakuję w swoją nową małą czarną od Karen Millen, kusą sukienkę na ramiączkach, z czarnego rozciągliwego atłasu, która była moim pierwszym zakupem po awansie. Jestem w niej niczym Audrey, uwielbiam ją ponad wszystko. NIE mam jednak podobnych odczuć na temat czarnych butów z rzemykami, kiedy ponownie wsuwam w nie obolałe stopy. Chwyając małą czarną atłasową wieczorową torebkę kupioną na wyprzedaży, bezskutecznie usiłuję wepchnąć do niej całą zawartość kosmetyczki, ale rezygnuję, mówiąc sobie, że przecież i tak na jedno wieczorne wyjście nie będę chyba potrzebować notesu z adresami, igły z nitką i siedmiu tamponów. (Okres powinnam mieć najwcześniej za tydzień). Zmuszam się do poprzestania na szmince, pudernicze i portmonetce z drobnymi, ale to dopiero po chwili ćwiczenia wizualizacji, którego się nauczyłam z *Bój się, ale i ta\ to zrób*. Kiedy wzywam taksówkę i jadę do teatru, mam tylko kwadrans spóźnienia.

Ósma wieczorem. Sterczę w teatralnym barze sama jak ten kołek w płocie, gdy wtem spostrzegam dwóch dawnych przyjaciół, Stephana i Carlosa. Stephan jest scenografem, a Carlos pracuje w dziale peruk Royal Shakespeare Company. Stawiają mi drinka i nagle wszystko zaczyna wyglądać jaśniej. Będę przecież potrzebować paru drinków, żeby przetrwać cały wieczór w charakterze połowy najszcześliwiej milczącej pary na świecie. Dzwonek. No, jeszcze tylko jeden łyeczek. O rety, jaki ten barman jest słodziutki.

Dziesiąta wieczorem. Kolacja z agentem mojego męża i z reżyserem w The Ivy. Jestem lekko podchmielona. Mój mąż nadal się do mnie nie odzywa (to jest Milczenie Drugiego Stopnia), ale wyratował mnie od utonięcia w wannie. Zwykle nie myję się tak długo, ale wygląda na to, że podczas kolacji miałam trudności z trafieniem do ust. Może wrócę do aktor-

stwa. Cały czas flirtowałam z reżyserem, nie mógł oderwać ode mnie wzroku. Chyba zrobiłam wrażenie.

Trzecia nad ranem. Ciekawe, co porabia Oliver Wendt i z kim.

Jubilerskie drobiazgi

Zawartość kasetki z damską biżuterią jest kroniką dziejów jej właścicielki - mówi o niej więcej niż szuflada z bielizną, szafka w łazience czy nawet zawartość torebki. Opowieść kasetki z biżuterią jest historią miłosną, oby jak najwspanialszą i pełną namiętności.

Biżuteria jest jedynym elementem ubioru w zamierzeniu służącym elegancji. Ponieważ zaś elegancja w kwestii biżuterii jest sprawą wysoce indywidualną, nie można powiedzieć, że należy nosić tylko jakiś określony jej rodzaj. Jedno jest wszelako pewne: kobieta elegancka, nawet jeśli darzy biżuterię takim uwielbieniem jak ja, nie powinna nigdy folgować temu upodobaniu tak dalece, żeby wyglądać jak poobwieszana ozdobami choinka.

Na koniec uwaga do przyszłych mężów: pierścionek zaręczynowy jest często jedynym posiadany przez kobietę prawdziwym klejnotem, proszę więc, zainwestujcie w coś odpowiedniej wielkości. Szok związany z wydatkiem poniesionym za dobrej jakości pierścionek ustąpi na widok zachwyty narzeczonej pokazującej go z dumą wszystkim swoim krewnym i znajomym. Po drugie,

należy pamiętać o zaletach kupowania wyłącznie u najlepszych jubilerów. Pudełeczko od Cartiera, Aspreya czy Tiffany'ego będzie prawie tak cenne jak sam pierścionek. A nie chcielibyście być posądzeni o oszczędzanie na takiej okazji.

Zamykam książkę i delikatnie kładę ją sobie na piersi. Ach, jakby to było dostać pudełeczko od Cartiera albo Aspreya! Jeśli chodzi o Tiffany'ego, nigdy tam nie byłam, nawet żeby się porozglądać. Ciekawe, jak tam jest w środku. Jak by to było, wejść pod rękę z kochającym mężczyzną, wiedząc, że wychodząc, będzie się miało na palcu pierścionek z brylantem albo z szafirem okolonym malutkimi brylancikami. Spoglądam na swoją dłoń spoczywającą na kołdrze i próbuję sobie wyobrazić pojedynczy diament migoczący na serdecznym palcu. Przymykając jedno oko, koncentruję się z całych sił, ale dalej widzę tylko różową, lekko pomarszczoną skórę u nasady palca.

Spoglądam na mojego męża, który czyta obok mnie w łóżku, i patrzę, jak ze złością odgryza wyimaginowaną skórę przy paznokciu kciuka. Czyta wieczorną gazetę, jakby była napisana szyfrem, marszcząc brwi, niezmordowanie wertuje strony w poszukiwaniu jakichś wskazówek.

Nigdy nie dał mi pierścionka zaręczynowego.

Wypadło mu to z głowy.

Nosił się z zamiarem poproszenia mnie o rękę najwyraźniej w taki sam sposób, w jaki człowiek nosi się z zamiarem pójścia do dentysty. Potem utrzymywał, jakoby nie miał pojęcia, że jest w zwyczaju, żeby oświadczając się kobiecie, podarować jej pierścionek.

Mówiłam sobie wtedy, że jesteśmy ponad romantyczne gesty. Nieortodoksyjni. Niezwykli. I gratulowaliśmy sobie, że nie ulegamy żadnym powszechnym, banalnym sposobom wyrażania miłości. Raz nawet sprawdziłam w słowniku definicję

romantyczności, tak bardzo chciałam uzasadnić jej brak w naszym związku.

— „Malownicze oszustwo” — odczytałam na głos i triumfalnie zatrzasnęłam książkę — widzisz, nie ma w niej prawdy. Romantyczność to kłamstwo.

A on pokiwał głową jak zadumany mędrzec. Jakże pocieszająca jest wiedza, że pustka wokół nas jest czymś prawdziwym.

Ale gdy tak tutaj siedzę, wyobrażając sobie, że widzę na swoim palcu pierścionek z brylantem, dociera do mnie, że intelekt może być czymś strasznym i zwodniczym.

Pamiętam dzień, kiedy poprosił mnie o rękę. Byliśmy w Paryżu, akurat nadeszła fala strasznych upałów. Właśnie zeszło z afisza przedstawienie, w którym grał rolę wężącego na czterech łapach psa i uszkodził sobie kolano. On kulał, podpierając się laską, a ja byłam przeziębiona. Francuzi uwielbiają czopki. Wyglądało na to, że wszystkie lekarstwa na przeziębienie wiążą się z wkładaniem czegoś w siedzenie, wołałam więc już raczej kichać i smarkać, kiedy tak kuśtykaliśmy przez ogromne miasto, zdecydowani chłonąć jego piękno.

Nasz związek znalazł się w impasie parę miesięcy wcześniej. Wiedziałam, że mi się oświadczy, bo nigdzie indziej już nie dojdziemy, i byłam zirytowana, że jeszcze tego nie zrobił. Byłam zmęczona i chora, i chciałam wrócić do pokoju, zdjąć sukienkę i położyć się. Ale wiedziałam, że on każde odwiedzane miejsce rozpatruje jako potencjalną scenerię oświadczyn. Wlokłam się więc dalej, udając, że jestem wszystkim oczarowana, żeby moje złe nastawienie nie zepsuło wiadomej chwili i nie opóźniło jej jeszcze bardziej.

I miałam na sobie sukienkę, bo właśnie tak należy być ubranym, kiedy ktoś ci się oświadcza.

Dryfowaliśmy przez paryski krajobraz w nadziei, że znajdziemy — na ławce albo w jakiejś wąskiej alei — powód naszego nieprzerwanego związku. W końcu usiedliśmy w cieniu drzew w Ogrodzie Luksemburskim.

— Nie jesteś szczęśliwa — powiedział w końcu.
- Boję się - przyznałam. Cierpliwie czekał w duszącym upale.
— Pamiętasz, jak pierwszy raz się spotkaliśmy — zaczęłam, czując, jak ogarniają mnie mdłości — a ty pozostawałeś w pewnej... przyjaźni...
Mocno zacisnął powieki w palącym słońcu.
- To jest skończone — powiedział - wiesz o tym.
— Wiem, ale przeraża mnie to, co się za tym kryje. Oczy miał nadal zamknięte.
— Nic się za tym nie kryje, Louise. Już to przerabialiśmy. Ale to coś nie odchodziło. Było między nami jak ktoś trzeci siedzący na ławce.
— Mówię tylko... to znaczy jako odbicie twojego prawdziwego ja...
— nie ustępowałam.
Otworzył oczy.
— Nie ma żadnego „prawdziwego ja”. Jestem tym, kim się uczynię. To była zwykła przyjaźń.
- Ale musiałeś z nim zerwać. Kiedy się poznaliśmy, zerwałeś z nim. Przyjaciele cieszą się, kiedy kogoś poznasz. Przychodzą, poznają tę osobę. Nie spotykasz się z nimi pewnego deszczowego popołudnia, żeby po cichu poinformować ich, że „sprawy wyglądają inaczej”. Nie znikają ot tak, kiedy dotąd przez całe lata dzwonili codziennie...
Chwytał mnie za przegub dłoni.
- Czego ode mnie chcesz? Czego ty właściwie chcesz? Mam udawać, że to się nigdy nie stało? Tego chcesz?
- Nie, ale czy ty nie rozumiesz? Skąd mam wiedzieć, że to się nie powtórzy? — Próbowałam się wyrwać, ale trzymał mocno.
- Bo nie pozwolę, żeby się powtórzyło. Po prostu nie pozwolę — jego głos brzmiał wyzywająco, ale wzrok miał jakiś zmęczony, zagubiony.
— Obiecuję ci, Louise, obiecuję, że cię nie zawiodę.

Puścił moją dłoń i ręka opadła mi bezwładnie. Wpatrywałam się w pokrytą piaskiem ścieżkę. Wszystko we mnie mówiło mi, żebym wstała, żebym odeszła.

Jesteśmy w Paryżu. Jest romantycznie. Obok nas przechodzi francuska rodzina, z małymi dziećmi i dziadkami, jakby ten pochód zarządził jakiś niewidzialny reżyser.

Odzywam się, cicho, ale jednak to mówię.

- A jeśli to twoja prawdziwa natura... Nie da się, choćby nie wiem jak bardzo się chciało, zaprzeć się swojej własnej natury.

Powoli się podnosi i wyciąga rękę.

— Nie rozmawiam więcej na ten temat. Albo przyjmujesz mnie takiego, jakim jestem, albo nie. To zależy od ciebie.

Wstaję. Mówię sobie, że jestem szalona, głupia. On mnie przecież kocha, prawda? Przecież wypowiada te słowa, prawda? Jestem przeziębiona. Dramatyzuję.

I nie chcę być sama.

Idziemy. Kuśtykamy dalej przez upał. Nie będzie już łatwiej.

Następnego wieczora oświadczył mi się na środku Pont des Arts i przyjął go.

Zamykam książkę i znów spoglądam na mojego męża. Kończy krzyżówkę, metodycznie wykreślając hasła i wpisując piórem rozwiązania.

Dotrzymał obietnicy. Nie zawiódł mnie.

1. Zawsze mieszkaliśmy wygodnie, w najlepszych dzielnicach, często parę kroków od West Endu.

2. Nigdy nie był dla mnie nieuprzejmy przy ludziach ani, o ile mi wiadomo, nie był niewierny.

3. Opiekuje się mną, zarządzając domowymi finansami, pielęgnując mnie w chorobie i stale dbając o ciągłe udoskonalanie naszego domu.

4. Robi pranie. Zawsze po przyjściu do domu znajduję swoje rzeczy starannie poskładane na łóżku.

5. Kiedy pracuje na West Endzie, po drodze do domu w sobotę wieczorem wstępuje po gazety koło Charing Cross, żebyśmy mogli je razem do późna czytać w łóżku.

6. Często chadzamy na długie wieczorne spacerunki po Londynie, kiedy miasto w ciszy jest jak odmienione.

7. Stanowi dobre towarzystwo.

8. No i przez ostatnie pięć lat co rano przynosi mi do łóżka pyszną herbatę.

Kimże jestem, by mówić, że to nie jest miłość?

Pierwszy raz zobaczyłam go podczas przyjęcia w dniu premiery *Urodzonego czwartego lipca*. Zagrałam swoją pierwszą poważną rolę i przepełniało mnie ekstatyczne wprost uczucie udanego dokonania. Publiczność zgotowała nam owację na stojąco i wszyscy byli pewni, że sztuka znajdzie się na West Endzie. Miałam na sobie ulubioną czerwoną suknię, długą, własnego pomysłu kreację z jedwabnej krepy, która to powiewała, to znów przylegała do sylwetki. Skoczne, pulsujące rytmy latynoskiej muzyki wypełniały dom na Ladbroke Grove, gdzie świętowaliśmy, a w kuchni kilku facetów mieszało w dzbankach margaritę. Reszta tańczyła na patio, kołysząc się i obracając z wyciągniętymi rękoma, śmiejąc się nazbyt głośno w chłodzie wczesnej jesieni.

Kiedy się zjawił, nieproszony gość z innego teatru, szczupły i wysoki, o jasnych włosach i bladoniebieskich oczach, prawie nie zwróciłam na niego uwagi. Nie był w moim typie. Grał w nowej sztuce w teatrze The Albery i radził sobie całkiem dobrze. Ale ja miałam inne plany. Parę miesięcy temu chłopak, z którym mieszkałam, oszukał mnie. Wcześniej to ignorowałam, ale tego wieczora, w czerwonej sukni i z głową szumiącą od nadmiaru margarity, byłam zdecydowana iść na podryw.

Nie wiem, jak i czemu zaczęłam go całować. Ale następnego ranka, lecąc ciężkiego kaca i leżąc nieruchomo na zim-

nym płaskim materacu w kawalerce, którą dzieliłam ze swoim chłopakiem oszustem, zdałam sobie sprawę, że popełniłam błąd.

Zadzwoiłam, żeby mu powiedzieć, że poprzedniego wieczora spieprzyłam sprawę, że to było głupstwo, z którego nie warto sobie nic robić, ale zamiast tego musiał usłyszeć w moim głosie strach i zmieszanie, bo powiedział: „Spotkajmy się na kawie. Powiedz, co tak naprawdę cię trapi. Może będę mógł pomóc”.

No więc poszliśmy do małej polskiej herbaciarni w bok od Finchley Road, gdzie podawali cytrynową herbatę w szklankach, a powietrze było gęste od gulaszowego zaduchu. Padało, usiedliśmy przy stoliku w rogu, on słuchał, a ja opowiedziałam mu całą tę obrzydliwą historię o moim niewiernym chłopaku. Przeprosiłam za „złe zachowanie”, a on pokiwał głową i powiedział, że w takich okolicznościach to zrozumiałe. A potem spacerowaliśmy, bardzo powoli i długo, przez ciche ulice West Hampstead. Powiedział, że zadzwoni znowu, żeby się dowiedzieć, jak się miewam.

Następnego dnia spotkaliśmy się w kawiarnianym ogródku w Regent's Park. Było za zimno na siedzenie na dworze, ale siedzieliśmy i tak. Wejście do środka wymagało większego zaangażowania niż to, na które było nas stać, więc - trzęsąc się — przycupnęliśmy na brzeżku drewnianych ławek. I znowu opowiedziałam mu o sprawach, o których nie chciałam mówić nikomu, a on słuchał. Wszystkie tłumione przez ostatnie sześć miesięcy uczucia wezbrały nagle w potężną, szukającą ujścia falę; myślałam, że tego nie wytrzymam.

Dzień potem spotkaliśmy się po drugiej stronie Regent's Park i spacerowaliśmy, aż znaleźliśmy się na ulicy w Fitzrovii*. Zatrzymał się i powiedział: „Tutaj mieszkam”. Weszłam za nim krętymi schodami i usiedliśmy na kanapie we frontowym

* Ekskluzywna dzielnica Londynu (przyp. tłum.).

pokoju. Mieszkanie było nieduże, ale wszystko tam było nieskazitelne, bez najmniejszego pyłku. Jakże inne od kawalerki, którą dzieliłam ze swoim chłopakiem, całej zavalonej książkami, gazetami i ubraniami. Tutaj było czym oddychać; wszystko było na widoku. Rozmawialiśmy i ja płakałam, i powiedziałam mu, że nie wiem, co robić. Objął mnie i długo, długo trwałam tak, zamknięta w jego ramionach. Potem poszliśmy do jego sypialni.

Łóżko było zaścielone tak dokładnie i tak równo, że nie było nawet najmniejszej zmarszczki. Książki na półce stały w porządku alfabetycznym. Wszystko było białe - pościel, dywan, regał z książkami, biurko. Wyjął tomik poezji i przeczytał mi *Pieśń miłosną J. Alfreda Prufroca**. A kiedy skończył, na policzkach miał łzy.

I tam, w tym czystym, białym, nietkniętym pokoju zaczęliśmy nawzajem zdzierać z siebie ubranie, ciągnąc się i szarpiąc, rozkopując nieskazitelne prześcieradła, rozrywając ciszę.

Kiedy było już po wszystkim, ubraliśmy się pośpiesznie, nie patrząc na siebie, i wyszliśmy znów w bezpieczną neutralność parku.

I tam, pod osłoną gałęzi orzechowca, w godzinę po tym jak się kochaliśmy, powiedział mi, że zastanawiał się... że kiedy zerwał ze swoją poprzednią dziewczyną, to dlatego, że podejrzewał, że... bał się, że może jest... no, że może coś z nim jest nie w porządku.

Nie rozmawialiśmy potem całe tygodnie. Sztuka przeniosła się na West End. Zostawiłam chłopaka i sypiałam u koleżanki na kanapie. Ale co dzień rozmyślałam o nim — o tym, jak mnie słuchał, jak mnie obejmował, o pogodnym spokoju jego białego świata.

A potem zadzwonił.

*** Wiersz T.S. Eliota, w którym tytułowy Prufrock zbroi się wewnątrz do poczynienia niezmiernie ważnego wyznania (przyp. tłum.).**

Spotkaliśmy się w tym samym ogródku, tylko tym razem weszliśmy do środka, gdzie było ciepło. Po chwili niezręcznej ciszy zaczęłam mówić, gorączkowo szukając słów, że może moglibyśmy pozostać przyjaciółmi, gdy wyciągnął ręce przez stół i ujął moje dłonie.

Wzrok miał rozgorączkowany, a słowa wylewały mu się z ust spiętrzonego potokiem, za którym usiłowałam nadążyć. Nigdy przedtem nie był tak dynamiczny, pełen pasji i życia. Po prostu się bał — powiedział - teraz już to wie. Tak długo, za długo, był sam jeden w swoim mieszkaniu; dzień za dniem, czekając, aż coś się wydarzy, aż pojawi się jakiś znak. Przytłaczała go depresja, samobójcze myśli, nie wiedział, co robić, gdzie iść. Z mężczyznami... próbował, ale budziło to w nim wstręt. Był zbrzydzone. Wstydział się. Ale wszystko to były tylko tematy zastępcze, cienie. Tak naprawdę po prostu bał się kogokolwiek pokochać.

Ale to minęło.

Teraz kochał mnie.

Ścisnął mnie mocniej za ręce. Starał się mnie zapomnieć, ale nie mógł. Prześladowałam go, szeptałam do niego, myśli o mnie kłębiły mu się w głowie dzień i noc.

Przyciągnął mnie bliżej do siebie i spojrzał mi w oczy. Nie mogłam wiedzieć, jak straszna to była desperacja, samotność, beznadzieja. I jak ja go zmieniłam. Jak go zmieniłam do głębi.

Ze śmiechem, w nagłej euforii, zasypał moją twarz pocałunkami, mówiąc, że jak tylko mnie ujrzał w tej czerwonej sukni, wiedział, że jestem mu przeznaczona. I jedynym jego pragnieniem było pomagać mi, zająć się mną, opiekować się mną.

— Błagam, Louise! Zemnij moje prześcieradła! Cały zlew zawal brudnymi naczyniami! Zawieś swoją czerwoną suknię u sufitu mojego zimnego, pustego pokoju! Ale przede wszystkim zostań!

Uśmiechnęłam się, nachyliłam ku niemu przez stół i pocałowałam go.

Zdawał się najlepszym, najłagodniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek znałam.

- Wyglądasz na zmęczoną — mówi pani E, przerywając milczenie.

Spoglądam w sufit.

- Nie najlepiej sypiam — mówię w końcu.

Czeka, że będę mówić dalej, ale ja milknę. Jestem zbyt zmęczona, żeby mówić, zbyt zmęczona na cokolwiek, chciałabym tylko zwinąć się na znieawidzonej kozetce i zasnąć. Malinki pajaczek próbuje wdrapać się na ozdobny narożny gzyms. Patrzą, jak ustawicznie przemierza te same kilka centymetrów, lam i z powrotem.

Jak myślisz, skąd te problemy ze snem? — w jej głosie znac frustrację, napięcie.

Żał mi jej, bo musi odgrywać w naszych sesjach tak aktywną rolę. Pewnie wyobrażała sobie siebie jako Freuda w damskim wydaniu, leczącego pacjentów z głęboko zakorzenionych urazów i nerwic. Tymczasem patrzy, jak ucinam sobie drzemkę.

Mój mąż... my... — ziewam i z całych sił powstrzymuję opadające powieki — nasze małżeństwo się rozpada. Wszystko się rozpada. I nie mogę spać, kiedy on jest obok. Co to znaczy, że się rozpada? Przewracam się na bok i podciągam kolana pod brodę. Nie mogę ułożyć się wygodnie.

To znaczy, że nie ma już tego kleju, który nas spajał. A co to za klej? Odpowiedź pojawia się w głowie niemal natychmiast, ale przez moment się zastanawiam, bo to nie jest ta odpowiedź, której oczekuję.

Strach — mówię. Strach przed czym? Pajaczek ponawia próbę. Bezskutecznie.

— Strach przed byciem samemu. Zakłada nogę na nogę.

— A co złego jest w byciu samemu?

Pajaczek dał za wygraną. Patrzę, jak powoli spuszcza się z sufitu na niewidzialnej nici.

— Nie wiem. Dawniej wydawało mi się, że wszystko. Ze umarłabym, dosłownie zapadła się od samotności. Ale ostatnio... ostatnio nie jestem taka pewna.

— Louise, czy ty kochasz swojego męża? — jej ton jest wyzywający, ostry.

Milczę przez dłuższą chwilę. Powiew wiatru z dworu sprawia, że pajaczek drga i chwieje się niebezpiecznie na swojej nici. Jakże on jest kruchy.

— To nie chodzi o miłość. Tak prawdę mówiąc, to tylko jeszcze bardziej wikła sprawę. To nie chodzi o kochanie czy niekochanie. Zmieniłam się. I nie wystarcza mi już bezpieczeństwo.

— A to jest to, co miałaś dotychczas: bezpieczeństwo?

— Tak myślałam. Ale teraz wiem, że się bałam. Znowu zamykam oczy; zaczyna mnie boleć głowa.

— Chodzi o to, że... że jak już się coś wie, nie można zawrócić i udawać, że się nie wie. Nie da się wrócić do bycia takim, jakim się było.

— Ale można iść naprzód — przypomina mi. No tak, lecz za jaką cenę?

Kilka tygodni po tej rozmowie wracam do domu i zastaję mojego męża nadal w płaszczu, siedzącego na kanapie w salonie. Wygląda okropnie, wygląda tak od tygodni. Jakimś dziwnym, chorym zrzędzeniem natury, gdy ja rozkwitam, on marnieje. To tak jakby tylko jednemu z nas wolno było być w danej chwili atrakcyjnym. Oczywiście ma podkrążone, włosy zmierzwione i nieuczesane i chyba zapomniał o istnieniu maszynki do golenia. Powinien był już wyjść do teatru i szykować się do przedstawienia, ale nie wyszedł. Zamiast być w teatrze, jest tutaj.

- Ojej — mówię, widząc, jak tak siedzi zagapiony w przestrzeń. — Nie powinieneś już iść?

Ale on tylko patrzy na mnie wzrokiem jakiegoś zdziczałego psa niechący uwięzionego w domu.

Powinam być zaniepokojona albo zmartwiona, ale prawdę powiedziawszy, czuję przede wszystkim irytację. Zawarliśmy niepisaną umowę, której każde z nas przestrzegało od miesięcy ja idę do pracy w dzień, a gdy wieczorem wracam, jego już nie ma. Teraz wkroczył w mój czas, a ja go tutaj nie chcę.

Ale i tak siadam w zielonym fotelu i czekam.

- Musimy porozmawiać — mówi w końcu.

No tak, rozmowa, której unikamy od miesięcy. Jest mi niedobrze, lecz jednocześnie czuję się dziwnie radosna, wręcz spokojna.

- Dobrze - zgadzam się — ty zaczynasz.

Wpatruje się we mnie jeszcze długą chwilę, a kiedy zaczyna mówić, w jego głosie brzmi oskarżenie.

- Jesteś inna. Zmieniłaś się. A ja się czuję, jakbym zrobił coś nie tak, ale nie wiem co. Co zrobiłem nie tak, Louise? Co takiego zrobiłem?

Biorę głęboki oddech.

- Masz rację, zmieniłam się, ale na lepsze. Chyba to widzisz?

- Jedyne, co widzę, to to, że przywiązujesz większą wagę do swojego stroju.

Ale to dobrze! Wyglądam lepiej niż kiedykolwiek. Powinieneś być ze mnie dumny!

- Wolałem cię taką jak dawniej. Byłaś łatwiejsza w pożyciu.

- To znaczy mniej wymagająca.

- To znaczy mniej próżna — zaprzecza — mniej zajęta sobą. Zaczyna się robić paskudnie. Czuję, jak wzdragam się na

każde wypowiedane przez niego słowo. Nie do wiary, że to ten sam człowiek, dla którego jeszcze pół roku temu dałabym sobie rękę obciąć.

— Wiesz co, ludzie powinni się zmieniać — przypominam mu - dobrze jest, jak się zmieniają. Po prostu przyzwyczałeś się, że mam gdzieś, jak wyglądam. Prawda jest taka, że wolisz mnie, jak jestem w depresji. No, ale ja już więcej nie chcę być w depresji. Nie chcę całego życia spędzić na chowaniu się, poczuciu wstydu i ciągłym przeproszaniu, że żyję. Mam prawo wyglądać atrakcyjnie i być szczęśliwa. I mam prawo się zmieniać. — Trzęsę się, drżę na całym ciele, wzruszona siłą własnego oświadczenia. — Tak czy owak, nie chodzi o to, że się zmieniam. Tak naprawdę problemem jest chyba to, że oboje nie chcemy już tego samego.

— To znaczy czego? — słysząc, że jest załamany.

— No... nie wiem... niczego. To znaczy... nie planowaliśmy dzieci, prawda? Co więc będziemy robić? Przesiadywać w tym naszym mieszkaniu, polować na idealny abażur i starzeć się?

— Czy naprawdę jest tak źle? On po prostu nie łapie.

— Tak! Właśnie jest tak źle! Czy ty nie widzisz, że to dla nas źle, tak tutaj siedzieć jak dwójka emerytów, bez żadnych niespodzianek, żadnej pasji, żadnej nadziei, tylko czekać na śmierć? Czy to cię nie uderza jako coś złego?

Przez moment wygląda, jakby miał się rozplakać, a kiedy się odzywa, głos ma zachrypły.

— Czy naprawdę tak widzisz nasze wspólne życie? Naprawdę tak uważasz? Ze jesteśmy jak dwójka starych emerytów?

Wiem, że sprawiam mu ból. Ale jeśli teraz nie porozmawiamy szczerze, nie porozmawiamy nigdy.

— Tak. Tak właśnie uważam.

Siedzi nieruchomo z twarzą ukrytą w dłoniach. Przed nami rozpościera się cisza, wielka i nieprzebyta. Wtem, zupełnie nagle, on podrywa się na równe nogi, a ja w przerażeniu patrzę, jak przemierza podłogę i klęka przede mną.

— Powinienem był to zrobić wcześniej, Louise. Tak cię przepraszam, byłem samolubny. - Spogląda na mnie oczami jak dwa ogromne jeziora. Robi mi się niedobrze.

Sięga do kieszeni i wyciąga malutki, przezroczysty, plastikowy woreczek.

— Może nie byliśmy specjalnie namiętni... nie jestem zbyt dobry w pokazywaniu ci, ile dla mnie znaczysz. Przepraszam, chciałbym ci to wynagrodzić — mówi, kładąc mi woreczek na kolanach.

W nim zaś dryfują pośród pustki trzy kolorowe kamyki. Surrealistyczna chwila; nie bardzo pojmuję, w jaki sposób przeszliśmy od omawiania wspólnego życia do tych dziwacznych, prowizorycznych oświadczeń.

— Kupiłem je w Hatton Garden. Możemy kazać zrobić z nich pierścionek.

Powinłam coś powiedzieć — udać, że jestem zdziwiona lub że jest mi miło — lecz zamiast tego wbijam tylko wzrok w paczuszkę, niezdolna do czegokolwiek oprócz szoku i rozpacz.

— Louise, popatrz... klęczę przed tobą. Wiem, że przechodzimy trudności. I... — Odnoszę niemiłe wrażenie, że ma to przećwiczone. Teraz spuszcza głowę i następuje wymowna pauza. — I chcę, żebyś to przyjęła, żebyś wiedziała, że cię kocham, że przepraszam. — Znow na mnie spogląda.

Teraz moja kolej. W głowie mi huczy. Powiedz coś miłego, coś pojednawczego, krzyczy coś we mnie. Lecz gdy otwieram usta, głos mam zimny i beznamiętny.

Co właściwie chcesz, żebyś przyjęła? Jakież kolorowe kamyki w plastikowej torebce? — Mruga oczami. — To nie jest pierścionek, prawda?

Nie, ale... mógłby być. Ale nie jest. Co to za kamyki? Kręci głowę.

Nie znam ich nazwy... I wtedy robię coś, czego sama się nie spodziewałam: zwracam mu woreczek.

Może byś już wstał? — mówię. Wpatruje się we mnie zdziwiony.

— Louise, błagam cię!

— Błagasz o co? — nagle ogarnia mnie wściekłość. Chcę, żeby wstał z podłogi. Nie chcę już uczestniczyć w tej całej farsie. To wszystko jest obraźliwe: te kamyki, ta przemowa. — Dlaczego to robisz? - pytam twardo. - Dlaczego teraz, po tym wszystkim ?

— Robię to, bo... bo nie chcę, żebyś odeszła.

— Dlaczego? — nie ustępuję. — Co za różnica, czy odejdę, czy nie? A on dalej tylko klęczy, wpatrując się we mnie.

— Powiedz szczerze, tak naprawdę to mnie nie chcesz, prawda? To znaczy nie chcesz mnie dotykać, prawda?

— Chcę cię dotykać — mówi, unikając mojego wzroku.

— Więc czemu tego nie robisz?

Ale on dalej tylko kręci głową. I nic. W końcu pękam.

— Czemu to wszystko robisz? - krzyczę tak głośno i przenikliwie, że ten głos chyba nie może pochodzić ode mnie. — No, powiedz mi! Powiedz! Czemu?

— Bo - szepcze, a ręce mu drżą, kiedy kryje w nich twarz — jak odejdiesz, nie będę ufał sam sobie.

Mój mąż i ja odbywamy „próbną separację”.

Colin szuka kogoś, komu mógłby wynająć wolny pokój. Mówię mu, że tą osobą jestem ja, na co on mruga ze zdziwienia i pyta, robiąc wielkie oczy, czy jest coś, co mógłby zrobić. Nie, mówię, nic nie można zrobić. I tego jestem pewna.

To już trwa miesiące — miesiące rozmów, kłótni, milczenia, łez. Dawaliśmy sobie „jeszcze jeden tydzień”, i jeszcze jeden, i jeszcze. To tak jakby chcieć dokonać amputacji kończyny za pomocą łyżki.

Wytrzymujemy do końca miesiąca, do końca kolejnego nieznośnego miesiąca, a potem się wyprowadzam.

Jest wtorek. Mój mąż oferuje mi pomoc przy pakowaniu.

— Nie jadę na wakacje — mówię zdegustowana i zaskoczona faktem, że on jest w stanie wyobrazić sobie nas stojących ramię w ramię, zdejmujących kolejne rzeczy z wieszaków i układających je w stosiki. Patrzy na mnie otępiałym wzrokiem.

- Odchodzę — wyjaśniam, wypowiadając to słowo powoli i głośno, tak jak mówi się do głuchego. - Tak. Pakuję torby i odchodzę.

Ale on tylko mruga oczami.

— Zapłacę za taksówkę — mówi. Bierze portfel i przygląda się banknotom. Patrę, jak w myślach oblicza, ile może wydać. Banknot dwudziestofuntowy odkłada na później. Chcę go uderzyć, wrzasnąć, przedrzeć się przez tkaninę naszego wspólnego życia jak przez kiepsko pomalowaną teatralną dekorację i wreszcie dotrzeć do sedna. Szarpie się z portfelem. Wyciąga dziesięć funtów. Już to przerabialiśmy. Od dawna tkwimy dokładnie w tym samym punkcie.

Niech już położy te pieniądze na stole. Odwracam się, wchodzę do sypialni i zdejmuję swoją walizkę, tę, z którą przyjechałam do Anglii, myśląc, że zostanę wielką aktorką, i zaczynam pakować do niej ubrania.

Mąż wychodzi na spacer, a kiedy wraca, mnie już nie ma.

Colin mieszka ze swoją współlokatorką Rią (która zajmuje się dmuchaniem szkła i zarządzaniem galerią) w południowym Londynie, poza wielkomięskim szykiem Brixtonu. Miejsce ekskluzywnych kawiarni i południowych koncertów w Katedrze Westminsterskiej zajmuje tu jarmarczny splendor Streatham Mega Bowl* i nocny salon Mecca Bingo.

Taksówkarz pomaga mi wyładować torby i wnieść je po schodach przed wejściem. Dzwonię i w drzwiach staje Colin, w szlafroku, z mokrymi włosami, z głębi ryczy Madonna.

Patrę na nieforemny zestaw toreb, nagle zbyt ciężkich i nieporęcznych.

— Przepraszam, Col. Co ja robię? Co ja zrobiłam? Delikatnie obejmuje mnie ramieniem. — Wejdz. Usiądź.

Zrobię nam pysznej gorącej herbaty.

* Kręgielnia (przyp. tłum.).

Królowanie swetra

Niewiele kobiet jest w stanie oprzeć się pokusie kupienia nowego mięciutkiego swetra w soczystym kolorze. I jakże słusznie! Jeśli, podobnie jak ja, odczuwasz zimno, jest to właściwie jedyny ubiór, który zapewni ci ciepło i zadowolenie przez cały dzień w każdą pogodę, zarówno na wsi, jak i w mieście. Sweter jest babką świata mody: ciepłą, kochającą i wyrozumiałą. (Chyba, rzecz jasna, że przytrafił ci się szczególnie obfity biust. Wtedy w twoim interesie jest ubieranie się w rzeczy mniej obcisłe).

Dobry sweter, na cieplejsze dni z jedwabnych nici, a na chłody kaszmirowy, jest bezkonkurencyjny. A przy odrobinie starania i uwagi będzie ci służył przez lata, nic się nie starzejąc. W naszych zawrotnych czasach zmieniających się ustawicznie mód miła jest świadomość, że granatowe czy płowego koloru bliźniaki pozostaną eleganckie przez następne sezony. To idealny przykład dzisiejszego dążenia do luzu i wygody.

W pierwszych dniach pobytu u Colina popadam w rodzaj odrętwienia, chodzę do pracy otumaniona, a po powrocie zwijam się w kłębek na łóżku i spędzam wieczór, płacząc lub gapiąc się w sufit. W tym ponurym okresie na ubiór wybieram, dość dziwacznie zresztą, znoszony granatowy kaszmirowy sweter mojego męża. Przez całe lata miałam z tym swetrem tajemny romans, wtulając się w jego ciepłą, wyrozumiałą miękkość, jak dziecko przytula się do ulubionego kocyka. Wykładałam go z szafy, kiedy mój mąż był w teatrze, by spiesznie odłożyć go na miejsce, gdy tylko zadźwięczał klucz w zamku.

Nie miałam zamiaru go ukraść i nawet nie jestem pewna, czemu to zrobiłam. Był rozwieszony na oparciu krzesła w kącie sypialni i po prostu zgarnęłam go do walizki razem ze swoimi ubraniami. To jego ulubiony sweter, będzie mu go brakować. I może to właśnie tu jest coś na rzeczy. Może chcę się przekonać, za którym z nas dwojga zatęskni najpierw.

Potem zaczęły przychodzić niebieskie koperty, listy od mojego męża. „Przepraszam... zawiodłem cię... tak mi przykro”.

Przychodziły jeden za drugim, przesiąknięte żalem i skruczą, lecz ani słowa o tym, żebym wróciła do domu.

Spodziewałam się czegoś więcej. Jakiegoś wielkiego gestu: że pojawi się w taksówce w środku nocy i będzie mnie nakłaniał do powrotu. Albo że z naręczem róż zaczał się na mnie przed wejściem do teatru. Część mnie boi się go dostrzec, chudego i wynędzniałego, jak pali papierosa na ulicy, czekając na mnie. Ale jeszcze bardziej boję się tych codziennie tak samo pustych rogów ulic. Przeraza mnie też świadomość pełnej rezygnacji łatwości, z jaką pozwolił mi odejść. Te listy to nie wyznanie miłości ani błaganie o jakąś ugodę, ani nawet obietnica na przyszłość, ale nieustanne, rozpaczliwe przeprosiny, na które właściwie nie ma odpowiedzi. Na swój własny, cichy sposób mój mąż daje mi do zrozumienia, że odtąd rogi wszystkich ulic będą puste.

Siedzę w pokoju, płacząc, dławiąc się i bełkocząc, kiwając się w przód i w tył i siąkając nos w kolejne rolki papieru. Nie mogę ani zawrócić, ani znieść tego, że jestem tu, gdzie jestem teraz. Colin usiłuje wywabić mnie z pokoju za pomocą różnych przysmaków: a to prawie świeżych burbońskich herbatników, a to ponadłamywanych czekoladowych cukierków i curry z kurczaka (okazja: dwa w cenie jednego). Ale straciłam apetyt. Zamiast tego człapię do hinduskiego sklepu na rogu i kupuję pojedyncze porcje spaghetti, które zjadam przeważnie prosto z puszki.

Nawet Ria, która nigdy wcześniej nie widziała mnie na oczy i ma dość powodów, by mieć się na baczności przed bezwstydnym brakiem zdrowia psychicznego widocznym u nowej współlokatorce, czyni kilka ostrożnych propozycji. Oferuje pomoc przy rozpakowywaniu moich rzeczy i śliczną lnianą pościel, a nawet pożycza mi ze swojej kolekcji cennych przedmiotów delikatną lampkę z lat trzydziestych. Ale to wszystko na nic. Nie chcę się rozpakowywać. Moje łóżko jest stanowczo za małe, żebym zawracała sobie głowę śliczną pościelą, a jeśli chodzi o wystrój pokoju, to wszystko mi jedno. To koniec. Jestem skończona. W ciągu paru lat z rozkwitającej, młodej aktorki przemieniłam się w pozbawioną iluzji szefową kasy sprzedającą bilety na sztuki, w których mogłabym sama grać. Mam trzydzieści dwa lata i mieszkam w schowku na miotły i, teatralną ciotą i ze starą panną.

Biorę w pracy kilka dni wolnego. Potem jeszcze kilka. Gdy się zjawiam z oczami czerwonymi i zapuchniętymi od płaczu, moja koncentracja równa jest koncentracji trzylatka. Trzeba mi powtarzać to samo po kilka razy, zanim wreszcie zdołam się do czegoś zabrać. Myle się. Koledzy mnie zastępują, a w końcu dają mi do partaczenia tylko proste, manualne czynności. Przerasta mnie podejmowanie jakichkolwiek decyzji, nawet najprostszych, jak to, jaką kanapkę zjeść na lunch. Dylemat ten obchodzę, nie jedząc nic. Gwałtownie tracę na wadze i nie

mam nawet siły myć włosów czy zorganizować sobie czystych koszul. Dzień w dzień noszę tę samą sukienkę jak uniform. Ale mam to gdzieś. Chcę tylko wrócić do domu, zamknąć za sobą drzwi sypialni i zasnąć, wtuliwszy się w sweter, który wciąż pachnie jak on, jest w dotyku jak on, przypomina mi go.

Aż któregoś dnia, pod koniec trzeciego tygodnia mojej nieutulonej niedoli, sweter przepada.

Rano leży tam, gdzie go zostawiłam, zwinięty w rogu łóżka w przytulne gniazdko, a po południu — nie ma go. Gorączkowo przeszukuję cały swój mały pokój, rozrzucając przy tym zawartość na poły rozpakowanych toreb i zdzierając prześcieradła. Potem poszerzam obszar łowów o salon i okolice, wywracając poduszki na kanapie i wybebeszając kosz z brudami. Dopiero po wyczerpaniu wszelkich możliwości nagle przychodzi mi na myśl, że nie mam do czynienia ze zwykłym przypadkiem zaginięcia — mam do czynienia z porwaniem.

Podejrzane jest to, że oboje moi współlokatorzy wcześniej wycofali się każde do siebie. Najpierw pukam do Colina.

— To nie ja! — przekrzykuje nową płytę Robbiego Williamsa.

— Ale wiesz coś o tym, ty zdrajco! — Z wściekłością gnam przez przedpokój i dobijam się do drzwi Rii.

— Ria, przypuszczam, że masz coś, co należy do mnie, i chcę to dostać z powrotem.

Zduszony, posępny głos odpowiada zdecydowanie. -Nie.

Stoję osłupiała.

— Co znaczy „nie"! To mój sweter! Masz mi go oddać!

— Nie. Źle wpływa na atmosferę w domu. To już przechodzi wszelkie pojęcie.

— Ty bezczelny, mały smrodzie! Jak to może źle wpływać na atmosferę w domu? To nie ma nic wspólnego z atmosferą w domu! - Groźnie szarpię za klamkę.

Uchyła drzwi. Półtora metra wzrostu, w samych pończochach, Ria spogląda na mnie niczym jakiś złośliwy elf.

- Owszem, bardzo wiele wspólnego z atmosferą w domu ma to, że jedna osoba kompletnie się nie stara choćby spróbować wziąć się w garść.

Colin wystawia głowę zza swoich drzwi.

- Jest coś na rzeczy, Louise.

To więcej, niż jestem w stanie znieść. Oczy mnie pieką, a gardło mam tak ściśnięte, że z trudem oddycham.

- Nie chcę dyskutować na ten temat. Po prostu oddaj mi sweter. Nie jestem w nastroju do żartów.

Ria bierze mnie za rękę.

- Kochanie, uwierz mi, taki... taki... brak powściągliwości to nie jest sposób na złamane serce. Robisz sobie tym więcej złego niż dobrego.

Wyrwam dłoń z uścisku.

- A co cię obchodzi, co robię, dopóki zachowuję się cicho i płacę czynsz? Jaka to dla ciebie może być różnica? Dlaczego właściwie miałyby cię to obchodzić?

- Louise... - Jest skonsternowana, ale ja nie mogę się powstrzymać.

- Nie! Nie udawaj! Nawet nie udawaj, że cię obchodzi, co się ze mną dzieje! Czy ty wiesz... czy ty chociaż zauważyłaś, że mój własny mąż nie zadzwonił ani razu, od kiedy tu jestem? Czy ty wiesz, co to znaczy? Czy masz jakiegokolwiek pojęcie?

- Kochanie, przykro mi...

- On nie chce, żebym wróciła! - wyrzucam, a łzy płyną mi po twarzy.
— Nawet nie chce z powrotem tego zasranego swetra!

Wpadam do swojego pokoju i zatrzaskuję drzwi. Zachowuję się jak dzieciak w ataku histerycznej furii. Chociaż sama jestem wstrząśnięta gwałtownością własnej reakcji, opuściły mnie ostatnie resztki samokontroli. Zwinięta w kłębek, żałośnie łkam w poduszkę, wbijając pięści w materac. Jestem bezsilna i bezradna jak dziecko.

Wtem ogarnia mnie silne poczucie *déjà vue*. I powraca • lawne wspomnienie.

To nie jest pierwszy sweter, który ukradłam.

Pierwszy należał do mojego ojca; stary zgniłozielony sweter, który wisiał w pralni koło garażu. Ojciec wkładał go do prac domowych, ale w okresie swojej świetności sweter bywał na niezliczonych męskich imprezach i randkach czasów studenckich. Był stałym kompanem swojego właściciela podczas długich nocy zakuwania do egzaminów na prawie, a im bardziej był zniszczony, tym bardziej był kochany. Gdy w końcu matka wyгнаła go z codziennej garderoby ojca, sweter trwał nadal, cierpliwie nań czekając niczym wspaniały niegdyś pies medalista, dziś starzejący się w swojej oklapłej, miękkiej świetności.

Tym, co z wizerunku ojca najbardziej utkwilo mi w pamięci, jest jego roztargnienie. Zawsze był myślami gdzie indziej. Nieustannie w wirze działania, potrafił stracić na wadze przy samym porannym ubieraniu się. „Mam na dzisiaj całą listę spraw do załatwienia - to była jego stała śpiewka — całą listę spraw". I już go nie było. Stawiał sobie heroiczne, niemożliwe zadania. „Do kolacji powymieniam wszystkie kable" (mój ojciec nie był elektrykiem). Albo: „Na pewno jest jakiś sposób, żeby samemu zbudować sobie kryty basen". Po czym znikał. Zawsze była jeszcze jedna praca do wykonania, coś, czym trzeba się jeszcze było natychmiast zająć, jeszcze jedno niezbędne ulepszenie, które koniecznie trzeba było wprowadzić przed zmierzchem. Grzejąc się samym tylko wiernym zielonym swetrem, odchodził w czerwień zachodu i znikał nam z oczu zagubiony w chwiejnej plamie nieustannego ruchu.

Niełatwo było przyciągnąć uwagę mojego ojca, ale w desperacji można było ukraść mu sweter.

Problem w tym, że wszyscy byliśmy zdesperowani i rywalizacja o sweter była ostra.

Zazwyczaj moja matka zaklepywała sobie pierwsze miejsce. Ale miała też w swoim arsenale broń dużo skuteczniejszą. Opanowała do perfekcji pewną niezawodną technikę absorbowania uwagi mojego ojca, technikę, którą nas zdumiewała.

Ponieważ ojciec uwielbiał zajmować się naprawianiem, wydedukowała, że najlepszym sposobem na zapewnienie sobie jego uwagi będzie zepsucie się. I tak oto cierpiała na dziwne, osłabiające bóle głowy, które uderzały bez ostrzeżenia i trwały od dwudziestu minut do dwóch tygodni, w zależności od potrzeb. To było genialne. Jeśli miał się rozpraszać, to dla niej. W rezultacie miała w naszej rodzinie monopol na wszelką chorobę. Mój brat czy siostra sporadycznie silili się na kiepską imitację, coś jak hołd złożony mistrzyni, ale trudno jest mierzyć się z kimś, kto nie boi się zemdleć.

Jakkolwiek skuteczne, miało to swoje wady. Do czasu gdy skończyłam siedemnaście lat, mojej matce przejadła się rutyna inwalidztwa. Musiało nagle do niej dotrzeć, że jest więcej warta, i to ją rozzłościło. Rozzłościło ją tak bardzo, że przestała w ogóle rozmawiać z ojcem. Nastął tak zwany Rok Milczenia.

To był ponury okres, a ich odmowa przyznania się do tego czyniła go jeszcze gorszym.

- Mamo, czemu ty i tata nie rozmawiacie ze sobą?

— Rozmawiamy. Tylko po prostu nie mamy nic do powiedzenia.

Jego głos przybrał częstotliwość, której już nie odbierała. Złość zawisła nad naszym domem jak burza, która nie chciała rozpuścić się na dobre, napięcie rosło z dnia na dzień. Ojciec nadal pochłonięty był różnymi naprawami, tym bardziej teraz, gdy nie rozpraszały go rozmowy, lecz matka przyjmowała każde osiągnięcie z obojętnością Sfinksa. Wszyscy byliśmy przerażeni tym, jak łatwo jest zniknąć z jej serca. Niewidzialny człowiek w końcu przepadł.

W tym okresie tata i ja zaprzyjaźniliśmy się. Co rano jeździliśmy razem do szkoły, schronieni w azylu auta, gdzie on wysłuchiwał moich niekończących się kasetowych składanek Davida Bowie i przepytywał mnie z lekcji. Gdy czytałam Dickensa, sam kupił jeden tom i też czytał. To wtedy zaczęłam nosić ten zgniłozielony sweter, który wisiał przy drzwiach.

Pewnego dnia przyszłam w nim ze szkoły i matka to zobaczyła.
— Nie noś tego więcej — ostrzegła. Miała szczególny sposób mówienia pewnych rzeczy.

Odgarnęłam włosy z oczu obramowanych grubą linią ołówka.

— A dlaczego? — spytałam zadziornie.

Matka milczała. Jej milczenie miało zdolność rozpryskiwania się na wszystkie strony.

— Jaka to dla ciebie różnica, mamó - nie ustępowałam -przecież sama go już nie nosisz.

Ona tylko rzuciła mi jedno spojrzenie.

— Po prostu nie.

Następnego dnia znów go włożyłam.

Ciągnęło się to kilka tygodni. Matka mnie ostrzegła. Ja ją ignorowałam. Ojca ani śladu.

Aż wreszcie, w dniu moich siedemnastych urodzin, przyszłam ze szkoły z moim ojcem i najlepszym przyjacielem. Matka stała w kuchni z tortem kupionym po drodze z pracy, a gdy weszłam, mina jej zrzędnęła. Oto stałam, trzymając ojca za rękę, śmiejąc się, ubrana w wiadomy sweter. Przemknęła koło ojca, chwyciła mnie za ramię, wpijając się w nie paznokciami, i pociągnęła mnie do przedpokoju.

— To nie jest twoje! — syknęła, z trudem wstrzymując sączący się z każdego słowa jad. — Rozumiesz? To nie jest twoje! — Wbiła we mnie obce, dzikie spojrzenie. Wreszcie puściła moje ramię.

Po tym zdarzeniu przestałam nosić ten sweter. Wrócił na swoje miejsce na haczyku w pralni i przez parę miesięcy wisiał tam bez żadnych przygód.

Aż pewnego wiosennego popołudnia zobaczyłam go na mojej matce myjącej samochód pospołu z ojcem. Ojciec odkurzał wnętrze, skupiając na tej czynności całą swoją uwagę, a matka opróżniała kubek brudnej, ciemnej wody. Dla kogo-

kolwiek innego wyglądali jak zwyczajna para przy tradycyjnym dla niedzielnego popołudnia zajęciu. Ale ja zobaczyłam co innego.

Matka dała za wygraną. Rok Milczenia spełził na niczym. Ojciec prawdopodobnie nawet nie zauważył, że podwędziła mu sweter, tak był pochłonięty sporządzaniem listy rzeczy do zrobienia. A ona wróciła do zwyczaju podkradania mu różnych rzeczy — również chwili bycia razem i bliskości swetra.

Miała rację — to nie był mój sweter. To, co się musi ukraść, nigdy nie jest nasze.

Teraz na dworze zachodzi słońce. Siadam na łóżku i wycieram nos. Kiedy otwieram drzwi, na podłodze w przejściu, równo złożony, leży granatowy sweter.

Przekraczając go, wchodzę do salonu, gdzie Colin i Ria oglądają wieczorny talk-show o parodystach rodziny królewskiej. Colin ścisza telewizor i oboje podnoszą wzrok na mnie.

- Przepraszam — zaczynam — mieliście rację z tym... z tym swetrem... to nie pomaga. — Wbijam wzrok w podłogę. Nigdy w dorosłości nie musiałam przeproszać za urządzenie scen. To dużo trudniejsze i bardziej upokarzające, niż myślałam. — Prawda jest taka, że ja nie bardzo umiem być sama... — nawet powiedziane w ten sposób, brzmi to jak niedomówienie stulecia - ja nie bardzo wiem, jak... no wiecie... jak to zrobić.

Przez moment mam wrażenie, że się roześmieją. I wtedy Colin bierze mnie za rękę.

- Nikt z nas nie wie. Ale ty nie jesteś sama, Luise. Jesteśmy tutaj i też przez to przechodziliśmy. Kiedy przed dwoma laty zostawił mnie Alan, jedyne, co chciałem zrobić, to podciąć sobie żyły.

- I uwierz albo nie, ja byłam nawet zaręczona — dodaje cicho Ria.

Patrzę na nią zaskoczona; drobna, rzutka, lakoniczna w wyrażaniu emocji Ria wydaje się ponad bałaganem nieudanych związków.

— A co zrobiłaś, kiedy się skończyło? — pytam. Prawie nie sposób wyobrazić ją sobie dryfującą w tym samym żałośnie komedianckim wraku, którym mnie tak trudno przychodzi sterować.

Uśmiecha się do Cola.

— Płakałam tak jak ty. A potem przyszedłam tutaj jak ty. Znałam Colina przez znajomego znajomych i kiedy Alan odszedł, Colin potrzebował współlokatora. Reszta to już przeszłość.

Colin lekko ściska moją rękę.

— Witaj w Domu Mateczki Riley dla Zbłąkanych Kobiet. Będzie lepiej, mała. Uwierz mi. Rzecz w tym, żeby nie wypaść z gry, zanim znowu zaczniesz być dobrze. Zobaczysz. Ładnie się ubierz i pokaż się. Nawet jeśli ci się zdaje, że cały świat widzi, że jesteś kupką źle posklejanych kawałeczków.

Ria przytakuje:

— A jak masz wątpliwości, weź kąpiel.

I tak, w braku jakichkolwiek własnych pomysłów, idę za jej radą.

Ria nalewa mi do wanny olejku lawendowego, podczas gdy Colin smaży kielbaski i robi ziemniaczane purée. Kłóć się z Rią, jaką włączyć płytę (*Wariacje Goldbergowskie versus Wielkie Hity Klubowe. Część 2*) i wygrywa Bach, ale tylko przez wzgląd na mój samobójczy nastrój. Colin nakrywa do stołu srebrną zastawą i porcelaną nie do kompletu, które zostawiła mu w spadku ukochana babcia. Kiedy się kąpię, Ria ścieli mi łóżko, rozkładając tę śliczną lnianą pościel, którą wcześniej oferowała, i nawet rozwiesza niektóre z moich ubrań. Gdy wychodzę w szlafroku, świeżo wyszorowana, oboje klaszczą.

Tej nocy łóżko wydaje mi się miększe i wygodniejsze, a ulica za oknem spokojniejsza niż przedtem. Księżyc prześwieca przez wąskie listwy weneckiej żaluzji, tworząc na dywanie małe prostokąty bladego światła; słychać tylko szelest wiatru pośród liści. Zasypiam ciężkim snem, do czego niewątpliwie przyczynia się mocna mieszanina gorącej kąpieli i kieł-

basek, a kiedy się budzę, mimo ciągłego bolesnego ciężaru w okolicy serca czuję się dziwnie orzeźwiona. Uprasowawszy koszulę, wkładam czysty spodnium i razem z Colinem łapię na czas autobus do pracy. Może nadal czuję się jak wydrążona skorupa, ale przynajmniej tak nie wyglądam.

Tydzień później odsyłam sweter mojemu mężowi, załączając krótką notkę: „Wzięłam to przez pomyłkę. Przepraszam za kłopot”.

Jakkolwiek stanowił pociechę, nie chcę go już.

W końcu tak naprawdę nigdy nie był mój.

Siadam rozmyślnie na kozetce w gabinecie mojej terapeutki. Od kiedy odeszłam od męża, zwiększyła częstotliwość naszych sesji i w czasie kilku ostatnich spotkań zwyczajnie odmówiłam wdawania się w rozmowę na temat kładzenia się. Uznałam, że nie ma nic złego w tym, że chcę siedzieć, i zmęczyło mnie marnowanie sesji na rozmowy o tym. Ta decyzja dała mi poczucie swobody, ale pociągnęła za sobą konsekwencje w postaci pewnych zawirowań w dynamice naszej wzajemnej relacji w kwestii statusu.

Pani P. zamyka drzwi i siada. Czeka, aż się położę, ale ja się nie kładę. Uśmiecham się do niej, ale ona nie odpowiada na mój uśmiech. Zamiast tego spogląda na moje buty.

- Te buty mają bardzo wysoki obcas — mówi.

Mam na sobie buty od Bertiego, te czarne zamszowe z rzemyczkami. Są wysokie, ale też bardzo seksowne.

— Tak, owszem.

Nie może oderwać wzroku od tych butów. Zakładam nogę na nogę i jedna stopa kiwa się elegancko, przez co kostka sprawia wrażenie drobnej i kruchej. Mnie się to szalenie podoba, ale pani P. wygląda na zmieszaną.

— Musi się w nich niewygodnie chodzić — dodaje.

- Jest niezłe, jak się już człowiek przyzwyczai. Nie są ani w połowie tak zdradliwe, na jakie wyglądają. Ale tak, to nie są właściwie buty do chodzenia — śmieję się.

Ona sili się na uśmiech. Dlaczego my rozmawiamy o butach?

Rzecz jasna, teraz ja nie mogę się powstrzymać, żeby nie spojrzeć na jej buty: od Marksa i Spencera, takie, co to się je mierzy, wpadając do sklepu po łuskany groszek. Płaskie, beżowe, na gumowej podeszwie. Napotyka mój wzrok i nerwowo przebiera nogami.

— Diametralnie zmienił ci się gust - podsumowuje.

— To chyba dobrze.

Przygląda mi się badawczo znad okularów.

— Ubieram się bardziej jak kobieta pewna siebie — wyjaśniam.

— A jak się ubiera kobieta pewna siebie? — W jej głosie brzmi wyzwanie.

- Widać, że wie, że jest kobietą, i cieszy ją to. Chce, żeby inni ją zauważali. — Wyglądam fałdę spódniczki od kostiumu. — Poza tym mam teraz bardziej odpowiedzialną pracę — przypominam jej — i powinnam wyglądać trochę bardziej profesjonalnie.

- No tak. — Kiwa głową, lecz nie wydaje się w pełni przekonana. O czym staram się ją przekonać?

- Więc dlaczego dawniej nie ubierałaś się jak „kobieta pewna siebie”?

- Bo chyba nie byłam pewna siebie. I nie było nikogo, kto mógłby to zauważyć.

Już to przerabiałymy i nie podoba mi się to. Automatycznie lustruję wzrokiem pokój w poszukiwaniu chusteczek: leżą na stoliku udającym mahoń; wystarczy sięgnąć. Jakże wygodnie. Czy oni uczą na psychiatrii, gdzie umieszczają chusteczki? Jeśli się je położy za blisko, czy ma to oznaczać przyzwolenie?

— A twój mąż?

Wpatruje się we mnie, ale nie potrafię rozgryźć tego spojrzenia. Nie jest ani uprzejme, ani obojętne. Czuję, jak coś mnie zatyka od środka, podchodząc do gardła. Przełykam, biorę oddech, a wreszcie mówię to po raz pierwszy do kogoś na głos.

— Mój mąż jest gejem.

Wypada to jakoś bardzo przyziemnie, jakbym właśnie powiedziała: „Zjem sobie frytek”. Uderza mnie to jako dziwne i łapię się na tym, że posyłam jej głupawy, niepewny uśmiech, taki niezręczny półuśmieszek. Wiem, że to nie na miejscu, ale ta wiedza zdaje się tylko wzmacniać moją reakcję. Przez moment udaje mi się powstrzymać kąciki ust od unoszenia się, lecz wymykają się znowu, tym razem towarzyszy temu krótkie parsknięcie śmiechu. W jednej chwili moja dłoń jest w powietrzu, żeby zasłonić usta, lecz za późno. Uśmieszek eksploduje w atak śmiechu, histerycznego i dziwnie przypominającego odgłosy wydawane przez hienę. Pani P. patrzy na mnie beznamiętnie. Przypomina mi zakonnice, które uczyły mnie w szkole.

— Louise - w jej głosie jest chłód i spokój kamienia - dlaczego się śmiejesz?

Znów jestem sześciolatką w kościele.

— Nie śmieję się — mówię głupkowato, przyciskając dłoń do ust.

— Owszem, śmiejesz się.

— Nie, już nie. — Prostuję się. Myśleć o czymś smutnym, wypadek, rodzice nie żyją. Rodzice nie żyją, rodzice nie żyją. Rodzice nie żyją.

— Louise...

O cholera! Znowu wybucham i rzucam się na kozetkę, zwijając się ze śmiechu.

— Przepraszam - wyjąkuję.

— Louise...

Wydaję odgłosy, jakich nigdy wcześniej nie słyszałam.

— Louise! - Tak?

— Dlaczego się śmiejesz? Udaje mi się unieść głowę.

— A pani by tego nie robiła? — szepczę ochryple.

— Czy czego bym nie robiła?

Wydaje się, że w przeciągu sekundy ochłodziło się o dziesięć stopni. Czuję się malutka i jest mi zimno; mój głos brzmi jak głos dziecka.

— Czy pani by się nie śmiała, gdyby pani wyszła za geja?

Milczenie, które następuje, jest przytłaczające. To milczenie mojego dzieciństwa, milczenie mojej matki, które wcale nie jest milczeniem, tylko wyjąca pustką braku odpowiedzi.

Znowu na mnie patrzy tym spojrzeniem nie do rozgryzienia, a potem mówi:

— Nie. Nie sądzę, żebym się śmiała.

Niebo straciło jasność. Twarz mam mokrą i pieką mnie oczy.

— Proszę spróbować - mamroczę, przecierając oczy jedną z chusteczek z odzysku. - To histeria.

— Co każe ci przypuszczać, że twój mąż jest gejem? — pyta. Jestem zmęczona. Chcę wrócić do domu.

— Powiedział mi. Gdy się poznaliśmy, powiedział, że myśli, że jest gejem, a w najlepszym razie biseksualistą.

Dość tego. Zaraz wychodzę i idę prosto do monopola.

— Ale to nie znaczy, że jest gejem.

Naszło mi cienia do oczu i piecze mnie straszliwie. Czy ja jestem głucha?

— Słucham?

— Powiedziałam - powtarza — że to nie znaczy, że jest gejem. Aha.

— Więc co to znaczy?

— A więc — teraz to ona zakłada nogę na nogę — to znaczy, że kwestionuje swoją seksualność, istotę męskości. To nie znaczy, że jest gejem.

Chwileczkę.

— Ja tylko opowiadam, co mi powiedział. Nie sądzi pani, że on wie, czy jest gejem? Poza tym nie pieprzymy się. Nie jest to istotne pani zdaniem?

— Jest wiele powodów, dla których ustają stosunki seksualne między małżonkami. — Poprawia okulary i przekrzywia głowę. — Jak myślisz, dlaczego ustały?

— No więc — ja też przekrzywiam głowę - myślę, że ustały, bo mój mąż jest gejem i nie jest zainteresowany. Spójrzmy prawdzie w oczy, jak się czegoś chce, zwykle znajduje się sposób, żeby to zrobić. Nie pieprzyliśmy się, bo nie chcieliśmy; oto cała filozofia.

Marszczy brwi.

— Więc ty też nie chciałaś się pieprzyć?

— Bycie odrzuconą przez dwadzieścia cztery godziny na dobę raczej nie działa jak afrodyzjak. To upokarzające. — Po czym dodaje gwoli obrony. - Ze mną jest wszystko w porządku.

Przechyla głowę w drugą stronę jak papuga.

— A jednak twierdzisz, że wyszłaś za geja?

— No tak, jeśli nie liczyć tego. — Co z nią, u diabła? To zupełnie nie to, czego się spodziewałam. Czuję się, jakbym nagle znalazła się w odcinku *Detektywa Monika*. — I nie twierzę, tylko mówię to, co wiem, że jest prawdą.

Znowu patrzy na mnie znad okularów.

— Proszę posłuchać — ciągnę — on nie chce być gejem, to dla niego wściekle niewygodne, to bardzo konserwatywny facet z bardzo konserwatywnej rodziny. I pojawia się ja, i pieprzymy się, i on mi to mówi, a ja wariuję ze strachu przed samotnością i mówię: „Nie, nie jesteś gejem. Popatrz, zreperowałam cię”. A jemu to bardzo odpowiada, bo rozwiązuje jego problem, i pobieramy się, i ktoś tu musi zwariować, bo nie da się pożenić kobiety hetero z facetem homo, tak żeby ktoś nie zwariował, a tym kimś jestem ja. Pojmuje to pani?

Nie odzywa się.

Nienawidzę jej.

- Ja pojmuje. A to też coś.

- Chyba jesteś rozgniewana — zauważa. Zaciskam pięści na szenilowej narzucie.

- Rozgniewana? A tak, odrobinę. Troszeczkę wkurwiona. Strzepuje kłaczek ze spódnicy.

- Jak myślisz, dlaczego?

To już nie do wiary. Mam ochotę czymś rzucić, pozrywać ze ściany te parszywe obrazy i rozwalić je o jej facjatę.

- Dlaczego? Czy pani nie słyszała nic z tego, co powiedziałam? Jestem żoną geja!

Zastanawia się.

- To twój ogląd sytuacji. Nie wytrzymuję.

- Co to znaczy „mój ogląd”? Wie pani co, to dużo więcej niż mój ogląd, to moje doświadczenie, moje boleśnie nabyte doświadczenie tej sytuacji, czy pani w to wierzy, czy nie. NIE JESTEM WARIATKĄ. Moje doświadczenia są prawdziwe. Nie potrzebuję, żeby pani czy ktokolwiek inny je za innie weryfikował. Jeśli kiedykolwiek byłam wariatką, to wtedy, gdy wierzyłam, że ktoś taki jak pani, z pani... z pani niewyobrażalną miernością, jest w stanie mi pomóc!

Zrywam się na równe nogi.

- Złość może być bardzo zdrowa - mówi.

- Odpieprz się, kobieto — odpowiadam, wkładając płaszcz. Oto wychodzą za drzwi opłaty za studia jej dzieci. Ona też wstaje.

- Myślę, że robimy prawdziwe postępy, Louise. Może ci teraz trochę brakować oparcia, powinniśmy pomyśleć o zwiększeniu ilości sesji.

Odwracam się i ujmuję jej dłoń. Nigdy przedtem się nie dotykałyśmy; czuję jej opór, ale nic mnie to nie obchodzi.

Dziękuję pani za pomoc. Dodatkowe sesje nie będą potrzebne. Nauczyła mnie pani, że moim największym błędem

jest zdawanie się na ludzi, którzy o moich sprawach nie mają bladego pojęcia.

Puszczam jej dłoń — opada bezwładnie wzdłuż ciała.

Zaniemówiła. Tylko że i tak jest w stanie mówić.

— Louise, co ty robisz? Nie możesz zakończyć terapii ot tak! Powinnyśmy to omówić podczas serii sesji... Musimy rozwiązać problem tego związku.

Żal mi jej, jest żałosna.

— Nie, nie musimy. Nie musimy rozmawiać ani omawiać, ani rozwiązywać. Proszę przesłać mi rachunek. I kupić sobie porządne buty. I na odmianę coś zrobić. Słowa są tanie.

Otwieram drzwi.

I przechodzę przez nie.

Dlaczego łatwiej jest odchodzić na wysokich obcasach?

Luksusowa bielizna

Od początku stulecia liczba noszonych przez modną kobietę elementów garderoby znacznie się zmniejszyła. Niemniej jednak, mimo że damska bielizna może się ograniczać do dwóch części, powinny one przynajmniej do siebie pasować. Szczytem niedbałości jest noszenie białego stanika z czarnym pasem do pończoch lub odwrotnie. Kolorowa bielizna jest czarująca, ale rzecz jasna, nadaje się wyłącznie pod nieprzejryste lub ciemne sukienki. Wiecie lepiej jest trzymać się bieli. Jeśli jesteś szczególnie wyrafinowana i zamożna, bieliznę możesz dopasować kolorem do reszty ubioru.

Kobiety popełniają błąd, zaniedbując tę potencjalną dodatkową atrakcję urozmaicającą ich wdzięki. Krótko mówiąc: ubierając się, myśl zawsze o tym, że będziesz się później rozbierać oraz przed kim. W końcu nic bardziej nie zdradza kobiety niż jej bielizna. Ona zdradza znacznie więcej niż tysiąc godzin spędzonych na kozetce u psychiatry.

I ostatnia uwaga: to jest obszar, w którym nie wolno zapominać o dyskrecji. Nie myl bielizny pięknej, która dobrze podtrzy-

muje kształty i pozostaje świeża, z tania i wulgarną rodem z magazynów dla mężczyzn. Jest fascynująca? Z pewnością. Lecz elegancka - NIE. Mężczyzna lubi mieć świadomość, że jego żona jest atrakcyjna i wymagająca, nawet gdy on nie patrzy, a przecież chciałabyś, żeby taki właśnie twój obraz, wzbudzający jego najgłębszy zachwyty, miał zawsze.

Pewnego dnia, po tym jak wywiesiłam pranie na rozstawionej w kuchni suszarce, Ria bierze mnie na stronę.

— Louise, co to ma być? — wskazuje na parę starych fig Sloggi zwisających ze sznura z szarą, zmęczoną rezygnacją. (Bez względu na to, ilu się pozbywam, prześladująca mnie Klątwa Strasznych Majtek w tajemniczy sposób wypełnia szuflady nędznymi okazami bielizny).

Od czasów wczesnego dzieciństwa, kiedy byłam dość mała, by robić w majtki, nikt nie zwrócił uwagi na tę część mojej garderoby w sposób tak dramatyczny. Przyglądam im się dokładnie.

— Majtki? — podsuwam niepewnie. (Nawet ja zmuszona jestem podać w wątpliwość ich tożsamość).

— Nie — mówi zdecydowanie, biorąc mnie za rękę. — To nie są majtki. Chodź ze mną, chcę ci coś pokazać.

I prowadzi mnie do swojego pokoju; do sanktuarium, którego zburzyć nie może nic prócz pożaru, włamania czy drastycznej Boskiej interwencji. Ria stworzyła tu najwspanialszą niewieścią przystań. Antyczne mahoniowe łóżko pokrywa kolekcja gobelinowych poduszek i narzuta z pasków materiału wyszperanych na targach całego miasta. Na ścianach wiszą fotografie i malarskie autentyki, wszędzie poustawiane są przedmioty wybrane specjalnie, by wabić i cieszyć: mleczno-białe filiżanki z miękkiej porcelany, wysmukłe ręcznie dmuchane kieliszki do szampana, wzorzyste jedwabne chustki, aksamitne pantofle od Emmy Hope, całe sterty wielobarwnych

pudełek na kapelusze i stosy książek o sztuce, na których poustawiane są wonne świece i świeże kwiaty. W skrzynce na zewnętrznym parapecie pyszni się przebogata gęstwina ziół i kwiatów, których woń przenika do wnętrza przez ogromne otwierane pionowo okno. I chociaż pokój jest mały, za pomocą tysięcy rozmyślnych muśnięć udało się Rii złożyć hołd każdemu ze zmysłów zaniedbywanych w ciągu dziesięciu godzin pracy.

Patrzę, jak klęka przy łóżku i wyciąga płaskie, różowe, przewiązane czarną jedwabną wstążką pudełko z Agent Provocateur.

- To - mówi, ostrożnie otwierając pudełko — są majtki. W pudełku owinięty w cieniutki papier leży koronkowy

komplet: figi i biustonosz, cały w ręcznie haftowane, drobnusieńkie, delikatne szkarłatne maki. Te maki, kwiaty odurzenia i żywej zmysłowości, są tak miniaturowe, tak kunsztownie, lak do bólu maleńkie jak ledwie wyszeptany dwuznacznik, porozumiewawcze mrugnięcie seksualnego żarciku. Połyskują błyszczącą jedwabną nitką na tle atramentowej czerni ręcznie wykończonej koronki, wijąc się wokół krzywizny piersi i rozchodząc się wachlarzowato, jakby wyrastając z kroku fig. ()to bielizna, która jest przemyślnie i ze znanstwem erotyczna, tak w obecności, jak i bez obecności mężczyzny.

Przez chwilę oddajemy się milczącemu uwielbieniu.

- Czy ty je nosisz? — wyszeptuję. Nie wiem, czemu mówię szeptem. Może dlatego, że nigdy jeszcze żadna kobieta nie pokazywała mi swoich majtek.

Nie. — Przykrywa pudełko i ostrożnie zawiązuje kokardkę. To znaczy mam nadzieję, że kiedyś będę. Jestem zafascynowana.

- Kupiłaś je sobie? Rumieni się.

Nie, ktoś mi je kupił. — Mówi to z taką stanowczością, że wiem, iż nie ma sensu pytać kto. - Lecz właściwie — dodaje

szybko — nie w tym rzecz. Jasne, że nie każda para majtek będzie olśniewająca, tego by się nawet nie chciało. Ale... — tu spogląda mi surowo w oczy — wszystko, co masz, powinno spełniać swoją funkcję, zachowując jakiś pozór wdzięku i godności. Bielizna jest nie tylko po prostu bielizną; to ten element garderoby, który stanowi o twoim tajemnym seksualnym „ja”. A ohydne majty to sabotaż wymierzony przeciw twojemu seksualnemu poczuciu własnej wartości.

Z namaszczeniem kiwam głową i usiłuję wykoncypować, czemu moja matka nie wprowadziła mnie w te kobiece tajniki wiele lat temu. I wtedy przypominam sobie stan jej bieliźnianej szuflady.

— Dane ci było oglądać wielkość - uśmiecha się Ria. — A teraz, proszę cię, idź i kup sobie jakieś porządne majtki.

Wracamy do kuchni, żeby zrobić kolację. Przyglądam się w zadziwieniu, jak Ria wyjmuje zakupy: filety z tuńczyka wybrane u handlarza ryb, młode kartofle pokryte autentycznym brudem z Jersey, świeżą miętę, pachnącą i miękką, i wspaniałe maliny do przyozdobienia sałatki. Ria nigdy nie robi zapasów — jedzenie na dany dzień kupuje tego samego dnia, zależnie od nastroju. Przygotowując każde danie powoli, w skupionym zamyśleniu, komponuje swój talerz z uważnym estetycznym rozmysłem.

W świecie Rii wszystko jest szczególne i święte. To znamionuje prawdziwą artystkę.

Najbardziej niezwykle jest to, że gotuje tylko dla siebie. Jestem w stanie sobie wyobrazić, że mogłabym się tak wysilać, szykując wystawną kolację na specjalną okazję, ale dla siebie samej...?

Sięgam po kolejną puszkę firmowego ravioli od Safeway'a i spoglądam na wiszącą na suszarce pod sufitem znoszoną kolekcję majtek, która zwykle wypełnia moją półkę z bielizną. Mogę określić je tylko jako „majtki katolickie”, to jest garderobę przeznaczoną do odstraszania pożądlivych awan-

sów płci przeciwnej. Ria ma rację. Absolutnie nie mogę ich dalej nosić.

Przypomina mi się Madame Dariaux i umysł wypełnia mi jej enigmatyczna rada: „Ubierając się, myśl zawsze o tym, że będziesz się później rozbierać oraz przed kim”.

Rozbieranie. Z moim mężem oznaczało to przebieranie się w koszulę nocną i szybciotko do łóżka przy zgaszonym świetle. Na chwilę zamykam oczy i próbuję sobie wyobrazić, że rozbieram się powoli przed Oliverem Wendtem, a on swoimi ciemnymi oczami przygląda mi się spoza srebrnej chmury dymu. Ale zanim się spostrzegam, fantazja przyska i znów jestem w łazience w mojej koszuli nocnej ze Snoopym.

No tak. Czyny mówią więcej niż słowa. Spuszczam sznur na bieliznę, ściągając zeń ubliżające artykuły, i wciskam je do kosza na śmieci. Nie ma mowy, żebym rozbierała się przed Oliverem Wendtem, mając na sobie bure majtki Sloggi.

Następnego dnia wyruszam do Agent Provocateur na poszukiwanie mojej nowej, udoskonalonej seksualnej tożsamości i porządnego biustonosza. Okazuje się to znacznie trudniejsze, niż myślałam.

Wnętrze jest jedną ostro różowo-czarną koronką: żartobliwa wersja sklepu z niegrzeczną bielizną. Dziewczyny za ladą są ponętne, seksowne i obojętne, a ich niedopięte bluzki eksponują krzywizny obfitych biustów; z głębi sklepu dobiegu dyszący wokal *Je t'aime*. Ostrożnie przeczesuję skrawki koronek i atlasu powiewające na różowych jedwabnych wieszakach: haleczki w słodkich pastelowych kolorach przybrane białymi piórkami, a do tego stringi, pikantne koronkowe staniki i pasy do pończoch, topy z fiszbinami kończące się tuż pod biustem, majtki motylki i ażurowe biustonosze. W różowej poświacie lamp wszystko to sprawia lekko złowieszcze wrażenie jakiegoś Barbie-świata. Nie wiem, kiedy Ria dostała ten haftowany komplet, który mi pokazywała, ale teraz już takich nie ma. Zastanawiam się nad w miarę konserwatywnym

kompletem składającym się z haleczki i fig, ale nie mogę się przemóc, żeby coś zmierzyć. Prawda jest taka, że samo patrzenie mnie onieśmiela i sprawia, że czuję się niezręcznie, a co dopiero gdybym miała w czymś takim chodzić. Po półgodzinie snucia się niby brudny staruch po sklepie z kasetami video wychodzę z niczym.

Przechodząc przez Soho, próbuję sobie przypomnieć ostatni raz, kiedy uprawiałam seks. I nic. Pustka. Stając bez ruchu na środku Soho naprawdę, naprawdę się skupiam. I dalej nic. Jakby to nie było dość straszne, poszerzam kategorię „seks” o rubrykę „sama ze sobą”, ale moja pamięć jest nadal jak płaski pusty ekran. Nie licząc dzieciennych fantazji na temat Olivera Wendta, które zawsze kończą się zamgloną sceną pocałunku, jestem jak jakaś dziewczyna z drugiej ręki. Cnotka. Oziębła.

Chociaż jest to dołujące (a jest bardzo dołujące), muszę się zmierzyć z jeszcze bardziej nagłym problemem: wywaliłam do śmieci wszystkie majtki.

Nie ma rady. Skoro nie udało mi się znaleźć swojego seksualnego „ja” u Agent Provocateur, nie mam wyboru. Powiedzmy sobie szczerze: jeśli nasze tajemne seksualne „ja” mieszka u Marksa i Spencera, sprawy mają się ponuro.

Wlokę się przez miasto, gdy nagle niebo złowroźnie ciemnieje. Przyśpieszam kroku. Gdy krople deszczu twardnieją w lawinę gradu, uskakuję, by schronić się w drzwiach. Po paru minutach stania, wzdragania się i przyciskania do szyby dla lepszego schronienia, zauważam, że ten sklep to nic innego tylko La Perla.

Mimo przekonania, że teraz moim losem są już tylko mury klasztoru, wchodzę do środka.

Ta bielizna tutaj to zupełnie co innego. Żaden nędzny czy wulgarny asortyment. Sam sklep, z kremowo białymi ścianami i blado-marmurowymi posadzkami, ma jasny, złocisty połysk kosztownej perły. Żadnych staników, które niczego nie

przykrywają, ani fig bez niczego w kroku. I ani śladu czarnych koronek czy piórek. Tu jest prawdziwa bielizna. Luksusowa i wygodna w noszeniu na co dzień — jeżeli tylko możesz sobie na to pozwolić.

Jakaś kobieta i mężczyzna kupują razem. Są przystojną parą, raczej młodzi, prawdopodobnie Włosi. Ubrani pięknie, wszystko skrojone w nieskazitelnym a swobodnym stylu, w jakim Włosi celują. On wybiera dla niej do przymierzenia różne majteczki: jedwabne stringi, biodrówki i maksymalnie skąpe figi, a ona potrząsa długimi czarnymi włosami i wygląda na mocno znudzoną, jakby robiła takie zakupy codziennie zamiast oglądania telewizji, co zresztą zdecydowanie by wolała. Podglądactwo mnie ogarnia, kiedy na nich patrzę, ale i tak rejestruję w myślach każdą sztukę, którą on wybiera. Czy to właśnie podoba się mężczyznom?

Lecz oczywiście nie można wkroczyć do sklepu takiego jak La Perła, żeby sobie po prostu popatrzeć. W parę sekund po tym, jak przestępuję próg, już jest przy mnie sprzedawczyni. Co dla mnie niepokojące, jest istnym uosobieniem Madame Dariaux z okładki mojej książki: ten sam arystokratyczny nos, to samo władcze spojrzenie i posągowa fryzura *a la* pani Thatcher. Odchrząkuje i spogląda na mnie z góry, a ja stoję, gapiąc się na nią z otwartymi ustami.

- Chyba potrzebuje pani pomocy — mówi wolno i ostrożnie, jakby ważyła nawet te proste słowa.

Nie mogę się nadziwić podobieństwu.

- Ja... tak... potrzebuję nowych majtek, to znaczy bielizny - jaką się — nie wiem której...

Zanim się obejrzałam, już obłapia mnie rękami i dokonuje pomiaru mojego biustu.

- Miseczka 32 B — mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów — dół chyba rozmiar 10. Do czego ich pani potrzebuje? Do jakiegoś szczególnego ubioru? Może do sukienki bez ramiączek?

- Nie, po prostu do noszenia.

— Wobec tego chyba najlepiej białe — odsuwa mnie od egzotycznych jedwabów, którymi zachwycają się Włosi, w kierunku znacznie skromniejszego asortymentu.

Jestem w punkcie wyjścia, tyle że pięć razy droższym. Tak czy inaczej, idę za nią, a ona wręcza mi biały stanik i figi.

— Czy chciałaby je pani przymierzyć? A niech to licha, czemu nie?

— Tak, proszę.

Wprowadza mnie do przymierzalni wielkiej jak moja sypialnia. Nie brakuje tu nawet małej białej aksamitnej kanapki i delikatnego bursztynowego oświetlenia.

— Zobaczymy, jak to będzie wyglądać — mówi, szorstkim ruchem zasuważąc zasłonę.

Już samo znalezienie się w przymierzalni działa kojąco, relaksujące. Siadam na kanapce i strząsając deszcz z włosów, ściągam z siebie płaszcz. Potem zsuwam buty z nóg i zaczynam się rozbierać. Bielizna z La Perłą, gładka i bez szwów, ma schludny i ponętny krój oraz gustowne koronkowe wykończenie. Jest zgrabna i uwydatnia figurę. Ale czy seksowna?

Oglądam się w lustrze z tyłu. W porządku. Wykonuję mały obrót. Naprawdę bardzo dobrze. Skracam jedno ramięczko biustonosza. Gładząc jedwabne miseczki, układam piersi tak, że są teraz odrobinę wyżej, i z aprobatą uśmiecham się do swego odbicia. I wtedy właśnie zauważam, że zasłona nie została zaciągnięta do końca i przystojny Włoch, czekając, aż pojawi się jego żona, całkiem bezwstydnie mi się przygląda.

Ja widzę jego, a on mnie. Jednak zamiast się poruszyć lub odwrócić wzrok, bardzo powoli się uśmiecha i prawie niedostrzegalnie kiwa głową. Żona go woła, on jej z doskonałym spokojem odpowiada, nie odwracając wzroku ode mnie.

Serce mi wali. Oblewa mnie fala gorąca, a jednocześnie czuję niezwykłą omdlałość. Moja świadomość protestuje: „Jak on śmie!”, ale jest i druga, o wiele bardziej swawolna część

mojego umysłu, i ta jest podniecona i zachwycona. Zgrzyt zasłony i sprzedawczyni chrząka przed przymierzalnią.

— No i jak?

— W porządku — mówię, a mój głos jest o wiele bardziej miękki i głęboki niż zwykle.

Sprzedawczyni wtyka głowę do środka.

— Uhm — z aprobatą kiwa głową. — Idealny wybór! Ile zapakować?

— Hmm — znów patrzę w lustro. Włocha nie ma.

Kupuję trzy zestawy białe, dwa cieliste i dwa czarne. Mam debet na miesiąc, ale nie żałuję.

Znalazłam nareszcie swoje tajemne seksualne „ja” i jest ono troszkę bardziej niegrzeczne i znacznie bardziej kosztowne, niż przewidywałam.

Teraz ubierając się, z przyjemnością myślę, że potem będę się rozbierać. Pozostaje tylko pytanie - przed kim?

Makijaż

Ach! Czyż nie byłoby cudownie, gdyby żadnej z nas nie byłoby on potrzebny? Lecz niestety, tylko niektóre rodzą się pięknymi, zaś większość z nas trzeba dopiero uczynić pięknymi. Makijaż jest jak ubranie dla twarzy, więc kobieta nie powinna pokazywać się na mieście bez makijażu, tak jak nie przechadzałyby się ulicami całkiem rozebrana. Nic lepiej nie rozświetla kobiecej twarzy i nie nadaje jej pełnego blasku niż muśnięcie ust szminką, przeciągnięcie rzęs czarnym tuszem czy odrobina różu.

Jednakże, jakkolwiek mody w dziedzinie makijażu przychodzą i odchodzą, pewne rzeczy niezmiennie są déclassé. Mówiąc całkiem szczerze, za dużo to zawsze za dużo. Ludzie powinni ci prawić komplementy na temat urody twoich oczu, nie zaś ich makijażu. A jeśli okazuje się, że nie możesz objąć mężczyzny, nie zostawiając mu siadów z pudru na klapie marynarki (rzecz zbyt straszna, by ją opisywać), to czas najwyższy rozważyć zarówno swoje motywy, jak i metody. Makijaż zdoła wiele zatuszować w sposób iście cudowny, ale nie sprawi, że nie będą mieć do ciebie dostę-

pu wiek, rozczarowania czy tysiąc innych niepewności zaprzętających kobiety umysł. Jak najbardziej, korzystaj z dobrodziejstw makijażu, lecz bądź dość bystra, by wiedzieć, gdzie się zatrzymać.

Budzę się nagle pewnego ranka i odkrywam, że jakby mało było borykania się z rozpadem małżeństwa, nową pracą, z — nazwijmy to tak — wyzwaniem niezależności finansowej i z przekonaniem, że resztę życia spędzę sama, to jeszcze zrobiła mi się, jako *piece de resistance*, skóra nastolatki - różowa, tłusta i w wykwitach.

Wciągają mnie jakieś psychotyczne tryby. Nie tylko moje życie, ale i moja twarz niebezpiecznie wymyka mi się spod kontroli. Dziewczyna może radośnie unikać jakiegokolwiek związku z rzeczywistością tak długo, jak długo dobrze wygląda. Ale kiedy to zawodzi, konieczna jest drastyczna akcja.

A to znaczy makijaż. Dużo makijażu.

Wstawszy o świcie, w dniu kiedy mam wolne, łapię autobus do miasta i zajeżdżam przed centrum kosmetyczne Selfridges, gdy właśnie otwierają. Skryta za okularami przeciwsłonecznymi, z pochyloną głową wędruję przez kręty labirynt wystaw i znudzonych hostess promujących perfumy, aż natrafiam na jedyny znany mi sposób na Skórę z Problemami.

Ta sama sterylna świeżość wystawy, ci sami sprzedawcy ubrani w białe fartuchy laborantów, te same bladozielone i matowe szklane butelki. Przeżywszy tyle lat i objechawszy pół świata, jestem znowu w punkcie wyjścia.

Moja matka, także psychicznie okaleczona ofiara trądziku młodzieńczego, po raz pierwszy zaprowadziła mnie do identycznej lady, kiedy miałam dwanaście lat. Nie mogłaby przecież pozwolić, żebym cierpiała tak, jak ona sama cierpiała przed laty, w czasach, kiedy nie było jeszcze beztłuszczowych makijaży i leczniczych mydełek. Z ręką mocno zaciśniętą na moim ramieniu powiodła mnie przez dział kosmetyczny Home's

Department Store, aż znalazłyśmy się naprzeciw takiego właśnie lśniącego stoiska.

— Przepraszam, moja córka ma trądzik — obwieściła ku mojemu głębokiemu zażenowaniu — i chciałybyśmy się dowiedzieć, co można by na to poradzić.

Oczywiście najgorsze, co można zrobić, to podejść do lady i obwieścić, że potrzebuje się pomocy.

Podczas pierwszej godziny naszej tam bytności sprzedawczyni, która miała co najmniej czterdzieści pięć lat i wyglądało na to, że zaaplikowała sobie pełny asortyment produktów, nalegała, by najpierw zdiagnozować mój typ cery za pomocą supernowoczesnej Stacji Badania Cery zajmującej osobną wysepkę w samym środku działu kosmetycznego. Stacja składała się z dwóch wysokich białych taboretów i plastikowej podświetlonej skrzynki z jakimiś przesuwanymi wskaźnikami z sekcjami: cera tłusta, mieszana i sucha. Usiadłyśmy na taboretach, sprzedawczyni włożyła biały fartuch, wyjęła notatnik i pióro, po czym zaczęła zadawać mi bardzo poważne pytania w stylu: „Czy masz suchą łuszczącą się cerę?”, na co moja matka wtrącała swoją śpiewkę: „Ona ma tłustą cerę! Tłustą! Ma bardzo tłustą cerę!”.

Sprzedawczyni ze zrozumieniem pokiwała głową i przesunęła wskaźnik w oświetlonej skrzynce na sekcję „tłusta”, oznaczoną etykietą „ściągające”. Potem przeszła do kolejnego pytania. „Czy określiłabyś pory w swojej twarzy jako małe, normalnej wielkości czy duże?”

— No, proszę tylko spojrzeć. — Matka pchnęła moją głowę w jej kierunku i w następnej chwili obie ze sprzedawczynią wgapiałyśmy się nawzajem w swoje pory.

— No tak, duże — potwierdziła, a jej pory wydawały mi się wielkie jak stodoła. I ponownie przesunęła wskaźnik na „tłusta”.

Widok Stacji Badania Cery w akcji był niewątpliwą nowością, tym bardziej gdy chodziło o kogoś tak młodego i w po-

trzebnie tak naglącej, teraz więc gromadził się już wokół nas tłumek. Ze względu na poszerzającą się widownię sprzedawczynie podniosła głos, wykrzykując kolejne pytanie na cały parter.

— No, a ile razy dziennie potrzebujesz nawilżania?

— Nawilżania? — odkrzyknęła moja matka. - Czy pani nie rozumie, że ona ma tłustą cerę? TŁUSTA! Nawilżanie jest ostatnią rzeczą, której jej trzeba! - I kobiety z tłumu, a także, nie przesadzam, nawet niektórzy z mężczyzn w dziale obuwicznym po drugiej stronie przejścia współczująco kręcili głowami.

Kiedy wszystkie wskaźniki ostatecznie i w sposób naukowy ujawniły, że rzeczywiście mam cerę tłustą, sprzedawczynie wyrwała kartkę z notatnika, zdjęła fartuch i spowita chmurą perfum powiodła nas z powrotem do lady.

— Na szczęście mamy sporo produktów skutecznie zwalczających problemy cery tłustej - zaczęła. Kolejne trzy kwadransy zatarły mi się w pamięci.

I tak oto nabawiłam się wyglądu Joan Collins w wydaniu dwunastoletnim.

Teraz, krążąc tuż poza zasięgiem władzy sprzedawczyń w białych fartuchach, jestem na granicy zrobienia tego raz jeszcze. Zdejmuję okulary i biorę głęboki wdech. Sytuacja desperacka wymaga desperackiego kroku.

Godzinę później jestem uzbrojona w nową kolekcję smarowideł, środków ściągających, bibuły do usuwania tłuszczu, różu, w zestaw czterech cieni do powiek (trzy mi się nie podobają), a do tego szminkę gratis w kolorze, jakiego nigdy nie użyję. Od tej chwili słowa „świeża buzia” są tylko odległym wspomnieniem. Tak jak dodatnie saldo na rachunku bankowym.

Jednak są bolączki, których nawet najdoskonalsze wcielenie się w Joan Collins nie uleczy.

Następnego dnia w pracy zaglądam do skrzynki i nic. W dalszym ciągu ani słowa od Olivera Wendta, którego nie

widziałam od tygodni. Co zrobiłam nie tak? Na górze przy biurku gapię się bezmyślnie w ekran poczty, rozgrywając w pamięci cały ciąg wydarzeń. W kółko.

Minęło mnóstwo czasu, od kiedy zostawiłam liścik — liścik, którego wysłania teraz serdecznie żałuję. Czuję się jak ostatnia pinda. Co gorsza, nadal cały czas myślę o nim, nadal wędruję po korytarzach teatru w nadziei, że go spotkam, nadal żaden inny mężczyzna nie wydaje mi się atrakcyjny i nadal trzymam się tej dawnej obsesji.

Skoro Oliver Wendt mnie widzi, to znaczy, że istnieję. Na tej to filozoficznej przesłance zbudowałam swoje nowe życie. A skoro już istnieję, wolno mi uczestniczyć w całej dynamice życia bez konieczności przeproszania, zajmować miejsce w przestrzeni i czasie, chcieć różnych rzeczy, sięgać po nie, próbować, ponosić porażki. A jednak nie wiem, jak można było tak daleko zajść, tak wiele zmienić, a mimo to nie zdołać osiągnąć samego Olivera. On jest trofeum, jest nagrodą, która należy mi się za te wszystkie wysiłki, jest przyczyną, dla której tak się namęczyłam.

Na pewno go kocham. Myślę o nim bez przerwy.

Czy może tak naprawdę myślę o tym, że on myśli o mnie? Czy Oliver jest tylko lustrzaną powierzchnią, w której po raz pierwszy dostrzegłam własne odbicie?

Wtem dzwoni telefon. Czy to może to, nareszcie? Biorę głęboki oddech, serce mi łomocze, gdy sięgam po słuchawkę.

— Tu kasa Phoenix Theatre — mruczę najłagodniej i najspokojniej, jak potrafię. — Czym mogę służyć?

Zapada chwila ciszy.

— To ja — odzywa się mój mąż. — Musimy porozmawiać. Spotykamy się na obiedzie w Spaghetti House koło teatru.

Oboje nie jesteśmy w stanie ukryć szoku, jakim jest to spotkanie. On jest jakiś zmięty, wychudły i wycieńczony, ja wyglądam jak Pulcinella. Stoimy w drzwiach, nie wiedząc, jak się przywitać, i bojąc się spojrzeć sobie w oczy.

Siedzimy przy narożnym stoliku. Zamówione jedzenie stoi nietknięte. Mam wrażenie, że mijają całe godziny bolesnego blablania i ciężkiego milczenia, zanim on wreszcie pyta:

- Więc co dalej zrobimy ?

Nie jest to temat, który jestem gotowa omawiać, chociaż podejrzewam, że oboje znamy odpowiedź. Bawię się sztucami, usiłując ustawić nóż na trzonku.

- Nie bardzo wiem - gram na zwłokę. — A co byś chciał zrobić?

Nóż się przewraca, w ostrzu miga mi moje odbicie: pokraczna twarz z beczi śmiechu.

- Rozumiem, że nie wracasz.

Próbuje wziąć mnie za rękę. Wszystko to jest zbyt nagle, zbyt prawdziwe.

Kelner przynosi nam kawę. Dla ukojenia obejmuję dłońmi ciepłą porcelanową filiżankę.

- Nic się nie zmieniło — mówię w końcu. Dla mnie samej brzmi to niejasno.

Wzdycha smutno. Zapada niezręczne milczenie.

Podnoszę łyżeczkę i już mam dolać sobie trochę mleka, gdy moje odbicie, blade i wykoślawione, znowu spogląda na mnie z metalowej krzywizny. Natychmiast zatapiam je w cukiernicy.

- Widziałem się z prawnikiem. — Moje kluczenie go nie odstrasza. — Dla ostrożności.

Otwieram usta, żeby coś powiedzieć. Ale nic się z nich nie wydobywa.

- Powiedz szczerze, poznałaś kogoś?

Podnoszę oczy zaskoczona. I w przyciemnionej szybie za jego plecami znów widzę siebie, z twarzą czerwoną i rozpaloną, prawie nierozpoznawalną za maską makijażu. Rumienisz się.

- Nie! Tylko w głowie mi się nie mieści, jak mogłeś nawet coś takiego pomyśleć! — płaczę się, pewna, że czyta w moich grzesznych myślach.

— Skoro tak, to może zdołamy to naprawić, nie sądzisz? — Sięga przez stół i dotyka mojej dłoni.

— Przepraszam — usiłuję odsunąć swoje krzesło od stolika — ja naprawdę... naprawdę nie mogę teraz.

W głowie mi huczy i ręce mi się trzęsą, gdy sięgam po torebkę.

— Louise, musimy o tym pomówić!

-Tak, wiem. — Wstaję. — Ale proszę, nie teraz! — zostawiam za sobą strużkę słów, idąc w stronę wyjścia.

Całą drogę do teatru pokonuję biegiem, aż do bezpiecznego schronienia w damskiej toalecie. Ochlapując twarz wodą, nacieram dłonie tanim różowym mydłem i szoruję ją do czysta. Makijaż się rozmywa, tusz i szminka, spływając, tworzą groteskowe kształty. I nagle łkam w ciepłą wodę.

Wszystko poszło nie tak. I cały makijaż świata tego nie pokryje.

Wieczorem w domu zamykam się na klucz i siedzę z piórem i samoprzylepnymi karteczkami, wynotowując złote myśli Madame Dariaux. Jeśli tylko się skoncentruję, jeśli tylko dobrze to zrozumieć, wszystko będzie jasne. I będę wiedziała, co robić.

Następnego dnia w pracy mam telefon z foyer, że ktoś czeka i chce się ze mną widzieć.

— Czy to mężczyzna? — pytam ostrożnie.

— Nie. — Ochroniarz tłumi beknięcie. — Jakaś stara zdzira.

Mona stoi we władczej pozie na środku holu, paląc papierosa i z wyniosłą pogardą spoglądając na afisz reklamujący sezon nowego pisarstwa lesbijskiego, które gościmy w przyszłym miesiącu. Na ramiona narzucony ma popielaty kaszmirowy szal wykończony lisem, a z jej przegubu zwiesza się mała zielona torebka od Harrodsa.

Wszystko we mnie chce się odwrócić i wbiec z powrotem na górę, zanim Mona mnie spostrzeże. Za dobrze by było.

Odwraca się, podnosi wzrok i jej twarz powoli rozszerza się uśmiechem Kota z Cheshire.

— Louise! — wykrzykuje, jakbyśmy były nie tyle teściową i synową, ile rozłączonymi kochankami, a w chwilę potem ląduję w ciasnych objęciach Mony, niemal zaduszona przez kaszmir i woń perfum.

Gdy się uwalniam, wyciągniętą ręką chwyta mnie za ramię i dramatycznie gestykuluje.

— Ależ kochanie, ty, zdaje się, nie najlepiej się czujesz? Przecież ty najwyraźniej jesteś chora od całej tej szopki. Spójrz! Sama skóra i kości! Czy ten Calvin, u którego mieszkasz, nie ma nic do jedzenia?

— Cieszę się, że cię widzę, Mona — kłamię. — A poza tym on jest Colin. Mój współlokator nazywa się Colin.

— Nie ma gadania, zabieram cię na obiad! Pójdziemy, gdzie zechcesz: do The Ivy, Le Caprice... gdzie tylko zechcesz i porządnie cię nakarmimy!

Ciągnie mnie przez foyer, ale udaje mi się wywinąć.

— Przepraszam, ale nie mogę. Właśnie zaczęłam pracę i następną przerwę mam Bóg wie kiedy.

— To na kawę. Tylko na parę minut.

Trzymając dłoń na moim karku, popycha mnie zdecydowanie w stronę drzwi. Czuję się jak listek, mały, brązowy i leciutki, który daje się nieść wodom strumienia ku jakiemuś ził radzieckiemu wodospadowi. W ciągu pięciu lat znajomości z Moną nigdy nie udało mi się jej przeciwstawić i nie wygląda na to, żeby miało się to zacząć udawać teraz.

Siadamy w Cafe Nero po drugiej stronie ulicy. Mona zamawia podwójną kawę z ekspresu, a ja piję niegazowaną wodę, obracając butelkę w kółko i zdzierając długie paski etykiety, podczas gdy ona mówi.

— Louise... — zaczyna i z samego tonu jej głosu wiem, że nie będzie to dla mnie rozmowa przyjemna. Wyczuwając to, przerywa i zaczyna od nowa. - Po pierwsze, to dla ciebie! —

Z namaszczeniem kładzie torebkę od Harrodsa na stoliku między nami i całe moje wnętrze zapada się w udręczeniu.

— Naprawdę nie trzeba było. Wypada to płasko jak naleśnik.

Ostatnią rzeczą, jakiej bym chciała, to musieć odstawić przed Moną cały ten idiotyczny spektakl zachwyty i wdzięczności. Nie dzisiaj. Nigdy.

— Właściwie to nie jest kupione u Harrodsa... Dostałam to w pewnym sklepiku w Hampstead, ale miałam tę torebkę w domu i pomyślałam, że sprawię ci frajdę.

Nie bardzo wiem, dlaczego nadanie czemuś wyglądu zakupu z innego, droższego sklepu miałoby być frajdą, ale wiedza, że ten prezent w istocie nie jest ekstrawaganckim gestem z Harrodsa, a tylko świecidełkiem noszącym jego pozory, czyni tę szopkę jakoś znośniejszą. W torebce spoczywa mała papierowa paczuszka. Rozwijam papier i odkrywam srebrną broszkę w kształcie ryby.

— Oj! Miło, że pomyślałaś. Naprawdę śliczna.

— Tak myślałam, że ci się spodoba, skoro sama jesteś Rybą, no i w ogóle. Nie wiem, czy wierzysz w takie rzeczy, ale... to frajda.

Dzisiaj nic tylko frajda. Świetnie się bawimy.

— Śliczna - mówię jeszcze raz, na powrót owijając rybę w papier i odkładając do torebki z Harrodsa. Nie mam dość siły, żeby powiedzieć Monie, że moje urodziny są w czerwcu.

Oddzieram kolejny kawałek etykiety i patrzę, jak Mona wyjmując z portmonetki małą emaliowaną fiolkę i ostrożnie wsypuje do kawy dwie maleńkie tabletki sacharyny. Łyżeczka zawadza o brzeżek filiżanki, wydając krótki brzęk.

— Tak... nie będę pytać, jak się miewasz, Louise. Widać, że cała ta historia bardzo źle na ciebie wpłynęła. I oczywiście jestem tu, żeby służyć ci pomocą i wskazówkami. W życiu każdej kobiety przychodzi pora, kiedy potrzebuje rady i wsparcia, nazwijmy to tak, bardziej doświadczonej powiernicy.

Dalej odzieraam butelkę z etykiety. Odchrząkuje.

- Będę z tobą szczerą. Wszystkie małżeństwa przechodzą gorsze okresy. To należy do umowy, prawda? Na dobre i na złe, mam rację?

Robi pauzę, ale nie osiąga zamierzonego efektu.

- Louise, wiem, że mój syn bywa trudny. Jest wrażliwy, to artysta. Jego ojciec, Panie, świeć nad jego duszą, był taki sam. Ale ty i ja jesteśmy kobietami, to my jesteśmy tutaj dorosłe. Mam rację? Pewnie, że wszystkie chciałybyśmy, żeby życie składało się z romantyzmu, kwiatów i tak dalej, ale czasami to po prostu nie jest tak. Żeby związek funkcjonował, trzeba dużo więcej niż tylko seksu! — Śmieje się niezręcznie. — Czasami w małżeństwie chodzi bardziej o dobroć, wspólne zainteresowania, jakieś wzajemne zrozumienie...

Nie działa. Mona przez moment wpatruje się w małą, czarną ciemność kawy, a gdy odzywa się ponownie, głos ma zmęczony i bez życia.

- Znam swojego syna. Wiem, że jest... trudny. Ale on cię kocha, Louise. Na swój sposób.

Wpatruję się w stół.

Wzdycha ciężko i zagląda mi w oczy. Jej głos przybiera ton oskarżycielski.

- Nie ułatwiasz sprawy, prawda?

- Sprawa nie jest łatwa.

Jej wargi rozciągają się w uśmiechu.

- Nie. Oczywiście, że nie. Ale czy zastanawiałaś się, gdzie pójdziesz? Co zrobisz? Być może, sytuacja nie jest idealna, ale w końcu żyjesz już dość długo, żeby zdawać sobie sprawę, że na świecie jest więcej niż jeden rodzaj miłości. Musisz się nauczyć przyjmować pewne rzeczy z dobrodziejstwem inwentarza.

Odsuwam krzesło od stolika i wstaję.

- Przepraszam, Mona, naprawdę muszę iść. Bardzo dziękuję za broszkę.

Nie rusza się.

— Ależ bardzo proszę. Miło mi. — Po czym nachyla się przez stół i chwyta mnie za rękę. — Tylko pomyśl nad tym, co powiedziałam. Czasem najlepiej jest po prostu się pogodzić.

Puszcza moją rękę, a ja odwracam się i wychodzę z kawiarni.

Tego wieczora Colin i ja jedziemy właśnie do domu autobusem, gdy on spogląda na mnie i mówi:

— Nie ruszaj się, masz coś na policzku.

Po czym wyciąga palec i zaczyna coś zdrapywać. Uchylam się gwałtownie.

— Nie dotykaj! — warczę. — Zostaw to. Ale on nic.

— Ej, Louise, masz tu tylko jakiś ciemny ślad. — Ślini palec, jak robią to matki swoim małym dzieciom, i zaczyna drapać jeszcze mocniej. — Nie rusz się, już prawie mam.

Ale ja wiem, z czym on walczy, i nie jest to żaden ślad, tylko ropiejący czyrak, którego zatuszowanie zajęło mi dobre dziesięć minut i łączyło się z użyciem dwóch różnych specyfików, a on to teraz tylko pogarsza.

Odpycham go.

— Powiedziałam ci, zostaw to! Nie rozumiesz po ludzku? Odczep się!

Autobus z szarpnięciem staje na naszym przystanku, pędzę do wyjścia, on zaś przedziera się za mną obładowany zakupami.

— Co cię właściwie ugryzło? — mówi, gdy gramolimy się z autobusu. - Czemu jesteś taka drażliwa?

— Nie jestem drażliwa, tylko nie chcę, żeby mnie dotykać! — ripostuję, idąc, a raczej biegnąc ulicą najszybciej jak umiem i jak najdalej od niego.

— Fajnie! Skoro chcesz paradować z wielkim czarnym plackiem na twarzy, to świetnie. Chciałem tylko pomóc. Boże, Louise, naprawdę zaczynasz być trudna, wiesz o tym?

— A kogo to obchodzi — syczę, nagle zirytowana ponad wszelką miarę. Przekręcam klucz w zamku frontowych drzwi i z tupotem wchodzę po schodach.

Przytrzymuje nogą drzwi, nim zdążą się z impetem zatrzasnąć.

— Mnie obchodzi!

Ale ja jestem już w mieszkaniu, w połowie drogi do swojego pokoju. W chwili gdy już dochodzi na piętro, zatraskuję za sobą drzwi. Lecz on idzie w ślad za mną i ze wszystkimi zakupami wpada do pokoju, nim udaje mi się go powstrzymać.

— Mnie obchodzi! — krzyczy znowu. A potem staje.

Rozgląda się.

Wszędzie, na lustrze, na ścianie, widnieją małe żółte samoprzylepne karteluski.

Przypominają mi, co jest eleganckie. A co nie.

— Rany boskie, Louise, o co w tym wszystkim chodzi?

— O nic — mówię ściszym nagle głosem. — To w związku z książką, którą czytam.

— Z jaką książką? - Stawia zakupy na ziemi. — Skarbie, to nie jest normalne.

— Tak, no... nie jestem normalna, ani trochę. Coś jest ze mną nie tak. - Odgarniam włosy i pokazuję mu policzek. — Widzisz? To nie jest ślad, to pryszcz. Mam ich pełno. Gdyby Oliver Wendt zobaczył mnie w tym stanie...

— Oliver Wendt? A co on ma z czymkolwiek wspólnego? -Nic.

Zabrnęłam za daleko. O, cholera.

— Tylko że poszliśmy na drinka i on powiedział, że mnie gdzieś zaprosi, więc zostawiłam mu liścik i nie dostałam żadnej odpowiedzi. Żadnej. Najwyraźniej mnie unika. Pewnie mnie zobaczył i pomyślał: „Co ja robię z tą nieudacznicą?”.

Colin siada ostrożnie na brzegu łóżka.

— On jest w Australii, Luise. Wysłali go, żeby tam wyreżyserował *Gale Force*.

— Ach - mówię głupio. Nigdy mi nie przyszło do głowy, że mógł wyjechać.

— Co to wszystko jest? — pokazuje na żółte karteluszeki. I zanim zdążę go powstrzymać, sięga i zrywa ze ściany jedną z nich. — „Uroda nie jest gwarancją szczęścia — odczytuje — zamiast tego dąż do elegancji, stylu i wdzięku”. Co to ma znaczyć? Louise?

Mówi do mnie, lecz jego głos dochodzi jakby z oddali. Już to przerabiałam, dokładnie to samo.

— Louise?

— To nie działa. Choćbym nie wiem co robiła, nie działa. Nigdy nie będę elegancka. Nigdy mi się nie uda. Wszystko wyszło do kitu. Zupełnie do kitu. — To wszystko, co potrafię z siebie wydusić.

— Skarbie, usiądź. — Colin ciągnie mnie za rękę, tak że uginają mi się kolana i gwałtownie ląduję na łóżku. — Powiedz mi, o co w tym wszystkim chodzi?

Zdejmuję książkę, moją biblię, z honorowego miejsca na nocnym stoliku i podaję mu. Niemal natychmiast tego żałuję.

— *Elegancja* — odczytuje na głos, zamaszystym ruchem otwierając książkę. — Co to jest? Jakiś przedpotopowy poradnik?

Przewraca kartki, jakby to było tylko jakieś zabawne kuriozum.

— Nieważne.

Próbuję odebrać mu książkę, lecz unosi ją wysoko, tak że nie mogę dosięgnąć.

— Nie tak prędko! Czy ty naprawdę chcesz mi powiedzieć, że uważasz, że ta kobieta, jak jej tam, Madame Dariaux, wie, co to znaczy być elegancką? Ze ma coś, czego tobie brakuje? A tak poza tym ona ma włosy jak Margaret Thatcher.

— Nie ma! - kuksam go w ramię, trochę mocniej niż zamierzałam. Nie pozostaje mi dłużny.

— Owszem ma! Słuchaj, Luise, ta książka to tylko poglądy jednej kobiety. I jak widać, poglądy jednej kobiety z zupełnie innej epoki! Co ona w ogóle wie? Czy kiedykolwiek musiała przechodzić przez to, przez co ty teraz? Czy zostawiła męża i musiała budować sobie życie od nowa? Dlaczego się zadręczasz? Bo to, co robisz, to jest zadręczanie się. Nie masz ani odrobinę odwagi, żeby zaufać własnym instyngtom? No to co, że popełniasz błędy czy masz kilka pryszczycy! Boże, gdybym to ja właśnie odszedł od swojego męża, działałoby mi się dużo więcej. Kilka pryszczycy to byłby pryszcz!

— Ty nie rozumiesz! Nikt z was nie rozumie! To nie chodzi o jakieś tam parę pryszczycy! Ani o przyjmowanie czegoś z dobrodziejstwem inwentarza! Ani o żadne takie bzdury! A teraz oddawaj to!

Znowu próbuję pochwycić książkę, a on znowu balansuje nią tuż poza moim zasięgiem.

— Nie. Najpierw mi powiedz, dlaczego w ogóle bycie elegancką jest takie ważne?

— No bo... bo... — W głowie mam pustkę, czuję, jak mózg mi się zapada przytłoczony ciężarem frustracji. — O Boże! A odchrzańże się ode mnie, Colin! - wybucham. - Przestań być taki cholernie zadufany i daj mi święty spokój!

Przez moment się we mnie wgapia. Po czym ciska we mnie książką i wstaje, zbierając siatki z zakupami.

— W porządku - mówi zimno. - Jak sobie chcesz. Wielkimi krokami wychodzi z pokoju i drzwi zamykają się

za nim z trzaskiem. A ja zostaję sama ze swoją książką, karteluszkami, pryszczami i rybą udającą broszkę od Harrodsa.

Jeszcze nigdy w życiu nie byłam wobec nikogo taka ordynarna. Ściskając książkę drżącymi rękami, usiłuję pojąć, co się właśnie stało. Czemu reaguję tak przesadnie? Czemu nie mo-

gę zwyczajnie odpowiedzieć na jego pytanie? I czemu, po tym wszystkim, bycie elegancką jest dla mnie takie ważne?

I wtedy zaczyna mi świtać, wyłaniać się z wolna z ciemności umysłu, że może gdybym ja była bardziej kobietą, to on byłby bardziej mężczyzną.

Gdy w końcu odważam się wychynąć ze swojego pokoju, zastaję Colina w kuchni: właśnie przyrządza sobie pieróg pasterski*, słuchając transmisji meczu. Przez chwilę stoję w drzwiach, przyglądając się, jak ugniata kartofle, ale mnie ignoruje. Przenoszę się więc na środek kuchni, gdzie jestem prawdziwą zawadą, i nie ruszam się z miejsca.

— Przebacz mi. Nie miałam racji. Zachowałam się wstrętnie. I po chamsku.

Na chwilę przerywa swoje zajęcie i spuszcza głowę.

— Nie miałam racji i byłam wstrętną chamką — powtarzam. Podnosi wzrok.

— Nie chodzi tylko o to. Martwię się o ciebie, zachowujesz się jak wariatka.

— Wiem, ja jestem wariatka. Col, błagam cię. Nie chcę, żebyś mnie znienawidził. Wywalę te karteluszkę i odłożę książkę. Tylko błagam, przebacz mi! Powiedz, że dalej jesteśmy przyjaciółmi.

— No, już dobrze. - Podchodzi i przytula mnie. — Posłuchaj, Louise, cokolwiek by między nami zaszło, cokolwiek byśmy powiedzieli czy zrobili, jedno mogę ci obiecać. Zawsze się pogodzimy.

Długo, długo trzymał mnie w ramionach. W tydzień później mój mąż i ja postanawiamy wnieść o rozwód.

I niebawem twarz zaczyna mi się wygładzać.

* *Shepherd's pie* (oryg.) — elanie będące czymś w rodzaju kotleta mielonego zapiekanego w kartoflanym puree (przyp. tłum.).

Negliże

Jednym z najbardziej zadziwiających przykładów niekonsekwencji u wielu skądinąd eleganckich kobiet jest to, jak dalece nie przywiązują wagi do własnego wyglądu w czasie, gdy przebywają w domowym zaciszu. A to właśnie jest czas i miejsce po temu, by być jak najatrakcyjniejszą.

Na jedną kobietę, która pod koniec dnia zmywa makijaż i zastępuje go delikatniejszym, przewiązuje starannie uczesane włosy wstążką i wślizguje się w piękny, długi szlafroczek czy podomkę, tudzież parę pasujących do tego pantofli, ileż kobiet paraduje wieczorem po domu w rozwleczonym szlafroku, z głową najeżoną lokówkami, z twarzą usmarowaną kremem (jeśli już nie pokrytą zieloną czy czarną maseczką) i w ogromnych bezkształtnych kapciach? To każe się zastanowić, kogo rezultat tych upiększających zabiegów ma oczarować - bez wątpienia sklepikarzy, z którymi będzie się widzieć następnego ranka, robiąc zakupy. A tymczasem nieszczęsny mąż uczy się unikać widoku swojej rozkudlanej żony, wlepiając zamiast tego wzrok w sportowy dodatek do gazety albo kontemplując ekran telewizora.

W końcu czyż nie po to właśnie stworzono salony piękności, by oszczędzić biednym, drogim mężom strasznej konieczności widzenia wszystkiego?

Mam trzydzieści dwa lata i po raz pierwszy w swoim dorosłym życiu mieszkam z ludźmi, z którymi nie sypiam, popularnie zwanymi współlokatorami. Mamy wspólną kuchnię, łazienkę i salon.

Mieszkanie we wspólnocie nie przychodzi mi łatwo. Z początku popełniam trochę gaf. Nie wiem, czy należy robić dla siebie zakupy ani czy siedzieć z innymi w salonie i oglądać telewizję. Jestem za to bardzo dobra w zmywaniu i wynoszeniu śmieci. Każdy dzień jest edukacyjnym doświadczeniem. Od Colina dowiaduję się, jak rozmieszczać zakupy trzech osób w jednej lodówce („Najpierw układaj duże, potem małe, złotko. Planuj do góry!”). A Ria uczy mnie, jak brać kąpiel ze świeczkami, specjalnym mydłem, solami do kąpieli i szorstkimi myjkami.

— Łączysz się z samą sobą - instruuje mnie. - Woda to twoje życie uczuciowe. Jak będziesz kąpać się na chybcika, związki nigdy nie będą ci się układać.

No, niech będzie.

Jedno, co robią razem, to zrzucają się i kupują mi nowy szlafrok, rzekomo w charakterze strasznie spóźnionego prezentu gwiazdkowego.

— Mamy coś dla ciebie — odzywa się Colin pewnego wieczora, kiedy akurat wszyscy szykujemy kolację. I podaje mi wypchany pakunek. Ria uśmiecha się i patrzy w podłogę.

— O rany, ludzie! Co wy! — jestem w siódmym niebie, chi-chram się i rozrywam opakowanie jak dzieciak. Kiedy dostaję się do środka, zawartość wygląda na ogromniasty ręcznik.

— O rety! — mówię, zastanawiając się, czemu kupili mi ręcznik. - Świetny. Naprawdę nie trzeba było.

- Cieszę się, że ci się podoba — mówi Colin, spoglądając na Rię, która tak usilnie stara się nie roześmiać, że aż musi się odwrócić. — A tak w ogóle, Louise, to jest szlafrok.

-Ach, no tak, teraz widzę! Świetny! - mówię, zauważając, że jest ogromny. I niebieski. I bezkształtny. — Tak, jest super, tylko że ja już mam szlafrok. Ten mały biały. Widzieliście go, no nie? — spoglądam na nich, ale oni nie patrzą na mnie. Najwyraźniej podłoga stała się nagle niezwykle absorbująca.

Dziwne.

-Widziałeś mój szlafrok, Col, prawda? Colin odchrząkuje.

- Tak, skarbie, wszyscy widzieliśmy. Prawdę mówiąc, jak któregoś dnia był tu Mick, a ty właśnie wychodziłaś z łazienki, on też go widział. A on jest hetero. Bo widzisz, z tym szlafrokiem to jest tak, że on jest dobry, jak chcesz kogoś uwieść...

- Ale — kończy zdanie Ria — niespecjalnie się nadaje na życie we wspólnym mieszkaniu.

Twarz mi płonie, w palcach czuję mrowienie.

- Co chcecie powiedzieć? Co jest nie tak z moim szlafrokiem? Jest przezroczysty? Tak?

- Chcemy powiedzieć — ciągnie Ria — i może nie robimy tego jakoś bardzo taktownie...

- Ze widać ci cycki — kończy Colin.

- No właśnie — mówi Ria.

- O mój Boże! - Kulę się na podłodze w jedną małą kupkę wstydu, przyciskając do siebie ogromny, gruby, frotowy szlafrok. — O Boże! Przepraszam! Jaki... wstyd!

- Uspokój się, złotko. — Colin gładzi mnie po włosach i śmieje się. - Są śliczne, naprawdę. Tylko jak siedzisz rano przy herbacie, to troszkę rozpraszają.

Trwożliwie podnoszę wzrok.

- Naprawdę przepraszam. Nie miałam pojęcia. Przez te wszystkie lata go nosiłam i nikt ani słowa nie powiedział... nic, nigdy... to znaczy... - płaczę się, nie wiedząc, co mówić dalej.

Wygląda na to, że od miesięcy przechadzałam się w przezroczystym ciuszku, ale niczym współczesna erotyczna wersja *Nowych szat cesarza*, byłam nieświadoma swojej nagości. Po latach spędzonych z człowiekiem stuprocentowo odpornym na mój wygląd najwidoczniej uznałam, że tak jest ze wszystkimi. Z braku jakiegokolwiek odzewu udawałam, że jestem ubrana, a tak naprawdę to błagałam o jakąś reakcję.

I oto jest reakcja.

Problem w tym, że to nie pierwszy raz. Kiedy idę potańczyć z Colinem i jego przyjaciółmi, on kręci się koło mnie i poprawia opadające ramiączka mojej trykotowej bluzeczki od Morgana. A Ria kilka razy zatrzymała mnie na schodach, wymachując sweterkiem i nie pozwalając mi wyjść, dopóki się nie okryję. Dotychczas udawało mi się ignorować te niepowiązane wypadki, lecz nagle ostrość została wyregulowana i widzę wszystko wyraźnie. To tak jakby zepsuł mi się radar. Po tylu latach ukrywania się wahadło przechyliło się całkiem na drugą stronę i z dnia na dzień stałam się ekshibicjonistką, która krzyczy: „Spójrzcie na mnie! Zauważcie mnie! Ja żyję! Tu są moje cycki na dowód!”. Ależ żałosne i poniżające. A jednak robiłam to ustawicznie.

A teraz jestem obiektem jakiejś dziwacznej interwencji ze strony współlokatorów.

Kryję twarz we frotowych zwojach, które Colin nazywa szlafrokiem. Chcę się tam ukryć na zawsze — zemdleć ze wstydu i nigdy nie odzyskać przytomności.

Tylko najpierw chciałabym dowiedzieć się jednego.

— Naprawdę są śliczne?

— Co proszę? — pyta Colin.

Odchrząkuję. Nie powinnam chcieć tego wiedzieć, ale chcę.

— Pytałam, czy naprawdę są śliczne?

— Czy co jest śliczne? — Ria i Col patrzą na siebie zmieszani.

Wpatruję się usilnie w niebieski zwój przecinający czerwony prostokąt perskiego dywanu. Wzór wzdłuż brzegu powtarza się, cały czas ten sam.

— Moje piersi. — Głos mam nagle zdławiony, prawie jak szept. — Powiedzieliście... że są śliczne.

Zapada długie, pełne zdziwienia milczenie. A ja orientuję się, że płaczę. Niebieski zwój zlewa się z czerwonym prostokątem. Mrugam i rozdzielają się.

Ria się odzywa.

— Są śliczne i ty też jesteś śliczna. Na tyle śliczna, że możesz się już ubrać, Louise.

Okazje szczególne

Zdarzają się w życiu okazje, kiedy nawet najskromniejsza, nieprzywiązująca wagi do stroju kobieta dochodzi do wniosku, że to, czy jest dobrze ubrana, może mieć istotne znaczenie towarzyskie. Ogarnięta nagłą paniką, że oto ma znaleźć się w samym centrum uwagi, rozmyśla gorączkowo: „Co ja na siebie włożę?”, po czym wybiega, żeby kupić jakąkolwiek nowa sukienkę, która wpadnie jej w ręce.

Bez względu na rodzaj uroczystości, w której ty czy twój mąż możecie być powołani do odegrania roli wiodącej - na przykład rodzica chrzestnego na chrzcinach, członka komitetu balu dobroczynnego czy choćby tylko gościa na przyjęciu bożonarodzeniowym w biurze - dążenie do prostoty zawsze będzie najlepszą polityką. Nie należy też wprowadzać na tę okazję żadnych radykalnych zmian w wyglądzie. Wszyscy byliby zdziwieni, a przecież nie chcesz wywołać sensacji, lecz sprawić innym przyjemność swoim wyglądem.

Gdy budzę się pewnego sobotniego ranka, dochodzi do mnie odgłos stłumionych głosów. Wlokąc się do przedpokoju w swoim nowym, nic a nic nieprześwitującym szlafroku, przystaję pod drzwiami salonu, żeby podsłuchać.

— I sądzisz, że wezmą rozwód? - To głos kobiety, którego nie znam.

— Tak — mówi Colin. — Teraz to już raczej pewne. Kobieta wzdycha.

— Seks albo pieniądze, kochanie. Wspomnisz moje słowa. Zawsze rozbija się o seks albo o pieniądze.

Pukam delikatnie.

— Można? Przepraszam, że przeszkadzam.

Colin wstaje, a kobieta, szczupła i drobna, z ogniście rudymi włosami, uśmiecha się do mnie. Ma na sobie tweedową spódnicę i szmaragdowy bliźniak, nogi skrzyżowała w kostkach i widać łagodne wygięcie stopy.

— Dzień dobry, Louise! Obudziliśmy cię? Chyba się nie znacie. To moja matka.

Uśmiecham się przepaszająco, świadoma swojego wymiętego i zaspanego wyglądu.

— Miło mi panią poznać - przeżegnawszy się w duchu, ściskam jej drobną dłoń.

— Proszę, mów do mnie Ada. - Ma wyrobiony, miękki głos o odrobinę irlandzkim akcencie.

— Będę parzyć kawę. Napije się pani? — proponuję.

— Nie — wstaje — muszę się zbierać, zanim twój ojciec zacznie tęsknić. Było mi ogromnie miło cię poznać, Louise.

Colin podaje jej płaszcz, a ona go wkłada.

— Odprowadzę cię, mamo.

Słyszę, jak szepczą, schodząc po schodach. Wróciwszy, Colin przyłącza się do mnie w kuchni.

— Ale ranny ptaszek z twojej mamy. O co chodziło? — pytam, nasypując sobie miskę płatków.

Opiera głowę o framugę i zamyka oczy.

— O mojego ojca — wzdycha. — Znow daje popalić.

Ojciec Colina, Patrick Riley, był swego czasu słynnym irlandzkim tenorem, a jego matka, Ada, tancerką w Royal Ballet. Poznali się w Covent Garden w latach pięćdziesiątych i wkrótce pobrali. Szybko przyszła na świat piątka dzieci, z których Colin jest najmłodszy. Jednak kariera Patricka została gwałtownie i tragicznie przerwana, gdy pod koniec lat sześćdziesiątych stracił głos w trakcie spektaklu *Rycerskości wieśniaczej*. Nie będąc w stanie wyobrazić sobie jakiegokolwiek pracy niezwiązanej z muzyką, usiłował utrzymać rodzinę jako nauczyciel śpiewu, ale nigdy nie pogodził się do końca z utratą prestiżu, jakim były dlań czasy Covent Garden. Zawsze wrażliwy, teraz zaczął poddawać się ciemnym okresom depresji i na całe dni zamykać się w swoim gabinecie. W miarę jak się starzał i gdy dzieci opuściły rodzinny dom, te huśtawki nastrojów stawały się coraz gwałtowniejsze. Po nagłych, niekontrolowanych wybuchach przychodziły łzy i żalosne obietnice, że „weźmie się w garść”. Ale sam nie potrafił wprowadzić żadnych prawdziwych, trwałych zmian. Rodzina rzadko mówiła o „stanie tatki”, ale ostatnio przyszło pogorszenie i Ada wychodziła z siebie. Zawsze było szczególnie źle, gdy zbliżała się rocznica feralnego przedstawienia, a właśnie pozostał do niej miesiąc.

— Mama uważa, że może powinniśmy zorganizować coś na jego cześć. No wiesz, zebrać wszystkich jego przyjaciół i rodzinę, i urządzić przyjęcie dla uczczenia jego kariery, ale sam nie wiem. Skutek może być różny. Albo będzie się dobrze bawił, albo znowu popadnie w niezdrową melancholię, chociaż niewykluczone, że stanie się to i tak, bez względu na to, co zrobimy. — Kręci głową. - No, sam nie wiem, Louise. Naprawdę nie wiem, co robić.

— Ciężka sprawa. - Nalewam mu filiżankę kawy. — Chciałabym jakoś pomóc.

— Jest coś, co mogłabyś... — waha się.

- No, powiedz.

- Jeśli jednak zdecydują się to urządzić, pójdziesz tam ze mną?

Jasne, Col. Nie ma sprawy. Chociaż może chcieć, żeby przyszła tylko rodzina, jak myślisz?

Przez chwilę studiuje kuchenną podłogę.

- I ich pary — dodaje cicho.

- Pary?

Podnosi wzrok.

- Bo widzisz, ja właściwie nigdy im nie powiedziałem, że jestem gejem.

Przez moment zdaje mi się, że się roześmieję.

- A myślisz, że nie wiedzą? Wzdycha ciężko.

- To nie chodzi o ich wiedzę, Louise. Ale nie należą do pokolenia, które uważałoby za stosowne mówić o takich rzeczach. Rozumiesz? Co wiedzą czy czego nie wiedzą, naprawdę nie jest moją sprawą. To, że im powiem, nic tu nie pomoże. Lepiej się między nami układa, kiedy po prostu nie poruszamy tematu.

- A jak ci się to udaje?

- Po prostu nie wyjeżdżam z tym, a oni nie pytają.

- To łatwe teraz, jak jesteś sam, ale co będzie, jak będziesz miał chłopaka?

- Louise — robi wrażenie zmęczonego i poirytowanego — wierz mi, nie chcieliby wiedzieć. Chcą, żebym był szczęśliwy, ale nie chcieliby wiedzieć. Pewne sprawy lepiej przemilczeć.

Trzy dni potem Colin potwierdził, że jego matka postanowiła przeprowadzić wiadomy plan; przyjęcie miało się odbyć w wielkim domu rodzinnym i miało być niespodzianką. Przez następne tygodnie Colin każdą wolną chwilę spędzał na koordynowaniu ustaleń między matką a resztą rodzeństwa. Zaplanowali zimny bufet, trio jazzowe do tańca, a Ada załatwiła z kilkoma wybitnymi uczniami Patricka, że zaśpiewają. Krew-

ni i znajomi mieli przybyć aż z Dublina, a bratu Colina, Ewa-nowi, udało się odnaleźć i odrestaurować jakąś dawną telewizyjną transmisję występu ojca w *Cyganerii*, która miała być wyświetlona na koniec wieczoru. Telefon dzwonił bez przerwy, a powietrze wibrowało podnieceniem. Klan Rileyów zaangażował się w sprawę przyjęcia z niezrównaną energią i entuzjazmem.

Na tydzień przed wielkim dniem Colin przydybał mnie przy zmywaniu.

— Chyba powinniśmy pomówić na temat tego, w co się ubierzemy.

Wręczam mu ścierkę.

— Dobry pomysł. Zaczniemy od ciebie.

— No więc — poleruje kilka szklanek i odstawia je na półkę — myślę na przykład o granatowym prążkowanym garniturze, jasnoniebieskiej koszuli i czerwonym krawacie. No wiesz, coś konserwatywnego, formalnego, ale nie zanadto... Jak uważasz?

Patrzę na niego zdziwiona.

— Ty masz granatowy prążkowany garnitur? Nie mogę sobie ciebie wyobrazić w czymś tak ponurym!

Uśmiecha się.

— No, będę go musiał oddać do pralni, ale owszem, istnieje. Kupił mi go Alan, jak mnie namawiał, żebym zajął się bankowością. Próbowałem przekonać mamę, żeby zarządziła stroje wieczorowe — każdy tak lepiej wygląda — ale mówi, że nie wszyscy będą mieli smoking i na pewno coś w tym jest.

— Bankowość! Nie umiem sobie ciebie wyobrazić kontrolującego czyjeś wydatki, Col!

Śmieje się.

— Teraz twoja kolej. Nad czym myślałaś?

— No... — waham się — nie bardzo wiem. Mam tę małą czarną od Karen Millen.

— Hmm. — Ze sposobu, w jaki skupia się na wycieraniu, wnioskuje, że nie całkiem to miał na myśli.

- Ale znowu, ona może być troszkę... no, jak to powiedzieć?
- Ciasna? — strzela Colin. Odwracam się do niego twarzą.
- Ciasna?!
- No, dobra, dopasowana. Powiedzmy, troszkę przy ciele. Piorunuję go wzrokiem.
- Colin, z tą sukienką jest wszystko w porządku. Także to, jak leży!
- Zgoda, zgoda, zgoda! Jasne! Uwielbiam ją, Louise! Naprawdę. Tylko myślę o czymś bardziej stonowanym, spokojniejszym... No, gdzież jest to słowo, którego szukam? O czymś trochę bardziej katolickim.
- Czyli o czym? O habicie? Wzdycha i odkłada ścierkę.
- Zrozum, Louise, że rozmawiamy o mojej rodzinie. Tak na dobrą sprawę są troszkę staroświeccy. Wręcz tradycyjni. Mimo że wywodzą się z show-biznesu. Idziemy tam poniekąd jako para, zgadza się? Ja wkładam granatowy prążkowany garnitur, więc ty możesz włożyć coś w podobnym stylu, nie sądzisz?
- Wykrzywiam się. To nie jest Colin, którego znam. Jest tak, jakby nagle ten właściwy Colin został porwany, a jego miejsce zajął zły brat bliźniak, który chce, żebyśmy odstawiali dla jego rodziców jakąś dziwną szopkę.
- I wtedy coś mnie tknęło.
- Colin, czyś ty im przypadkiem nie powiedział, że jestem twoją dziewczyną?
- Znowu wziął ścierkę i zaczął wycierać z taką pasją, jakby całe jego życie od tego zależało.
- Nie! Oczywiście, że nie!
- Naprawdę? Bo zachowujesz się naprawdę dziwnie. Unika mojego wzroku i zaczyna układać talerze jeden na drugim.

— W żadnym razie, Louise! Serio!

— Ale także nie powiedziałeś im, że nie jestem twoją dziewczyną. Nie tak było? Miałeś zamiar nie mówić nic i pozwolić, żeby sami wyciągnęli wnioski.

Odkłada talerze.

— A czy to naprawdę źle? Kręcę głową.

— Czemu to robisz, Col? Wiesz przecież, że nie masz się czego wstydzić, prawda ?

Zamyka oczy i zmęczonym gestem przesuwają po nich ręką.

— To nie jest chwila na ujawnianie się przed rodziną, Louise. Rozumiesz? W tym przyjęciu, w całym tym wieczorze, nie chodzi o mnie. Proszę cię tylko, żebyśmy się wtopili w tłum, byli anonimowi. Słuchaj, nie mam zamiaru przedstawiać cię jako swojej dziewczyny, OK? O ile to kogoś interesuje, jesteś moją koleżanką i współlokatorką, jasne? Chcę tylko, żeby ten wieczór upłynął bez zakłóceń. Rozumiesz to?

Rozumiem. Obejmuję go.

— Posłuchaj, ubiorę się w co zechcesz, dobra? I będziemy się dobrze bawić, i wszystko się świetnie uda. Zobaczysz.

Lekko mnie ściska.

— Pozwoliłem sobie pożyczyć coś z działu odzieżowego. Nurkuje do salonu i wraca, dzierżąc sklepową torbę. Podaje mi ją.

— No, zobacz, czy ci się podoba.

Sięgam do środka i wyciągam autentyczną suknię od Diane von Furstenberg, w odważny, karminowy wzór.

— O rety! — przykładam ją do siebie. — Niesamowita. Rozpromienia się.

— Teraz wyglądasz jak żona bankiera!

Jednak nie jest nam dane włożyć naszych pieczołowicie dobieranych strojów.

Na dwa dni przed przyjęciem, gdy Col właśnie donosi matce dodatkowe talerze i sztuce, z gabinetu Patricka dociera do nich dziwny dźwięk. Znajdują go zwiniętego w kłębek na dywanie — połknął śmiertelną dawkę środków uspokajających. Żadnego listu.

Colin spędza tydzień u matki, pomagając w załatwianiu koniecznych spraw, a potem, po pogrzebie, Ada odjeżdża do rodziny do Irlandii.

W dniu powrotu Colina obie z Rią bierzemy sobie wolne. Wchodzi i od razu kładzie się do łóżka na cztery godziny, a my w tym czasie zajmujemy się pieczeniem słodkich bułeczek. (Ria piecze, ja się przyglądam). Kiedy wreszcie się budzi z zapuchniętymi, czerwonymi oczyma, parzymy świeżą herbatę i robimy, co w naszej mocy, żeby wmusić w niego bułeczki. A kiedy to się nie udaje, siadamy w salonie, patrząc, jak słońce roztapia się za szczytami domów, i słuchamy starego nagrania Patricka śpiewającego słynne włoskie arie. Płyta się kończy i siedzimy po ciemku w milczeniu. Potem Ria włącza światło i idzie do kuchni zrobić nam wszystkim grzanki z serem. Colin kładzie się, opierając mi głowę na kolanach.

- Tyle z nim było kłopotu - mówi wreszcie. - Był zupełnie nieprzewidywalny. A jednak nie wiem, co my bez niego zrobimy.

Łagodnie gładzę go po włosach.

Chcę mu powiedzieć, że rozumiem, ale nie rozumiem. Należę do tych szczęśliwców.

Kiedy miałam trzynaście lat, przyszedłszy pewnego dnia ze szkoły, zastałam swoją matkę siedzącą w koszuli nocnej na krześle w dużym pokoju. Powinna być ubrana i w pracy. Ale nie była. Zamiast tego była tutaj — blada, wymizerowana, ze szklistymi, zapuchniętymi oczami. Koszula, którą miała na sobie, była zmięta i wilgotna. Oblepiała jej chude ciało, a z przodu widniało coś jakby plama. Kiedy wracałam ze szkoły, matki nigdy nie było w domu.

Spytałam, czy wszystko w porządku, ale nie zareagowała, zagapiona przed siebie, z głową trzęsącą się, jak gdyby mogła w każdej chwili odpaść. Stałam naprzeciw i powtórzyłam pytanie, lecz ona patrzyła na mnie, jakby mnie nie poznawała i zamrugała powoli. Zbyt powoli. Potem jej dolna szczęka opadła, usta się otwały i w jednej strasznej chwili zorientowałam się, że umiera. Wszystko jakby zaczęło się poruszać w zwolnionym tempie: czułam, jak plecak zsuwa mi się z ramion na ziemię i chociaż biegłam, nogi miałam jak z ołowiu. Szarpnęłam za telefon i wykręciłam numer. Ktoś się odezwał i usłyszałam własny głos wykrzykujący adres i żeby się pośpieszyli, a kiedy się odwróciłam, zobaczyłam, jak się osuwa, z głową opadłą na piersi, a po brodzie ścieka jej wąska strużka śliny. Puściłam telefon, który z trzaskiem uderzył o ścianę, kiedy ona bezwładnie osunęła się na podłogę.

Po paru minutach przyjechała karetka. Kołysałam matkę w ramionach, próbując ją ocucić. Wyrwali mi ją, przytroczyli do noszy i założyli jej na twarz maskę tlenową. Potem przeszukiwali łazienkę, aż znaleźli jakieś butelki. Po paru minutach już ich nie było. Przyszła sąsiadka, pani Klavinsky, i zadzwoniła do ojca. Była Polką i chociaż starała się pomóc, jej angielszczyzna była nie za dobra. Kiedy przyszli mój brat i siostra, przywitała ich wiadomością, że nasza matka miała „chorobę głowy i brała do szpitala”.

Minęły miesiące, zanim wróciła do domu.

A kiedy wróciła, była inna. Lepsza.

Trzymając Cola, myślałam o tych wszystkich sekretnych przygotowaniach ostatniego miesiąca i o tym, jak on i jego matka znaleźli Patricka za późno. I znów pomyślałam, po raz tysięczny pierwszy, o tym, co by się stało, gdybym tamtego dnia później przyszła ze szkoły - gdybym się kręciła po przystanku, gapiąc się na chłopaków od Świętego Andrzeja, albo gdybym wylądowała w osłej ławce.

Tego dnia wieczorem zadzwoniłam do domu. Siedząc po ciemku przy oknie, słuchałam jak tysiące kilometrów ode mnie odzywa się telefon. Potem usłyszałam trzask i na linii odezwał się głos mojej matki.

-Halo?

- Cześć, mamuś.

- Louise! Która godzina? Tam u was jest trochę późno, prawda?

- Trochę.

- Wszystko w porządku ?

- Tak, mamuś. W porządku. Zadzwoniłam, żeby spytać, jak się masz.

- Świetnie, córciu. Nie można lepiej. Twój ojciec daje trochę w tylną część ciała, ale trzymam go krótko, więc niedługo sytuacja będzie opanowana. Idzie o ten nowy składzik, który chce zbudować za domem. Wiesz, że twoja siostra stara się o kolejne dziecko? Na razie nic z tego nie wychodzi, ale jakby co, to dam znać. Jak tam praca? Cały dzień spędziłam na sadzeniu cebulek i mam przeczucie, że jelenie znowu mi je wyjedzą. No, ale próbuję co rok, więc nie mogę teraz zacząć się poddawać, prawda?

- Jasne, że nie.

- No, córciu — słyszę, jak zapala papierosa — z jakiej okazji dzwonisz?

Wyglądam przez okno. Świat na zewnątrz jest czarny i nieruchomy.

- Bez okazji, mamusiu. Chciałam tylko usłyszeć twój głos.

Problem kilogramów

Co roku z nadejściem wiosny magazyny mody i pisma kobiece wynajdują nowe diety, które -jeżeli ich bezwzględnie przestrzegać -gwarantują smukłą sylwetkę, a co za tym idzie, elegancję. Chociaż chudość manekina nie stanowi koniecznego warunku elegancji, przypuszczalnie prawdę jest, że lista Dziesięciu Najlepiej Ubranych Kobiet jest jednocześnie listą Dziesięciu Najbardziej Wygłodniałych Kobiet.

Właściwie odchudzanie jest nowa religię. Niegdyś praktykowano ją dyskretnie, niemal potajemnie, a wczesnych wyznawców zadowalała względna szczupłość, wciąż jeszcze zezwalająca na łagodnie zaokrąglone kształty. Lecz sekta ta zdobywała co dzień nowe rzesze członkiń, a dziś głosi zdecydowanie, że nie ma zbawienia dla tych nielicznych niewiernych, które nie wyznają wiary w sylwetkę a la fasola szparagowa.

Powinnaś przejść na tę nowa wiarę czy też nie? Być może, lecz za jaką cenę? Domorosłym dietetykom zdarza się popadać w męczącą dla otoczenia obsesję na punkcie swojego nowo odkrytego

powołania. Zalecałabym zważenie nie tylko siebie, ale i swoich priorytetów. W końcu Bóg uczynił cię taka, jaka jesteś, i nie ma sensu zwalczać natury, odstręczając przyjaciół i rodzinę niekończącymi się regułami i zarządzeniami na temat tego, co możesz, a czego nie możesz jeść.

Bycie smukłą niewątpliwie jest eleganckie, lecz neurotyczna obsesja na punkcie własnej osoby - NIE.

Stoję w kolejce w Starbucks, usiłując wyliczyć gramy tłuszczu, zawartość kaloryczną i wskaźnik węglowodanów w odpuszczonej jagodowej muffince. Ale tak naprawdę pragnę tylko kawałka ciasta czekoladowego z podwójnym karmelem, /irytowana i zagubiona gapię się w to ciasto jak zahipnotyzowany baran. Ria pyta, co chcę, żebyśmy mogły wreszcie zamówić, kolejka za nami zaczyna się irytować, a dziewczyna za ladą przewraca oczami. To, co chcę zrobić, to rozbić szkło, pochwycić całe ciasto i niczym stwór z horroru wybiec z nim z wrzaskiem na ulicę.

Ale nie robię tego.

Nie, robię to, co należy. Ponieważ świat dzieli się na to, co należy, i na to, czego nie należy, na dobrych i złych, na chudych i grubych, zamawiam dużą kawę z ekspresu, bez cukru.

A gdy Ria, widząc, że wpatruję się w ciasto, pyta: „Jesteś pewna?”, odwarkuję: „Tak, tylko to i już”, jakbym jej nie znosiła. Bo jej nie znoszę. Nie znoszę ani jej, ani nikogo innego, kto może sobie zamówić, co chce, bez umysłowych fikołków. Nikogo, kto bez szaleńczej, piekielnej huśtawki winy i paniki może podejść do pryszczatej hiszpańskiej dziewczyny za ladą i powiedzieć: „Poproszę mrożoną kawę i kawałek ciasta czekoladowego z podwójnym karmelem”.

Zamiast tego zamawiam dużą kawę z ekspresu, popadam w kofeinową psychozę i przez cały dzień snuję się spowita lepką, nerwową chmurą niechęci, bo oto znowu sobie czegoś od-

mówiłam. A na każdy dzień przypadają trzy posiłki, dni mają po dwadzieścia cztery godziny i następują jeden po drugim, dzień po dniu, aż do śmierci. To strasznie długo na nieposiadanie tego, czego się chce.

Pierwszy raz byłam na diecie, kiedy miałam dziewięć lat. Nas, tancerki, zachęcano do głodzenia się. Pamiętam, jak nasza nauczycielka kazała nam usiąść i opowiadała, jak to już najwyższy czas zacząć pilnować wagi. Nauczyła nas, jak nosić w torbach ze strojem baletowym łyżeczki i słoiczki miodu, żebyśmy po całodziennym tańczeniu bez jedzenia, kiedy już prawie mdlałyśmy, mogły włożyć sobie do ust łyżeczkę miodu dla podratowania. No i wszystkie nosiłyśmy nieszczelne słoiczki, które odkręcały się i paprały nam trykoty gęstą, słodką bryją.

Siadywałyśmy w szatni, chłonąc rady żywieniowe starszych dziewcząt. Macie jeść tylko chudy jogurt, pieczone kartofle bez omasty, pić niskokaloryczną colę i kawę. Albo tylko proteiny i warzywa, ile chcecie, ale raczej nie za dużo. Jednak aż nazbyt często łądowałyśmy po lekcjach w McDonalddie, a skoro już się miało zjeść hamburgera, równie dobrze można było zjeść jeszcze frytki i napić się shake'a. Ale nie było w tym nic złego, bo od Melissy Formby przejęłyśmy wspaniały wynalazek zwracania wszystkiego, co się zjadło. Sama dopiero co odkryła ten magiczny sposób i teraz udzielała nam lekcji mistrzowskich na temat tego, jak osiągać najlepsze wyniki przy jak najmniejszym wysiłku.

— Przedtem zawsze wypijajcie duszkiem szklanekę wody — instruowała nas. — A potem użycie środkowego palca — jeśli paznokieć trochę podrapie gardło, to nie szkodzi. I pomyślcie o czymś ohydny. Jak przyjdzie wam do głowy coś naprawdę ohydny, to uwiniecie się szybko, a wasze matki nie będą niczego podejrzywały...

Kiwałyśmy głowami. Ależ ona mądra.

- Aha, i używajcie prywatnej ubikacji. Zwłaszcza zanim nauczycie się to robić po cichu.

A to dobre. W końcu jako tancerki wszystkie ciągle uczyłyśmy się, jak zachowywać się cicho: jak przesadzić salę jednym susem i wylądować bezgłośnie, jak kręcić się na cholernych pointach bez najmniejszego szmeru, jak owinać sobie nogę wokół ucha, nie krzycząc przy tym z bólu. Łatwizna.

Doszedłszy wieku lat trzynastu, miałam już opracowany własny wariant tego tematu. Jadałam jeden posiłek dziennie, zwykle w postaci czegoś obrzydliwego i pozbawionego wartości odżywczej, jak ciasto czekoladowe i M&M's plus lody z polewą czekoladową na śniadanie, a przez resztę dnia byłam na amfie, kawie i coli bez cukru. Jeśli zdarzyło mi się coś zjeść po tym jedynym posiłku — szłam to wyrzygać w ubikacji przy pokoju gościnnym.

To ciągnęło się przez dłuższy czas, aż pewnego wieczora, naćpana amfą i po obejrzeniu jakiegoś szczególnie przygnębiającego filmu Bergmana o nekrofilii, pożarłam całe opakowanie wstrętnych herbatników z cukrem, po czym je zwróciłam. Siedziałam, trzęsąc się, na podłodze w łazience, przekonana, że nie chcę dłużej żyć. Albo przynajmniej nie w ten sposób. Nie mogłam już znieść całodobowej obsesji na temat tego, co mam jeść, kiedy mam jeść, a co gorsza, czego nie wolno mi jeść. (Próbowałam już środków przeczyszczających, z fatalnym skutkiem). Tak więc postanowiłam, że cokolwiek zjem, pozostanie w żołądku i niech się dzieje, co chce. I oto rozpoczął się nowy rozdział mojej żywieniowej historii.

Kiedy wyszłam za mąż, utrzymywałam swoje nawyki jedzeniowe w tajemnicy. A zważywszy, że mój mąż co wieczór wychodził do teatru, było mi łatwo popaść w rutynę objadania się w czasie jego nieobecności.

Jesteśmy w Stratfordzie. On gra z Royal Shakespeare Company. Mamy nowe mieszkanie, on ma nową pracę, a ja stosuję nową dietę — podobną do diety Haya, tylko opartą na zdrowej żywności. Codziennie zjadam ponad dziesięć kilo brudnych,

niekształtnych, włochatych owoców i jarzyn. Ustawicznie puszczam wiatry i pachnę jak kapusta.

Reguły są proste. (Diety mają reguły, podobne są w tym do gier). Możesz łączyć węglowodany z jarzynami i nabiałem, ale nie z proteinami. Te z kolei możesz łączyć tylko z jarzynami. A owoce? Owoce są tak niebezpieczne, że można je jeść tylko same, na kilka godzin przed lub po zjedzeniu czegokolwiek innego. A więc stek z sałatką, kurczak z sałatką, ryba z sałatką. Ale już nie z serem. Ser to samo zło, to wymysł szatana. Wolno mi jeść tylko jakiś dziwny kozi twaróg, ale można go kupić tylko w jednym sklepie w Notting Hill i smakuje jak klej. A na obiad sałatka. Sałatka z ryżem, sałatka z orzechami, sałatka z chlebem. Mówiąc „chleb”, naprawdę mam na myśli wypiekany bez użycia drożdży bochenek z prosa i siemienia lnianego. Wygląda jak cegła, ale jak go przyrumienić, nawet chrupie. (Z braku smaku musi wystarczyć konsystencja). No i żadnego cukru, żadnej kofeiny i żadnego tłuszczu.

Książka przedstawia to tak, żeby wydawało się całkiem proste. Właściwie więcej niż proste; tylko idiota mógłby odżywiać się inaczej. Na okładce para siedemdziesięciolatek śmieje się histerycznie, biegnąc w maratonie. Absolutnie bezkofeinowo. Samo patrzenie na to sprawia, że czuję się nie na miejscu. Silny nacisk kładzie się na fasolę. Zupa z fasoli i kapusty doprawiona czosnkiem. Mogli mnie ostrzec, że po czymś takim eksploduję. Muszę zamknąć się u siebie w pokoju przy otwartym oknie. Mój mąż śpi na kanapie.

Chodzi o to, żeby jak najwięcej rzeczy jeść na surowo. Od rana do nocy mamkę w ustach kupioną za fortunę surowiznę, a skutek jest taki, że czuję się wzdęta i głodna jednocześnie. Śnię o hamburgerach, frytkach, pierogach pasterskich. Budzę się, gryząc poduszkę. Przyglądanie się, jak inni jedzą, staje się dla mnie doznaniem erotycznym. Gapię się w okno McDonalda jak podglądacz, nie mogąc ruszyć się z miejsca, gotowa mordować dla Dużego Zestawu.

Ma być widać poprawę. Mam być pełna życia i energii. Moja skóra ma lśnić. Ale jedyne, co mi się przytrafia, to złośliwe podrażnienie kiszek. Zwijam się z bólu i mąż bierze mnie do lekarza.

— Co pani jada? — pyta lekarz, zbadawszy mnie.

- No, dzisiaj jadłam bezglutenowe muesli z mlekiem ryżowym, brokuły i smażonego kurczaka z imbirem, parę surowych marchewek, mały żytni tost z pastą sojową i niskosłodzony dżem malinowy...

Wznosi rękę, żeby mi przerwać. Już jest spóźniony na golfa.

- Chryste Panie! — Patrzy na mnie z obrzydzeniem. — Kobieto, zjedz kartofel! Zrób sobie bułkę z kielbasą! Nic dziwnego, że nie możesz ustać na nogach.

— No ale... ale...

To nie do wiary. Czy on nie chce uczestniczyć w maratonie, jak dojdzie do siedemdziesiątki? Najwyraźniej nie.

Kiedy zamieszkałam z Colinem i Rią, miałam tak namieszane od tego ciągłego bycia na diecie, że zdawało mi się, że nie da się już nic poprawić i zreformować. Różnica była taka, że teraz nie było gdzie tego ukrywać. Kuchnię mieliśmy wspólną, często jadaliśmy razem, ale podczas gdy Colina bawiło dokuczanie mi na temat moich dziwnych posiłków i wmuszanie we mnie od czasu do czasu curry z kurczaka i puddingu na parze, Kia milcząco obserwowała moje zwyczaje żywieniowe, odnotowując w pamięci wszystko, o czym lepiej żeby zapomniała.

Aż pewnej nocy Ria zastaje mnie w kuchni.

Jest wpół do trzeciej i siedzę w piżamie, wpychając sobie do ust ciasteczka. To jej ciasteczka; dostała je na Gwiazdkę, a że nie przepada za słodyczami, zostawiła je tutaj, żeby schły na półce nad zlewem. Normalnie nie tknęłabym jej jedzenia, nie zapytałam, czy można, ale obudziłam się nagle, wylęknięta i wygłodniała, a całe moje jedzenie się skończyło. Bałam się dokupić, żeby nie zjeść wszystkiego za jednym zama-

chem. Nienawidzę się za kradzież czerstwych ciasteczek. Są takie, że kiedy indziej stanęłabym na głowie, żeby ich uniknąć. Lecz oto siedzę w kucki po ciemku, wpychając je do ust, gdy ona wchodzi i zapala światło.

Mrugam bezrozumnie jak dzikie zwierzę przyłapanie na podwędzaniu czegoś z kubła na śmieci. Nie znoszę, gdy ktoś widzi, jak jem, nawet jeśli wszystko jest w porządku, a już moje nocne łupieżcze wyprawy absolutnie muszą pozostać tajemnicą.

- Co ty robisz?

Zrywam się na równe nogi i silę się na uśmiech.

- Przepraszam. Naprawdę.

- Ale co ty robisz? - pyta znowu.

Chcę umrzeć, zniknąć, zostać wessaną w eter. Dalej trzymam w ręce torebkę, odstawiam ją więc na blat, moja dłoń porusza się wolno, jak gdyby nietrzymanie torebki mogło sprawić, że wszystko to stanie się niebyłe.

- Są stare — mówi. — Czemu je jesz? I czemu jesz je po ciemku ?

- Byłam głodna. Przepraszam. Odkupię je.

- Louise, nie lubię tych herbatników, dlatego nigdy ich nie jem. Nie chodzi o herbatniki. To, co robisz, jest dziwne.

- Wiem. Przepraszam. Już nie będę. Patrzy na mnie uważnie.

- Owszem, będziesz.

Jest wpół do trzeciej i nie dochodzi do nas nic, żaden odgłos ulicy, żaden odległy dźwięk, w który te słowa mogłyby się wtopić. Zawisły między nami w bezruchu i sama nie wiem czemu, ale nie próbuję ani kłamać, ani się podlizywać, ani roześmiać czy zaprzeczyć.

- Masz rację — słyszę własny głos.

Dziwne, że to mówisz, odzywa się coś w mojej głowie. Nikt nie ma tego wiedzieć, a teraz, proszę, mówisz to na głos. Ale na tym nie koniec.

- Nie umiem jeść - ciągnie dalej mówiący przeze mnie głos. — Nie wiem... właściwie nie wiem jak.

Stoimy. Z oblepiającej dom gęstej czerni uwalnia się wietrzyk i wpada przez otwarte okno. Chłodny i płynny jak rtęć wdziera się między nas i przebiera palcami po włosach Rh, podrywając je do tańca. Biała lniana koszula nocna wydyma się jak żagiel i przez moment Ria nie dotyka ziemi, lecz jest zwiewnym, ulotnym duchem zawieszonym na tle źle dopasowanych kuchennych szafek. Wtem powiew gwałtownie zmienia kierunek, przemykając koło nas niecierpliwie ku bardziej egzotycznym miejscom i znów jesteśmy same. Koszula Rh cicho opada, oplatając jej kostki, a włosy miękko lądują na swoim miejscu.

— Dalej jesteś głodna? — pyta. -Nie.

-Więc może byśmy poszły spać. - Wyciąga dłoń, a ja ją ujmuję. — Za dużo rozmyślasz, Louise. Nie powinnaś tyle rozmyślać.

I przez ciemność prowadzi mnie z powrotem do mojego pokoju.

Świat pełen jest porad na temat tego, jak jeść, ale oto pomysł zupełnie nowy.

Jedz trzy posiłki dziennie. Jedz to, na co naprawdę masz ochotę. Przestań jeść, kiedy jesteś najedzona.

Przyznam, że czasami to łatwe, a czasami bardzo, bardzo trudne.

Lecz jak to ujęła w nieśmiertelnych słowach Madame Dariaux: „Bóg uczynił cię taką, jaka jesteś”. I jak ujęła to Ria: „Przebolej to”.

Q - znak jakości

Jedną z najbardziej rzucających się w oczy różnic między dobrze ubraną Angielką a dobrze ubraną paryżanką jest zawartość ich szafy ubraniowej. Angielkę zdziwiłaby zapewne nieduża ilość ubiorów w szafie Francuzki, lecz jednocześnie musiałaby przyznać, że wszystkie one są w doskonałym gatunku, być może dość drogie jak na angielskie standardy, ale idealnie dostosowane do prowadzonego przez Francuzkę trybu życia. Używa ich długo, wyrzucając, dopiero gdy są znoszone lub wyjdą z mody, a za komplement (i słusznie) uważa słowa przyjaciółki: „Cieszę się, że włożyłaś tę czerwoną sukienkę - zawsze mi się szalenie podobała!”.

Cudzoziemców często szokują wysokie ceny w paryskich sklepach i dziwią się, jak na przykład młoda pracująca dziewczyna, zarabiająca nie więcej niż jej angielska koleżanka, może sobie pozwolić na torebkę z aligatora i kostium z butiku Balmain. Otóż Francuzka kupuje bardzo niewiele strojów: za cel stawia sobie posiadanie po jednym doskonałym zestawie na każdą okazję, nie zaś całej gamy ubrań dla zaspokojenia kaprysów chwili.

Zastanawiam się, czy przypadkiem Angielka nie zyskałaby, rezygnując czasem ze swego zamiłowania do ilości na rzecz dążenia do jakości. Stałaby się wtedy nie tylko bardziej elegancka, ale i bardziej zadowolona, a nawet nabrałaby większej pewności siebie, jaką daje strój.

Oboje z Colinem przyjęliśmy nową filozofię, którą można streścić sloganem: życie jest za krótkie. Nie jest to oszałamiająco oryginalne, ale trafne.

Nie jestem pewna, kiedy dokładnie doszliśmy do tego wniosku, ale niewykluczone, że decydująca chwila nastąpiła na piętrze autobusu 159. Pewnego deszczowego ranka jechaliśmy razem do pracy stłoczeni wraz z innymi podróżującymi w godzinie szczytu. Wszystko było mokre, szyby zaparowane, siedzenia przemoczone, w przejściu błoto z ociekających parasoli. Colin, wciśnięty w siedzenie obok, balansował położoną na kolanach torbą ze starymi garniturami Patricka przeznaczonymi do oddania do sklepu z używanymi rzeczami, starając się jednocześnie przy każdym szarpnięciu autobusu nie upuścić plecaka i parasola. Siedziałam obok niego, przemoczone stopy marzły mi we właśnie zniszczonych zamszowych mokasynach.

Otworzyłam pocztę i znalazłam w kopercie kolejny plik dokumentów rozwodowych, gdy autobus szarpnął i z piskiem opon nagle stanął, aż zaryłam w plecy siedzącego przede mną dobrze ubranego czarnoskórego mężczyzny.

- Strasznie przepraszam! — powiedziałam, ostrożnie zbielając rozsypane po podłodze listy.

- Nic się nie stało — uśmiechnął się uprzejmie. — To nie pani wina. Ja też się uśmiechnęłam.

Jeśli wolno mi zająć jeszcze chwileczkę — ciągnął - chciałbym pani opowiedzieć o radości życia w świetle Chrystusowego zbawienia.

I sędzę, że właśnie w tym momencie to się stało. Spojrzałam na Cola, a on spojrzał na mnie.

— Życie jest za krótkie — powiedział i było to chyba jego pierwsze pełne zdanie tego dnia, a ja byłam skłonna się z nim zgodzić. — Co my w ogóle robimy? — ciągnął, nagle niepoohamowany w swoim oburzeniu. — Na co my czekamy? Mam dosyć śmierci, mam dosyć jeżdżenia autobusem do pracy, mam dosyć siedzenia w domu wieczorami i czekania, aż w drzwiach stanie właściwy facet.

— Mam dosyć rozwodu! - wtrącam się. -1 mam dosyć mokrych butów!

— Do diabła z mokrymi butami! — Wstaje i wciska przycisk. — Mam dosyć tego ciągłego uważania. Cholera, Louise, jesteśmy młodzi, seksowni, zdolni! Wiesz co, życie jest po prostu, kurde, za krótkie i chyba najwyższy czas trochę się pobawić!

-OK.

Wysiedliśmy z autobusu i pojechaliśmy taksówką.

I tak to się zaczęło. Nagle bycie dorosłym było po prostu za trudne, więc poddaliśmy się. Jednocześnie postanowiłam dać sobie spokój z trzeźwymi, zdroworozsądkowymi poradami Madame Dariaux. Ciułanie każdego grosika na zakup idealnego sweterka z kaszmiru wydało mi się zbyt staromodne, zbyt odpowiedzialne i pochłaniające stanowczo za dużo czasu. Chciałam być jedną z tych dziewczyn, co to zmieniają ciuchy jak mężczyzn — radosną, olśniewającą, łapczywą i zawsze w centrum wydarzeń. Podobnie jak Colin, miałam dość czekania aż czas uleczy rany i poczuję się znowu dobrze. I jak on byłam gotowa poczynić drastyczne kroki.

To wtedy doszłam do wniosku, że silenie się na elegancję donikąd nie prowadzi. Zamiast tego zapragnęłam być modna.

Jest czwartkowy wieczór. Col i ja siedzimy wraz z dwudziestoma spośród naszych nowych najlepszych przyjaciół w klubie o nazwie Cube. Cube jest takie samo jak Mink Bikini, tylko że Mink Bikini było na topie w zeszłym miesiącu,

a Cube jest na topie teraz. Jest pełniusieńko, aż kłębi się od medialnych typów o nastroszonych włosach i w szarych ciuchach uniseks, nadających chuderlawych przyszłych modelek w szpilkach i wymiętych podkoszulkach *a la* Chloe oraz mężczyzn w czarnych garniturach od Armaniego i odważnych, odblaskowych krawatach. A wszyscy wrzeszczą, rozpychają się, wychlapują na siebie nawzajem drinki i potykają się o zajmujące cały hol zielone otomany w szwedzkim stylu.

Ścieżka dźwiękowa trochę nie z tej ziemi — Vanessa Paradis na tle francuskich remiksów KC i Sunshine Band. A do tego cała gama smakowitych drobiażdzków dla zabawienia klienta, jak na przykład dyskretnie ukryta w męskiej ubikacji kamera video i nie nazbyt dyskretnie wyeksponowany ekran transmitujący cały materiał dowodowy w ubikacji damskiej (zawczasu ostrzeżony, jest na czas uzbrojony). Oprócz tego nad wejściem zawieszony jest duży elektroniczny billboard, na którym, ilekroć ktoś wchodzi, wyświetlane są coraz to inne mądrości. „Jezus cię kocha, ale nie zostawi żony”, wypływa billboard niczym mechaniczne ciasteczko z przepowiednią. „(>zy to jest miłość, czy to pożądanie?”, rozbłyska znowu, gdy jakaś młoda kobieta daje nura do środka zza ściany deszczu, potrząsając włosami i obciągając swoją miniówkę w wersji mikro. Ktoś wykrzykuje: „Pożądanie!” i wszyscy się śmiejemy, gdy ona tymczasem zamiera jak królik schwyty w krąg światła samochodu, nieświadoma przebiegających nad jej głową napisów.

Pełny odlot. Udało nam się. Przeżyliśmy biletera i dwie selekcjonerki w strojach od Gucciego, stojące nieruchomo, ociekające nudą i zmęczeniem, gotowe nakazać odwrót każdemu, kto jest zbyt brzydki, zbyt gruby albo zbyt „wczorajszy” (retro nie do przyjęcia). Celebруем zwycięstwo, dziko wymachując dwudziestofuntówkami przed nosem niebieskowłosego, wytatuowanego barmana, chichocząc na widok pijanych siusiających na video (niczego nieświadomych) przedstawicieli

mediów oraz flirtując z ohydnyimi facetami od reklamy, którzy z kolei flirtują z modelkami, które z kolei nie flirtują z nikim.

Mam na sobie wąską, prostą czarną spódnicę od Kookai", która wygląda prawie jak z najnowszej kolekcji Prądy, kusy prześwitujący bezrękawnik, jak to, co pokazują u Versacego (tylko że mój jest kupiony w sklepie w Brixton Market), i piekielnie wysokie różowe klapki z pojedynczym paseczkiem kupione w Office, kropka w kropkę jak te, w których Manolo Kate parady w ostatnim „Vogue'u". Włosy ułożone mam w ciężki, prosty blond parawan z „naturalnym" przedziałką przez środek głowy, którego zrobienie zajęło mi zaledwie pięćdziesiąt minut i wiązało się z użyciem trzech specyfików do włosów. Mam szminkę Mac, lakier do paznokci Chanel i pachnę jak mieszanka dzikich fig i francuskiej wistarii, co ma być seksowne i uniseks jednocześnie. Odeszłam daleko od granatowej sukienki na ramiączkach. No i jestem na topie.

Niestety nie wszyscy, których zapraszam, są. Paru z moich znajomych z trudem udaje się przemknąć obok biletera. Po prostu nie rozumieją, że trzeba wyglądać na bywalca.

Darren jest studentem konserwatorium. Trzyma w ręku starą, cuchnącą torbę na strój gimnastyczny i ma na sobie żółty szalik z Misiem Rupertem. Jakby tego było mało, ma jeszcze czerwoną pikowaną kurtkę, która z łatwością może mieć dziesięć lat, a w ręku, niczym prasową przepustkę na pokaz mody, dzierży bilet okresowy.

Brygada w barwach Gucciego ślini się, gdy on, niczego nie podejrzewając, podchodzi do drzwi. Wkraczam do akcji, spadając na niego niczym tornado, wydzieram mu kurtkę i szalik, pośpiesznie wtykam mu kartę autobusową do kieszeni na piersiach (skamle, kiedy sugeruję włożenie jej do torby) i bezskutecznie próbuję wygładzić dłonią jego afro. Potem wręczam cały ten kłęb, z torbą i ze wszystkim, zde gustowanemu norweskiemu szatniarzowi, który dotyka szalika z Rupertem, jakby to był odpad medyczny, i nalega, żebyśmy wzięli na każdą

rzecz osobny numererek, może chcąc nas ukarać zarówno za odrażający brak gustu, jak i kompletną nieumiejętność podróżowania bez bagażu. Dziewczyny od Gucciego mrużą oczy i jedna właśnie ma się odezwać, ale rezygnuje. Pokazuje ręką, że możemy przechodzić, i krzywi usta w krótkim uśmieszku, jakby mówiła: „Masz u mnie dług”.

Zostaję z Darrenem. Odwraca się do mnie speszony i oszołomiony, ściskając pęczek szatnianych numerków.

- Ja nie wiedziałem, Louise, że... no wiesz, że to takie miejsce.

Śmieję się jak Cruella DeMon i popycham go w stronę baru.

- Nie wygłupiaj się, złotko! - wykrzykuję, chcąc przebić się przez letargiczny, monotony śpiew Paradis. — Kupię ci drinka. Spójrz! Można patrzeć na wchodzących i śmiać się z tego, co się pojawia nad ich głowami!

Serio? — Spogląda na billboard z zaciekawieniem godnym dziecka specjalnej troski. — Ale superowe! Louise, wejdź tam, żebym mógł zobaczyć napis.

- Nie, Darren — sprzeciwiam się zdecydowanie, mocniej popychając go w stronę baru, byle dalej od strefy zagrożenia marki Gucci. — Można wejść tylko raz. Musisz poczekać, aż będzie wchodził ktoś nowy. Takie są zasady.

- O rety — jego głos wyraża głęboki szacunek. — Jesteśmy w miejscu z zasadami.

W modzie chodzi o zasady, z modnymi lokalami jest tak samo. Nie chcieliśmy chadzać na drinka do lokalnego pubu naprzeciwko biura. Chcieliśmy inaczej. Zasady sprawiają, że jest inaczej — mamy coś do roboty, możemy się skoncentrować na czymś innym niż na sobie nawzajem. To osiągnięcie. Wszyscy są wniebowzięci, że tutaj są, wrzeszcząc sąsiadom do ucha, wydając za dużo na drogie drinki, usiłując tańczyć pomiędzy stolikami i lądując na kolanach nieznajomych. Jesteśmy coraz bardziej pijani, kończą się nam pieniądze, idą w ruch karty kredytowe. Lawiruję między grupkami ludzi, prowadząc

szczętkowe rozmowy — tu pochwycę czasownik, tam przymiotnik, po czym odpłacam tym samym.

— Fantastyczne! — wykrzykuję, przesyłając całusy facetowi po drugiej stronie sali, którego widziałam na video jak siusia.

— Dosłownie wrzeszcząc na siebie! — dorzucam swoje trzy grosze gdzie indziej, łowiąc uchem pointę opowieści Colina i podpijając łyk jego martini.

— Naprawdę, naprawdę obrzydliwe! — szepczę scenicznie do koleżanki, przysłaniając usta dłonią, gdy przyglądamy się, jak jedna z modelek wymiotuje w drodze do toalety.

Wszystko, co wypowiadam, kończy się wykrzyknikiem. Z nikim nie rozmawiam dłużej, ale ustawicznie się obejmujemy, mówiąc, jak to musimy się kiedyś spotkać. A później, kiedy utrzymanie się w pionie zaczyna być nie lada wyczynem, bierzemy się nawzajem w ramiona, wtulamy twarze w cudze karki i łkamy: „Kocham cię! Naprawdę, kocham!”. Po czym próbujemy spojrzeć sobie znacząco w oczy, co nie jest łatwe, gdy widzi się podwójnie.

Następnego ranka usiłuję wyleczyć kaca, pijąc kawę i razem z Rią zajadając się tostami. Nie mogła wczoraj z nami pójść. Poszłam po nią do galerii, w której pracuje, ale w ostatniej chwili się rozmyśliła; powiedziała, że nie ma nastroju na cały ten tłum i hałas.

— Nigdy nikogo nie poznasz, jak będziesz tylko przesiadywać w domu — pouczam ją, grożąc jej palcem.

Odwraca stronę w czytany właśnie czasopiśmie.

— A ty kogo poznałaś ?

Mam mgliste wspomnienie ciągnącego mnie za ramię hałaśliwego agenta, żonatego fotografa, co nalegał na kilka „artystycznych ujęć” ze mną i z jeszcze jedną dziewczyną, biseksualnego byłego wojskowego...

— Nie w tym rzecz — odwarkuję, starając się opanować drżenie rąk przy smarowaniu tostów. — Nie jestem z boku, nie tracę kursu. Nie wolno tracić kursu, Ria. Uwierz mi, znam się na tym.

— Aha — mamrocze z uśmiechem Mony Lizy, odwracając kolejną stronę.

Przeogląda "Vogue'a" i gdy się przysiadam, z irytacją zauważam, że zarzucili styl retro lat siedemdziesiątych — teraz lansują skrzyżowanie wytapirowanej panienki z dobrego domu z punkową cizią, a to oznacza, że wszystkie moje wyszukane powalające ciuszki są do niczego. Modelki ze zdjęć przemykają w luźnych sukienkach od Pucciego za siedemset funtów, podartych kabaretkach i ogromniastych fryzurach. To nie tylko nowy wygląd, to nowy etos. Też coś! Jak oni mogą? Dopiero co nauczyłam się układać włosy na szczotce!

- Nie mam pojęcia, po co ktoś miałby sobie w ogóle zawracać głowę wydawaniem takich pieniędzy na markowe ciuchy! — wyrzucam z wściekłością, zastanawiając się jednocześnie, czy przypadkiem w szufladzie z bielizną nie kryją się jeszcze jakieś kabaretki. — Za kolejnych kilka miesięcy ten wygląd i tak będzie już niemodny. Jaki jest sens wydawania siedmiuset funtów na coś, co dwa tygodnie później będzie można dostać w Top Snopie za trzydzieści pięć? Jeśli możesz, podaj mi cukier.

Kia przysuwa mi cukier, nie podnosząc wzroku. No serio, jaki to ma sens? — ciągnę, z impetem sypiąc do Li wy górę cukru. — Komu by się chciało wydawać tyle forsy tylko po to, żeby być modnym?

Po pierwsze — mówi cicho, popijając herbatę małymi łykami — moda to nie to samo co styl. Po drugie, można z łatwością wydać siedemset funtów na autentyk.

Autentyk? Czy to miało zabrzmieć protekcyjnie? Czyli konkretnie co? — pytam.

Sama czuję, że szukam zaczepki. Ktoś musi zapłacić za ten czas, który zmitrężyłam u Miss Selfridge.

Autentyk to coś, co zostaje, kiedy przemija moda — ciągnie, nalewając sobie kolejną filiżankę herbaty. - Coś, co ma siłę przetrwania, coś z charakterem. Para dobrze skrojonych spodni, idealnie dopasowany kostium, golf z czarnego kaszmiru...

-Aha, rozumiem! Masz na myśli ciuchy nudne! - poprawiam ją, czując wściekłą frustrację na myśl o tym, że moje nowe czerwone buciki z węzowej skóry są już *passe*, a ona mi tu truje o czarnych golfach, jakby to był jakiś zen mody.

— Nie, klasyczne — odparowuje.

Piorunuję ją wzrokiem. Czyżby ona czytała moją książkę? Albo czytała, albo przemawia przez nią duch samej Madame Dariaux.

— Klasyczne ciuchy pozostają, gdy człowiek zrezygnuje — zauważam. - Zrezygnuje z wychodzenia, z tańczenia, z bycia modnym. Jak chcesz być seksowna i młoda, musisz być modna.

— A może — mówi, spoglądając na mnie chytrze — to są rzeczy, które zaczynają się człowiekowi podobać, dopiero jak jest dorosły.

Zapada ciężkie milczenie. Nienawidzę jej. I gardzę czarnymi golfami.

— No i jak się udał wczorajszy wieczór? — pyta, szybko zmieniając temat.

Pozwalam jej zyskać punkt. W końcu, rozważam, ona najwyraźniej należy do tych, którzy już zrezygnowali, i ciągnięcie tego wątku dalej byłoby niegrzeczne.

— Było świetnie. Naprawdę! Wszyscy byli: Colin, Sanam, Nelson, Darren. - Mam nagły przypływ natchnienia. — Następnym razem też powinnaś pójść. Myślę, że byście się dobrze dogadywali z Darrenem.

Marszczy nos.

— Zobaczymy. Wzruszam ramionami.

— Pewnie. Może następnym razem.

I myślę sobie o tym, jaka ona jest stateczna z tymi swoimi domowymi kolacjami i stosami katalogów sztuki, niech jej będzie na zdrowie. Czyż ona nie wie, że zegar tyka nieubłaganie? Czule gładzę ją po głowie, po czym pędzę na Brixton

Market w poszukiwaniu czegoś, co choć odrobinę przypominałoby Pucciego — co mogłabym włożyć w przyszły piątek.

Aż pewnej niedzieli zostaję sama w domu z Rią. Męczy mnie szczególnie dotkliwe i uporczywe przeziębienie, przez co niechętnie musiałam zrezygnować z wszystkich weekendowych planów na rzecz przespania całego popołudnia na kołdrze z twarzą wciśniętą w poduszkę. Tak właśnie, na wpół śpiąc, spędzam większą część dnia, aż słońce zachodzi i dzień z wolna gaśnie. Kiedy w końcu cichutko przyczłapuję do kuchni, żeby zrobić sobie kolację, natykam się na Rię, która po całym popołudniu spędzonym z książką przyszła zrobić to samo. Poruszamy się lekko po naszym wąziutkim kambuzie -usuwając się sobie nawzajem z drogi, dzieląc się sztuczkami, rozmawiając, kiedy mamy ochotę, i czując się swobodnie, kiedy milczymy. Zaskakuje mnie poczucie rozluźnionego spokoju, jakiego doznaję w jej towarzystwie.

Włączamy telewizor i traf chce, że akurat nadają pierwszy odcinek wielkiego dramatu kostiumowego. Mościmy się obie na wielkiej, zapadającej się kanapie, by tak usadowione spędzić wieczór na oglądaniu ściśniętych żołądków i pękających gorsetów.

Wybucha zażarta dyskusja na temat tego, czy uciśniona dziewczina powinna mieć grzywkę, czy też nie, a także gwałtownie nie zgadzamy się w kwestii seksowności głównego bohatera. (Czy można kochać mężczyznę, który ma więcej włosów niż ty? Moim zdaniem nie, ale Ria uważa, że to kwestia proporcji). I zgadzamy się jednomyślnie, że w całym serialu jest tylko trzech statystów, a ekipa po prostu ubiera ich w różne kostiumy i wpycha na tyły każdego ujęcia.

Kiedy wieczór dobiega końca, odkrywam ku swojemu wielkiemu zdziwieniu, że od dawna nie czułam się lepiej i bardziej świeżo, a przecież nie robiłyśmy nic, nie byłyśmy nigdzie, mówiłyśmy niewiele. Łapię się na tym, że już czekam z utęsknieniem kolejnej niedzieli, a po niej następnej.

I bardzo szybko niedziela staje się najprzyjemniejszym dniem tygodnia.

Są urodziny Rii, rok później. Colin, jego nowy chłopak Andy i ja bierzemy ją na kolację. Mam na sobie swoją czerwoną jedwabną sukienkę i kaszmirowy sweterek pod kolor. Tego lata chodziłam tak ubrana już setki razy - to mój „strój letni”. Ale jest tak doskonały, tak pięknie skrojony, że zupełnie mi nie przeszkadza, że wszyscy go już widzieli.

Kiedy przyjeżdżam, Ria już czeka przed naszą ulubioną restauracją. Ona, Andy i Colin popijają szampana i gawędzą w ciepłe późnopopołudniowe słońca. Ria trzyma w rękach bukiet, który dostała w pracy; w białej płóciennej bluzce i spodniach wygląda rześko i świeżo. Nie jest to duże przyjęcie, tylko nasza czwórka, ale kiedy wysiadam z taksówki, Ria promienieje i jest taka przejęta, że gdy w końcu siadamy, z trudem może jeść. Zamówiłam dla niej tort, który teraz przynoszą do kawy. To solidny, ciężki kawał czystej czekolady z napisem z różowego lukru: „Wszystkiego Najlepszego, Ria” i z jedną smukłą świeczką. Kiedy odśpiewujemy *Sto lat*, Ria czerwienieje i zaczyna płakać.

Od czasu gdy się poznałyśmy, widziałam Rię tysiące razy. Znamy się tak dobrze, że jedna może kończyć zdanie drugiej. Podaję jej prezent - książkę o Barbarze Hepworth, którą od bardzo dawna chciała mieć.

I ja to wiem. Wiem, że chciała dostać tę książkę. I wiem, że zamówi rybę na przekąskę i rybę jako danie główne. I wiem, że wypije tylko kieliszek szampana, bo właściwie nie pije. I wiem, że całe wieki pragnęła mieć tę szeleszczącą płócienną bluzkę, którą ma na sobie dzisiaj. Wiem, jaki ma numer butów, dlaczego nie lubi metra i że roztkliwia się nad wszystkim, co jest pięknie zrobione.

To dopiero jest autentyk. To dopiero klasa. Przyjaciółka. Przyjaciółka jak czarny kaszmirowy golf.

A w końcu życie jest za krótkie na cokolwiek innego.

Restauracje

Pytanie: „Gdzie idziemy dziś wieczorem?” nigdy nie jest pytaniem zbędnym. Odpowiedź będzie cenną wskazówką dla jak najlepszego dopasowania swojego wyglądu do otoczenia, w którym przyjdzie ci spędzić wieczór. A dla kobiety eleganckiej pojawienie się w restauracji w nieodpowiednim stroju jest tak samo nie do pomyślenia jak przybycie z godzinnym opóźnieniem.

Na przykład: jeśli jesteś zaproszona na wytworną kolację do modnego bistro, nastaw się na jedzenie raczej przeciętne, ale za to na klientelę w strojach zdradzających znajomość najnowszych trendów. Będziesz się czuć najlepiej, jeśli dostosujesz się do innych i wybierzesz coś w stylu szykownej malej czarnej podkreślonej najmodniejszymi dodatkami. Jeśli jednak twój towarzysz wybrał jakiś znany, dystyngowany lokal, proponuję włożyć coś konserwatywnego, luksusowego, może nawet odrobinę banalnego. Możesz zarzucić na ramiona etolę z norek i ozdobić się brylantami - on tego właśnie oczekuje. Poza wszystkim innym, jakiś bardziej awangardowy, stylowy ubiór najprawdopodobniej zmarno-

walby się na starszej zamożnej klienteli, która tak naprawdę przychodzi tylko po to, żeby zjeść.

Nie zapominaj, że ubierając się na kolację, robisz to nie tylko dla siebie, lecz także ku zadowoleniu i przyjemności pana, który cię zaprasza. A wydając małą fortunę na ten wieczór, mężczyzna zwykle lubi, żeby łączył się z tym pyszny wystrój, wyśmienita kuchnia i towarzysząca pozostająca w idealnej harmonii tak z jednym, jak i z drugim.

I wtedy to się staje. Długo po tym, jak zostawiłam pamiętny liścik, Oliver Wendt niespodziewanie i nagle pojawia się w holu. Właśnie na klęczkach przeliczam programy w jednej z szaf, gdy czuję dochodzący tuż zza moich pleców zapach papierosowego dymu. Odwracam się i widzę Olivera: przygląda mi się wsparty o framugę drzwi, wypuszczając kółka mglistego dymu w sączące się przez witraż nad głównym wejściem przykurzone światło. W jasnoniebieskiej koszuli i dżinsach wygląda na opalonego i wypoczętego.

— Do Ritza trzeba chyba iść w krawacie — duma głośno, spoglądając na rozplywające się leniwie kółka dymu i szybkim, wprawnym ruchem strzepując popiół do jednej ze zdezelowanych mosiężnych popielniczek.

Z trudem przełykam ślinę. Tylko spokojnie. Bądź spokojna i wyniosła. Spokojna i wyniosła.

— Tak sędzę — odpowiadam, unosząc brew. — Oczywiście gdyby się szło do Ritza.

Uśmiecham się skromnie. On się uśmiecha skromnie.

I ni stąd, ni zowąd zaczynają mi się trząść ręce. Robię się strasznie czerwona, co próbuję pokryć, ściskając z całych sił stertę programów. Ale to jeszcze pogarsza sprawę. Coś mnie opętało: moje ręce żyją własnym życiem, a jedyne, na co mnie stać, to głupkowaty uśmiech, gdy nagle moja góra pa-

pieru, niby uderzona jakąś niezmierną siłą, eksploduje na całe foyer.
— Cholera! — mówię najspokojniej i najwznioślej, jak potrafię, gramoląc się, żeby to pozbierać. Oliver uśmiecha się szeroko, ostrożnie umieszcza papieros w kąciku ust i schyla się, żeby mi pomóc.

— Masz szczęście do rzeczy martwych — zauważa.

— Zwykle nie jest aż tak źle — bronię się, z wściekłą pasją układając w stertę rozsypane programy. Chciałabym nie żyć.

Możesz wierzyć albo nie, ale zdarza mi się być skończonym wcieleniem gracji.

— Miejmy nadzieję, że zdarzy ci się to w piątek — odpowiada, sprawnie układając programy w pustym pudełku.

Zamieram.

— W piątek? — staram się brzmieć zwyczajnie, na lekko zaskoczoną. Na nieszczęście mój głos osiąga dziwne vibrato i wychodzi to bardziej w stylu Edith Evans wypowiadającej słynną kwestię z torebką w *Bracie marnotrawnym**. Ale on zdaje się tego nie zauważać.

Kiedy programy są już poukładane, podnosi pudełko.

— Gdzie chcesz, żeby to położyć? - pyta, ignorując moje pytanie.

— Hmm... - trudno mi się skoncentrować — hmm... o, tutaj. Tutaj będzie dobrze.

Spogląda na mnie. Tutaj — powtarza.

Tak, proszę. O, świetnie — uśmiecham się. Ale dopiero co je stąd zabrałaś.

Oj! No to... może tam — wskazuję pierwsze lepsze miejsce po przeciwnej stronie foyer. — Tam je przenieśmy! Taszczy programy na wskazane miejsce.

— Ogromnie dziękuję! Cudownie! — wyrzucam z siebie. Będę musiała poczekać, aż odejdzie, żeby przenieść programy z powrotem.

— Nie ma za co — mówi i zaciąga się głęboko. Przez chwilę w milczeniu kontemplujemy pudełko.

— No więc w piątek - zaczyna. Teraz w jego głosie dziwnie pobrzmiwa nuta Edith Evans. Przesłupuje z nogi na nogę. — To jest... to znaczy... chyba że masz inne plany.

— Nie. — Stoję jak porażona, robiąc wszystko, żeby nie zwymiotować albo się nie przewrócić. — Nie. — Udaję, że przebiegam w myślach kalendarz towarzyskich spotkań. — W piątek chyba dam radę.

— Dobrze. Chcesz, żeby cię skądś odebrać? — mówi to tak, jakby chodziło o paczkę.

— Nie, nie! — ogarnia mnie panika na myśl, że mógłby zobaczyć mój dom, szczególnie sypialnię *à la* schowek na miotły i Colinową kolekcję wątpliwych *objets d'art*. — Umówmy się na miejscu.

— Siódma?

Usta mam całkiem wyschnięte.

— Może być siódma — chrypię.

— To do zobaczenia — mówi, odchodząc w stronę widowni. Nagle jestem jak ofiara wypadku, którego sprawca zbiegł.

— Tak, ale gdzie? - wołam za nim. Odwraca się z szerokim uśmiechem.

— Gdzieś, gdzie nigdy nie byłem, Louise. W Ritzu.

Koniec. Zniknął. I tylko niemożliwie starannie poukładane programy oraz odrobinka popiołu dowodzą, że był tu naprawdę.

— Chyba trzeba się porządnie odstawić, kiedy się idzie do Ritza - ćwierkam do Colina po przyjściu do domu.

Colin akurat ściera kurz w mieszkaniu, ze szczególnym uwzględnieniem swojej drogocennej kolekcji porcelanowych

figurynek. Oto one, ostrożnie poustawiane w rzędku na stole: niegrzeczny pastuszek z pastuszką, skaczący tygrys, wychudły Don Kichot zamierzający się na wiatrak. Colin podnosi wzrok.

— Do Ritza! Wydaje mi się, że tak, złotko. Ale chłopcy tacy jak ja rzadko pozwalają sobie na więcej niż wypad do KFC. A kto taki — dodaje z szelmowskim uśmiechem — miałby zabrać do Ritza moją Amerykaneczkę?

Wbiegam do pokoju w podskokach.

— Ee, nikt. Tylko zaczyna się na O, a kończy na liver Wendt!

— Mój ty Boże, a on jest hetero! Alleluja! Och, Louise! Moja własna, maleńka Louise! — Dramatycznym ruchem przyciska do piersi ściereczkę do kurzu. — Moja mała dziewczynka dorosła! Pewnie zaraz mnie porzuci!

— Col, przestań już ćwiczyć do *Mody na sukces* i przyjdź mi pomóc.

— Nie wiem, dlaczego miałbym — dąsa się. — Nigdy nie pozwalasz mi odegrać żadnej sceny do końca.

W chwilę potem wsuwa głowę przez drzwi, gdy ja tymczasem wyrzucam wszystkie ciuchy z szafy na łóżko.

— No więc w co się ubierzesz? — Czuję wyraźnie, jak jego badawcze spojrzenie omiata pokój. Karteluszkę zniknęły, ale to nie jedyne, co go trapi. — O Boże, czy ty nigdy nie ścierasz kurzu? — pyta z rozpaczą, gdy jego wzrok pada na zagracony nocny stolik.

Kręcąc głową, przysiada na skraju łóżka i z cichą rezygnacją zaczyna przecierać buteleczki perfum. To jego przekleństwo nie jest w stanie przejść obok żadnej powierzchni, nie sprawdzając jednocześnie, czy aby nie jest zakurzona.

— Sama nie wiem - marudzę. - Nie mam nic... zupełnie nic! — Wyrzucam na łóżko kolejny stos.

— Mam pomysł. Jak już skończysz wszystko wyrzucać, możemy powkładać to z powrotem na miejsce według kolorów.

Spójrz — uśmiecha się, podnosząc pod światło swoje dzieło. — No, spójrz tylko i powiedz, czy nie wygląda lepiej! Nawet da się teraz odczytać napis, Amarige.

— Colin! W ogóle nie słuchasz, co mówię! Nie mam się w co ubrać!

— Oj, ty cielęcino! Jasne, że masz! — mimowolnym ruchem przejeżdża ściereczką po kloszu. — Ale coś mi mówi, że żeby cokolwiek tu działać, musimy się najpierw napić porządnej, mocnej herbaty. Rany, Louise! — kręci głową z niedowierzaniem, gdy na łóżku ląduje kolejna bluzka. — Nie wiem, jak taka dziewczyna jak ty może jeszcze używać drucianych wieszaków. Można by pomyśleć, że wychowała cię banda Cyganów. — I z tymi słowy znika w kuchni, żeby nastawić wodę.

Po paru minutach wraca, niosąc dwie „duże”, jak je nazywa, które są jak kawa z ekspresu, tyle tylko że to herbata. Specjalność Colina polegająca na upchnięciu pełnej garści liściastej Premium Grade w bardzo małym dzbanku i parzeniu ich tak długo, aż całość nabierze koloru smoły. Twierdzi, że w ten sposób Anglicy wygrali wojnę, co przywodzi mi na myśl oddziały trzęsących się, zlanych potem kofeinowych ćpunów.

— A więc - sadowi się w jedynym wolnym rogu łóżka -działajmy logicznie. Jaka jest opcja numer jeden?

— Mam to. — Podnoszę tweedowy kostium. — Do tego taka góra — dodaję, wskazując na zapinaną czarną bluzkę z koronki.

— Hmmmm — sznuruje wargi i w zamyślenia uderza w nie wskazującym palcem. - To wysyłanie sprzecznych sygnałów. Takie: „Jestem cnotką. Ojej! Nie, nie jestem”, jeśli łapiesz, o co chodzi. Takie: „Chciałabym i boję się”. Coś jak: „No, no, cacuszko z ciebie”, plus odrobinę: „To ci dopiero matrona”. Osobiście nie mam nic przeciwko. Szkopuł w tym, że jedno do drugiego niezbyt pasuje.

- No dobra. A to? — podnoszę czarną wieczorową suknię.
- Louise, ona ma kokardę. Jak kobieta po trzydziestce może mieć coś z kokardą?
- Myślałam, że dzięki temu wyglądam młodo - protestuję bez przekonania.
- Co innego wyglądać młodo, a co innego infantylnie. -Odrzuca ją na bok.
- No dobrze. Zawsze zostaje mi jeszcze sukienka *a la* Puc-ci i trykot bez pleców.
Macham nimi Colinowi przed twarzą. Także do niczego.
- Louise, to już zamieeerzchła przeszłość.
- Co ja zrobię? — opadam na podłogę jak bezwładny worek przygnębienia.
- A co się stało z tą twoją małą czarną? No wiesz, o którą mi chodzi. Kręcę głową.
- O tę od Karen Millen? Rozpruł mi się szew przy tańczeniu w Mink Bikini i dalej nie jest naprawiona.
- Co by powiedziała w takiej sytuacji Madame Jak Jej Tam?
- Col! Jesteś ostatnią osobą, po której bym się spodziewała, że mnie odeśle do Madame Dariaux!
- No, aniele, przecież nie musisz popadać w psychozę. Mogłabyś przeczytać to zwyczajnie, biorąc te porady *cum grano salts*, jak każdy normalny człowiek.
Pokazuję mu język.
- Nie sędzę. Wzrusza ramionami.
- No to nie ma rady. Będziesz musiała pożyczyć coś od Rh.
- Od Rh! Chyba żartujesz! - próbuję się roześmiać, ale wydaję z siebie tylko jakiś zduszony, gardłowy dźwięk. Colin jest niewzruszony.
Spójrz prawdzie w oczy, Louise. To knajpa z klasą i przykro mi to mówić, ale ty nie masz takich ciuchów. Bez obrazy, złotko, jesteś słodka i sexy, ale skoro mowa o wieczorze za

dwieście funtów, potrzebujemy Audrey Hepburn, a nie Britney Spears. Poza tym - ciągnie, ruchem dłoni nakazując mi milczenie — niezależnie od tego, co myślisz o naszej małej dyktatorce, musisz przyznać, że jest zawsze ślicznie ubrana.

— Ona nosi ubrania dla starych bab! — krzyczę, z całych sił powstrzymując się od przyłożenia mu w głowę filiżanką.

— Otóż tu się właśnie mylisz, moja ty mała bywalczyni wyprzedaczy! Ria ubiera się klasycznie, a Ritz to właśnie takie miejsce. Masz idealnie harmonizować z otoczeniem, aniele. Wtopić się, pamiętaj, wtopić się w otoczenie. Powtórz, Louise — patrzy na mnie surowo. — Uwierz mi. Jestem starą ciotą. Wiem, co mówię.

— Colin, ty masz trzydzieści pięć lat.

— Tak, ale u geja to jak sześćdziesiąt pięć: wiek, kiedy się chodzi na zakupy z wózkiem.

— Ty kompletnie nie rozumiesz, o co chodzi! Ja nie chcę się wtopić w otoczenie. Chcę być widoczna! Całe miesiące czekałam, aż on mnie zaprosi. Chcę, żeby mnie zauważył!

— Nie. — Kręci głową i grozi mi palcem, jakbym była jakimś pieskiem, który zbacza z alejki. — Nie w Ritzu. Uwierz mi, złotko, tak naprawdę to chcesz się wtopić, tylko sama o tym nie wiesz. A on już cię zauważył, inaczej byś tam przecież w ogóle nie szła.

— No ale gdyby zobaczył, jaka jestem seksowna... — zaczynam. Ale Colin uparcie kręci głową.

— Przemyśle to — mówię nadąsanym tonem.

— Przemyśl. No to jak? - Wstaje, nagle ożywiony. - Poukładamy to wszystko według kolorów?

— Nie teraz. Chcę zostać sama. Popycham go w stronę drzwi.

— Hej, Louise, chyba się nie gniewasz, co? Wpycham go z pokoju i zatraskuję drzwi.

— Louise? — Przykłada oko do dziurki od klucza, ale zasłaniam ją dłonią. — Nie wygłupiaj się, to dla twojego dobra. Nawet taka Audrey była niczym, póki nie trafiła na Givenchy'ego.

— Z całym szacunkiem — odpowiadam wyniośle - mam trzydzieści dwa lata i chyba potrafię się ubrać. A teraz, jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym pobyć sama.

Prosić Rię o ciuch! Też coś!

Gdy podnoszę swoją fałszywą mini od Pucciego i przekopuję górę ubrań w poszukiwaniu przezroczystego bezrękawnika, mój wzrok pada na *Elegancję leżącą* na szczycie całego stosu opartych o parapet książek. Może Colin ma rację. Może nie zaszkodziłoby raz jeszcze zasięgnąć rady wyroczni.

Biorę książkę do rąk i trzymam przez chwilę, patrząc na wytartą popielatą okładkę i czując w dłoniach znajomy ciężar. Myślę o godzinach, które prześlęczałam nad jej kartami w poszukiwaniu odpowiedzi i porad. Wtedy potrzebowałam ich rozpaczliwie. Teraz już nie. W końcu zaprosił mnie, prawda? Ożyli coś chyba jednak robię tak, jak trzeba.

A jednak waham się. Otwieram książkę szybkim ruchem i wertuję, aż dochodzę do „R”.

„Proponuję włożyć coś konserwatywnego, może nawet odrobinę banalnego”.

Znowu spoglądam na rozłożony na łóżku tweedowy kostium. Dobra. Czemu by nie spróbować? Chwilę potem analizuję swoje odbicie w lustrze. Spowita od stóp do głów w brązowy tweed wyglądam nie tylko na konserwatywną, ale wręcz zabalsamowaną. Bezpłciowa Bibliotekarka Atakuje. Zdejmuję kostium i sfrustrowana rzucam go z powrotem na łóżko. Na nic. Grzebiąc w szafie, lokalizuję swoją uszkodzoną Karen Millen. Będę teraz musiała sama ją zreperować. A przy okazji wpycham *Elegancję* za stos starych podkoszulków, po czym zamykam szafę.

Stanowczo zbyt długo czekałam, żeby teraz zmarnować taką okazję. I nie potrzebuję niczyjej pomocy.

Jest piątkowy wieczór. Wyłaniam się ze stacji Greek Park wywoskowana, wydepilowana, wypeelingowana, wyrafinowana, zdefiniowana, nakremowana, nawilżona *etc.* Żeby posłużyć się supermarketowym określeniem — umyta i gotowa do spożycia.

Ubieranie się było istnym koszmarem. Zdawało mi się, że to jedyna okazja, że już się nie powtórzy, lepiej więc nie zdawać się w niczym na przypadek. Jeśli mam skutecznie uwieść Olivera Wendta, lepiej wytoczyć ciężkie działa. Tak więc wyeksponowałam parę swoich mocnych stron.

Chociaż nie jestem najlepszą w świecie szwaczką (ani nawet jedną z pięciu tysięcy najlepszych szwaczek), udało mi się zszyć rozpruty szew mojej czarnej Karen Millen. Upojona tym stosunkowo łatwym sukcesem, zdecydowałam się zrobić jeszcze jeden krok. W końcu skoro ta sukienka wygląda seksownie, sięgając odrobinę za kolano, o ileż silniejszy będzie efekt, jeżeli ją skrócę jeszcze trochę. O ileż bardziej w stylu Versacego. A dzisiaj wieczorem mam zamiar przebić pod względem atrakcyjności nawet samą Liz Hurley. Dla dopełnienia całości włożyłam sandałki na szpilkach, żeby wyglądać na wyższą, kabaretki dla wysmuklenia nóg i nowy biustonosz z poduszeczkami. Zaczesałam włosy do tyłu, żeby wyglądały pełniej, spryskałam powieki złotym brokatem, żeby podkreślić kolor, i lekko uróżowałam zagłębienie między piersiami. Jestem nie tyle ubrana, co uzbrojona. Teraz będzie musiał docenić moje wrodzone powaby.

Ale chociaż niewątpliwie robię wrażenie jako typ MTy jadąc metrem z Brixton, zwracam na siebie troszkę więcej uwagi, niż sama bym chciała. Taki jeden z dredami dosłownie goni mnie przez cały peron, chcąc mi sprzedać swój bilet i wołając za mną: „Oooo, wyglądasz cacanie, mała”. Nie jest to reakcja, o jaką mi chodzi.

Stoję przed stacją Green Park w czarnym płaszczu zapiętym pod samą szyję i czuję się więcej niż dziwnie. W porów-

naniu z szaleństwem czesania, suszenia, prasowania *etc.* samo znalezienie się tutaj jest pewnym rozczarowaniem.

Jest siódma. Odwracam się i idę w stronę Ritza.

Z zimnej i wilgotnej ciemności parku wchodzę do środka, mijając armię odźwiernych w uniformach zdobnych w lśniące mosiężne guziki i sztywne epolety, boyów w toczkach i pozostały personel w garniturach.

Pierwsze, co zauważam, to to, jak wszystko jest tu niesamowicie złote. Światło wręcz oślepia. Rozpryskuje się w taliach luster, odbija się od kryształowych kandelabrow i migocze w złoconych powierzchniach. Staję na chwilę, wspierając się o kontuar jak pijana, żeby złapać oddech i pozwolić oczom / wolna się przyzwyczać.

Drugie, co do mnie dociera, to okazałość tego miejsca, w którym odważnie i niepodzielnie panują stłoczone bezwstydnie razem rokokowe smaczki. Pulchne, rumiane amorki baraszkują po błękitach na kremowych obłoczkach, przywodząc na myśl młodych członków partii konserwatywnej spuszczonej ze smyczy w czasie partyjnej konferencji. Kandelabry płoną nad obitymi aksamitem meblami w stylu Ludwika XIV Powietrze aż wibruje pewnością siebie. Z sąsiedniej sali dochodzą łagodne dźwięki fortepianu, jakby pytając: „Czyż nie jest romantycznie?”. Owszem, jest.

I wtedy zdaję sobie sprawę z czegoś jeszcze: jest tak, jakby grawitacja była tu silniejsza niż gdzie indziej. Wszyscy wydają się poruszać odrobinę wolniej niż zwykli ludzie. Mój wzrok pada na blondynkę siedzącą przy małym stoliku w rogu. Ubrana jest w czarną koktajlową suknię z odkrytymi ramionami ozdobioną naszyjnikiem z pereł. Może mieć ze dwadzieścia pięć, trzydzieści pięć lat, a nawet nieskazitelną czterdziestkę. Pochłonięta jest rozmową z eleganckim mężczyzną, który może równie dobrze być jej ojcem, mężem lub kochankiem. On jej podaje turkusowe pudełeczko od Tiffany'ego, które zdaje się przepływać z jego do jej dłoni. Ona się uśmiecha. On się

uśmiecha. Ona otwiera pudełko i leciutko się śmieje, po czym znów je zamyka. Wymieniają porozumiewawcze spojrzenie. W tej transakcji nie ma nic impulsywnego, pospiesznego. Oboje poruszają się w swoistym emocjonalnym zwolnionym tempie nadanym przez środek silniejszy niż prozac czy Valium - przez zamożność, która upodabnia ich życie do karty wykwintego, opatrzonego znakiem wodnym papieru.

Z wolna uświadamiam sobie, że wszędzie wokół, na tle szmaragdowego pluszu foteli, rozgrywają się chwile przełomowe: oświadczyzny, rocznice, zdrady. Nic dziwnego, że wszyscy poruszają się tak powoli.

Oto i ja za chwilę dołączę do tego ekskluzywnego klubu, aby rozegrała się i moja przełomowa chwila.

Dostrzegam go, zanim on dostrzeże mnie. Siedzi markotnie przy jednym z małych stolików w holu, popijając piwo ze szklanki i niezdarnie wyrównując krawat — stary, szkolny krawat, co widać po dziwacznej kombinacji kolorów. I w tym momencie orientuję się, czując okropny skurcz gdzieś w głębi, że popełniłam straszliwy błąd.

Seks

Świadomie czy nie, mężczyźni i kobiety uciekają się do rozmaitych sztuczek, żeby się nawzajem wabić, ale smutna prawda jest taka, że kobiety prawie zawsze zachowują się przy tym znacznie mniej dyskretnie niż mężczyźni. Często właśnie gdy próbują wykorzystać swoje wrodzone zalety, przekreślają wszelkie szanse na elegancję. Tak zwane „seksowne” style nigdy nie są naprawdę eleganckie i nadają się wyłącznie dla wampów z filmów gangsterskich lub komiksów.

Wokół męskich upodobań co do mody narosła cała mitologia, z powodu której niejedna młoda kobieta - ubierając się tak, by przyciągnąć uwagę mężczyzny i wywołać zachwyty - wywołuje tylko zdumienie. Żeby raz na zawsze oddzielić prawdę od mitu, powiedzmy, co następuje:

Co mężczyźni lubią naprawdę

pełne spódnice, wąskie talie, długonogi wygląd ubrania modne, lecz nie awangardowe (mężczyźni siedzą trendy w modzie bardziej intensywnie, niż ci się wydaje)

*futra i ogólne wrażenie luksusu
prawie każdy odcień błękitu, biel, bardzo jasny i bardzo ciemny
popiel*

*niektórzy mężczyźni nie znoszą widoku swoich żon w czerni, inni to
uwielbiają*

*perfumy - ale współcześni mężczyźni wolą lżejsze perfumy niż ich
ojcowie i przedkładają delikatne, wyszukane kompozycje nad proste
zapachy*

Co się im zdaje, że lubią

(lecz tylko w kinie)

obcisłe spódniczki i agresywnie szpiczaste piersi

sztuczne rzęsy

bieliznę a la femme fatale

piżmowe, egzotyczne zapachy

szpilki

kilometry czarnych frędzli i czerwonego szyfonu falbanki

*W skrócie, mężczyźni lubią, gdy się im zazdrości, ale nie znoszą
zanadto rzucać się w oczy. A szczególnie nie lubią wulgarności w
kobiecie, którą kochają.*

Dzwonię do Rii z telefonu w damskiej toalecie.

— Louise? Co się dzieje? Gdzie jesteś?

- Ria, popełniłam straszliwy, straszliwy błąd! — dławię się łzami.

- Uspokój się, mała. Gdzie jesteś?

- W Ritzu.

— Hej, chyba cię nie wystawił do wiatru ten podlec, co?

— Nie, nie, jest tutaj, tylko że... — prawie fizycznie czuję w ustach
smak wstydu - chodzi o mnie. Ze mną wszystko jest nie tak.

— Nie tak? To znaczy?

— Wyglądam jak nie z tej bajki! Jestem w mojej czarnej Karen Millen.

— Tak? No i co w tym złego?

— Ja ją... Ja ją skróciłam.

— O ile? Dwa centymetry? Pięć?

— Jakieś trzynaście - wyszeptuję. Zapada długa cisza.

— O rany, Louise! — niemal słyszę, jak kręci głową.

— Ria, musisz mi pomóc! — błagam. — On jest moim przeznaczeniem. Wiem to. Ale nie mogę iść na kolację w Ritzu ubrana w ten sposób!

Wzdycha.

— Dobra — mówi w końcu. — Zostań tam, gdzie jesteś. To znaczy nie, idź do niego, porozmawiaj z nim. Niegrzecznie jest kazać komuś czekać. Ale pod żadnym pozorem nie zdejmuj płaszcza! Już jadę. — Po czym odkłada słuchawkę.

Kiedy wracam do holu, on wciąż tam jest. Wstaje, żeby mnie przywitać, przyciskając krawat, jakby się obawiał, że może mu wpaść do fistaszków. Przybieram zastygły uśmiech trupa, szczerzej owijam się płaszczem i śmieję się jak hiena, która łyknęła helu.

— Bardzo przepraszam za spóźnienie... musiałam tylko...

— Rozumiem. — Uśmiecha się, przysuwając mi obite zielonym aksamitem krzesło. — Proszę. — Ponownie wskazuje mi krzesło i staje za mną. - Pozwól, że wezmę płaszcz.

Cofam się jak oparzona.

— O nie! Nie! — syczę, przybierając wyraz Glenn Close. Na widok malującego się na jego twarzy bezgranicznego zdumienia ponownie wymuszam trupi uśmiech i z całą łagodnością, na jaką mnie stać, mówię:

— Straszliwie mi zimno - po czym z ciężkim bezwładem opadam na krzesło.

On przywołuje ręką kelnera. Zachowuj się zwyczajnie, zachowuj się zwyczajnie, gromię się w myślach. Weź się w garść.

Dobra, myślę, będę udawać. On nie wie, jak jestem ubrana pod płaszczem — mogłabym być cała spowita w Diora i ociekać brylantami. Od tej chwili jestem tą blondynką z pudełeczkiem od Tiffany'ego.

— A co podać, mademoiselle? — mruczy ciepło kelner. Prostuję się i zakładam nogę na nogę.

— Chętnie wypiłabym kieliszek chablis. Oliver się uśmiecha.

— Proszę kieliszek chablis dla pani, a dla mnie jeszcze raz heineken.

— Tak, proszę pana. - I kelner rozpływa się w powietrzu. Oliver patrzy na mnie z podziwem i wyrównuje krawat.

— Myślę, że będzie nam tutaj miło. To znaczy miałem wątpliwości co do przyścia w takie miejsce. Nie najlepiej się czuję w krawacie. Ale jeśli mam być szczery, to podoba mi się ta atmosfera, ci ludzie. Chyba w głębi duszy jestem snobem — śmieje się.

Ja śmieję się radośnie, z całych sił starając się nie rozszlochać.

— Któż nim nie jest? — odpowiadam lekko. Jestem kobietą od Tiffany'ego, jestem kobietą od Tiffany'ego. — Uwielbiam Ritza. Jest tu tak spokojnie i dyskretnie.

Patrzy na mnie badawczo.

— Myślałem, że nigdy tu nie byłaś.

Dalej jestem kobietą od Tiffany'ego, jestem kobietą od Tiffany'ego.

— No... Teraz tu jestem i już wiem, że to uwielbiam — płaczę się.

— A dyskrecję ceni się dziś zbyt nisko, nieprawdaż? — brzmi to jak kwestia heteroseksualisty ze sztuki Oscara Wilde'a.

— Święta prawda - podaje mi fistaszki.

Odmawiam łagodnym gestem dłoni. Właścicielki pudełeczek od Tiffany'ego nie potrzebują fistaszków. Niewątpliwie jadły na lunch kanapki z wędzonym łososiem.

Znowu grozi nam milczenie. Jak nie wiesz, co zrobić, zadaj pytanie.

— Opowiedz mi o swoim dniu — zachęcam, gotowa porzucić dalsze metaforyczne rozważania na temat zalet dyskrecji.

— No więc — zaczyna — wszyscy się dzisiaj w pracy ze mną drażnili z powodu garnituru. — Uśmiecha się. - Chcieli wiedzieć, kogo mam zamiar uwieść.

Na moment serce mi zamiera.

— I co im powiedziałaś?

— Powiedziałem, że jestem z kimś umówiony w Ritzu i żeby lepiej dali spokój, skoro nie mają pojęcia, do czego służy krawat i garnitur. To ich oczywiście nie powstrzymało przed chodzeniem za mną cały dzień, żeby ze mnie wyciągnąć twoje imię.

Nagła panika.

— I powiedziałaś im? — staram się powiedzieć to lekko i bez trosko.

Sący heinekena.

— Nie wiem jak ty, ale ja uważam, że dyskrecję ceni się dziś zbyt nisko. Poza tym pomyślałem, że imienia dziewczyny o gustach tak wyrafinowanych nie należy ujawniać zbyt szybko.

Chcę właśnie powiedzieć, że nie wszystkie moje gusty są wyrafinowane, ale zamiast tego popijam łyczek chablis. I wtedy zauważam małą postać Rh, jak przemyka się za nami i rzuca mi gniewne, znaczące spojrzenia. Pomoc nadeszła.

Podrywam się z miejsca.

— Czy mogę cię na chwilę przeprosić?

— Tak, oczywiście... Czy coś się stało? Żle się poczułaś? Nic podobnego! Tylko jednak troszkę tu ciepło. Więc

pójdę oddać płaszcz do szatni. — Uśmiecham się i pędzę do toalety, gdzie Ria opiera się o umywalkę, łapiąc oddech.

— Przepraszam, leciałam całą drogę z galerii — dyszy, wachlując się dłonią. — On chyba jest spoko? Jak wam idzie?

— Dobrze. Chyba dobrze. To znaczy tak szczerze to nie wiem.

— Hmm. Może powinnaś się rozluźnić. Dobra, obejrzyjmy szkody — wzdycha.

Rozpinam płaszcz, czując się jak ekshibicjonista w czasie niedzielnego wypadu. Widzę, jak przechodzi ją skurcz i jak przez moment zdaje się wewnątrz zapadać, ale zaraz przychodzi do siebie i patrzy mi w oczy surowo.

— Chcę tylko, żebyś wiedziała, że nigdy tego nie robiłam i nigdy więcej, powtarzam, nigdy więcej tego nie zrobię. No dobrze — ciągnie ponuro. — Jest tylko jedna rada: musimy się zamienić. Ściągaj ubranie.

I zaczyna się rozbierać. Stuletni szatniarz ani drgnie, obserwując tę dziwną transakcję. Ria przyszła prosto z pracy. Na widok prostoty jej czarnej spódniczki od Soni Nuttal i dopasowanego topu z gabardyny mina mi rzednie. Ale gdy jej podaję moją domową roboty mikromini, też nie jest zachwycona i kategorycznie odmawia włożenia jej na siebie pod jakimkolwiek pozorem.

— Gdybym zginęła w wypadku, wolałabym już raczej, żeby mnie znaleźli w samej bieliźnie — mówi, wsuwając ją dyskretnie do torebki.

Trzy minuty potem z cukiereczką z ciucholandu przeistaczam się w prawdziwą, żywą kobietę od Tiffany'ego. Spódniczka, która robiła wrażenie tak surowej w swojej prostocie, zadziwiająco płynnie układa się na poruszającej się postaci. A dekolt w łódkę stanowi subtelnie zmysłowe obramowanie białych ramion.

Ria przygląda mi się niepewnie.

— Masz. — Podaje mi chusteczkę. — Zetrzyj szminkę. Migiem! — Potem ostrożnie usuwa mi z powiek błyszczące złotawe cienie.

- Teraz mam twarz jak kreda albo sprane ubranie — protestuję.

- Ciiicho!

Wyjmuje z torebki łagodnie karminową szminkę i maluje mi słodkie usteczka. Ku własnemu zdumieniu wyglądam teraz rzeczywiście młodziej. Potem zwilża dłonie i zaczyna przyglądać mi fryzurę. W przerażeniu patrzę, jak w ciągu pół minuty rujnuje efekt trzech kwadransów mojej pracy. Ale kiedy zaczesuje mi włosy na pазia, zauważam, że bez tej swojej wyfiokowanej grzywy wyglądam na bardziej pewną siebie.

- Co jeszcze? — Lustruje mnie uważnie. — Z tym precz.

I pozbawia mnie połyskliwego naszyjnika oraz kolczyków, wkładając mi na rękę własną srebrną bransoletkę od Georga Jensona.

- No proszę! — Cofając się, żeby obejrzeć swoje dzieło, ciaśniej otula się płaszczem. — Teraz jesteś kobietą, a nie lalką Barbie. Niech to będzie dla ciebie nauką. A teraz wyjdź stąd, bo sobie pomyśli, że jesteś ćpunką.

Obejmuję ją i wciskam jej do ręki banknot dwudziestofuntowy na taksówkę do domu.

- Ria, nie wiem, jak ci dziękować. Jesteś kochana, zadziwiająca. Zdziałałaś cuda!

Popycha mnie w stronę drzwi.

- Tylko dla ciebie, Louise. I pamiętaj, żebyśmy nigdy, przenigdy do tego nie wracały.

W końcu, prawie godzinę po przyjściu, mogę nareszcie oddać płaszcz do szatni. Podając mi numererek, rozsypujący się szatniarz nachyla się i szepcze:

- To się nazywa prawdziwa przyjaciółka.

Sunę naprzód w swoim nowym wcieleniu i siadam ponownie obok potencjalnego mężczyzny moich marzeń. Tylko że stało się coś dziwnego, coś, czego się nie spodziewałam. Szata nie tylko kobietę zdobi, ale ją też odmienia. W ubraniu Rii czuję się jakaś bardziej krucha. Bardziej podatna na ciosy.

Żadnego wielkiego uczesania, żadnych zmysłowych drobiażdżków, żadnej komicznej maski makijażu, za którą można by się skryć.

Ołiver też wydaje się inny. W czasie mojej nieobecności zamówił kolejnego heinekena i pali papierosa, bawiąc się zapalniczką.

— Wyglądasz zachwycająco. Cieszę się, że zdecydowałaś się zdjąć płaszcz. - Uśmiecha się i odnoszę wrażenie, że jest dumny, pokazując się ze mną. Ale kolejnym pytaniem bierze mnie przez zaskoczenie. — Czy mogę cię o coś spytać?

— Oczywiście.

— Czy jesteś mężatką?

No i proszę, dowód na to, że grawitacja rzeczywiście jest tu silniejsza.

— Tak. — Czuję się niezręcznie i jednocześnie dziwnie obojętnie. Jakby oto skończył się występ. Podobało mi się pozowanie na młodą samotną kobietę. - Bierzemy rozwód. Teraz jesteśmy w separacji.

Przygląda mi się usilnie.

— Co się stało?

— Nic się nie stało. - Nie mam specjalnej ochoty wchodzić w ten kanał. — Nie układało nam się.

Nadzieja erotycznego dreszczu rozmywa się. Nadciąga ciężka chmura powagi sytuacji.

— A czego chcesz ode mnie? — chce wiedzieć.

Od tamtej pory aż po dziś dzień zawsze się wzdragam na wspomnienie swojej odpowiedzi.

Patrzę na niego, siedzącego w Ritzu, pociągającego papierosa, i myślę o wszystkich tych razach, kiedy snułam się po korytarzach w pustym teatrze w nadziei, że się na niego natknę, wyobrażając sobie, że on czuje to samo.

— Zabawy — mówię. Wychodzi to żałośliwie, więc się uśmiecham i staram się, żeby wrażenie było słodkie, seksowne i zachęcające. — No wiesz, jak w dzieciństwie: zabawy, frajdy.

Patrzy na mnie bardzo poważnie, zdecydowanie nie jak dziecko, które się bawi.

- Aha — mówi w końcu i znów opiera się o oparcie krzesła. Jestem aktorką. Przyszłam na casting do roli kochanki, ale reżyser nie jest przekonany.

- Byłem z kimś przez siedem lat — zaczyna.

Czuję się, jakbym spadała bardzo szybko z wielkiej wysokości. To nie jest rozmowa, jaką sobie wyobrażałam przez całe miesiące obsesji. Najwyraźniej nie szykuje się nam romantyczny, błyskotliwy, pełen magii wieczór. Zamiast tego będziemy rozmawiać o naszych byłych.

- Prawie się pobraliśmy. — Postukuje o blat paczką czerwonych marlboro. — Masz coś przeciw, żebym zapalił?

Kręcę głową. W końcu już zaczął.

- Była w ciąży. I straciła dziecko. — Przywołuje ręką kelnera. - Napijesz się jeszcze?

Gapię się w swój niemal nietknięty kieliszek chablis.

- Nie, dziękuję.

- Jeszcze raz heineken — zarządza — i whisky do popicia.

- Miała na imię Angela. Była wspaniała. I nagle jest po wszystkim. Zanim się w ogóle zaczęło.

Pali, pije i mówi mi, jaka to ta Angela była znakomita, jaka odważna i opanowana. Pokazuje mi zapalniczkę, którą dostał od niej kiedyś na Gwiazdkę, i każe mi ją potrzymać, żebym poczuła, jaka jest ciężka. Opowiada, jak trudno jest spłacać dwa kredyty; ona nadal mieszka w domu, w którym swego czasu mieszkali razem, a on się przeprowadził do malej kawalerki w pobliżu. I jak go karciała za jego picie; mówiła mu, że jest alkoholikiem, ale on był pewien, że to tylko przejściowe.

Uśmiecham się, kiwam głową i bawię się bransoletką. I w złotawym świetle wypełnionego muzyką holu największego na świecie hotelu, nienagannie ubrana, pięknie uczesana

i o pięć kilo *łżejsza niż* kiedykolwiek przedtem, ostatecznie zdaję sobie sprawę, że nie dostanę tego, czego chcę. Nie będę ocalona przez fascynujący, wszechogarniający związek z Oliverem Wendtem. I nawet aparycja kobiety od Tiffany'ego nie obroni mnie przed grozą czyhających na mnie prawd. Odeszłam od męża i jest już za późno, żeby czmychnąć z powrotem. Dziś wieczorem wrócę do domu, a jutro rano się obudzę i nie będzie już niczego, co mogłoby to przysłonić.

Jestem sama. Żyłam sparaliżowana strachem przed tą właśnie chwilą i oto nadeszła - zimna i obojętna jak notatka nagryzmołona w kieszonkowym kalendarzyku: „Piątek, 18 marca, godzina 20.21 — orientujesz się, że jesteś sama. Naprawdę”.

Ciekawe, co się będzie działo o 20.22.

Chyba po raz pierwszy, odkąd moje oko w ogóle na niego padło, naprawdę przyglądam się Oliverowi Wendtowi. Ma brzuszek. Pod oczami ma ciężkie, ciemne sińce. Jest nałogowym palaczem i zamawia kolejnego drinka. Ale przede wszystkim siedzi z piękną kobietą i opowiada o kimś, kto od niego odszedł przed czterema laty.

Muszę się uśmiechnąć.

„Piątek, 18 marca, 20.22 - orientujesz się, że trzeba się zbierać. Naprawdę”.

Chyba to właśnie nazywa się iluminacją. Moja babcia zwykła pocieszać moją owdowiałą ciotkę słowami: „Lepiej jest być samą niż w złym towarzystwie”. Zawsze mnie to przerażało. Ale dzisiaj zaczyna mieć sens.

Po chwili wstaję, wyciągam rękę i dziękuję Oliverowi, że uprzejmie zgodził się ze mną spotkać.

— Ale myślałem... — jąka się, oponując — myślałem, że moglibyśmy właściwie zjeść razem kolację, poznać się.

— Ty jesteś nadal zakochany w Angeli - przypominam mu. Wydaje się autentycznie wstrząśnięty.

— Nie, nie jestem! Na pewno nie jestem. Oczywiście, zawsze będę ją kochać...

— A poza tym — przerywam mu — tym razem wolałabym zjeść kolację sama.

Kiedy wstaje, trochę chwiejnie, orientuję się, że jest pijany.

— Popełniłem błąd - mówi, mrugając powiekami — wszystko... spieprzyłem... tak?

Nie wiem, co zrobić ani co powiedzieć. Wygląda żałośnie, jest skonsternowany, zupełnie zagubiony.

— Chcesz wrócić taksówką? — pytam cicho.

— Tak, no chyba tak będzie najlepiej — mamrocze, unikając mojego wzroku i szukając płaszcza, którego nie miał.

Wychodzimy na rześki chłód, a portier zatrzymuje czarną taksówkę i otwiera drzwi. On chwilę stoi przede mną, wahając się, po czym nagle chrypliwie nakazuje:

— Pocałuj mnie.

Oto one. Słowa, o których śniłam. Czuję, jak drętwieję od środka. I automatycznie, nie zastanawiając się, nadstawiam policzek. Mruga wstrząśnięty takim odczytaniem swojej prośby, ale mimo to całuje policzek, ocierając o niego suche wargi. Potem opada na siedzenie, a portier zatrząskuje za nim drzwi taksówki. Patrzę, jak samochód pędem oddala się w ciemność.

Powoli wracam do środka. Wszystko poszło inaczej, niż planowałam. Co mam teraz robić? Stoję samotnie na środku holu. Czy powinnam zwyczajnie odebrać płaszczy i wyjść?

Jak postąpiłaby w takiej sytuacji kobieta z charakterem?

Kiedy wchodzi, *maitre d'hôtel* mówi:

— Dobry wieczór pani.

— Dobry wieczór.

— Życzy sobie pani stół dla jednej osoby? — pyta, jakby to była rzecz najnaturalniejsza w świecie.

— Tak, proszę — mówię. — Stół dla jednej osoby.

Sniadość

Chociaż żywić szczerą nadzieję, że nie muszę cię ostrzegać przed niebezpieczeństwem nadmiernego wystawiania się na słońce i rujnowania sobie cery, nie sadzę, żeby moje rady cię zniechęciły, zwłaszcza jeśli za wszelką cenę chcesz spędzić wakacje, wyglądając jak przypalona grzanka. Był czas, kiedy przywieziona z wakacji mocna opalenizna była konieczna, aby wzbudzić zawiść wszystkich nieszczęsnych przyjaciół skazanych na spędzanie lata w mieście. Ale współczesny sposób podróżowania sprawia, że dzisiaj każdy może się wybrać do ciepłych krajów i opalenizna nie jest już ani czymś unikalnym, ani szykownym. Więc właściwie po co?

Lekko opalona cera stwarza przyjemne wrażenie zdrowia, przypieczony zaś naskórek u powracającego do miasta urlopowicza po pierwsze postarza, a po drugie jest nieelegancki. Mocna opalenizna, żeby być atrakcyjna, wymaga pleneru, głębokich dekoltów i żywych, jasnych kolorów (szczególnie błękitu, żółci i bieli). Neutralne barwy miejskich ubrań często upodabniają opalona piękność do anemicznego Afrykańczyka, a w tym nie ma ani krzty elegancji!

W życiu każdej kobiety przychodzi moment, kiedy jest gotowa odciąć się od przeszłości i iść naprzód.

Fiasko z Oliverem Wendtem niewątpliwie pomogło. Ale teraz, dwa tygodnie później, pocztą przychodzi moje orzeczenie rozwodu, surowe i bezosobowe niczym rachunek za gaz. Wszystko jest aż nazbyt jasne. Jestem kobietą samotną - nie po prostu taką, która czeka, aż ktoś do niej oddzwoni, lecz taką, która nie jest związana absolutnie z nikim w jakikolwiek sposób, ani dawnymi więzami, ani choćby cieniem nadziei na przyszłość. A teraz, skoro moim centrum jestem ja sama i moje życie, jasne jest, że i mój czas w Phoenix Theatre Company się kończy.

Kiedyś praca tutaj była dla mnie przystanią. Zaczynałam jako weekendowa bileterka tuż po ślubie, żeby zarobić na drobne wydatki. Teraz należałam do dwójki zmieniających się kierowników kasy (czy też Zastępców Dyrektora Działu Sprzedaży, jak to się ładnie nazywa). Nie ukrywam, że gdyby sprawy z Oliverem Wendtem przybrały nieco inny obrót, może nadal cała zadowolona, z głupim uśmiechem opracowywałabym raporty sprzedaży, ale teraz, kiedy myśl o natknięciu się na niego w przejściu nie napędza mnie już radością, zmuszona jestem skupić się na tym, co akurat jest do zrobienia. A to, co jest do zrobienia, jest nudne.

- Myślę o zmianie pracy — mówię Colinowi któregoś dnia przy lunchu.

- Tak? — Gmera w jedzeniu. — Będziesz strażakiem czy policjantem?

- Szukają właśnie kogoś do Działu Rozwoju w Royal Opera House. — Waham się. — Właściwie to już jakiś czas temu się zgłosiłam. W przyszłym tygodniu mam rozmowę.

Niecierpliwie czekam, co mi odpowie. W końcu całe lata pracowaliśmy razem. Ale on tylko wzdycha ze znużeniem.

Brzmi świetnie, Louise. Daj mi znać, jak co do czego przyjdzie.

Przekłada tę samą resztkę ryby z jednego końca talerza na drugi. Ewidentnie coś nie gra. Spodziewałam się po nim rozczarowania albo entuzjazmu, ale na pewno nie zupełnej, całkowitej obojętności.

— Col, przecież widzę, że jesteś dzisiaj trochę rozkojarzony. Coś się stało? — pytam.

Smutno kręci głową.

— Obawiam się, że nie ma rady.

— Nie ma rady na co? - drązę.

Podnosi wzrok i na jego twarzy maluje się taka desperacja i beznadzieja, jakich nigdy u niego nie widziałam.

— Historia stara jak świat, Louise. Zakochałem się. Śmieję się z ulgą.

— Ależ to cudownie! Powinieneś skakać z radości! Odsuwa talerz i sprawia wrażenie jeszcze bardziej przybitego.

— Taaaak... Problem w tym, że on nawet nie wie o moim istnieniu. Dla niego jestem tylko jakąś ohydną starą ciotą.

Oczyrna wyobraźni widzę siedemnastolatka w szkolnym mundurku.

— Ile ma lat?

— Dwadzieścia trzy — wyznaje z entuzjazmem zapytanego o wyrok więźnia.

— Przecież to w porządku, kochanie. Co w tym złego? Przeraziłeś mnie. Przez moment myślałam, że wałęsałeś się koło szkoły.

Znowu kręci głową.

— Nic nie rozumiesz, Louise. Ten chłopiec to Adonis, istne bóstwo. Żeby taki chłopak w ogóle na mnie spojrział, musiałbym być bogatym dobrym tatusiem. A spójrzmy prawdzie w oczy, trzy podkoszulki od Armaniego, mieszkanie na Streatham i miesięczna karta autobusowa nie czynią ze mnie dobrego tatusia.

Nie wierzę własnym uszom.

- Wstydz się, Col! Jak możesz tak mówić! Nie tylko poniżasz sam siebie, ale jesteś bezwzględny wobec niego. Naprawdę tak nisko cenisz i jego, i siebie? Jeśli faktycznie myślisz, że jest taki, to ci się dziwię, że w ogóle za nim ganasz.

- Ja nie ganiam. Ja ginę! — poprawia mnie. — I dlatego właśnie wolno mi formułować gorzkie i niesłuszne sądy na temat obiektu mojego pożądania. Poza tym nie spodziewam się, żebyś zrozumiała — dodaje z wyższością. — Cierpię na chorobę, którą możesz sobie jedynie wyobrażać, Louise: na miłość, co swego imienia wyrzec się nie waży.

Ostatni dramatyczny kawałek puszczam mimo uszu.

- Gdzie poznałeś tego Adonisa?

Wyobrażam sobie wirującą postać w Heaven albo pulsującą parę bioder w GAY-u*. Ale Colin czerwienieje i zaczyna się bawić paskiem od plecaka jak jakiś czternastolatek.

- On... poznałem go, kiedy mnie posłałaś ze szczotkami drukarskimi na sezon jesienny.

- Chodzi o drukarza? — Nie dowierzam. — Col, zakochałeś się w Andym drukarzu?

Patrzy na mnie zaskoczony.

- Wiesz jak ma na imię?

- Pewnie! Jest słodziutki! Zajmuje się naszym kontem, znam go ho, ho jak długo.

- Andy — powtarza Colin miękko, jakby przyzywając jakąś magiczną istotę.

- Col, to nie jest miłość, co swego imienia wyrzec się nie waży. 'Ib Andy drukarz! Jest kochany, po prostu go gdzieś zaproś!

Znów mamrotanie czternastolatka.

- No... ja... pomyślę o tym...

- Nie myśl, działaj! — zachęcam go.

Mamrocze jeszcze przez chwilę i słowa: „no ale”, „ja nie mogę” i „Adonis” padają jeszcze parę razy.

*** Heaven, GAY - londyńskie kluby gejowskie (przyp. tłum.).**

— Tak czy owak, co z tą rozmową? — mówi nagle, wyraźnie chcąc już jak najszybciej zmienić temat.

— Przepraszam, że ci wcześniej nie powiedziałam, ale uznałam, że nie ma sensu mówić, kiedy jeszcze nie było wiadomo, czy mnie wezwą.

— I to w Dziale Rozwoju. — Teraz dopiero naprawdę słucha. — Nieźle.

Uśmiecham się, a on bierze mnie za rękę.

— Więc porzucasz nas? Kiwam głową.

— Pora iść naprzód, kochanie. Pora iść naprzód.

W następnych dniach robię to co zawsze, gdy zanosi się na wielkie zmiany — panikuję. Panikuję, myśląc o swoim pochodzeniu, wieku, braku doświadczenia, swoich kwalifikacjach, swoich włosach, o tym, co włożyć na rozmowę. Panikuję na myśl, co będzie, jak dostanę tę pracę, i co będzie, jak jej nie dostanę. Zastanawiam się, o co mogą mnie zapytać, a przede wszystkim jak odpowiem na wszystkie wymyślone przez siebie pytania. Siedzę sama przy stoliku w pracowniczej stołówce, odpowiadając sobie na nie dość rozwlekłe, aż jeden z kolegów wyznaje, że zaczynam ich przerażać, i prosi, żebym przestała.

Tymczasem Colin jakby zaczął życie od nowa. Nie tylko wyzbył się poprzedniej depresji, ale dosłownie tryska zdrowiem i wigorem. Kiedy w końcu odrywam się od własnych obsesji, ze zdziwieniem znajduję go zupełnie odmienionego.

— Chyba jesteś w dobrej formie.

Patrzę, jak podrywa się z za biurka i jednym susem jest przy szufladzie z papierami. Uśmiecha się do mnie.

— Zeszczuplałeś?

Zaszło w nim coś, czego nie potrafię dokładnie określić; jakaś drobna zmiana. Nie potrafię jej nazwać. Złości mnie to. Zaczynam właściwie czuć się zazdrosna. A przy moim i tak już wzmożonym napięciu to więcej, niż potrafię znieść.

— No! — warczę. — Co z tobą? Co zrobiłeś?

— O Jezu, Louise! Zażyj coś na wyluzowanie! — chichocze, ale widząc, jak moja twarz przybiera wyraz psychopatycznej demencji, dodaje łagodnie: — I tak miałem ci powiedzieć. To taki nowy samoopalacz, naprawdę niesamowity, z dnia na dzień ubywa ci pięć lat i pięć kilo! Mówię ci, kochanie, to właśnie ostroga, której ci trzeba, jak i reszcie przemoczonego Londynu. — Nachyla się. — Mam nawet zamiar po drodze do domu zajrzeć do drukarni i zobaczyć, czy mi się nie uda zwabić An-dy'ego na drinka! Koniecznie powinnaś to wypróbować. Moje poczucie własnej wartości cudownie wzrosło.

Przyglądam mu się sceptycznie.

— Chyba nie mówisz o tej pomarańczowej mazi w butelce? Postukuje się palcem po nosie.

— Jak wrócę do domu dziś wieczorem, jeśli wrócę dziś wieczorem, wszystko ci pokażę. Obiecuję - mówi, po czym znika, zanim jestem w stanie odpowiedzieć.

Tego popołudnia, jadąc samotnie autobusem do domu, zastanawiam się, czy w przeddzień swojej rozmowy nie skorzystać z odrobiny butelkowego poczucia własnej wartości. Mimo że przećwiczyłam wszelkie wersje całego scenariusza i samego finału, jakie tylko potrafię sobie wyobrazić — z pożarem, aktami terroru i nagłą, obezwładniającą utratą czucia w członkach włącznie — nie czuję się w związku z moim wielkim dniem ani troszkę bardziej wyluzowana czy pewniejsza siebie. A skoro w Colinie zaszła tak całkowita, acz subtelna zmiana, to co mi szkodzi? Postanawiam spróbować.

O wpół do pierwszej w nocy Colina jeszcze nie ma w domu. Jeśli potrzeba mi było dowodu, że samoopalacz działa, to właśnie go mam. Ale po trzech i pół godzinie cierpliwego wyczekiwania popadam w gorączkowy niepokój spowodowany myślami na temat niedoboru snu i tego, jak ważne jest wczesne pójście spać. Tak więc w ataku hysterii i w absolutnej determinacji, żeby pojawić się na rozmowie jako wymuskana słońcem bogini, postanawiam sama spenetrować łazienkową półkę

Colina. W końcu do wklepania w ciało odrobiny fałszywej opalenizny podręcznik i osobisty asystent nie są konieczne.

Półka Colina jest zastawiona taką ilością upiększających specyfików, jakiej nie mamy obie z Rią. Życie geja nie jest łatwe. W bezwzględny świecie krótkotrwałych przygód i barów w Soho przetrwają tylko najmłodszy i najbardziej wysportowani. Są tu więc toniki, środki nawilżające, ołówki i niezliczone pudełeczka kremu przeciwzmarszczkowego, oczywiście obok zwykłych produktów, za pomocą których mężczyzna się oporządza, a więc kremów po goleniu, dezodorantów i zadziwiającej swoją rozpiętością palety wód kolońskich poustawianych wzdłuż parapetu w porządku alfabetycznym, od Armaniego po YSL. Chwilę trwa, zanim udaje mi się znaleźć to, czego szukam. Magiczną buteleczkę samoopalacza odkrywam ukrytą za niebywałych rozmiarów butelką szamponu Regain.

Siadam na brzegu wanny, żeby przeczytać instrukcję.

„Najpierw przygotować skórę za pomocą peelingu enzymatycznego i nawilżyć balsamem do ciała”.

Jeszcze raz przeczesuję imponującą kolekcję Colinowych bielideł i smarowideł. Nie ma. Typowe: kupujesz jeden produkt i zawsze starają ci się wmówić, że musisz kupić jeszcze dziesięć innych. Ale skoro Colin bez balsamu i peelingu osiągnął tak wspaniały rezultat, to ja też mogę. Przechodzę do kolejnego punktu.

„Następnie rozprowadzić emulsję płynnymi, równymi ruchami dla uniknięcia smug na skórze. Zaleca się użycie plastikowych rękawiczek”.

Plastikowe rękawiczki? Rozglądam się po łazience. Nie licząc pary starych żółtych rękawic zwiniętych koło łazienkowego płynu do czyszczenia, nie ma tu nic takiego. To chyba małe piwo. Pewnie po prostu są przesadnie ostrożni na wypadek, gdyby ktoś cierpiał na jakąś dziwną alergię. A poza tym przecież zawsze mogę to zmyć.

„Należy unikać kontaktu z wszelkimi tkaninami i powierzchniami, dopóki emulsja nie wyschnie (do dziesięciu minut)”.

To chyba nic trudnego. Do roboty!

Rozbieram się i rozprawdzam po ciele grubą warstwę smarowidła. Wygląda na dużo ciemniejsze, niż przewidywałam, szczerze mówiąc, to trochę jak smarowanie się tłustym błotem. Ponownie zaglądam do instrukcji.

„Kolor wyda się z początku zbyt ciemny, ale rano ciemniejsza warstwa łatwo się spłucze, odsłaniając jedwabistą, gładką skórę i złocistą, naturalnie wyglądającą opaleniznę”.

Świetnie. Tego mi trzeba. Rozcieram odrobinę na twarzy i szyi, po czym staję nago na środku łazienki, czekając, aż smarowidło wyschnie. Po półgodzinie nadal jest lepkie w dotyku, ale po upływie trzech kwadransów dochodzę do wniosku, że określenie „suchy” można by rozciągnąć na „taki, który nie kapie”. W końcu gdzieś koło wpół do drugiej nad ranem padam na łóżko i wyczerpana odpływam w głęboki sen.

Rano człapię na filiżankę kawy do kuchni, gdzie wita mnie przerażony krzyk.

- O Boże, Louise, coś ty ze sobą zrobiła? O rany, prawie zapomniałam.

- Ria, nie panikuj — uspokajam ją — to nowy fantastyczny samoopalacz. Sama zobaczysz, jak tylko się wykapię. To się zmyje, a ja załsnię złotem zenitu.

- Wyglądasz jak statysta z *Walki o ogień*. — Kręci głową z niedowierzaniem. — I jeszcze twoje ręce, Louise, przecież są pomarańczowe!

Patrzę na swoje dłonie. Są o co najmniej dwa odcienie ciemniejsze niż ręce, najwyraźniej od nakładania mikstury bez zalecanych rękawiczek. Całość sprawia nieprzyjemnie małe wrażenie. Pewność siebie zaczyna mnie opuszczać. Odstawiam kawę i wbijam dłonie do kieszeni.

- Mówię ci, to wszystko się zmywa! Zaraz ci udowodnię.

I maszeruję pod prysznic.
Dziesięć minut później ukazuję się znowu, mokra i zwycięska.
— A widzisz — triumfuję - nie mówiłam? Czyż nie wyglądam, jakby mi ubyło pięć lat i pięć kilo?
Ale ona dalej patrzy na mnie z przerażeniem.
— Jesteś pomarańczowa - mówi w końcu. — I na dodatek pasiasta.
Zaczyna mnie naprawdę złościć.
— Ha, ha, ha. Bardzo śmieszne, Ria. Ale ona tylko kręci głową.
- Nie, Louise. Żadne tam ha, ha, ha.
Wpadam do swojego pokoju i patrzę w lustro. Ona ma rację. Cała jestem pokryta fantazyjnymi smugami podobnymi do linii odpływu na piasku, które nie czynią mnie ani lżejszą, ani młodszą, a tylko sprawiają wrażenie, że mogłabym z powodzeniem świecić w ciemności.
- Cholera! Co ja zrobię? — panikuję. - Ria, co ja mam teraz zrobić?
Na jej usta zakrada się zły uśmiezek.
— Zatrudnij się w fabryce czekolady Pana Wonka*. Gromię ją wzrokiem, po czym ku swojemu wielkiemu zawstydzeniu zaczynam płakać.
- Mam rozmowę kwalifikacyjną o jedenastej! — zawodzę, a po policzkach staczają mi się dwie wielkie łzy. — W Royal Opera House, a tam pewnie nie zatrudniają pomarańczowych!
- Dobrze, już dobrze, uspokój się. Koniec żartów, obiecuję. No, chodź. — Bierze mnie za rękę i prowadzi z powrotem do łazienki. Po paru minutach szperania w wiklinowym koszu wraca z ogromną myjką w rękę. — Właż do wanny — nakazuje. — Jak będziemy mieć szczęście, może się nam uda to zdrapać.

*** Aluzja do postaci z popularnej książki dla dzieci pod tytułem *Charlie i fabryka czekolady* Roalda Dahla (przyp. tłum.).**

Nigdy nie byłam poddawana odpromienianiu, ale wyobrażam sobie, że stanie w wannie w drzączkach, podczas gdy ktoś, przez kogo nie chciało się nigdy być widzianym nago, zdiera z ciebie trzy wierzchnie warstwy skóry czymś suchym i chropowatym, należy do tej właśnie przyjemności. Cały zabieg, jakkolwiek pamiętny pod względem stopnia upokorzenia, nie łagodzi imbirowego odcienia występującego w roli mojej „opalenizny identycznej z naturalną”.

W końcu poddajemy się.

- Posłuchaj, Louise, jakkolwiek miło było oddać się tej rzadkiej okazji budowania kobiecych więzi, ja muszę iść do pracy, a ty masz rozmowę w sprawie pracy. Spójrzmy prawdzie w oczy: będziesz musiała to wytrzymać.

Ostrożnie owijam obtarte do mięsa członki w ręcznik kąpielowy.

- Zawsze mogę zmienić termin. Powiedzieć, że mam zatrucie pokarmowe czy coś takiego.

Wzrusza ramionami.

- Jak chcesz. Ale skoro przeprowadzają rozmowy dzisiaj, z łatwością mogą znaleźć kogoś innego, zanim poznają ciebie. Jak ktoś nie może się zjawić na rozmowie kwalifikacyjnej, to to zawsze wygląda trochę podejrzanie.

Ona ma rację. Muszę pójść.

Żeby szkody były jak najmniejsze, wkładam granatowy spodniom, kryjąc małe dłonie w głębinach kieszeni. Śliczna czerwona sukienka, którą specjalnie oddałam do czyszczenia, i nowiutkie buty od Kurta Geigera, na które się wykosztowałam, kuszą, ale wiążą się z nadmiernym odsłonięciem skóry. Poza tym, jak zauważyła Ria, czerwony nie najlepiej komponuje się z pomarańczowym. Zapiąwszy bluzkę pod samiutką szyję, muszę jeszcze zrobić coś z marchewkową twarzą. Podkład nadaje jej kredowy wygląd, ale na szczęście okazuje się, że cienka warstwa półprzezroczystego pudru może działać cuda dla stonowania neonowych fal odpływowych.

Za dziesięć dziesiąta jestem już na ulicy i zmierzam w stronę przystanku, modląc się, żeby tylko mnie nie zaprosili do pomieszczenia z jarzeniowym oświetleniem.

Godzinę później usadowiona na ławce przed barem czekam, aż mnie wezwą. Wreszcie pojawia się kobieta po czterdziestce ściskająca dłoń innej kandydatki.

— Miło było cię poznać, Portia — uśmiecha się. — Będziemy w kontakcie. Przekaż, proszę, pozdrowienia ojcu!

Dziewczyna młodsza ode mnie o co najmniej dziesięć lat, obnosząc swój najzupełniej normalny kolor skóry i powiewając zasłoną długich blond włosów, oddała się długimi krokami. Wszystko się we mnie zapadło. Jednak trzeba się było raczej wytłumaczyć zatruciem.

Wtedy kobieta zwraca się do mnie.

— Louise Cassova?

— Canova — poprawiam ją, wstając i wyciągając dłoń. — To włoskie nazwisko.

— Ślicznie. — Nieufnie spogląda na moją małą łapę, którą pośpiesznie wciskam do kieszeni. — Zechcesz wejść? — Wchodzę za nią do pustego baru. Wskazuje stolik i krzesła pod oknem. — Proszę usiąść. Nazywam się Charlotte Thorne, prowadzę Dział Kadr. Szef Działu Rozwoju Robert Brooks za chwilę do nas dołączy, a tymczasem mogę sama zadać ci kilka pytań.

Entuzjastycznie kiwam głową i czuję, jak usta rozciągają mi się w grymas absolutnego przerażenia.

Ona siada i rozkłada przed sobą teczkę życiorysów.

— Jak widzę, należysz do nielicznych szczęśliwców, którzy wyjechali na Wielkanoc — zagaduje mnie towarzysko, szperając w stosie papierów. - Gdzie byłaś?

— Proszę?

— Trudno nie zauważyć opalenizny. Byłaś w jakimś miłym miejscu?

Znalazłszy to, czego szukała, równiutko złożywszy ręce przed sobą na stole, poświęca mi już teraz pełnię uwagi.

Zamieram. Gdzie jeżdżą ludzie, którzy wyjechali na Wielkanoc? Na Kajmany? Na narty? A ona siedzi, mrugając. Niemal słyszę płynący czas, kiedy tak bezmyślnie się w nią wpatruję.

— Ach, nie. Tym razem nie wyjechałam. To tylko... tylko... no wiesz, jak to jest z Włochami! Kilka słonecznych dni i jesteśmy brązowitcy!

Rechoczę głupawo, a ona uśmiecha się, szybko przechodząc do swej rutynowej linii ataku.

— Szczęściara z ciebie. Powiedz, Louise, co sprawia, że chciałabyś należeć do naszego zespołu tutaj w Royal?

Na szczęście, to jest jedno z pytań, do których się przygotowałam. Biorę głęboki wdech.

— Charlotte, myślę, że najważniejsze jest to, że po prostu uwielbiam sztukę... — i zasypuję ją lawiną entuzjazmu, aż zjawia się pan Brooks.

Reasumując, idzie mi lepiej, niż mogłam marzyć. Chociaż po tym, jak pani Thorne przedstawia mnie jako „wielokulturową”, następuje kilka śliskich momentów — pan Brooks nalega, żeby mówić do mnie po włosku (nie znam ani słowa w tym języku) i raczy mnie opowieściami o swoich studenckich przygodach we Florencji (gdzie nigdy nie byłam). Ale jakimś cudem moja absolutna ignorancja umyka jego uwadze. I mimo że chichoczę nerwowo, ilekroć się do mnie zwraca, zdaje się mną zauroczony.

— Jesteśmy wielką instytucją brytyjską, lecz należymy także do najlepszych teatrów międzynarodowych — mówi, zwracając się przy tym do mnie po nazwisku, które wymawia z tak przesadnym włoskim akcentem, że z trudem je poznaję. - Chyba czas, byśmy dali temu wyraz poprzez nasz personel. — Energicznie potrząsa moją dłońią. — Na pewno się jeszcze zobaczymy.

Wychodzę z budynku tak szybko, jak się tylko da, zanim mu się przypomni jakaś kolejna florencka wystawa sztuki albo kafejka na uboczu, którą na pewno muszę znać.

Po tej udanej ucieczce stoję na stopniach przed wejściem i oddycham z ulgą, gdy wtem podchodzi do mnie jakiś przystojny młody człowiek.

— Przepraszam, nie ma pani przypadkiem ognia? Jestem tak wstrząśnięta, że tylko się na niego gapię.

— Ognia? — powtarzam, jakby mówił szyfrem.

— No tak, żeby zapalić papierosa? — podpowiada.

— Och! — zaskakuję. — Tak, oczywiście! Chwilkę, zobaczę.

I szperam na dnie torby, aż natrafiam na sfatygowane pudełko zapalek, co dziwne, podwędzone w Ritzu. Szamoczę się z zapalką, próbując ją zapalić, i ku swojemu wielkiemu zawstydzeniu zauważam, że ręce trzęsą mi się okropnie.

W końcu zapalam i moja chwiejna ręka z zapalką niebezpiecznie zbliża się do jego twarzy.

— Przepraszam — przerywa, delikatnie przytrzymując mi rękę i nachyla się. — Można?

— Tak, oczywiście. Przepraszam, ale dopiero co wyszłam z rozmowy kwalifikacyjnej i jestem jeszcze trochę roztrzęsiona — wyznaję.

Uśmiecha się.

— Proszę pozwolić, że się zrewanżuję. - Częstuje mnie papierosem. - To pani chyba dobrze zrobi.

Waham się przez moment.

— Właściwie to nie palę.

— Bardzo słusznie - kiwa głową. — To paskudny zwyczaj. Wprost obrzydliwy.

Patrzę, jak się zaciąga, długo i z rozkoszą.

— No, może jeden nie zaszkodzi.

Zapala mi papierosa i przez chwilę stoimy, paląc. Jest dopiero wpół do pierwszej, a czuję się tak, jakbym miała za sobą cały długi dzień.

— Więc jak poszło? - pyta, opierając się niedbale o plakat *Jeziora łabędziego*.

I gdy tak stoi uśmiechnięty, w ciepłym słońcu, nagle zaczynam się zastanawiać, czy nie jest najpiękniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziałam. Szczupły i niezbyt wysoki, obdarzony masą niesfornych, ciemnych włosów i jeszcze ciemniejszymi ogromnymi czarnymi oczami. Pełne wargi rozluźniają się w radosnym uśmiechu, psotnym i bardzo dobrotliwym jednocześnie.

Łapię się na tym, że się na niego zagapiłam.

- Przepraszam, pytał pan o...

— O pracę... Myśli pani, że ją pani dostanie? Kręcę głową.

— Nie mam pojęcia. Nie do przewidzenia. A pan tutaj pracuje?

— Tylko w lecie. Jestem pianistą. Pracuje tu moja siostra. Udało jej się załatwić mi robotę akompaniatora podczas prób Royal Ballet. Jesienią będę studiować w Paryżu, a pieniądze są niezłe.

- Ojej, Royal Ballet, Paryż. Musi pan być wspaniały! Uśmiecha się szeroko, ale jakby z nagłym zawstydzeniem.

— Mam szczęście — wyznaje. — Była pani w Paryżu? — Szybko zmienia temat. — To moje najukochańsze miasto! Nie zakosztował życia, kto nie spędził całego popołudnia, sącząc szampana i paląc papierosy w kawiarni na Boulevard St Germain!

Śmieję się.

- Byłam w Paryżu, ale jakoś nigdy tam nie doszłam.

— To musi pani znowu pojechać — mówi łagodnie. Podnoszę głowę i spotykam jego wzrok. Znowu się uśmiecha, a ja czuję, że się rumienię.

- Lubi pani balet? — pyta.

- Uwielbiam. A przynajmniej kiedyś uwielbiałam, wiele lat temu. Bardzo dawno nie byłam.

- Proszę — sięga do tylnej kieszki i wyciąga bilet. — Nie wiem, jakie ma pani plany na resztę popołudnia, ale właśnie odbywa się próba generalna *Jeziora łabędziego*. Zawsze dają

mi te bilety, a ja zawsze o nich zapominam, aż jest za późno. A skoro o tym mowa — zerka na zegarek — od pięciu minut powinienem być na próbie.

— To bardzo miło z pana strony... — wykrztuszam z trudem, zupełnie zaskoczona tą hojnością.

Rozgniata nogą peta i odwraca się, żeby odejść.

— Miłego przedstawienia! I kto wie, może dostanie pani tę pracę i będę panią częściej widywał!

I w chwilę później już go nie ma.

Zaciągam się jeszcze raz. Dzień niewątpliwie robi się niezwykły, zwłaszcza jak na taki, który zaczął się zupełnie rozpaczliwie.

Przedtem miałam zamiar iść do domu i zaszyć się tam na resztę popołudnia. Spoglądam na bilet, który mam w dłoni.

Ostatni raz byłam na balecie bardzo dawno temu. Dokładnie osiemnaście lat temu. To było tego lata, kiedy przestałam tańczyć. Tego samego lata moja matka próbowała popełnić samobójstwo.

Poproszono mnie wtedy na casting w lokalnej grupie baletowej. Ale kiedy przyszedł umówiony dzień, po prostu się nie zjawiłam. Winę zważyłam na matkę. Wmówiłam sobie, że za dużo rzeczy zaprzęta mi głowę, że muszę się nią opiekować.

Może nie mogłam znieść myśli, że mogłabym spróbować i zawieść. A może po prostu chciałam choć raz być zwykłą nastolatką, wolną od konieczności zapewniania sobie kariery życiowej, kiedy nie ma się nawet szesnastu lat. Moja matka marzyła, że zostanie tancerką. Ale po wypadkach tamtego lata wydawało się, że nie ma po co.

Zawiodłam.

Biorę głęboki wdech i powoli wydecham powietrze, zamykając oczy. Długie szeregi dziewcząt w najdziwniejszych pozach rozciągają się na drążku. Kalafonia chrzęści mi pod stopami. Powietrze jest gęste od potu i koncentracji. I jeszcze muzyka. Zawsze muzyka.

Szybko otwieram oczy.

Czuć się nieudacznicą przez osiemnaście lat to długo. Zaciągam się papierosem jeszcze raz, zanim go wyrzucam. Potem odwracam się i wchodzę do środka.

— Obawiam się, że przyszła pani za późno, żeby zająć miejsce — informuje mnie młoda bileterka. — Ale do końca pierwszego aktu może pani stać z tyłu na balkonie.

Idąc za nią okazałymi głównymi schodami zauważam, że ma na sobie odrobinę za dużą marynarkę, tak jak ja w czasach, gdy byłam bileterką w Phoenix.

— Jest pani studentką? — pytam, kiedy dochodzimy na górę. Kiwa głową.

— Studiuję wokal w Royal Academy. Został mi jeszcze rok. Myślę o tych wszystkich sztukach, które oglądałam, stojąc z tyłu na parterze w swojej źle dopasowanej marynarce.

— Powodzenia! — szepczę, gdy otwiera mi drzwi, i wślizguję się do środka.

I tam, wtulona w ciepłą krzywiznę balkonu, zalana zewsząd potężną falą muzyki Czajkowskiego, doznaję jeszcze jednego, równie niespodziewanego uczucia.

Gdy tak stoję po ciemku, patrząc na jedne z najlepszych tancerek świata, stopniowo zdaję sobie sprawę, że to w porządku, że nie jestem jedną z nich. I tak nie mogłabym uratować mojej matki. Choćbym nie wiem jak się starała.

Darcy Bussell przelatuje przez scenę, zaprzeczając prawu grawitacji, zaprzeczając wszelkim prawom natury, i nagle czuję, jak rośnie i ogromnieje we mnie zawrotna radość. Nie zawiodłam nikogo. A siebie najmniej.

Dwa dni później wzywają mnie na następną rozmowę. I tego popołudnia zostaję pierwszym pomarańczowym pracownikiem Royal Opera House.

Tandetna jednolitość

Dzięki wysokiej stopie życiowej na Zachodzie oraz perfekcyjności zachodniej masowej mody niewprawy obserwator najpewniej odniesie wrażenie, że wszystkie kobiety ubrane są jednakowo. Nie wiem, co leży u źródeł tej współczesnej formy skromności, której fala przetoczyła się przez kobiecą populację od San Francisco po Paryż i która zdaje się sprawiać, że wszystkie kobiety chcą być do siebie podobne - mimo że jednocześnie wydają coraz więcej pieniędzy na ubrania, kosmetyki i fryzjerów! Ale jeśli naprawdę lubisz ubierać się całkiem tak samo jak wszyscy, czeka cię piękna przyszłość. Jednolitość jest naturalnym skutkiem ubocznym społeczeństwa zautomatyzowanego, i kto wie, być może kiedyś indywidualność uznawana będzie za zbrodnię. Póki co zawsze można wstąpić do wojska.

Nie ubieramy się jak ktoś, kim jesteśmy, lecz raczej jak ktoś, kim chcielibyśmy być.

W Londynie poszczególne ulice i dzielnice mają różne stroje obowiązujące. Soho ma swój kodeks, City i Kings Road także. No i są miejsca, gdzie te światy się krzyżują. Jednym z takich miejsc jest teatr.

Każda produkcja na topie ma zróżnicowaną publiczność — konserwatywni biznesmeni, starzejący się eleganci z wyższych sfer, odstrzeleni hipisowscy studenci, bohema z Notting Hill, odziani w Pradę i Armaniego minimaliści, homo, hetero, młodzi, starzy, wszyscy wtłoczeni razem do jednego kotła, a przecież jednoznacznie określani, jakby każdy z nich miał na sobie podkoszulek z odpowiednim sloganem.

Jest piątkowy wieczór na początku czerwca. Ustawicznie potrącana, sączę letnie białe wino w barze Royal Court* i rozmawiam ze swoją koleżanką Sandy, która w kasandrycznym rozbłysku jasnowidzenia zdołała zamówić te bilety wieki temu. Teatr jest pełny i w barze aż się kłębi, kiedy odzywa się dzwonek i Sandy dochodzi do wniosku, jak to niektóre kobiety mają w zwyczaju, że dwie minuty przed podniesieniem kurtyny to idealna chwila na pójście do ubikacji. Tłum sączy się powoli w stronę widowni i nagle w polu widzenia miga mi znany skądś profil. Należy do ubranego elegancko mężczyzny. Mężczyzna nachyla się, słuchając z wielką uwagą tego, co mówi do niego inny, młodszy mężczyzna.

W głowie mam dziwną pustkę. Tak, ja go znam, tylko skąd?

I wtedy dzieje się to coś, co zdarza się czasem w wielkich i przerażających momentach, gdy wszystko zdaje się zapadać tłum, hałas, dźwięk dzwonka — a zostaje tylko jeden straszny i niepokojący szczegół.

Ja rzeczywiście tego człowieka znam.

To mój były mąż.

*** Jeden z londyńskich teatrów, wystawiający głównie sztuki współczesne (przyp. tłum.).**

Wpatruję się niczym zahipnotyzowana, jak odwraca się i śmieje, klepiąc towarzysza po ramieniu. Byłabym go nie poznała. Nie mogłam go była poznać.

Wszystko jest w nim tak całkowicie, tak zupełnie inne. Włosy ma krótko przystrzyżone. Nie po prostu przycięte, jak po wyjściu od fryzjera na rogu, tylko przystrzyżone, jakby dopiero co wyszedł od Nicky'ego Ciarke. I ufarbowane w jasne, miodowe pasemka. Ma na sobie obcisłe ciemnobrązowe dżinsy z zamteksu i jasnoniebieski golf od Hugo Bossa niedbale wywinięty wokół szyi, jakby właśnie go włożył. Do tego jeszcze perfekcyjnie skrojona skórzana kurtka swobodnie przerzucona przez ramię. Stopy zdobi para sportowych butów Camper.

Nie jest po prostu ubrany. Jest ubrany nieskazitelnie. I wypielęgnowany.

I to jest człowiek, którego szafę wypełniały koszule kupione mu na Gwiazdkę przez matkę u Marksa i Spencera, nigdy nieprasowane, z postrzępionymi i powycieranymi rękawami, które nosił, dopóki dosłownie z niego nie spadły. Człowiek, dla którego kupno nowej pary butów wiązało się z wręcz fizycznym bólem. A teraz jest przemieniony. Płynie leciutko w stronę baru, żeby odstawić kieliszek, obuty w przebój sezonu — buty do gry w kręgle — bez cienia dyskomfortu czy ironii.

Jest człowiekiem odmienionym, ale go rozpoznaję.

To ten uniform. Znam go. Już go widziałam.

W głowie mam pustkę. Zapaść. Jeżeli się nie poruszę, on mnie nie zobaczy. Zastygam więc w takim bezruchu, że nawet krzesła i stoły wydają się pełne życia. I wstrzymując oddech, patrzę, jak ci dwaj przeciskają się w stronę widowni, swobodnie rozmawiając, zupełnie nieświadomi mojego istnienia. On porusza się niezwykle płynnie, niemal ślizgając się po schodach. Robi mi się niedobrze, a jednocześnie jestem zafascynowana.

Nagle Sandy znów jest przy mnie: szpera w portfelu w poszukiwaniu biletów, panikuje, że nie ma drobnych dla

sprzedawcy programów i głośno się zastanawia, czy zwinąć *plaszcz* i położyć pod siedzeniem, czy *raczej* zostawić go w szatni. I zanim zdolałam zdać sobie sprawę, już siedzimy na swoich miejscach, stłoczone obok pary niemieckich turystów z plecakami na kolanach. Światła przygasają, kiedy łapię się na tym, że w dalszym ciągu trzymam w ręku kieliszek ciepłego wina.

Nic nie pamiętam z pierwszego aktu. Usilnie pragnąc zobaczyć mojego byłego męża, spędzam cały ten czas, rozglądając się po widowni, wypatrując jego charakterystycznej nowej fryzury. Raz zdaje mi się, że go widzę, a raz, że jednak nie. A chcę go zobaczyć. Wpatrywać się w niego. Nie mogę — a raczej nie chcę — uwierzyć własnym oczom. Wpatruję się więc w ciemność widowni, a nie w jasno oświetloną scenę. Widownia zafascynowana pochyla się ku przodowi, śmieje się we wszystkich właściwych momentach, wstrzymuje oddech w chwilach napięcia, ale ja nadal go nie widzę.

Wreszcie pierwszy akt dobiega końca i zapalają się światła.

— To było niesamowite! — wyrzuca z siebie Sandy całkiem zauroczona. — No, powiedz, nie było niesamowite?

O, są. Dostrzegam ich. Śmiejąc się, idą głównym przejściem.

— Niewiarygodne — mruczę. Sandy wstaje, strzepując spódniczkę.

— Idziemy?

Teraz patrzę na jego towarzysza — to samo uczesanie, te same buty. Tyle że jest młody, młodszy, niż mi się zdawało. Jego twarz ma w sobie tę nadmierną gładkość — czy on sobie depiluje brwi? Ma na sobie džinsy Diesel i dopasowany czarny podkoszulek. Teraz przechodzą obok. Wstrzymuję oddech. Sandy popycha mnie ku końcowi naszego rzędu i oto jesteśmy tuż za nimi. Spowija mnie czysty i lekki zapach wody kolońskiej tego młodszego, a potem patrzę, jak na moment kładzie dłoń na karku mojego byłego męża.

To drobny gest: przelotny, zwyczajny. Ale sprawia, że staję jak wryta. Jakbym zobaczyła w zwolnionym tempie to, czego nie chciałam zobaczyć. I gapię się. Nie na jego dłoń, tylko na reakcję mojego byłego męża.

Nie ma żadnej reakcji.

Nie jestem w stanie zrobić ani kroku. A za mną, na schodach, robi się coraz większy tłok.

— Wszystko w porządku? — pyta Sandy, lekko mnie popychając.

Ale ja wrosłam w ziemię.

— Zapomniałam programu — wycharkuję i zawracam pod prąd ludzkiej fali prącej w stronę baru. — Chcę tylko wziąć program.

Potykać się, mijam swój rząd, schodzę na sam dół aż do sceny i opieram się o barierkę przed orkiestrą. Serce mi wali. Wiem. Teraz wiem.

Zawsze wiedziałam, ale teraz wiem naprawdę. Okładka o książce mówi niewiele, ale buty o człowieku sporo.

Urok woalki

Niemodne już dziś, nie wiedzieć czemu, woalki należą do najbardziej twarzowych kobiecych ozdób. Jeśli chcesz wydać się jednocześnie uwodzicielska, tajemnicza i niesłychanie wyrafinowana, posłuż się woalkę. Jej szczególny urok tkwi w tym, że najzwyklejszą kobietę zmieni w Annę Kareninę lub przynajmniej Gretę Garbo. A samo to, że część twarzy jest ukryta, wywołuje pewien szczególny dreszczyk, tyleż podniecający, co intrygujący. Nieważne, czy wybierzesz woalkę duża i grubszą, czy też misterny, delikatny skrawek tiulu. Kobiety, które noszą woalki, to istoty z przeszłością, z tajemnicą. A cóż może być bardziej eleganckiego?

— Ale ja nie noszę kapeluszy! - oburzam się. — Dzisiaj już się w kapeluszach nie chodzi!

— W Ascot* się chodzi — mówi Colin tonem nieznoszącym sprzeciwu. — Jak nie będziesz mieć na głowie kapelusza, to na-

*** Miejscowość niedaleko Windsoru, gdzie tradycyjnie odbywają się coroczne wyścigi konne (przyp. tłum.).**

wet cię nie wpuszczą, więc musisz się z tym pogodzić. A teraz bądź miła i podaj mi ten kawałek papieru ściernego, dobrze?

Schylam się i grzebię w kolekcji narzędzi, brudnych ścierek i żrących płynów, których Colin właśnie używa do zdrapywania farby z drzwi do salonu. Natrafiwszy na coś chropawego i brązowego, podaję mu to.

- Co za nudziarstwo! - zrzędzę. — Nawet nie wiem, po co w ogóle muszę iść na tę idiotyczną imprezę. Okazuje się, że zbiorowa rozrywka jest straszliwie nudna!

- No — Colin macza szczotkę do zębów w terpentynie, którą zamaszycie wciera w listwę — przecież nie musiałaś przyjmować posady w Royal. Zawsze mogłaś nie skorzystać z szansy na lepsze pieniądze, na pracę w fascynującym otoczeniu w jednej z najlepszych instytucji artystycznych kraju, tudzież na posiadanie jeszcze bardziej fascynujących butów. Nikt cię siłą nie trzyma. Denna miernota i powrót do nudy, od której aż tyłek boli, jest na wyciągnięcie ręki.

— Dobra, kapuję — z impetem rzucam się na fotel. Colin podnosi na mnie surowy wzrok.

- Nie rzucaj mi się tutaj, moja panno. Co cię właściwie ugryzło? Powinnaś się cieszyć, być przejęta! Większość dziewczyn byłaby uszczęśliwiona, gdyby miały jechać do Ascot i jeszcze by im za to płacili!

— Większość angielskich dziewczyn — poprawiam go gniewnie. Marszczy brwi.

— A co to ma do rzeczy?

- Wszystko! O Boże, ty nic nie rozumiesz! Dramatycznym gestem kryję twarz w dłoniach. Colin odkłada szczoteczkę i przygląda mi się nieufnie.

— Louise, czy ktoś nie jest tutaj odrobinę przedmenstrualny?

- Nie! — odwarkuję. - Nie zachowuj się tak protekcyjnie!

— Myślę, że nieźle sobie radzę — odpala. — Szczególnie zważywszy, że mieszkam pod jednym dachem z doktorem Jekyll-

lem i panem Hyde. Raz jesteś w siódmym niebie, bo dostałaś pracę swoich marzeń, a za chwilę znowu dziko się wściekasz, bo ktoś cię zabiera na jedną z najbardziej pożądanych okazji towarzyskich roku, a jedyne, co masz zrobić, to wcisnąć na głowę kapelusz! A tak szczerze, to od tygodnia masz paskudny humor, i jeśli nie zbliża ci się okres, to lepiej żebyś miała jakieś solidne wytłumaczenie.

Siedzimy w milczeniu, patrząc na siebie gniewnie.

— Przepraszam — mówię wreszcie. — Tylko że to jest o wiele... o wiele trudniejsze, niż myślałam. — Jak mogę mu to wytłumaczyć? — Problem w tym, Col, że nie jestem Angielką.

— Mam dla ciebie nowinę, Louise. Nigdy nie byłaś.

— Ha, ha. Mówię serio. Te dziewczyny są... Jak by to ująć? Są Angielkami profesjonalnymi. Jakby angielskość była ich istotą. Na przekąskę choćby te ich imiona: Flora, Poppy, Hyacinth*. Czuję się, jakbym pielęgnowała rabatki. A ta praca to tylko coś, co robią dla zabicia czasu przed poślubieniem swoich miastowych chłopaków. Praca załatwiona przez tatusia, który zna dyrektora artystycznego albo sam jest dyrektorem artystycznym.

— Miauuuuuuuuu, Louise! Schowaj te pazury!

— Nie żeby były niemile - ustępuję, starając się nad sobą zapanować (bez skutku). — Są fajne na swój sposób, jak mu-tantki z chowu wsobnego. Tylko wydaje mi się, że to, co faktycznie robimy, to zabawianie ojców i matek ich dawnych szkolnych kumpli. Przykładowo: szef Investment Banking u Goldmana Sachsa jest tatusiem najlepszej przyjaciółki Flory. Cały wieczór schodzi im na rozmowach o jego synku w Eton i jej bracie w Harrow**. Następnego dnia on zamawia łożę na cały sezon i ofiarowuje czek na taką sumę, że czują się w obowiązku wyryć jego imię, gdzie się tylko da, na każdej powierzchni w budynku!

* Ang. mak, hiacynt (przyp. tłum.).

** Jedna ze starych elitarnych szkół dla chłopców (przyp. tłum.).

— A co to konkretnie ma wspólnego z tobą?

— Ja wypadam z gry, Col! Po prostu nie mogę z nimi konkurować! Poza tym — dodaję gniewnie — one wszystkie mają nogi i cycki, a to już bardzo, bardzo nie *fair*\

Uśmiecha się do mnie.

— Jesteś zazdrosna.

— Oczywiście, że jestem zazdrosna! — wyrzucam wściekle. — Ale jestem nie na swoim miejscu! Nie znam się na tym całym biznesie elitarnych szkół. Nigdy nie strzelałam ani nie byłam na wyścigach czy w Annabel's albo Tramps*, ani nikt nigdy nie zamieścił mojego zdjęcia w „Harpers and Queen”**. Nikt mnie nigdy nie zaprosił do swojej wiejskiej posiadłości i jakbym się tam znalazła, nie wiedziałabym, co mam robić! Na litość boską, ja jestem z Pittsburgha! A tymczasem teraz jedziemy do Ascot zabawiać klientów z BP i Reutersa i po prostu wiem, że to będzie istne piekło, wszystkie te kapelusze, ten protokół, ta cała znajomość rzeczy, której mi brak!

Colin ściska mnie za kolano.

— Louise, właśnie dlatego te dziewczyny są w tym zawodzie takie przydatne. Ich wychowanie i wykształcenie jest gwarancją posiadania pewnej liczby kontaktów. Ale zatrudnili cię nie bez powodu. Lepiej zajmij się tym, co do ciebie należy. Jesteś za stara na takie fochy. To naprawdę mało atrakcyjne. — Spogląda na mnie znacząco. — No, a teraz zrób mi przyjemność i posprzątaj po sobie ten straszny bałagan w kuchni. Przychodzi Andy i nie chcę, żeby pomyślał, że mieszkam na wysypisku śmieci.

To rzekłszy, wraca do swojej szczoteczki z terpentyną.

Dwa dni potem, kiedy właśnie smętnie tkwię przy biurku, wyjmując rozmiękłe pomidory z niskokalorycznej kanapki i bez entuzjazmu usiłując ubarwić standardowe pismo z prośbą o wsparcie, tak by nie wypadło żałośnie, wpada Poppy, całe

* Drogie londyńskie kluby nocne (przyp. tłum.).

** Ekskluzywne czasopismo o życiu gwiazd (przyp. tłum.).

to metr siedemdziesiąt pięć, i zaprasza mnie na wyprawę po kapelusze. Kiedy ta spleciona kompozycja rąk i nóg odgarnia z oczu długą grzywkę i uśmiecha się do mnie nieśmiało, przypomina zawstydzoną żyrafę.

— Nie mam zupełnie nic do włożenia!— opiera się niedbale o moje biurko, naciągając rękawy bluzki i bezskutecznie próbując zakryć nimi nadgarstki. — To znaczy mam ten lichy kapelusz z zeszłego roku z wesela siostry, ale ona się uparła, żeby był liliowy.

Wtem zza pilśniowej ścianki działowej dzielącej biurka rozlega się krzyk.

— No nieeeeeee! — I ukazuje się drobna blond główka Flory.

— Nie mówiłaś mi, że Lavender ma męża!

— Nie mówiłam, dobre sobie! — Poppy przewraca oczami.

— Flora, ty tam byłaś!

— Och! — Jest wstrząśnięta. — Czy to im dałam srebrne podpórki pod wizytówki w kształcie świnek?

— Śliwek — poprawia ją Poppy.

— Śliwek? To do mnie niepodobne. - Marszczy się, intensywnie pogryzając końcówkę pióra. — Z kim byłam?

— Flora, z ciebie to jest kadet! Chyba poszła do szkoły z internatem, jak miała trzy lata — szepcze do mnie, zasłaniając usta dłonią. — Dałaś im srebrne podpórki pod wizytówki od Smythsona, w kształcie śliwek i byłaś tam z Jeremym Bourne-Houthwaite. Pamiętasz, swego czasu byłaś z nim właściwie zaręczona.

W bladoniebieskich oczach Flory zapala się światło.

— Och! Jeremy Wielkousty! No przecież! — I obie zaczynają chichrać się niepowstrzymanie.

— Jeremy Wielkousty? — nie jestem pewna, czy rzeczywiście chcę wiedzieć.

— Mówię ci, Louise, miał przeogromne usta — wyjaśnia Mora. — Całowanie się z nim było jak atak labradora. Nigdy w życiu nie byłam taka mokra!

I chichrają się jeszcze bardziej, aż Poppy zaczyna się dławić. Klepię ją po plecach.

— Skoro wy, dziewczyny, idziecie na zakupy, to ja też chcę iść z wami — błaga Flora.

— Dobra, gdzie pójdziemy? — pytam.

— Locks — ćwierkają równocześnie, po czym wykrzykują do siebie — Trzask! — znów popadają w histerię i walą nogami w podłogę.

Ani chybi, myślę, zaraz dosłownie wyjdę z siebie.

— Chodzi o Locks na St James Street — wyjaśnia Poppy. — To jest miejsce, gdzie się idzie kupić dobry, porządny kapelusz. - Patrzy na mnie z powagą, co, muszę przyznać, wygląda u niej dziwnie. Poppy i jakakolwiek formagravitas nie przystają do siebie.— Nie chcesz chyba fantastycznego kapelusza? (Słowo „fantazyjny” wypowiedziała w sposób, w jaki kibice piłkarscy mówią: „Ty pedale”).

— No, nie... - mówię z wahaniem, myśląc sobie po cichu, że fantastyczny kapelusz jest właśnie tym, czego chcę. Najfantazyjniejszy, najbardziej oszałamiający kapelusz, jaki można sobie wymarzyć.

— Nie, chcesz mieć porządny kapelusz! — Flora z niespodziewanym wigorem kiwa jasną główką. — Porządny angielski kapelusz! — dodaje znacząco, niczym mason, który wtrąca słowo-szyfr do zwyczajnej rozmowy. Oto ono: słowo na a. Natychmiast ustępuję pola.

— Tak, jak najbardziej! — zgadzam się przytłoczona osobliwym uczuciem, że w każdej chwili mogą z marszu zacząć wyśpiewywać *Rule, Britannia*, a ja nie znam słów. Uśmiecham się. Odpowiadają uśmiechem. (To mój najnowszy mechanizm obronny przeciw wszystkiemu, z czym sobie nie mogę poradzić. A to oznacza, że większość dnia spędzam, szczerząc się jak idiotka).

Nie jestem pewna, co miały na myśli, mówiąc „porządny” i „angielski”, ale najwyraźniej było to przeciwieństwo „fanta-

zyjnego", który — jestem zbyt cudzoziemska, żeby to zrozumieć — jest nie do przyjęcia. Jeśli tylko uda mi się przetrwać najbliższą wyprawę na zakupy, niewątpliwie zostanę wprowadzona w tajniki bon tonu Angielskich Wyższych Sfer.

— Jeśli chodzi o mnie, to żadnych fantazyjnych kapeluszy! — wołam radośnie. I być może nieco przedwcześnie.

— Masz, przymierz to — mówi Flora, wciskając mi na głowę ogromniastą różową kreację jak z waty cukrowej, która zsuwa mi się poniżej brwi, a kiedy się zatrzymuje, potężne rondo bezwładnie opada mi na ramiona.

Cofają się o krok z podziwem.

— Zachwycające! — Poppy aż się zatchnęła. — Wprost zachwycające!

Próbuję ustawić się przed lustrem tak, żeby móc widzieć całość, ale skutek jest tylko taki, że swoim niewiarygodnym rondem przewracam ułożony pół metra ode mnie stos kapeluszy panama.

— Chyba trochę duży — zauważam.

— Louise! - Flora marszczy brwi. - Ale o to chodzi!

— Duże rondo sprawia, że biodra wyglądają na mniejsze — wyjaśnia Poppy. — Plus — szepcze konspiracyjnie — nie trzeba się czesać.

— A jak jest ogromne — dorzuca wesoło Flora — nie trzeba się nawet malować!

— Aha. Włóż kapelusz i gotowe.

Teraz one mierzą kilka równie postrach budzących beżowych tortów i zauważam, że nawet kiedy stoimy rondo w rondo, dzieli nas prawie metr. I wtedy pojmuje. Podobnie jak rzędy żywopłotów i jak gazety w metrze, te kapelusze służą przede wszystkim ochronie prywatności — kolejny przejaw tej nieprzeniknionej angielskiej rezerwy.

Dużo bardziej podoba mi się mała kolekcja w rogu: schludne, szykowne, małe kapelusiki do noszenia zawiadacko na bakier przez kobietę pewną siebie. Żywe kolory szlachetnych ka-

mieni: szmaragdowa zieleń, szafirowy błękit, rubinowa czerwień. A wszystko przystrojone wijącymi się odważnie wokół głowy piórami.

— A te? - ryzykuję. Poppy marszczy nos.

— Trochę za bardzo fantazyjne, nie uważasz? Flora sięga po jeden z nich.

— To absolutnie nic nie zdoła dla twoich bioder.

— Mnie się podobają. - Co jest z tymi Angielkami i ich biodrami? W porywie niesubordynacji mierzę jeden z nich.

Szczerze mówiąc, wygląda trochę głupio. Nawet ja to widzę. Szmaragdowe pióro, które robiło tak duże wrażenie na tle bieli bezwłosego manekina, wykwita mi teraz z tyłu głowy niczym jakiś dziwny porost, a jego ostra jak brzytwa końcówka zwiesza się złowróźnie nad okiem, grożąc ugodzeniem każdemu, kto zbyt blisko się przybliży. I bez względu na to, jak je układam, zachowuje wciąż tę samą posągową sztywność, sprawiając, że wyglądam raczej na kuglarza-amatora niż na wyrafinowaną *femme fatale*.

Poppy wydyma wargi. Flora mruży oczy.

— Tak szczerze, to ten kapelusz zbyt usilnie się stara — mówi Poppy.

— Ona ma rację - przytakuje Flora.

I w tym momencie wymierza mi *coup de grace*.

— Wygląda trochę pospolicie.

Nie ma obrazy bardziej zjadliwej nad oskarżenie o pospolitość. Nawet ja, szczeniocy wygnaniec z domu wolnych, z krainy nieustraszonych, kulę się wewnętrznie, słysząc pobrzmiwającą w tym zdaniu stanowczość. A oczywiście mało jest rzeczy uznawanych przez angielskie wyższe sfery za bardziej pospolite niż zbyt usilne staranie się o coś. W końcu wysiłek jako taki przynależy klasie pracującej. Płonąc ze wstydu, szybkim ruchem zdejmuję kapelusz i sprawa upada.

Poppy i Flora podejmują decyzje w ciągu paru minut, wybierając pomiędzy kapeluszami wielkimi a nieprzyzwoicie wielkimi. Ja dalej się ociągam.

— Wracasz do biura ? — pyta Poppy, gdy tymczasem Flora zatrzymuje taksówkę. (Nie są w stanie jednocześnie iść i nieść pudeł z kapeluszami).

— Ja, ach... Chyba zajrzę do Fortnuma — gram na zwłokę. Patrząc, jak wesoło sadowią się w taksówce, czuję się rozczarowana jak nigdy.

Idę do Fortnuma. Na pierwszym piętrze mają dział kapeluszy taki jak w Locks i znowu próbuję wybrać coś spośród kapeluszy z wielkim rondem. Zmieszana spozieram spod szczególnie ohydneho, pastelowego tworu, kiedy jakiś głos za mną wykrzykuje.

— Moja droga, daruj, ale to nie jesteś ty.

Odwracam się i oto stoję naprzeciw drobnej, bardzo elegancko ubranej starszej pani. Ma na sobie kremowy płaszcz z kaszmiru udrapowany na klasycznym kostiumie koloru kości słoniowej, a w ręce trzyma torebkę z aligatora. Uśmiecha się, a w jej niezwykłych niebieskich oczach migoczą psotne ogniki.

— To oczywiście nie moja sprawa — mówi z bardzo eleganckim austriackim akcentem. — Niemniej jednak przykro widzieć, że szaleństwo opętało kogoś tak młodego - ciągnie. — Rzadko się widuje kogoś w twoim wieku, kto by w ogóle patrzył na kapelusze. Miałam wrażenie, że są *tres passe*.

— Wybieram się do Ascot - wyjaśniam, zdejmując z głowy nieszczęsny przedmiot. - Potrzebny mi kapelusz. Wszystkie dziewczyny, z którymi jadę, będą je miały. Nie bardzo wiem, co jest wymagane, co jest... najlepsze.

— Aha - kiwa głową. - Jesteś Amerykanką?

— Zgadza się — wyznaję, jakby to było jakąś sekretną winą. Prostuje się (mierzy teraz mniej więcej metr pięćdziesiąt).

— Kapelusze tego rodzaju wyglądają dobrze na Angielkach, które są wysokie i niezbyt dbają o fryzurę. Proponowała-

bym ci coś szykowniejszego, mniejszego, może coś z woalką. — Odwraca się i wręcza mi granatowy kapelusik w kształcie hełmu z dramatyczną, rzadko tkaną woalką. — Coś takiego.

Wkładam go. Natychmiast staje się doskonale wyniosła. Woalka oddziela mnie od reszty świata, stwarzając wrażenie arystokratycznej skromności, uwodzicielskiej i nieprzeniknionej zarazem.

Niewiarygodnie szykowne.

Ona uśmiecha się triumfująco.

— Widzisz? Tak jest o wiele lepiej.

Nie mogę oderwać wzroku od samej siebie. Wyglądam tak po gwiazdorsku. Ale jeszcze się waham.

— Inne dziewczyny nie będą miały czegoś takiego. To może być trochę nie na miejscu, trochę zbyt...

Przerywa mi ruchem ręki.

— Jak mówię, to nie jest moja sprawa, ale z doświadczenia wiem, że najlepiej nie silić się na angielskość. W końcu przecież angielskość to klub, do którego nawet nie wszyscy Anglicy mogą się dostać. I nie będą cię za to szanować.

To mówiąc, odwraca się i znika wśród damskiej bielizny, przepadając gdzieś pomiędzy kaszmirowymi szlafrokami a egipskimi nocnymi koszulami z bawełny.

A ja wpadam w panikę. Jedyne głos rozsądku, na jaki tego dnia natrafiłam, zamilkł.

— Proszę zaczekać! — wołam i biegnę za nią.

I natychmiast staje twarzą w twarz z czymś, co wygląda na wyższej rangi sprzedawczynię transwestytę (mówię: transwestytę, bo jest zbudowana jak nowozelandzki libero wagi ciężkiej, wciśnięty w olbrzymi kostium z poliestru).

Składając swe ogromne ręce na piersi, piorunuje mnie wzrokiem.

— Czy madame zamierza kupić ten kapelusz? — pyta znacząco, unosząc jedną, wszechmocną, gęstą brew.

Przykładam rękę do głowy i kiedy moja dłoń natrafia na granatowy hełmik, serce podchodzi mi do gardła.

— Och, przepraszam! Nie wiedziałam... — jąkam się i czuję, że twarz mi płonie. Uśmiecham się, mam nadzieję, że zniewalająco. — Właśnie... właśnie szukałam kogoś i zapomniałam, że mam to na głowie i... i...

Nie działa. Ona patrzy na mnie jak na przestępcę. Zaczynam się czuć jak przestępca. Chichoczę głupio.

— Też coś! Chyba pani nie przypuszcza, że naprawdę zamierzałam... że zamierzałam... uprowadzić ten kapelusz!

Wpatruje się we mnie bez zmrużenia oka i pochrapuje, wypuszczając powietrze, trochę tak jak byk gotów do ataku. Próbuje inaczej.

Zdzieram kapelusz z głowy i bezczelnie rzucam w jej stronę. (W razie wątpliwości działaj jak rozwydrzony dzieciak).

— O! — przewracam oczyma i z całej siły staram się wyglądać na oburzoną i wyniosłą. — Ma pani swój kapelusz! A teraz przepraszam, ale muszę iść!

Już mam ją gwałtownie wyminąć i puścić się w dół po schodach w szalonym, samobójczym pędzie, gdy pojawia się moja mała austriacka znajoma.

— No więc? Bierzesz go? - pyta nieświadoma mego żalosego położenia. — Jest naprawdę absolutnie najlepszy.

Już mam odpowiedzieć, kiedy zauważam, że coś się dzieje ze sprzedawczynią. Rumieni się i płacze.

— Lady Castle! — Jej monstrualne brwi wznoszą się gwałtownie aż po włosy nad czołem. — Proszę mi darować... drobne nieporozumienie, pewna jestem, to znaczy... Co za radość widzieć panią, Lady Castle!

Lady Castle kwituje to skinieniem głowy i zwraca się do mnie. — Ten będzie najlepszy, prawda?

— Och, tak... - sprzedawczyni za wszelką cenę stara się być pomocna. — To niewątpliwie nadzwyczaj wyrafinowany... bardzo... hm... niespotykany wzór.

Patrzę, jak były wróg na moich oczach zamienia się w galaretę.

— Lady Castle, chcę pani bardzo podziękować za pomoc w dokonaniu wyboru. — Triumfalnie wciskam kapelusz na głowę. — Pani pomoc była bezcenna.

— To żaden kłopot — zapewnia mnie. — Mam w tych sprawach ogromne doświadczenie. Przekonałam się w przeszłości, że kapelusz z woalką jest bardzo użyteczny. Twarzowy i odrobinę tajemniczy. A to człowieka odróżnia.

— No właśnie — przyznaję. — Już się czuję odróżniona, nawet trochę zanadto. Chodziło mi o to, żeby się dopasować.

Energicznie kręci głową.

— Dopasowanie się jest dobre dla pensjonarek. Bycie inną to nie przestępstwo, lecz zaleta.

Wzruszam ramionami i uśmiecham się cierpko.

— Nie jestem taka pewna.

Lady Castle patrzy na mnie ze zdziwieniem. — Ależ oczywiście, że tak! Jesteś kimś! Kobieta z przeszłością, z historią! Tego nikt ci nie odbierze!

Intryguje mnie. Mówi tak zapamiętale, z takim przekonaniem, że znowu opanowuje mnie przemożne pragnienie, żeby nie odchodziła.

— Czy mogłabym panią zaprosić na herbatę? — pytam i sama słyszę, że brzmi to jak kwestia z powieści Wodehouse'a¹.

Przyjmuje zaproszenie bez chwili wahania, jak gdyby nie było nic naturalniejszego, niż być zaproszoną na herbatę przez kogoś zupełnie obcego, kogo się właśnie spotkało w dziale kapeluszy jednego z lepszych domów towarowych. Ta wyjątkowa pewność siebie jest właśnie tą cechą, której mi brak. I kiedy już kupiłam swój kapelusz, schodzimy na dół do wspaniałej herbaciarni Fortnuma, gdzie Lady Castle z miejsca i bez wa-

¹ EG. Wodehouse — satyryk i humorysta angielski z przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku (przyp. tłum.).

hania zamawia pełny podwieczorek, z grzankami i słodkimi bułeczkami.

Zafascynowana przyglądam się jej i słucham, jak opowiada historię swojego pobytu w Anglii, jednocześnie jakby od niechcienia kierując podawaniem herbaty ze swobodą osoby, dla której jest to sprawa codzienna.

— Anglicy to cudowni ludzie. Uwielbiam ich — rozprawia, wkładając sobie do herbaty plasterki cytryny. — Gdyby nie Anglicy, tobym nie żyła. Po prostu. W czasie wojny zostałam jako dziecko wywieziona z Austrii. Moja matka wsadziła mnie do pociągu i odeszła. Ja jedna przeżyłam. Ja jedna — powtarza miękko. — Nie rozumiem, dlaczego miałam tyle szczęścia, ale miałam. Anglicy są teraz moją rodziną. - Łyżeczką od herbaty ostrożnie wyciska cytrynę o brzeg filiżanki. — Ale jak to w rodzinie nie zawsze jest łatwo.

— Ale teraz jest pani damą, Lady Castle — podkreślam z naciskiem. — To już zupełnie inaczej.

Znowu wygląda na zdziwioną.

— Ależ moja droga, ja zawsze byłam damą! Nawet kiedy byłam wymizierowanym imigranckim dzieckiem, które nie znało ani słowa po angielsku! Nie musiałam czekać, aż lord zaproponuje mi małżeństwo, żeby stać się damą!

— Ale chcę powiedzieć — usiłuję ubrać to w słowa — że teraz, kiedy jest pani lady, stała się pani jedną z nich... Nie jest już pani na zewnątrz.

— Zewnątrz, wewnątrz... Robi pani z tego za wielki problem. — Pociąga łyk herbaty Darjeeling, a jej bystre oczy wpatrują się we mnie bez przerwy. — To, na co ludzie reagują, to nie twoja inność, tylko to, że wstydzisz się tej inności.

Uśmiecha się i zgarnia sobie na talerz kolejny kawałek owocowego torciku.

— Ach, te ciasteczka! Doprawdy, są za dobre! Dziś wieczorem będę musiała pościć, żeby to zrównoważyć. Mniej styl,

Louise. Swój własny styl. I uwierz mi, że nikogo nie będzie obchodzić, skąd jesteś.

W biurze kapelusz nie robi furory.

— Jaki strasznie poważny. — Flora obraca go w rękach jak granat.

— Tak, niewątpliwie bardzo dorosły — przytakuje Poppy. — Masz więcej odwagi niż ja — dorzuca, szybko mi go oddając.

Niezrażona wkładam kapelusz z powrotem do pudełka.

— Czy komuś herbaty? — pytam.

— Tak, prosimy! — wykrzykują z takim szczerym zachwytem, jaki tylko Anglicy potrafią w sobie wzbudzić na wzmiankę o herbacie.

Tego wieczora, kiedy udaje mi się znaleźć na szafie miejsce na pudło z kapeluszem, uderza mnie poczucie, że już gdzieś kiedyś spotkałam Lady Castle. Siadam na brzegu łóżka i intensywnie się skupiam. Kogo mi ona przypomina?

I nagle olśnienie. Otwieram szafę i wygrzebuję z niej mój tom *Elegancji*. Szybkim ruchem otwieram książkę i przerzucam strony ponadczasowych rad. Lady Castle przypomina mi Madame Dariaux i z nagłym ukłuciem czuję, jak bardzo mi jej było brak. Stała się dla mnie prawdziwa i nawet gdy jej celna mądrość była dla mnie odstręczająca, nigdy mnie nie zawiodła. Byłam głupia, chcąc ją wygnąć, i teraz ostrożnie przecieram książkę z kurzu i ponownie kładę na honorowym miejscu na nocnym stoliku.

Kiedy nadchodzi wielki dzień, odkrywam, że Lady Castle miała rację. Do kapelusza wkładam prosto skrojoną granatową sukienkę z surowego jedwabiu i odpowiedni żakiet. Kapelusz jest oczywiście przebojem całej imprezy. W morzu kapeluszy o rondach szerokich na trzy czwarte metra jestem wykwinna i wyniosła. Dodatkową korzyść stanowi to, że mogę łatwo przemykać się przez tłum, co niewątpliwie jest bardziej eleganckie. Już sama woalka sprawia coś zadziwiającego. Na-

tychmiast nadaje mi pozycję przerastającą moje najśmielsze oczekiwania. Mężczyźni, zafascynowani kapeluszem, stają się niezwykle uprzejmi, a kobiety są zaintrygowane. A kiedy przechodzę przez Royal Enclosure* i zbliżam się do Flory i Poppy, widzę, jak tej pierwszej pod ogromnym rondem cukrowo-wacianej kreacji opada szczęka.

— Och, Louise! — wykrzykuje, rozpaczliwie łapiąc mnie za ramię. - Wyglądasz dokładnie tak, jak ja bym chciała, gdybym tylko potrafiła!

I wtedy po raz pierwszy widzę je w zupełnie innym świetle. W przytłaczającej masie jasnych garniturów i ubiorów ze znanych domów mody zdają się dziwnie bezbronne; drobne i młode, chronione tylko przez swoje wielkie kapelusze. I wtedy myślę o tym, co powiedziała Lady Castle: na zewnątrz czy wewnątrz to żadna różnica.

To długi, podniecający i wyczerpujący dzień. Wczesno-czerwcową pogodą, jakże często szara i upiorna, robi się wspaniała i goście wydają się szczerze zadowoleni. Jest już prawie czwarta, kiedy wreszcie mogę się wymknąć, żeby przez chwilę pobyć sama w spokoju. Wolno spaceruję wśród tłumu i zastanawiam się, czy postawić w następnej gonitwie, gdy dostrzegam znajomą twarz.

— Dzień dobry! — mówię.

To ten młody człowiek, który podarował mi bilet, tylko tym razem jest w pełnym rynsztunku, ubrany w elegancki garnitur.

— Dzień dobry! — Rozpromienia się w odpowiedzi. — Co się stało, dostała pani tę pracę?

— Tak, dostałam i chciałam bardzo podziękować za bilet. Trudno mi wyrazić słowami, jakie to było wspaniałe!

Tłum napiera na nas, popychając nas w przeciwne strony, gdy odzywa się gong.

*** Najelegantsza część obszaru przeznaczona dla widzów wyścigu w Ascot (przyp. tłum.).**

— Muszę tylko szybko zgłosić zakład dla dziadka przed następnym biegiem — przekrzykuje hałas tłumu. - Napije się pani czegoś?

— Nie mogę — wołam, gdy gong rozlega się po raz drugi. -Za moment muszę wracać. Proszę lecieć, bo zmarnuje pan swoją szansę!

Rusza naprzód, przeciskając się do najkrótszej kolejki, lecz zanim zupełnie tracę go z oczu, odwraca się i wrzeszczy:

— A w ogóle, to wygląda pani zachwycająco! — co wywołuje dobroduszne „cie, cie, cie” kilku stojących obok niego panów.

Stoi, uśmiechając się do mnie szeroko, i w chwilę później znika w tłumie.

W całym ciele czuję mrowienie, a do Royal Enclosure wracam niemal w podskokach.

Ascot to rewia poglądów na modę — zarówno katastrofalnych, jak i zachwycających. A jednak mimo dużej różnorodności zdziwiona jestem, widząc niewiele kobiet w kapeluszach z woalką. Właściwie jedyny, jaki zauważam tego dnia, należy do Lady Castle. Mały, srebrzysto-popielaty toczek z przesłaniającym część twarzy pasem zachwycającej czarnej siateczki. Poniżej starannie zaznaczone matową czerwienią usta śmieją się filuternie i Lady Castle nieznacznie puszcza do mnie oko.

— Jestem doprawdy pod wrażeniem. — Bierze mnie pod rękę. — Wyglądasz jak dama. Te tutaj mogą nimi być, ale ty na nią wyglądasz. Istna Wallis Simpson 2 . Okropna kobieta, oczywiście, ale jak przepięknie ubrana, nie wyobrażasz sobie! A teraz — prowadzi mnie w stronę łoży - pozwól, że cię przedstawię paru osobom. Mam przecucie, że wydadzą ci się interesujące.

Odwraca mnie i staje twarzą w twarz z małym, krępyim jegomościem o czerwonej twarzy, dzierżącym kieliszek z szampanem, jakby to był kufel piwa.

²Słynna Amerykanka, z którą ożenił się Edward VIII, w 1936 roku rezygnując dla niej z korony (przyp. tłum.).

— Louise, to jest Fredrick von Hassel. Pan Hassel kocha się w muzyce dawnej.

Jegomość gwałtownie wyciąga do mnie nabrzmiałą różową łapę, którą ściskam.

— Fredrick kolekcjonuje obrazy Caravaggia — ciągnie Lady Castle. — Z tego co wiem, Royal Opera wystawia nowego *Orfeusza*, czy tak? Zanim mam szansę otworzyć usta, pana von Hassel ponosi.

— Dzisiaj nikt nie wystawia Monteverdiego jak należy! -warczy. — Zawsze usiłują się „ustosunkować”. Uwspółcześić tę opowieść. A to wielka historia miłości i śmierci! — wykrzykuje, a jego twarz staje się coraz bardziej czerwona. — Nie mogę znieść tych produkcji! Nie zgadzam się! Protestuję!

W tym momencie woalka istotnie okazuje się przydatna. Mrugam. Uśmiecham się. Pozwalam sobie dyskretnie zetrzeć z kłapy kostiumu odrobinę śliny pana von Hassel, po czym cicho mówię:

— Jaka szkoda. Tym bardziej że Caravaggio stanowi inspirację dla scenografii w naszym nowym przedstawieniu i bardzo chętnie usłyszałabym, co pan o niej sądzi.

Myślę, że to właśnie przesadny przepych woalki daje mi odwagę, by się odwrócić. Śmiałe gesty i chwile uciążliwego milczenia przychodzą łatwiej, kiedy jest się odgrodzonym siatką.

W jednej chwili jest przy mnie.

— Caravaggio? — mówi, zacinając się. — Proszę, proszę opowiedzieć. Chciałbym usłyszeć więcej!

Produkcje muzyki dawnej sponsorowane przez von Hassela należą do corocznych przebojów sezonu zimowego. Są przemyślane, ciepłe i pięknie zrobione. Bilety są przeważnie wyprzedane na kilka miesięcy z góry. Rezerwujcie więc jak najwcześniej.

Może zechcecie zarezerwować miejsca w łoży należącej do rodziny Castle...

Weekendy

Coraz więcej mieszczuchów po pięciu dniach duszenia się w mieście ucieka na weekend na wieś, żeby napęłnić płuca świeżym powietrzem. W rezultacie wokół tej tęsknoty za idyllicznym wypoczynkiem narósł cały wielki przemysł: nigdy dotąd nie sprzedawało się tylu sportowych ubrań.

Trzeba jednak zaznaczyć, że czterdziestoosmiogodzinny pobyt w wiejskiej posiadłości wymaga prawie takiej samej ilości odzieży co wakacje zagranicą. A jeśli ma się być gościem miłym i towarzyskim, żaden element zabranej garderoby nie okaże się zbędny.

A powinna ona zawierać atrakcyjny tweedowy lub (latem) lniany kostium z kategorii sportowych na przejażdżki, sensowne buty na płaskim obcasie, solidne buty do chodzenia, ładny jedwabny szlafrok - pod żadnym pozorem nie przejrzysty czy nazbyt cienki - parę spodni z pasującą do nich koszulą, ciepły sweter, długą wieczorową suknię na uroczyste kolacje albo krótszą, mniej wykwintną, na wieczory w rodzinnym gronie, lekką bawełnianą sukienkę i sandały do penetrowania okolicy, męską je-

dwabną piżamę, a nade wszystko termofor, ulubione mydła i sekretny zapas herbatników. (Nigdy nie wiadomo, kiedy i czy w ogóle dadzą ci jeść!)

Lista będzie dłuższa i bardziej skomplikowana, jeśli gospodyni spodziewa się twojego udziału w rozrywkach sportowych. Rzecz jasna, jazda konna wymagać będzie odpowiednich butów i bryczesów, do tenisa powinnaś mieć na sobie czystą białą spódniczkę, bluzkę i buty, a cokolwiek będziesz robić, nie zapomnij zabrać ze sobą rakiety, kijów golfowych czy innego wyposażenia niezbędnego do udanej gry. Nie zaskarbisz sobie niczyjej sympatii, jeżeli będziesz musiała pożyczać elementy odpowiedniego ubioru od gospodyni lub od innych gości.

Tak więc słuchaj ostrzeżeń i przygotuj się. Weekendy poza domem bywają końcem niejednej przyjaźni. Możesz się zastanawiać, czy to gra warta świeczki. Osobiście jestem domatorką, ale weekend za miastem zawsze niezwykle mnie odświeża i cieszy, choćby tylko dlatego, że zdaję sobie sprawę, jak wspaniałe i proste jest życie w mieście!

Po Ascot zyskuję w biurze reputację wyrafinowanego światowca. Florę i Poppy przezywam Dzieci Kwiaty, a one z kolei mówią na mnie Shanghai Lii, nawiązując do mojego woalkowego sukcesu.

— „Więcej niż jeden mężczyzna potrzebny był, by zmienić moje imię na Shanghai Lii” — intonuje Poppy co rano, kiedy wkraczam do biura z moją podwójną latte.

Puszczam do niej oko, z trudem zniżam głos o dwie oktawy i odśpiewuję początkowe wersy *Falling in Love Again*, aż schodzę tak morderczo nisko, że nie mogę ciągnąć dalej. I po trochu do siebie przywykamy, potem zaczynamy się cenić, a w końcu przyjaźnić. Mimo tak różnego pochodzenia szybko odkrywam, że moje małe Dzieci Kwiaty mają tyle samo tajemnych słabostek co i ja: jedyną życiową ambicją Poppy jest poznanie męż-

czyzny, przy którym mogłaby nosić szpilki i którego mogłaby uwodzić podczas cotygodniowych lekcji salsy, a Flora pieści niebezpieczną obsesję na punkcie starych powtórek *Dallas*. Kiedy ogarnia nas nuda (co zdarza się często), Flora raczy nas wcieleniami przebudzenia Sue Ellen, co według Poppy wypada nieco zbyt realistycznie, by było przyjemne.

Tak więc nie jest dla mnie wielkim zaskoczeniem, kiedy któregoś parnego sierpniowego popołudnia Poppy jakby nigdy nic pyta, czy miałabym ochotę spędzić weekend z nią i Florą w jej rodzinnej wiejskiej posiadłości w Berkshire.

— Nic nadzwyczajnego — mówi. — Ale będziemy miały okazję zaczerpnąć świeżego powietrza, a poza tym tam jest taki spokój... Będziemy mogły sobie poleniuchować i posnuć się bez celu...

Wprost nie da się wyrazić upojenia, jakie ogarnia mnie na myśl o ucieczce z Londynu do chłodnej, zielonej oazy angielskiej wsi. Oczyma wyobraźni widzę już porozstawiane pod liściastym parawanem kasztanowca stoliki, kołysane łagodnym podmuchem hamaki, kolację pod rozgwieżdżonym niebem przy akompaniamencie świerszczy i dziewczęta strojne w białe sukienki z niebieskimi wstążkami... Krótko mówiąc, odpływam.

— Brzmi cudownie! - wzdycham.

— Świetnie! — mówi Poppy. — Pojedziemy jutro wieczorem po pracy. Flora prowadzi, więc odradzam jakikolwiek stały pokarm, zanim nie dotrzemy na miejsce... Jeżeli dotrzemy! Louise — rozjaśnia się w uśmiechu — tak się cieszę, że jedziesz! To tylko takie małe domowe przyjęcie.

— Domowe przyjęcie? - gwałtownie wracam na ziemię. Weekend na wsi to jedno, a domowe przyjęcie to zupełnie co innego.

Widzi malujący się na mojej twarzy przestkach.

— Ale takie małe, malusieńkie — zapewnia śpiesznie. — Będzie tylko mój brat z żoną, mama z tatą, moja siostra Laven-

der i jej mąż, straszny nudziarz i trochę świntuch, lepiej trzymać się z daleka, mój drugi brat Tarquín, którego dopiero co wyrzucili z Eton, więc nie wolno przy nim wspominać o niczym, co ma związek ze szkołą, szkolnymi kolegami, naukowymi nadziejami na przyszłość, przerwami w nauce, książkami, mundurkami, księciem Williamem, rugby czy alkoholem. Szczerze powiedziawszy, najlepiej w ogóle go unikać, wszyscy będziemy to robić, tak jest łatwiej. Oprócz tego jeszcze będziesz ty, ja, Flora, jej brat Eddie, który gra na fortepianie, moi dziadkowie, siostra mojej mamy, Hazel, moja kuzynka Daisy, jej przyjaciółka Sacha i może jeszcze Drewowie, którzy są przyjaciółmi mojej ciotki i planują rozwód. — Uśmiecha się szeroko. - Widzisz, nikt szczególnie. Będzie super!

— Super — powtarzam głucho. — To naprawdę super.

Ale cały mój początkowy entuzjazm oklapł jak stary kalosz.

Nigdy nie byłam zbyt dobra, jeśli chodzi o mieszkanie u innych. Nawet w dzieciństwie noclegi u koleżanek szły mi zawsze okropnie, a czymże jest domowe przyjęcie, jeśli nie jednym wielkim nocowaniem? Wpadam w panikę, nie mogąc jeść tego, co chcę i kiedy chcę, i strasznie mnie irytuje konieczność dzielenia z innymi łazienki. Skradanie się po korytarzach w środku nocy, podsłuchiwanie pod łazienkowymi drzwiami, czy aby nikogo tam nie ma, siusianie jak najciszej, na wypadek gdyby ściany były cienkie jak papier — wszystko to sprawia, że dostaję dreszczy. Na dodatek boję się, że będą chcieli, żebym uczestniczyła w którymś z tych wiejskich sportów, co to wymagają całych lat ćwiczeń. I tego żebym miała odpowiedni strój. Do jazdy konnej, do strzelania, do gry w golfa. Już widzę, jak wszyscy inni w nieskazitelnym strojach myśliwskich sadzą przez ogrodzenia, gdy ja tymczasem człapię daleko w tyle na starej mulicy.

— Będzie wspaniale — zachwyca się Poppy. — No i możemy grać w szarady!

Zycie bywa doprawdy okrutne.

— Co mam robić? — szepczę Colinowi do telefonu, kuląc się za opadłą ścianką działową. — Już się zgodziłam!

— Złotko, jedź, bez dwóch zdań. Naprawdę, nie wygłupiaj się. Rzecz w tym, żeby być przygotowaną.

— Col, ty nie rozumiesz! — syczę. — Nie nadaję się do stadnego życia. Przymuszanie się do ciebie i Rh zajęło mi parę miesięcy!

Wzdycha.

— W porządku. Dziś wieczorem, jak wrócisz, przejrzymy wszystko i pomogę ci się spakować, zgoda? Ale masz się nie wycofywać! Tak Bogiem a prawdą, to skoro Ria spędza weekend u siostry, nareszcie ja i Andy będziemy mogli mieć dom dla siebie. Już poszedł do Marksa i Spencera, a ja mam wybrać filmy do oglądania.

— OK. Umowa stoi — zgadzam się. Dobrze wiedzieć, że przynajmniej jedno z nas ma jakieś życie miłosne.

Kiedy tego wieczora przychodzę do domu, Colin wita mnie w drzwiach z kieliszkiem lodowatego chablis w ręku.

— Jesteś aniołem! — pełna wdzięczności opadam na kanapę. - Skąd wiedziałeś?

— Ja zawsze wiem — szczyrzy się w uśmiechu i sadowi się obok mnie. - Słuchaj, mam nadzieję, że nie masz mi za złe, ale pożyczyłem tę twoją książkę o modzie, Madame Jak Jej Tam, żeby przejrzeć. I przyszło mi do głowy parę pomysłów. Oto co ci się przyda jako absolutne minimum. — I wręcza mi kilka kartek A4.

Spoglądam na niego.

— Chyba żartujesz. Uśmiecha się.

— Wypij jeszcze łyżeczek i postaraj się mieć otwarty umysł, dobrze? Lista została zmyślnie podzielona na sekcje według „stylów”.

Na przejażdżki:

para dżinsów (niezbyt sfatygowanych) prosty sweter z kaszmiru
gładki biały podkoszulek (+ 2 na zmianę) para butów typu mokasyny,
do auta

-Ale ja nie będę prowadzić, Col.

— To tylko sugestia. Chcesz chipsów?

— Tak, poproszę. Znika w kuchni.

Na przechadzki po okolicy:

para kaloszy peleryna

dżinsy te co poprzednio, nowy podkoszulek, kaszmirowy
sweter

— To niemożliwe! Nie mam kaloszy, nie wspominając już o
kaszmirowym swetrze czy pelerynach, niech je cholera weźmie!

— Kiedy wejdiesz między wrony, Louise... Zwykle czy
serowo-cebulowe ?

— Serowo-cebulowe poproszę. - Wracam do listy, do której
zaczynam czuć nienawiść.

Do miasta i na wieczór:

zwykła lniana sukienka (na wyjście do miasta) prosta, wieczorowa
suknia futerał z dżerseju (na uroczyste posiłki)

— Prosta, wieczorowa suknia futerał z dżerseju? Czyś ty chociaż
widział prostą, wieczorową suknię futerał z dżerseju? Bo ja nie. -
Zaczyna być ponuro. - Col, ty chyba nie sądzisz, że oni będą się
przebierać do kolacji... co?

Zjawia się z całą miską chipsów i podaje mi. — No, nigdy nic nie wiadomo.

Na noc:

piżama (nie za ciężka) i odpowiedni szlafrok pantofle ranne
czyste majtki i biustonosz do pary (na wypadek gdyby ktoś niechcący
na ciebie wpadł)

- Col!

— To się może przydarzyć każdemu, Louise. — Wyciąga swoje
długie nogi i wrzuca sobie do ust chipsa.

Sport:

biały strój i buty do gry w tenisa, rakieta buty do jazdy konnej (można
pożyczyć) kostium kąpielowy

Odkładam listę. W głowie mi się kręci.

— Tego jest za dużo! Nie mogę ot tak po prostu wyjść i kupić sobie
stroju tenisowego czy butów do jazdy konnej albo choćby kaloszy. To
znaczy na pewno mi darują, jeśli nie będę miała tego całego
oprzyrządowania...

Patrzy na mnie ciężkim wzrokiem. Czuję, jak wkrada się między nas
nieustępliwe milczenie. Próbuję z innej beczki.

— Na pewno na przyjęciu będzie więcej ludzi, którzy nie będą jeździć
konno ani strzelać czy co tam jeszcze się robi na wsi. Specjalny strój na
spacery? Nie łapię! Nie wszyscy będą mieli szlafrok pod kolor piżamy,
nie wszyscy spędzą noc, wybielając majtki na wypadek, gdyby zamek
w łazience był zepsuty. Na pewno nie będę jedyna!

Wzrusza ramionami.

— Słuchaj, prosiłaś mnie o pomoc, więc ci pomagam. Nic nie poradzę, jeśli ludzie na wsi tak właśnie się ubierają. Możesz sobie pojechać bez niczego prócz pary majtek na zmianę, ale co będzie, jeżeli oni się tam przebierają do kolacji? Co wtedy zrobisz?

Właśnie mam mu powiedzieć, gdy w drzwiach staje Ria.

— O co poszło? - Rzuca się na kanapę obok mnie i bierze sobie kilka chipsów.

Wzdycham ciężko.

— Zostałam zaproszona na weekend do Poppy do jej posiadłości na wsi, a tu się okazuje, że będzie wielkie przyjęcie, tłum obcych ludzi, a ja nie jestem pewna, co zabrać i czego potrzebuję. Colin usiłuje mi pomóc...

Popija łyczek mojego wina.

— Hmm, pozostaje mieć nadzieję, że masz kalosze. A niech to szlag.

Tego wieczora odgrzebuję swoją błękitną nylonową torbę, która z plaśnięciem ląduje na łóżku. Kupiłam ją w latach osiemdziesiątych na lotnisku w Los Angeles, kiedy to zaopatrzywszy się w ogromne ilości plastikowych kłapek, nie zmieściłam ich do walizki. Teraz torba leży smętnie rozdziawiona w swojej krzykliwej glorii, niczym przybrudzona, wyniszczona gęba, cała w nalepkach i przywieszkach linii lotniczych. Zdzieram je, ale torba nadal wygląda jarmarcznie i śmiesznie jaskrawo. Zdecydowanie mi się to nie podoba.

Potem otwieram szafę i rozważam, co z moich rzeczy mogłoby się nadać. Para dżinsów Diesel, kusy zapinany sweterek od Morgana, luźna skórzana sukienka, która robi przy chodzeniu więcej hałasu niż parada wojskowa na Placu Czerwonym. Wtedy przypominam sobie, że robiąc listę, Colin zasięgnął rady mojej dawnej przyjaciółki, Madame Dariaux. Sadowiąc się na łóżku, otwieram na „W” i czytam.

" Tak więc słuchaj ostrzeżeń i przygotuj się".

Mina mi rzednie. Jednak Colin ma rację.

Gdy tak siedzę z książką w ręku, zaczynam się zastanawiać, czy kiedykolwiek wyjdę spod kurateli Madame Dariaux. Gdy tylko zdaje mi się, że wszystko załapałam, już jakiś nowy dylemat pędzi wprost na mnie. Część mnie chciałaby zwyczajnie wepchnąć do niebieskiej torby parę czystych majtek i mieć to z głowy. A jednak nie mogę. Zaszłam za daleko. Jeśli się czegoś nauczyłam, to tego, że bycie elegancką to tylko kwestia gotowości do podjęcia dodatkowego wysiłku i dostosowania się do wymagań, jakie stwarza sytuacja — z wdziękiem i entuzjazmem. W końcu, skoro ludzie tak właśnie się ubierają na weekendowy wyjazd, to nic mi się nie stanie, jeśli spróbuję.

Pukam do drzwi Rh.

- Taaa?

Wtykam głowę do środka.

- Nie znasz kogoś, kto mógłby mi pożyczyć kalosze? Uśmiecha się.

- Zdaje się, że moja siostra ma jakieś. Zobaczą, co się da zrobić.

Z nadejściem piątkowego popołudnia, po całym dniu gorączkowych targów i żebrów, wreszcie udało mi się spakować rozsądnej wielkości torbę (słowa „rozsądny” używam tu dość liberalnie). Jestem w miarę dobrze przygotowana na niemal każdą okazję, z wyjątkiem tenisa, którego sprawę postanowiłam rozegrać, przyjmując, jakby co, rolę zafascynowanego obserwatora. Chociaż nie będzie można mnie posadzić o szczyt swobodnego wiejskiego szyku, pocieszam się, że przynajmniej góra pasuje mi do spodni od pizamy i że udało mi się spakować sukienkę, która nie powinna się zanadto zmiąć, a także po jednej parze butów do chodzenia po dworze i po domu. Właściwie to gratuluję sobie w duszy, że tak mi świetnie poszło i dałam sobie ze wszystkim radę, gdy rozlega się klakson i przed biuro zajezdża Flora swoim wysłużonym kanarkowo-żółtym garbusem kabrioletem.

— Jest! Przyjechała! — Kiedy Poppy wychyla się przez okno biura i macha ręką, jej twarz promienieje. I wtedy przypominam sobie o jednej rzeczy, o której zapomniałam.

— Cholera jasna i psiakrew! A niech to!

— Co się stało? - pyta Poppy i leci wyłączyć komputer i nastawić automatyczną sekretarkę.

— Słuchaj, zapomniałam kupić prezent dla twoich rodziców. — Wyszarpuję portfel ze swojej potężnej wiśniowej plecionej torby i pędzę do drzwi. — Bądź kochana i wrzuć mi torbę do bagażnika. Wracam za minutkę, dosłownie! Powiedz Florze, żeby zaczekała! — I zbiegam po schodach do wyjścia dla personelu.

Jednym z wielkich atutów pracy w Royal Opera jest to, że się jest w samym środku Covent Garden*. W przeciągu kwadransa udaje mi się wpaść do Penhaligona, kupić prezentowy zestaw świeczek zapachowych i pędem wrócić do samochodu, gdzie czekają Flora i Poppy.

— Gotowa? — Flora zapala silnik i wkłada różowe przeciwsłoneczne okulary.

— Gotowa! - wykrzykuję, rzucając się na tylne siedzenie. Auto rusza gwałtownie, o mały włos nie przejeżdżając

sprzedawcy „Big Issue”**, i już nas nie ma. W cętkowanym świetle ciepłego wieczornego słońca mkniemy coraz dalej i dalej od Londynu, ku zieleńszej, miłszej krainie***.

Gdzieś pomiędzy Oxfordem a Reading skręcamy z głównej szosy i wpadamy jak Alicja w Krainie Czarów w surrealistyczną, pogmatwaną króliczą norę bocznych dróg, które wiją się wśród wiejskiego krajobrazu, obejmując rzędy żywopłotu gwałtownymi zwrotami między jedną a drugą enklawą o dziwacznych nazwach. Three Mile Cross, Rotherfdded Pep-

*** Tradycyjne londyńskie centrum handlowe (przyp. tłum.).**

**** Gazeta wydawana przez londyńskich bezdomnych (przyp. tłum.).**

***** Aluzja do słów wizyjnego hymnu *Jerusalem* Williama Blake'a: „I we have built Jerusalem/in England's green and pleasant land" (przyp. tłum.).**

pard, Nettlebed, Russel's Water, Gallowstree Common³ - te nazwy to nie tyle miejsca na mapie, ile nigdy nieuczęszczane szlaki jakiejś mistycznej, magicznej podróży godnej Tolkiena albo CS. Lewisa. Mijamy Tutts Lump, cudem nie wpadamy na Rotten Row i właśnie niesie nas w stronę Sheffield's Bottom, kiedy Flora bierze ostry zakręt w prawo. Ześlizgujemy się z szosy na brukowany podjazd, który ciągnie się prawie pół kilometra przez park, wzdłuż szeregu starych kasztanowców. Gdy zbliżamy się do domu, park ustępuje miejsca kobiercowi nieskazitelnie wypiełgnowanego trawnika i oto naszym oczom ukazuje się rodzinna rezydencja Poppy — ogromny dom z czasów królowej Anny, z czerwonej cegły, z oknami ze szkła ołowiowego. Są nawet dwie wąskie wieżyczki i warczące rzygacze groźnie zaczajone nad solidnymi, dębowymi drzwiami.

Nie wiem, czy sprawia to niewiarygodny ogrom tego miejsca czy może jazda Flory, ale nagle jest mi bardzo trudno złapać oddech.

— Jesteśmy na miejscu! — Poppy wyskakuje z samochodu ze zwinnością jak na kogoś jej rozmiarów zadziwiającą.

— O rany, Poppy! - udaje mi się wykrztusić. — Ty tu mieszkasz?

— Owszem, jest ładnie — przyznaje. - Ale dużo wilgoci, a ogrzewanie kosztuje fortunę... Gdzie temu do mojej klitki w Notting Hill.

Podnosi mi przednie siedzenie, a ja próbuję wysiąść. Jednak kolana tak mi się trzęsą, że walę się ciężko na żwir.

— Uuuups, wstawaj! - Flora dźwiga mnie z ziemi, absolutnie nieporuszona (najwidoczniej ludzie zawsze wypadają z aut, gdy ona prowadzi). - Parę głębokich oddechów, Louise, to przejdzie. Czyż powietrze nie jest tu cudowne?

³Wielki Krzyż, Pieprzne Pole, Pokrzywkę, Głębiniec, Wisielcze Łęgi (przyp. tłum.).

I zanim się orientuję, co się dzieje, otaczają mnie psy. Nie kilka, ale ze dwanaście psów różnych ras i rozmiarów skacze, szczeka, liże i węszy w ten nazbyt poufały sposób, jakiego wolałoby się uniknąć, i wydziela silny, wyraźny psi zapach. W samym środku tej psiej kotłowniny zjawia się kobieta bez śladu podbródka, która w swoich starych kaloszach góruje nawet nad Poppy i wymachuje śmiercionośnym sekatorem.

- Leżeć! - grzmi głosem, który mógłby utrzymać w karności całe imperium (albo je obalić). - Leżeć, chłopcy! Jasper, nie, NIE! Po prostu go odepchnij — instruuje mnie. — Jeszcze nie miał zabiegu i okropnie daje w kość.

- Mamuś! - Poppy wyciąga się ponad kłębowiskiem ruchliwych ogonów, próbując pocałować matkę w policzek. Jednak ten szlachetny wysiłek udaremniony zostaje nie tylko przez psy, ale i przez samą panią Simpson-Stock, która szybko się uchyla, zręcznie unikając jakiegokolwiek formy fizycznej bliskości. To posunięcie sprawia, że Poppy traci równowagę i ciężko ląduje na jej ramieniu.

- Doprawdy, Poppy! — sarka, odpychając ją. — Niezdara z ciebie jak zawsze!

- Tak, tak, mamuś. — Poppy chichocze. - Znasz mnie przecież!

- Dzień dobry, Floro. — Dłoń mamy wystrzeliwuje jak na sprężynie i potrząsa ręką Flory tak gwałtownie, że blond grzywka podskakuje w dół i w górę, a okulary sfruwają z głowy i toną gdzieś w psim morzu. Następnie swoją przerażającą gościnność kieruje ku mnie. - A ty pewnie jesteś tą Amerykanką! — huczy, racząc mnie tym samym rozbełtującym mózg uściskiem dłoni.

- To Louise, mamuś, ona ma na imię Louise - poprawia ją Poppy.

- No, więc witaj w Lower Slaughter, Louise. Rozgość się. Mamy tu tylko parę zasad. Po pierwsze, kolacja jest od wpół do ósmej do ósmej. Punktualnie. Po drugie, żadnego karmienia psów! Są już dość grube, prawda, chłopcy, prawda, wy moje

maleństwa kochaniutki! Tak, tak, tak! A po trzecie, żadnego chodzenia do zbrojowni. Jeśli już komuś ma urwać głowę, wolę, żeby to był ktoś z mojej rodziny. Zrozumiano?

— Jak najbardziej — żartuję. - W naszej rodzinie mamy podobne zasady co do strzelb.

Patrzy na mnie twardo.

Nastaje cisza. Nawet psy wyczuwają, że popełniłam *faux pas*, i zamierają w pół machnięcia ogonem. Gdzieś w oddali rozlega się złowrogi krzyk pawia. W kasztanowcach gwizdże wiatr. Czas, który dla innych płynie nieubłaganie, przed panią Simpson-Stock najwyraźniej zwykł przystawać.

— Tak, jest jak jest — mówi w końcu i szpula znowu zaczyna się kręcić. - Poppy zaprowadzi was do pokojów. Spodziewam się, że tym razem będziesz spała w swoim, Floro — dodaje, znacząco unosząc brew, na co Flora śmieje się nerwowo, a jej twarz przybiera kolejno kilka odcieni szkarłatu.

Desperacko próbując naprawić to, co już zdążyłam popsuć, rzucam pani domu pudełko prezentowe od Penhaligona.

— To dla pani — uśmiecham się jak istne wcielenie służalczości. — Taki drobiazg, żeby wyrazić wdzięczność.

— Dziękuję — odpowiada szorstko i wtyka sobie pudełko pod pachę, nie rzuciwszy nań nawet jednego spojrzenia. — Pewno świece zapachowe albo mydło. Zawsze dostaję tylko świece zapachowe i mydło. Chyba jestem już najczystszej i najbardziej wypachnioną kobietą pod słońcem. Ale to miło z twojej strony. Dobrze wychowana młoda osoba. Człowiek by się nie spodziewał takiej kultury po Amerykance. No, muszę dokończyć podcinać te róże przed kolacją. Pamiętajcie, punktualnie ósma. I Poppy, nie garbź się, na litość boską! Idziemy, chłopcy!

Po czym oddała się zamaszystymi krokami, wchłonięta przez psi odmęt.

Chwilę stoimy w milczeniu ogłuszone, w końcu Poppy wydaje długie westchnienie.

— Czy ona nie jest kochana? Chyba już cię uwielbia.

— Jesteś jej ulubienicą — przyznaje Flora. — Zanim w ogóle się do mnie odezwała, minęły dwa lata.

Poppy wyładowuje torby z bagażnika. Zatrzaskuje klapę i zbiera swoje rzeczy.

— Może wejdziemy do środka i pooprowadzam was po domu?
Wpatruję się w stertę bagaży. Czegoś tu brak.

— Gdzie moja torba? Spoglądają po sobie.

— Jaka torba? - pyta Flora. Czuję, jak żołądek mi się zapada.

— Ta niebieska nylonowa, którą przyniosłam do biura. Prosiłam, żebyś mi ją włożyła do bagażnika.

Znów ten przeklęty paw.

Poppy otwiera usta i zaraz je zamyka. Wygląda na zmieszaną.

— Ale jak powiedziałaś, że bym załadowała twoją torbę, to myślałam, że chodzi ci o to — tłumaczy, wskazując wiśniową plecioną torbę. — Myślałam, że to jest twoja torba na weekend.

Czuję suchość w gardle.

— To jest moja torebka — udaje mi się wychrypieć. Cisza.

-To bardzo duża torebka — Flora stara się pomóc. Nic z tego.

— Uuuups! — Poppy śmieje się niezręcznie, ciut za mocno poklepując mnie po plecach. — To nic. Możesz pożyczyć jakieś ciuchy od Flory i ode mnie. Na pewno coś ci znajdziemy!

Odpywam w nieprzytomną rozpacz. Cała łatwość adaptacji opuszcza mnie w jednej chwili.

— No, Louise! Rozchmurz się! — mówi Flora. — Świat się nie kończy! Na pewno mam parę majtek do pożyczenia, a te spodnie, które masz na sobie — mierzy wzrokiem moje „niezbyt sfatygowane” dżinsy — pewna jestem, że są w sam raz...

Kolacja nie jest, no, zbyt formalna i o ile nie będziesz w nich jeździć konno... — Jej głos stopniowo cichnie, w miarę jak zaczyna pojmować, czym jest konieczność spędzenia całego weekendu w Lower Slaughter bez niczego prócz pary dżinsów i zapinanego swetra.

Przez chwilę stoimy w milczeniu, gapiąc się w pustą przestrzeń, gdzie powinna się znajdować moja torba.

- Naprawdę cię przepraszam — mówi Poppy łagodnie, obejmując mnie za ramiona i delikatnie kierując w stronę frontowych drzwi. — Coś wymyślimy, obiecuję.

Bez względu na to, jak dobrze mi życzą, myślę tylko o tym, że obie są jakieś piętnaście centymetrów wyższe ode mnie. Jakże ja sobie poradzę bez swoich pożyczonych kaloszy i starannie złożonej niemnącej się sukienki?

Poppy prowadzi mnie do pokoju po wschodniej stronie domu. Pokój jest ozdobiony przedwojennymi kwiecistymi deseniami, ma pochyle sklepienie i nierówne deski w podłodze, które zdają się szykować do ataku nawet na najbardziej potulnego gościa. Łóżko wydaje jęk protestu, kiedy na nim siadam.

- Ubikacja jest na końcu korytarza, a Flora i ja mieszkamy tuż obok. — Zwraca się do mnie tonem łagodnym i uprzejmym, jakim zwykle się pociesza krewnych w podeszłym wieku. — Może teraz sobie odpocznij, a ja do ciebie zapukam, jak będzie pora na kolację, dobrze?

- Cudownie! - zmuszam się do uśmiechu. - Trochę sobie poleżę.

Wychodzą, a ja opadam na łóżko. Przez otwarte okno wpada lekki podmuch i nagle czuję się jak balon, z którego uszło powietrze. Ku mojemu zawstydzeniu do oczu napływają mi łzy. Łzy zawiedzionej ośmiolatki, która chce do domu. Opór nie ma sensu. Zwijam się w kłębek i ulegam. Wszystkie moje nadzieje na kolejny oszałamiający triumf w stylu Ascot prysły. Mimo całego drobiazgowo ułożonego planu nie mogłam liczyć, że się uda. Cały weekend będę się teraz snuła jak

bezdomna, źle ubrana i niezadowolona, w tym samym stroju przez trzy dni. Kiedy pełna frustracji walę w poduszkę, całą kołdrę i część podłogi pokrywa śnieżyca pierza.

Tego jeszcze brakowało. Teraz już gorzko łkam i kucając, daremnie próbuję zebrać wirujące wokół zakurzone pierze.

I kiedy tak pełzam na czworakach, tonąc w morzu użalania się nad sobą i bynajmniej nie wodoodpornego tuszu do rzęs, gdzieś z za otwartego okna dochodzi mnie dźwięk fortepianu. Zaczyna się miękko, łagodnie, kilkoma zawiłymi tematami, po czym z wolna rośnie, nabiera siły, aby w końcu wybuchnąć kaskadą goniących się zawzięcie oktaw, a potem znowu opaść, złagodnieć, rozplynać się i powtórzyć cały cykl od początku.

Klękam na podłodze porażona. Może to nagranie, a może ktoś słucha radia. Ale po chwili utwór się kończy i ktoś powtarza szczególnie trudny fragment na okrągło, aż wypada to pewnie i biegle. Zaskoczona, uświadamiam sobie, że to muzyka na żywo.

Przestaję płakać. A raczej po prostu zapominam płakać. Wstaję z podłogi, jednym pchnięciem otwieram drzwi sypialni i wymykam się na dół, podążając za muzyką jak zahipnotyzowane dziecko za Pied Piperem*, starając się poruszać jak najciszej, w obawie, że czar pryśnie.

Większość gości jest na trawniku przed domem. Grają w krykieta albo wylegają się w ogrodowych fotelach. Sam dom jest opuszczony. Przez okna wpada ciepły powiew, poruszając niewidzialnymi dłońmi przejrzyste firanki jakby w rytm muzyki.

U stóp schodów skręcam i idę korytarzem, aż dochodzę do długiego, wąskiego pokoju, którego jedną ścianę stanowią

*** Tajemniczy flecista ze średniowiecznej legendy o nękanym przez plagę szczurów mieście Hamelin. Na prośbę rady miejskiej wypłoszył szczury, hipnotyzując je swoją grą, a nie otrzymawszy umówionej zapłaty, zemścił się, pociągając za sobą w ten sam sposób dzieci mieszkańców i zamykając je w grocie (przyp. tłum.).**

okna, przeciwległą zaś półki z książkami od podłogi po sam sufit. W najdalszym końcu pokoju stoi elegancki steinway z początku dwudziestego wieku. A przy nim siedzi — rozpoznaję go nieomylnie, chociaż zwrócony jest do mnie tyłem -młody człowiek ze schodów przed gmachem opery.

Grając z jakąś zaciekłą furją, niepomne na nic wokół, jego długie palce ślizgają się po klawiaturze niewiarygodnie szybko — to atakując ją, to znów pieszcząc w olśniewającym pokazie technicznej i interpretacyjnej błyskotliwości. Pewność jego gry jest wręcz heroiczna. Nie ma tu nerwowości wyliczania tempa, nie ma wahania. Nawet w spokojniejszych fragmentach słychać niespotykane w codziennym życiu zaangażowanie. Przez moment stoję w drzwiach. Ale że teraz nawet grom z jasnego nieba nie wyrwałby go z transu — wkradam się do środka.

I kiedy tak stoję w kącie, słuchając, zachodzi we mnie niezwykła przemiana. Ramiona rozluźniają się i opadają. Ciasno zawiązany w mojej głowie supeł zaczyna się rozluźniać. Stopniowo uświadamiam sobie równe, spokojne brzmienie własnego oddechu. Ostatnie promienie wstrząsająco różowego zachodu słońca padają na trawę, rozświetlając zarys jego postaci i ciemnych włosów, które teraz jaśnieją dookoła jego głowy jak aureola złotego światła. To zbyt piękne, by było prawdziwe.

Tylko że on jest prawdziwy.

Nagle jakimś cudem wszechobecny psi zapach rozplywa się, ustępując miejsca łagodnej woni jesiennych róż wijących się wokół otwartych szklanych drzwi.

Nie wiem, jak długo tu jestem, może parę minut, a może pół godziny, ale on po chwili przestaje grać i odwraca się.

— O, dzień dobry — uśmiecha się. — Pani tutaj! Długo pani tu jest?

— Tak, to znaczy, nie... - waham się - niezbyt długo. Tak pięknie pan gra.

— Dziękuję - skłania głowę nieśmiało. - *Czwarta ballada*, Chopin. Mój ulubiony. Chociaż nie — poprawia, najwyraźniej

nie mogąc pozwolić sobie na tak rażącą niedokładność — mój najulubieńszy jest Beethoven, potem Chopin, Brahms. A Rachmaninow jest nie do pobicia. Lubi go pani? — gra kilka taktów *Trzeciego koncertu*. — Czy to nie jest niesamowite? Albo to... -odgrywa inny fragment. — To najlepszy kawałek! — przekrzykuje potężne akordy. — To trzeba uwielbiać!

— Tak, niesamowite — zgadzam się. Jego pasja i zachwyty są zaraźliwe.

— Chwila, teraz dopiero będzie! Proszę posłuchać tych oktaw! — Wali w klawisze szaleńczo rozbieranymi palcami. — Widziałem, jak ktoś złamał sobie na tym palec. Niewiarygodne, prawda? Zrujnował sobie karierę. — I znowu się uśmiecha, jakby to była najcudowniejsza w świecie nowina. - Zna pani coś Prokofiewa?

— Tylko *Romea i Julię* i *Miłość do trzech pomarańczy* — przyznaję.

— Uwielbiam *Romea i Julię* — Przez moment zdaje mi się, że entuzjizm go rozsadzi. - Scena śmierci Merkucja, jaki w niej tragizm!

Znowu zaczyna grać, przepełniając pokój dramatycznym, łamiącym się marszem kończącym akt drugi, zastępując całą orkiestrę misterną transkrypcją na fortepian.

Wtulam się w fotel i pławię w blasku jego entuzjizmu i zadziwiającego talentu.

Nie przypominam sobie, kiedy ostatni raz widziałam, żeby coś kogoś tak bardzo i tak otwarcie cieszyło. Może to kwestia wieku, a może ludzi, wśród których się obracam, ale prawie wszyscy, których znam, aspirują do cynizmu. Stajemy na krańcach naszych doświadczeń, paląc papierosy i usiłując przekonać jedni drugich, że to już widzieliśmy, tamto robiliśmy, i tak w ogóle to to nic ciekawego. Pasja nie jest w modzie, świadczy wręcz o braku ogłady. A jeśli już komuś z nas zdarzy się popaść w entuzjizm, to pod przymusem, z zawstydzeniem i na krótko. Entuzjizm uważa się za brak realizmu — za jakieś

szaleństwo, które człowieka opada i za które trzeba następnego dnia przeproszać. W końcu „prawdziwe życie” jest sprawą poważną i nudną. A im nudniejsze i bardziej poważne, tym bardziej „prawdziwe”.

Nie wiem, jak to się stało, że wszyscy razem doszliśmy do wniosku, że tak właśnie zachowują się dorośli. Ale gdy tak patrzę, jak on gra, czuję ukłucie w piersiach. Ogarnia mnie przemożne pragnienie, żeby porzucić wieczny pesymizm i zamienić go na tę prostą radość, na ten zachwyty, który właśnie słyszę.

Kończy odgrywać scenę śmierci Merkucja i rozlegają się płynne, złowróżbne tony sceny balkonowej, kiedy słyszę czyjeś kroki na drewnianej podłodze.

— Tu jesteś! — podnoszę wzrok i widzę stojącą nade mną Florę w kwiecistej sukience. — Wszędzie cię szukałam, zaraz kolacja! — Wyciąga rękę i podnosi mnie z fotela mocnym, pewnym szarpnięciem członkini żeńskiej drużyny hokeja. — Poznałaś, jak widzę, mojego brata Eddiego. Eddie! — krzyczy. — Zamknij się, na litość boską! — Eddie przestaje grać i odwraca się gniewnie na obrotowym krześle.

— Aaaa, to tylko ty, Stara Torbo — mówi, puszczając do niej oko.

— Miło cię widzieć, Zawalidrogo - odparowuje Flora, szczerząc się w uśmiechu. — Mam nadzieję, że nie zanudził cię na śmierć. Potrafi walić w te klawisze, aż ma się ochotę go zatłuc, no nie?

Eddie kiwa głową z uciechą.

Flora spogląda na mnie i krzywi się.

— Rety, Louise, co ci się stało? Wyglądasz jak nieboskie stworzenie! Cała jesteś w piórach, a twarz masz umazaną tuszem! Cóżes ty jej zrobił, brutalu! — Zwraca się do Eddiego, podpierając się pod boki

— Nic, przysięgam! — zaprzecza gwałtownie. — To muzyka! Wiadomo, że moja muzyka niejedną piękną damę przywiodła do płaczu! A czasem do wylinienia — dodaje.

Zupełnie zapomniałam o poduszkowym ataku wściekłości. Dostrzegam swoje odbicie w jednym z ogromnych złoconych luster między oknami werandy. Wyglądam jak wytarzana w smole i pierzu przez grupę minimalistów. — O, cholera!

— Dobrze powiedziane! — śmieje się Eddie. Rumienię się.

— Za parę minut kolacja — mówi Flora, spoglądając na zegarek — więc na twoim miejscu bym się umyła. Położyłam ci na łóżku spódniczkę.

— Dzięki — mamroczę, pędząc w stronę drzwi. Chcę zniknąć stąd jak najszybciej.

Kiedy wbiegam po schodach, kręci mi się w głowie. Eddie, mężczyzna ze schodów do opery, jest bratem Flory! I jest tutaj! Dlaczego akurat w ten weekend nie mam nic do włożenia?

Wpadam do łazienki, ochlapuję twarz wodą, splukuję smużki tuszu i wyrrywam pióra z włosów. Za trzy ósma. Cholera jasna i psiakrew! Zrzucam dzinsy, pędem wkładam spódnicę od Flory i patrzę w lustro. Nieumalowana, bez śladu makijażu, w podkoszulku, elastycznej kwiecistej spódniczce i mokasynach wyglądam, jakbym uciekła z domu pomocy. Dławi mnie szloch. Jeszcze tylko minuta. A niech to! Wyciągam na wierzch podkoszulek, żeby zakryć gufrowany pasek od spódnicy, chwytam szminkę i maluję sobie śliczną czerwoną bużkę clowna, którą natychmiast rozpaczliwie zmazuję chusteczką. Stojący zegar w holu tyka złowieszczco. Ósma. Kurza twarz! Łapię sweter, zarzucam na ramiona i wylatuję z pokoju.

Ześlizguję się po głównych schodach, przystaję na dole niepewna, w którą stronę iść. Gdzieś z lewej strony dochodzi śmiech. Gdy pędzę korytarzem, rejwach się wzmacnia. Już tylko trzy metry dzielą mnie od otwartych drzwi jadalni. Zegar właśnie wybija ósmą. Jeszcze zdążę! Wpadając w drzwi, przygotowuję się do obdarzenia zebranych ujmującym uśmiechem, gdy nagle uderza we mnie fala skaczących psów, w jednej chwili powalając mnie na gobelinowy dywan.

— Żadnego biegania po domu! — ryczy pani Simpson-Stock. - Ile razy mam wam powtarzać! Leżeć, chłopcy, leżeć! Do nogi! Siad! Przestańcie! No już — wyciąga rękę i podnosi mnie z ziemi. — Spóźniłaś się. Słuchajcie, to jest koleżanka Poppy, Eleonor.

— Louise, mamuś.

— Aaa tak, nieważne. Jest Amerykanką — podsumowuje gwoli wyjaśnienia, a oni ze zrozumieniem kiwają głowami.

Poppy przychodzi mi z pomocą.

— Może napijesz się pimmsa 4, a ja cię później wszystkim przedstawię? - proponuje, biorąc mnie pod rękę i prowadząc do stołu z drinkami.

— Dziękuję, będzie mi miło — wychrypuję zalana rumieńcem wstydu.

Kiedy w zupełnym milczeniu przechodzimy przez salę, jak najdyskretniej rozglądam się za Eddiem. Czy to możliwe, że uniknęłam zbłąznienia się przed nim po raz wtóry? Na tę myśl kamień spada mi z serca. Rozglądam się jeszcze raz, chcąc się upewnić. Najwyraźniej nie ma go. Czuję taką ulgę, że nawet udaje mi się uśmiechnąć, kiedy Poppy podaje mi szklaneczkę po brzegi wypełnioną sałatką owocową i ogórkami w słodkiej, złotawej cieczy.

— Zdrowie wszystkich! - mówi Poppy, unosząc w górę szklanekę.

— Zdrowie! — wykrzykują goście, układając usta tak, by móc wysączyć napój, nie naruszając przy tym całej wyszukanej kompozycji listowia. To jak nadpijanie wody z wazonu pełnego kwiatów. Znając swoje możliwości, dochodzę do wniosku, że lepiej nie ryzykować.

Stoję tak ze szklaneczką w rękę, starając się wtopić w tłum gości, gdy wtem podchodzi do mnie pewnym krokiem jakiś młodzieńczo wyglądający człowiek w biało-fiole-

towej, prążkowanej koszuli i kanarkowo-żółtych sztruksach, w które, jak w słońce, nie sposób spojrzeć wprost, nie uszkadzając sobie oczu.

— Witam. Jestem Piers, lepsza połowa Lavender — przedstawia się, wskazując na kobietę w rogu, wycieńczoną i najwyraźniej wściekłą, ściskającą swoją szklankę tak kurczowo, że z łatwością mogłaby ją zmiażdżyć. — No więc — mówi z uśmiechem — jesteś Amerykanką. Powiedz, czemu ci wasi prezydenci to takie głupie kutasy? — Próbuje podkreślić ten błyskotliwy chwyt wstępny szybkim haustem drinka, ale źle wylicza odległość i kawałek ogórka ląduje mu w oku.

Waham się.

— Właściwie to polityka niespecjalnie mnie interesuje...

— Chodzi mi o to — ciągnie, ani trochę nie zbity z tropu — jak komuś może być wolno nadal sprawować urząd, kiedy stało się jasne, że jest kłamcą? Przecież oni wszyscy są jedną wielką masą sprzeczności...

— Właściwie to nie śledzę prezydenckich wybryków — przerywam, myśląc jednocześnie, że wołałabym, żeby nie stał tak blisko. — To nie jest temat, na który mam jakikolwiek pogląd.

— Niezależnie od tego — kiwa mi przed nosem grubym, różowym palcem — ciekaw jestem, jak to możliwe, że najpotężniejszy człowiek na świecie... W końcu mówimy o kimś, kto trzyma w garści więcej broni nuklearnej niż wszystkie inne światowe mocarstwa razem wzięte, no nie? No więc, jak ktoś taki może sobie mówić co chce, a nawet kłamać przed Sądem Najwyższym, i to w publicznej telewizji! Wszystko w Ameryce to jeden wielki pieprzony talk-show! I tego też nie cierpię! — grzmi na całą salę. - Nasz cały kraj staje się jak Ameryka! Kompletnie zatraciliśmy narodową tożsamość. Jesteśmy jak jakiś wymięty, drugorzędny odprysk waszego kraju! — mierzy we mnie oskarżycielskim palcem. - Jakbyśmy byli tylko jakimś bękartem, pięćdziesiątym trzecim stanem! Pytam, na jakiej podstawie? — zwraca się do reszty gości, szukając poparcia. — Szczególny

związek z Wielką Brytanią, też coś! Szczególny związek, do dupy z tym! O ile wiem, to cały ten „szczególny związek” polega na tym, że my robimy to, co wy nam każecie! A jeszcze...

— Zamknijże się, Pierś! — syczy Lavender z drugiego końca sali. — Zanudzasz tę biedną dziewczynę. I wszystkich naokoło.

Pierś przewraca oczami.

— Wcale nie, moja droga. Prowadzimy z Elsie bardzo miłą, kulturalną rozmowę na temat jej prezydenta. A tak do twojej wiadomości, to polityka nie jest nudna, dobra? Jest nudna dla ciebie, bo masz mózg wielkości groszku i nie jesteś w stanie zrozumieć kilku długich słów pod rząd.

Przez moment zdaje mi się, że Lavender trzaśnie go szklanką w głowę.

— Pierś! Jak możesz być taki bezczelny! — wykrzykuje. — Jeśli o mnie chodzi, to nie tylko amerykański prezydent jest kutasem!

— Lavender, język! — pani Simpson-Stock piorunuje ją wzrokiem. — Dama nigdy nie przeklina!

— Ale mamuś!

— Nigdy — warczy matka i Lavender natychmiast siada jak jeden z matczynych psów.

Zapada pełne zażenowania milczenie. Pozostali goście, nazbyt zde gustowani, by się odezwać, siedzą, dzierżąc szklanki niczym odpustowe trofea i z udanym zafascynowaniem przyglądają się psom, które właśnie rozszarpują na środku podłogi coś, co wygląda na małe leśne stworzonko. Pierś pokazuje Lavender język, a ona — kiedy matka nie patrzy — odwzajemnia się, wystawiając w jego stronę środkowy palec.

Pani Simpson-Stock przekręca zegarek na przegubie ręki i wpatruje się weń intensywnie, marszcząc brwi, jak ktoś, kto zapomniał włożyć okularów.

— Floro, doprawdy! Gdzież jest ten twój brat? Nie możemy tu tak siedzieć cały dzień, prowadząc salonowe rozmowy!

— Oczywiście że nie - Flora chichocze nerwowo, na co pani Simpson-Stock rzuca jej spojrzenie, którego nie powstydziałaby się sama Meduza.

— Ja go zawołam! — proponuję, chcąc się jak najszybciej uwolnić od żrących spostrzeżeń politycznych Piersa. - Myślę, że może być w pokoju z fortepianem.

— Tak, niech będzie — pani Simpson-Stock popędza mnie ręką. - Tylko żadnego biegania po korytarzach! Zrozumiano?

Posłusznie kiwam głową, podaję Poppy swoją szklankę i zmykam.

Wędruję długimi korytarzami, aż dochodzę do pokoju muzycznego, który tym razem jest pusty. Przez drzwi werandy wychodzę na trawnik, a tam w fotelu śpi Eddie.

Nigdy dotąd nie widziałam, żeby ktoś spał z uśmiechem na twarzy.

Szybko otwiera oczy i jeszcze szerzej się uśmiecha.

— Spóźniłem się, prawda?

Kiwam głową. Nawet ta wiadomość wydaje się ogromnie go cieszyć. Przeciąga się leniwie, z rękami nad głową.

— Pozwolisz, że cię porwę? Zamiast iść na kolację, możemy uciec do pubu i wreszcie wypić tego drinka. Kupię ci paczkę chipsów — proponuje.

Pokusa jest aż bolesna.

— Nie śmiem. Już miałam kłopoty. Przyłapano mnie na bieganiu.

— To być nie może! — wykrztusza, udając przerażenie. — Chyba nie w domu! Zostałaś zatrzymana na trasie?

— Gorzej. Dopadły mnie psy. Cały aż się wzdraga.

— Ojjoj! A to paskudne! Śmierdzące paskudztwa.

— Jeszcze jak — przytakuję mu. — Zwyczajnie się na mnie rzuciły. Nachyla się i ścisza głos.

— *Krążą* pogłoski, że ma nowego, ilekroć On ma romans. Te psy to takie skaczące, *szczekające* i siusiające wersje jej własnej stłumionej wściekłości i zdrady.

— No nieeeeeee! Nawet nie wiedziałam, że jest jakiś On!

— To tylko pogłoski, zaznaczam - stuka się po nosie.

— To o psach?

— Nie, o mężu — puszcza do mnie oko. — Widzisz? Jestem krynicą wiedzy! Wytworną i wykwintną! I pełną złośliwych plotek! Jak możesz mi odmówić? Jak możesz przegapić taką czarującą sposobność pobycia ze mną sam na sam przy panierowanym jajku na twardo i grze w strzałki?

— Ale ja jestem ubrana jak psychiczna - zauważam, zdumiona i zarazem uszczęśliwiona uporczywością jego namów. — A poza tym ja... ja tak nie mogę... oni tam wszyscy czekają ze szklankami tej... nie wiem... sałatki owocowej i wody z cukrem. Nie możemy sobie tak po prostu wyjść. — Nawet w moich własnych uszach brzmi to żałośnie.

Spogląda na mnie smutno.

— I to jest duch tych, co zdobyli Dziki Zachód, stanęli na Księżycu, dosolili Wietnamowi?

— Nie — przyznaję.

— No właśnie — przytakuje ponuro. — Co się wyprawia z tym światem! Chodź — wzdycha. — No dobrze. A więc za Głosem Rozsądku! — Wstaje i z przesadną kurtuazją podaje mi ramię. — Idziemy?

Biorę go pod rękę i przez puste korytarze wracamy do jadalni. Tuż przed wejściem lekko ściska mi dłoń.

— Tak między nami — szepcze — chyba zmarnowaliśmy wspaniałą okazję, żeby im wszystkim zagrać na nosie.

— Tak między nami — szepczę w odpowiedzi — chyba masz świętą rację.

Co powiedziawszy, wślizgujemy się do środka, żeby przeżyć coś, co dla mnie okaże się jednym z najbardziej męczących posiłków w życiu.

I nie chodzi tylko o to, że przy nakryciu mam tyle sztuców, że nie wiem, co z nimi zrobić, ani o to, że „letnie gazpacho” okazuje się pomidorowym kremem z puszki z dodatkiem surowej cebuli, ani nawet o to, że na każdym daniu osiada chmura psiej sierści. Nie, najbardziej męczące są rwące się, koturnowe próby prowadzenia rozmowy, jeszcze nieznośniejsze z powodu konieczności trzymania się sztywnej etykiety nakazującej zwracać się najpierw w prawo, potem zaś w lewo z wymuszonymi pytaniami o wakacyjne plany i z uwagami na temat pogody.

W jadalni o ponurym majestacie włoskiej kostnicy jest dziwnie zimno jak na tę porę roku. Cała się trzęsę, przycupnięta między głuchym dziadkiem Poppy, a coraz bardziej pijaną Lavender, która odwraca się do mnie w pełnym determinacji przyływie towarzyskiego *decorum*.

— Jedziesz gdzieś na wakacje? - cedzi ze wzrokiem utkwionym w krążącej wokół stołu butelce białego wina. (Mimo takiej liczby gości pojawiają się tylko dwie butelki wina — jedno czerwone i jedno białe — więc napięcie rosnące w miarę, jak przechodzą z rąk do rąk, jest prawie nie do wytrzymania).

— Nie sądzę. A ty?

— Nigdy nigdzie nie jeżdżę — wyrzuca gniewnie. — Piers uważa, że powinniśmy oszczędzać. Jemu się wydaje, że będziemy mieli dzieci, chociaż nie wyobrażam sobie jak.

Nie bardzo wiedząc, co powiedzieć, patrzę, jak jej dłonie to zaciskają się, to znów rozluźniają na rozłożonej na kolanach Inianej serwetce.

— Przynajmniej pogoda nam dopisuje — słyszę własne meczenie.

— Jak cholera. — Gwałtownie chwyta w obie dłonie butelkę, która wreszcie do niej doszła, i wlewa sobie do kieliszka pozostałe w niej resztki. - Dzięki Bogu! — wzdycha, a całe jej ciało rozluźnia się z ulgą.

Po letnim gazpacho przychodzi kolej na danie rybne o wyglądzie próbki medycznej na płytce Pertiego: góry sałaty lodo-

wej upstrzonej mikroskopijnymi kawałkami wędzonego łososa, które zostały doszczętnie pogrążone w majonezie i siekanych korniszonach. Na skraju każdego talerza znajduje się mały trój kącik suchego ciemnego chleba z rogami wywiniętymi w miejscach, gdzie odcięto skórki. Następnie podana zostaje baranina z groszkiem z puszki i smażonymi kartoflami, które stanowią przejaw rzadkiego połączenia spalenizny z nie-dogotowaniem. Przydział kartofli wynosi po trzy na talerz — niczym smutni wartownicy strzegą szarych, stygnących kawałów mięsa. Przepychanka po sos jest jeszcze bardziej zażarta niż po wino, czego skutek jest taki, że połowa stołu ma talerze ociekające sosem, reszta zaś pozostawiona zostaje z horrorem bez żadnego wsparcia. Szarpiemy się z baraniną, nabijając ją i drąc, aż wreszcie daje się rozłupać na małe twarde kawałki, które można żuć przez kwadrans i dłużej, a mimo to pozostają nienaruszone.

Dziadek Poppy zwraca się do mnie z uśmiechem.

— Jakież plany na wakacje? - krzyczy.

Jako że swego czasu przebyłam kadencję pracy w lokalnej sali widowiskowej, gdzie sześćdziesięciolatki i starsi mieli zwyczaj krzyczeć do aktorów, jeżeli nie słyszeli, wydaje mi się, że jeśli chodzi o radzenie sobie z niedosłyszającymi, jestem starą wygą. Uśmiecham się.

— Żadnych! — ryczę w odpowiedzi. - W tym roku nigdzie nie jadę!

Uchyła się i obronnym gestem wyrównuje krawat.

— Nie musisz krzyczeć! — huczy. - Przecież nie jestem głuchy!

Cała jadalnia zamiera, koncentrując swoje zbiorowe przerażenie na mnie.

— Och, strasznie przepraszam! - płacząc się. — Nie chciałam pana urazić...

— Co znowu? — Majstruje coś przy aparacie słuchowym. — Przestań mamlać, dziecko! Ten wstrętny amerykański akcent!

Wy zawsze połykacie słowa! Jak to powiedział Churchill: „Naród podzielony przez wspólny język!”. Ha, ha! Jakże słusznie! Nagle od jego głowy odbija się zielone winogrono.

— Hej ! — przerywa oburzony.

Podążam wzrokiem za torem lotu winogrona i moje oko pada na Eddiego, który z wielkim skupieniem rozgarnia groszek, wpatrując się w talerz. Nie odważa się podnieść na mnie oczu, ale wygląda, jakby jego twarz miała zaraz wybuchnąć.

— Co się tutaj dzieje? — dopytuje się dziadek Poppy. — To jest winogrono? A dlaczego ja nie mam cholernego winogrona! Walczyłem na wojnie! Zasłużyłem na winogrono! Kto tu chomikuje winogrona!

— Ojczy — pani Simpson-Stock przewraca oczami — nikt nie chomikuje. Stoją na środku stołu. Na środku stołu! — sama krzyczy machinalnie. — I nie wydzieraj się, psy się niepokoją.

— Chromolę psy! — wyciąga się do przodu i przywłaszcza sobie garść winogron, przyciskając je do piersi opiekuńczym gestem. — Jak jeszcze raz jakiś bałwan rzuci winogronem, oberwie bardziej, niż mu się należy! — grozi, tocząc podejrzliwym wzrokiem po zebranych. — W czasie wojny nie oglądałem winogron. Ani nawet pomidorów. Masz - podaje mi pół garści. — Gdyby nie wasza niechlujna piechota, nikogo z nas by tu nie było, nie mówiąc już o jedzeniu winogron!

— Dziękuję. - Najwyraźniej urosłam w jego oczach, chociaż przyczyna tej zmiany pozostaje dla mnie tajemnicą. Być może ów „szczególny związek” Wielkiej Brytanii i Ameryki kwitnie tylko w czasach wspólnego odpierania ataków.

Na deser jest kawał brejowatego biszkoptu z sherry, a potem po naparstku letniej neski. Wreszcie o godzinie 21.47 zostajemy zwolnieni. Pani Simpson-Stock wstaje i zamaszyście wychodzi otoczona swoją futrzastą świtą. Wszyscy w ślad za nią kierujemy się do salonu, a w jadalni zostaje tylko jej ojciec, który wrzuca sobie do ust winogrona, lubując się ich posiadaniem bardziej niż ich smakiem.

Kiedy jesteśmy w korytarzu, Poppy zwraca się do mnie.

— Co powiesz na papieroska na tarasie? — szepcze.

Flora rozpiną sweterek i dumnie błyska zatkniętą za pasek spódnicy piersiówką.

— Chodźcie! — chichocze i we trójkę wymijamy resztę towarzystwa, wymykając się na dwór w księżycową noc.

— To do dębu! — syczy Poppy. Zrzucamy buty i biegniemy po chłodnym, mokrym trawniku do ogromnego starego dębu w samym jego środku. Pod baldachimem gałęzi rzucamy się na ziemię, śmiejąc się i dysząc.

— Boże! Wszystko bym oddała za paczkę smarties! — wzdycha Flora, puszczając w obieg piersiówkę.

— Ach! Albo za ogromne pudełko czekoladowych herbatników Cadbury! — rozmarza się Poppy.

— Więc nie jestem jedyną osobą, która umiera z głodu! — śmieję się.

— Prawdę mówiąc — mówi Poppy — między innymi dlatego tu przyjechałyśmy. Jak przytyję parę funtów, po prostu jadę do domu na weekend. To tańsze niż uzdrowisko, a o ileż skuteczniejsze.

— Być może, Pops, prawdziwym powołaniem twojej mamy jest niesienie ratunku chronicznym żarłokom — mówi Flora. — Parę rodzinnych kolacji w Lower Slaughter i już nigdy nie spojrzysz na jedzenie tymi samymi oczami. I jeszcze powinna kazać psom trzymać nocną straż, żeby goście nie mogli się wymknąć do najbliższego minimarketu.

— To tu jest całodobowy minimarket? — dziwię się i aż siadam z wrażenia.

— Kawał drogi stąd — odpowiadają równocześnie.

— Och! - znów opadam na trawę. — Biedna Poppy! Nawet nie mów, że wyrosłaś na tym jedzeniu!

Poppy wypija spory haust i podaje butelkę dalej.

— Cóż... Byłam jedynym dzieckiem w szkole z internatem, dla którego szkolne jedzenie to było niebo w gębie. Płakałam

ze szczęścia nad talerzem gotowanej kapusty, żylastej wołowiny czy kaszy manny. Nigdy nie chciałam jechać do domu na wakacje.

Oparte o drzewo wpatrujemy się w migoczące między gałęziami gwiazdy. Poruszone lekkim, chłodnym powiewem liście szeleszczą leciutko. Gdzieś w oddali chór świerszczy odśpiewuje swój kojący koncert. I taka tu cisza, taki spokój, jeśli nie liczyć burczenia w naszych brzuchach.

Następnego dnia rano budzą mnie potężne akordy Beethovenowskiego *Hammerklavier*. Eddie jest niewątpliwie rannym ptaszkiem. Potem jest już gorzej. Zaspana kuśtykam do łazienki, a tu okazuje się, że nie ma ciepłej wody. Pani Simpson-Stock najwyraźniej wierzy we wczesne wstawanie. Zrywa się o świcie, ochlapuje się szybko dla odświeżenia, a mając przesadnie wrogie nastawienie do ludzi, dla których ekstrawagancje typu gorący prysznic należą do codziennych przyzwyczajeń, nie jest w stanie pojąć, dlaczego ktoś mógłby wymagać czegoś więcej niż ona sama. Jak wielu Brytyjczyków wychowanych w czasie wojny lub tuż po wojnie uważa kąpiel za ostateczny luksus, a gorącą wodę za marnotrawstwo. Chcąc ją rozzłościć, wystarczy wspomnieć o szerzącym się wśród młodzieży niepokojącym trendzie codziennego mycia głowy - natychmiast rozsadza ją histeria. Gwałtowniejsze uczucia szarpia nią tylko w związku z przepisami dotyczącymi zwierzęcej kwarantanny i upadkiem Koła Gospodyń.

Przykucam więc nago w wannie i cała się trzęsę, polewając ciało lodowatą wodą z prysznica, który trzeba trzymać. To jeden sposób, żeby szybko się dobudzić.

Ja tam wolę kawę.

Ubrana w dzinsy i podkoszulek wyruszam na dół na poszukiwanie jedzenia. Jeśli istnieje jakiś posiłek, w którym Anglicy celują, to jest nim śniadanie. Marzą mi się srebrne misy pełne jajek sadzonych, skwierczących kiełbasek, bekonu, smażonych pomidorów, grzybków w śmietanie, a do tego góra cie-

płych tostów. Ale jadalnia jest zupełnie pusta. Ani jednej kiełbaski. Nieśmiało zaglądam do kuchni, gdzie zastaję potężną kobietę brodzącą wśród sterty brudnych naczyń.

— Dzień dobry — ryzykuję.

Skąd tu się wzięły te wszystkie talerze?

— A, dzień dobry — odpowiada, nawet się nie odwracając.

— No tak, a co się tutaj robi w związku ze śniadaniem? — zastanawiam się głośno.

— Przychodzi się na czas — mówi opryskliwie. — Musi pani być najpóźniej o ósmej.

-Aha.

Zauważam, jak resztki chrupiącego bekonu i puszystych jajek zeskrobane z talerzy lądują właśnie w kubie na śmieci.

— Na stole są płatki, a w lodówce trochę mleka — odprawia mnie. I tyle.

Zjadam, po czym idę do pokoju muzycznego.

— Hej! — wołam do Eddiego, który gra i gra.

— Dzień dobry! — odkrzykuje, nie zwalniając tempa.

— Gdzie wszystkich wywiało? — wydzieram się.

— Pojechali zabijać! Louise, posłuchaj tylko! Ten temat jest najlepszy!

— Pojechali zabijać? — powtarzam jak echo.

— Tym się ludzie zajmują na wsi dla rozrywki — uśmiecha się szeroko. — No wiesz, gonią, strzelają, łowią, zastawiają sidła... Tak zwane wiejskie uciechy. — Przerzywa na chwilę, widząc moje zmieszanie. - Nie wszyscy się wybrali urządzać leśne jatki. Zdaje się, że Flora i Poppy opalają się w ogrodzie. Tak to w każdym razie nazywają. Bardziej prawdopodobne jest, że zemdlały, próbując wykurować bardzo tajemniczego kaca.

— Lepiej do nich pójde, żeby im przynajmniej powspółczuć. — Nie chcę mu dłużej przeszkadzać. — Dzięki, Eddie.

— A może — przerywa i spogląda na mnie — poszlibyśmy na spacer?

— Jesteś pewny? — Czy zabrzmiałam na zbyt uradowaną?

— Najzupełniej - mówi. — Wytrzymałość Beethovena na mnie ma swoje granice i dzisiejszy limit się chyba wyczerpał.

— Skoro tak, to bardzo chętnie — zgadzam się — tylko ostrzegam, jestem raczej domatorką.

— Nic ci nie będzie - uspokaja mnie. - Tylko pewnie nie masz kaloszy, prawda? A nigdy nie wiadomo, w co człowiekowi przyjdzie wleźć tam na dworze.

— No, nie mam.

Myślę o swoich pożyczonych kaloszach wygodnie zamelinowanych w biurze obok wieczorowej sukienki, świeżych podkoszulków i czystych majtek.

— Co za ulga! — uśmiecha się szeroko. — Jest pewien typ dziewczyn, które mają własne kalosze, i cieszę się, że do nich nie należysz!

— A co to za typ?

— Ten sam, który ma zawsze przy sobie czystą chusteczkę do nosa, odliczone pieniądze na autobus i skarpetki pod kolor. Dziewczyna, która ma własne kalosze, boi się ośmieszyć, boi się, żeby się jej buty nie zabłoczyły, a to jest straszne.

— Ale przecież mówiłeś, że potrzebujemy kaloszy.

— Bezwzględnie. Tam jest dość paskudnie, Louise! — Staje w drzwiach na werandę, przesłaniając oczy ręką: nieustraszony podróżnik spoglądający w stronę rozciągającego się poza trawnikiem lasu. — Ale to, że ich potrzebujemy, nie oznacza, że chcemy. Włożymy je w proteście, pod przymusem, z pełną świadomością, że lubimy błoto, że za nic w świecie nie dalibyśmy się przyłapać na używaniu czystej chusteczki, skoro mamy równie dobry rękaw, i że przedkładamy taksówkę nad autobus, (-żyli, mówiąc w skrócie, zachowamy wewnętrzną spójność.

— Wewnętrzną spójność?

— Tak. A ona wymaga od nas kaloszy, ale wzbrania się przed tym, żeby one były nasze własne.

Prowadzi mnie jakimś nieznanym mi korytarzem.

— Trochę to męczące. - Lekkim krokiem, zaśmiewając się, idę obok niego. — Zabawne, ale nie za wiele w tym sensu.

— Ty znowu z tym sensem. W kółko sens i sens. Skąd ta obsesja na punkcie sensu! Żadne prawdziwe piękno tego świata nie ma sensu! No to „chodźmy więc, ty i ja...”.

Cytuje Eliota, a ja się przyłączam: „W ten wieczór, rozciągnięty bezwładnie na niebie / Jak pacjent pod eterem na stole”⁵.

Przychodzimy do magazynu, który cały jest niczym ogromna szafa, z góry do dołu wypełniona cuchnącymi stęchlizną kaloszami nie do pary, we wszelkich możliwych kolorach i rozmiarach. Wzdłuż ścian na drewnianych kołkach wiszą całe rzędy nawoskowanych peleryn. Zapach wosku drażni mi oczy.

— Mój Boże, Eddie! Jak ludzie mogą chodzić w czymś takim! — zachłystuję się, zatykając sobie nos. - Ja nie mogę nawet do tego podejść!

— Peleryna to symbol angielskiego wiejskiego życia! — obwieszcza, rozrzucając po ziemi to, co się nam nie nada. — Nie tylko nie dopuszcza wody, ale żadnej formy międzyludzkiego kontaktu. Idealne!

Znajdujemy jeden czarny i jeden zielony kalosz dla niego i dwa lewe czerwone kalosze dla mnie. Nie jest łatwo chodzić, mając dwie lewe stopy; rodzi się wtedy pewna osobliwa tendencja do poruszania się w kółko. Tylko stawiając prawą nogę do wewnątrz pod kątem dziewięćdziesięciu stopni, jestem w stanie w ogóle posuwać się naprzód.

Zaczynam się dąsać.

— *Courage, mon amour* — wykrzykuje. — Pamiętaj o wewnętrznej spójności!

⁵T.S. Eliot, *Pieśń miłosna J. Alfreda Prufrocąa*, [w:] *Od Chaucera do Larfyna. 400 nieśmiertelnych wierszy 125 poetów anglojęzycznych z 8 stuleci. Antologia*, wybór, przekład i opracowanie Stanisław Barańczak, Kraków 1993, s. 459 (przyp. tłum.).

— Mam dwie lewe stopy — przypominam mu. — Ty nie masz dwóch lewych stóp!

Obdarza mnie jednym z tych swoich ujmujących, dziwnych spojrzeń. Już kompiluję sobie portfolio jego wyrazów twarzy, żeby móc je przeglądać, kiedy mnie z nim nie będzie.

— Starzejesz się... starzejesz... niestety... Trzeba będzie do spodni dorobić mankiety⁶.

Pokazuję mu język.

Brniemy naprzód, a raczej on brnie, a ja kuleję, posuwając się przez trawnik, aż dochodzimy do porośniętej trawą ścieżki prowadzącej nad rzekę.

— Powąchaj to powietrze! — woła Eddie.

Ktoś rano urządził sobie przejażdżkę i wszędzie unosi się zapach końskiego łajna.

— Spójrz na ten widok! — krzyczy.

Na chwilę przystajemy, żeby popatrzeć w górę i wleczyć się dalej.

— Poczuj słońce na twarzy! — cały aż promienieje. Zwracamy twarze ku górze i wchodzimy prosto w chmurę

muszek. Wymijamy końską kupę. Uchylamy się przed muszkami. Zbiegamy z drogi, żeby uniknąć muszek, ale konie były i tutaj. Zarówno muszki, jak i łajno są niesamowicie przylepne.

Piers, który mieni się lepszą połówką Lavender, łowi ryby. Jakimś cudem udało mu się zawładnąć jedynymi kaloszami do pary. Jaskrawe kanarkowe sztruksy zamienił na spodnie z moleskinu, a do tego popisuje się tweedową rybacką czapką. Całość wygląda jak z Constable'a⁷. Piers najwyraźniej ubiera się w sklepie z działem „Wszystko na wieś”. Macha do nas spowitym w pelerynę ramieniem, nakazując ciszę. I o to w tym wszystkim chodzi: człowiek, strumyk, śmierdząca peleryna.

⁶Trawestacja innego cytatu z *Pieśni miłosnej...* (przyp. tłum.).

⁷ John Constable (1776—1837) — pejzażysta, uwieczniał głównie wiejskie krajobrazy hrabstw Suffolk i Essex (przyp. tłum.).

Chwila niemal bolesnego, pastoralnego piękna. Zaraz potem wyciąga rybę i zaczyna ją ubijać małą skórzaną pałką, którą wyjął z kieszeni.

Nie miałam pojęcia, że ryby krzyczą, ale krzyczą.

- Było ślicznie. Po prostu ślicznie — mówi Eddie. - Wracamy już?

- Czemu nie — przytakuje.

Kwadrans wiejskiego szczęścia wystarczy w zupełności.

Po powrocie zdzieramy z nóg buciory i sadowimy się na trawie. Do lunchu zostało mnóstwo czasu. Na trawniku pani Simpson-Stock, jej ojciec i Lavender rozgrywają ożywioną partię krykieta. Grę znacznie utrudnia udział psów, które gonią za każdą piłką i które starszy pan uważa za coś w rodzaju łatwego celu, waląc młotkiem na oślep, nie bez skutku. Z kolei one czują się upoważnione do szarpania go za nogę. Pod starym dębem senne sylwetki Poppy i Flory majaczą mniej więcej tam, gdzie je zostawiłam wczoraj.

- A co będziemy robić teraz? — pytam, leniwie gładząc źdźbło trawy.

- Zdrzemnijmy się - proponuje.

I to właśnie robimy. On zdejmuje sweter, zwija go i kładzie nam pod głowy. Jedno obok drugiego z zamkniętymi oczyma rozkoszujemy się ciepłym słońcem. Po chwili słyszę tuż obok siebie łagodne chrapanie Eddiego. I jest to cudowny dźwięk, takie jakby lekkie, pogwizdujące westchnienia. Otwieram jedno oko, żeby zobaczyć, czy dalej się uśmiecha. Uśmiecha się.

Ja też się uśmiecham i znowu zamykam oczy.

Jakie to dziwne, myślę, odpływając w sen. Dlaczego mogę spać tak tuż obok Eddiego, a do spania z moim mężem potrzebowałam łóżka wielkości boiska? I kiedy moszczę się bliżej, on się odwraca i obejmuje mnie ramieniem. To przez to wiejskie powietrze, myślę sennie. Najwyraźniej działa odurzająco.

I w ten oto sposób przekonałam się, że sekret przetrwania weekendu na wsi nie tkwi w posiadaniu właściwych ubrań,

odpowiedniego wyposażenia ani nawet tajemnego zapasu prowiantu. Ma natomiast wiele wspólnego z towarzystwem.

Następnego dnia wieczorem Poppy, Flora i ja wracamy do Londynu. Siedząc na tylnym siedzeniu, wpatruję się w laty zieleni umykające za oknem. Czuję jakąś dziwną melancholię i poruszenie jednocześnie. Powinnam być wniebowzięta na myśl o powrocie do cywilizacji, ale nie jestem.

— Więc — Flora patrzy na mnie znacząco przez wsteczne lustro - byliście z Eddiem za pan brat. Chyba naprawdę go lubisz, co?

— Wykluczone! — śmieje się Poppy. — To słodki dzieciak, ale za młody dla ciebie! Do licha, on ma dwadzieścia cztery lata i na razie żadnej porządnej pracy! Obchodzi go tylko jego muzyka. To chyba nie na serio, Louise?!

— Wiem. Ona tylko tak się ze mną droczy, Poppy. - Bardzo chcę zmienić temat. - Hej, może włączymy radio? — proponuję.

— Jasne — Flora manipuluje przy odbiorniku. Spotykam jej wzrok w lustrze. Uśmiecha się.

Nie. Chyba nie na serio, myślę sobie, kiedy tak zasuujemy autostradą. Wszystko, co mówi Poppy, to prawda. Więc dlaczego tak mi źle?

Dwa dni później, przyszedłszy do pracy, znajduję na swoim biurku trzy białe róże z liścikiem od Eddiego: „Nadal jesteś mi winna drinka”.

Chwilę później dzwoni telefon. To on.

— Halo, Louise? - Ze słuchawki dobiega szum tłumu, głos spikera na stacji. — Słyszysz mnie?

— Słyszę. Gdzie jesteś?

— Na Waterloo. Za parę minut mam pociąg do Paryża. Do-siałaś moje kwiaty?

— Tak, są wspaniałe! Nie wiedziałam, że dzisiaj wyjeżdżasz... Eddie, słyszysz mnie? — Coś na linii przerywa, zamiast słów dochodzą mnie tylko jakieś trzaski. - Eddie?

— Mówiłem, że chciałem ci kupić więcej, całe biurko róż!
Następnym razem, Louise! Jak wrócę, to... — i połączenie siada.

Wkładam róże do szklanki i stawiam na biurku. Kiedy zaczynają marnieć, suszę je kwiatami do dołu. A kiedy płatki opadają, zbieram je do koperty.

Mija miesiąc.

Wyrzucam kopertę.

Bo to przecież nie może być na serio.

Xmas

Boże Narodzenie to okazja bardzo szczególna. Jeśli jest jakiś czas w roku, kiedy powinnaś czuć się dobra, serdeczna, życzliwa, uważająca i szczodra, to właśnie w Boże Narodzenie.

Jest rzeczą jak najbardziej naturalną zharmonizować swój wygląd zewnętrzny z cnotami moralnymi, a dla przeciętnej kobiety oznacza to nową suknię, piękne uczesanie i być może parę zabiegów upiększających. W zależności od rodzaju przyjęcia, na które możesz zostać zaproszona, idealnym strojem będzie długa bądź krótka suknia wieczorowa. Dodatkowy wysiłek dla osiągnięcia wspaniałego efektu jest jak najbardziej na miejscu, ale rzecz w tym, by nie starać się przyćmić choinki.

Trzeba pamiętać, że jest to wieczór szczególny i powinien zostać uhonorowany szczególnym strojem.

- Na pewno możesz zostać sama? — Col stoi przy drzwiach z walizką w jednej ręce, a płaszczem w drugiej.

- Nic mi nie będzie — mówię. — To tylko kilka dni.

-Ale są święta, to nie jest kilka zwykłych dni. To kilka dni Bożego Narodzenia! — niepokoi się.

— Nic mi nie będzie — zapewniam go.

Na zewnątrz rozlega się klakson i z pokoju wychodzi Ria, dźwigając pękata torbę oraz dwa wielkie worki starannie opakowanych prezentów.

— Col, taksówka przyjechała. Musimy iść! Na pewno możemy cię zostawić, Louise? Jeszcze możesz się zabrać ze mną do Dorset, moja rodzina bardzo się ucieszy. Naprawdę, im więcej ludzi, tym weselej. — Ria nie cierpi podróży i wpadła w zupełną panikę. Patrzę, jak krzywo zapina płaszcz, wkłada kapelusz tył na przód i upuszcza rękawiczki. — Moje klucze! A niech to, Col! Licznik bije! Spóźnimy się na pociąg, a ja nie będę się mogła dostać do domu!

— Sprawdziłaś kieszenie?

— Racja. Och, są. No, szybko! Licznik bije. Col!

— Kochanie, to taksówka na telefon, nie ma licznika. — Col ściska mnie na pożegnanie. - Do widzenia, złotko, trzymaj się. Nie zapomnij włączyć alarmu i zadzwoń, jeśli się poczujesz samotnie. Numery są przy telefonie. Dalej mam okropny zgryz, zostawiając cię, ale lepiej odstawię tę tutaj na stację, zanim ją rozniesie.

Całuję Rię w czoło i odwracam jej kapelusz przodem do przodu.

— Szczęśliwej drogi, moja złota, i Wesołych Świąt.

— Zadzwonię! — woła, taszcząc po schodach bagaż i worki z prezentami. — Co godzinę będę sprawdzać, czy nie robisz jakiegoś głupstwa!

Patrzę, jak ładują się do taksówki. Machają. Ja macham. Nawet taksówkarz macha. I w chwilę potem ruszają w mglistą szarość mroźnego poranka. Odjechali. Zamykam drzwi i opieram się o nie z ulgą. Nareszcie sama!

Jak się ma współlokatorów, to takie momenty są rzadkie. I chociaż się ich kocha, nic nie może się równać ze wspania-

łym, luksusowym poczuciem wolności, które spływa na człowieka, kiedy jest sam. Wchodzę do dużego pokoju, zapalam lampki na choince, nalewam sobie kolejną filiżankę herbaty, a potem moszczę się na kanapie i kontempluję swoją wolność.

Jest 23 grudnia, 8.32 rano. Bardzo zimno, ale nie ma śniegu. Colin i Ria już teraz całkiem oficjalnie pojechali do domu na święta — Colin do High Wycombe poznać rodziców Andy'ego, a Ria do Dorset do swoich rodziców. W sytuacji, kiedy jestem świeżo po rozwodzie, właściwie splukana, podróż do Stanów w najdroższym okresie nie wchodzi w grę. Ale nie ma się co martwić. To moje pierwsze święta w pojedynkę i czuję się dziwnie przejęta. Sączę herbatę i daję się zahipnotyzować światełkom na choince. Mogę robić wszystko, dosłownie wszystko. Słuchać swojej muzyki, oglądać w telewizji, co zechcę, zostawić nieumyte naczynia, żeby całymi dniami kisiły się w zlewie. Mam przed sobą kupę czasu.

Trzy godziny później jestem w biurze.

— A co ty tu robisz? — obrusza się Flora. — Jesteś tą szczęściarą, zapomniałaś? Tą, co w święta ma wolne. — Flora robi łańcuchy na choinkę ze starych programów i we włosach ma klej.

— A, nic — kłamię. Nie chcę jej mówić, że nie mam nic do roboty, więc w wolny dzień przywlokłam się do pracy. — Przechodziłam obok i pomyślałam, że sprawdzę pocztę. Pomóc ci?

Nie pamiętam, kiedy ostatnio robiłam papierowy łańcuch. Tak właściwie to chyba nigdy tego nie robiłam, ale ona wygląda, jakby ją to zajęcie bawiło. Aż dziwne, jak szybko wytęskniona radość zostawiania naczyń w zlewie może przygasnąć.

— Jasne. — Podaje mi stos pasków i klej. — O rany, na twoim miejscu nawet nie zbliżałabym się do tego miejsca! Robiłabym świąteczne zakupy. Jeszcze nic nie kupiłam i nie mam pojęcia, kiedy znajdę na to czas! Obiecałam wziąć dzisiaj mamę, siostrę i jej dwie małe na *Dziadka do orzechów*, jutro będzie bal dobroczynny... Mam ochotę się zastrzelić!

— Ale zamiast tego robisz papierowe łańcuchy. Spogląda na mnie.

— Louise, ja traktuję swoją pracę bardzo poważnie! Niech Bóg broni, żebym miała się migać, skoro mam obowiązek podtrzymywać biurowe morale i szerzyć życzliwość przez pradawną sztukę robienia papierowych łańcuchów na choinkę. Albo raczej modelowania łańcuchów, jak mawia się w naszych kręgach wyszkolonych rzemieślników. Czy ty sobie zdajesz sprawę, ilu prób samobójczych w okresie świąt można by uniknąć, gdyby w pobliżu osoby w depresji znalazł się taki łańcuch? Sądzę, że co najmniej pięciu. I dlatego je tu rozwieszam.

— To znaczy twojej, mojej, Poppy i może jeszcze jakichś dwóch markotnych świadków?

— Spójrzmy prawdzie w oczy, nikt nigdy nie przychodzi do naszego działu. Musiałibyśmy tu zwabić paru osobników w depresji.

— Albo mogłybyśmy zaprosić Crispina i Terrence'a z działu finansów.

Przez chwilę kleimy w milczeniu.

— Bal dobroczynny, powiadasz? Brzmi doniośle! Wierci się niespokojnie.

— No, właściwie to nie jest bal... raczej impreza.

— Mogłabyś być jeszcze bardziej tajemnicza? Klej mi się zatkał.

Podaje mi swój.

— Ten klej czyni mistrza z każdego amatora.

— Dobra, możesz już przestać.

— Jeszcze tylko jeden żarcik. -Nie.

— Tak mi się straaaasznie nie chce iść — jęczy. — Poppy mnie w to wrobiła. Już od lutego nawijała o szerzącej się komercjalizacji świąt, aż już nie mogłam wytrzymać. Samą liczbą swoich argumentów praktycznie zmusiła mnie do pochopnego i drastycznego posunięcia!

— Dziewczyno, uspokój się!

— Nic nie rozumiesz! Ona mi wyśpiewywała: „Do they know it's Christmas time at all”, aż w końcu pękłam. Kuśtykała po biurze, udając Tiny Tima, i przylepiała mi na pudełku z lunchem karteluszek z napisami: „Nakarm mnie!” i „Nie martw się, przeżyję... jakoś!”.

— Flora, chyba mocno przesadzasz! W co ona cię wmanewrowała ?

— Powiedziałam, że pójde z nią karmić bezdomnych — zawstydzona zwiesza głowę.

— Ależ to godne pochwały — zapewniam ją.

— Tak, gdyby nie to, że dałabym sobie rękę uciąć, żeby nie musieć iść. Ja jestem zła! Zła! — Dolna warga jej drży i zakrywa sobie twarz dłońmi.

Przyglądam się jej podejrzliwie.

— Czy ty aby nie oglądałaś znowu powtórek *Dallas*? Łypie do mnie spomiędzy palców.

— Może odrobinę.

— Ale skoro pójdziecie obie, będziecie miały frajdę — zauważam, usiłując okleić sobie nadgarstek papierowym paskiem, żeby zrobić z niego prowizoryczną bransoletkę.

— Ale tu jest problem! Poppy musi jechać do domu na pogrzeb.

Papierowa bransoletka rozrywa się i frunie przez pokój.

— Pogrzeb? O Boże, co się stało?

— Jeden z psów jej matki zmarł w ostatni weekend. Poppy mówi, że śmiercią naturalną, ale jej matka jest przekonana, że to morderstwo. Pamiętasz Alberta, tego teriera z przodozgryzem i zapaleniem pęcherza? Najwyraźniej stary ostatnio się na niego uwziął, bo Albert miał zwyczaj siusiać mu do kapci — wzdycha Flora. - Ale już po wszystkim.

Gapię się na nią.

— Urządzają pogrzeb psu? Kiwa głową.

— Z otwartą trumną. Zamierzam przesłać wieniec, jeżeli się przyłączysz.

Anglików łączą z ich psami więzy, które cudzoziemcy tacy jak ja mogą tylko podziwiać. Postanawiam nie zapuszczać się w te nieznane rejony.

— Musisz więc sama jechać karmić tych bezdomnych — próbuję nakłonić ją do podjęcia przerwanej wątku.

Spogląda na mnie z ukosa.

— Tak jest, chyba że nie masz nic lepszego do roboty?

— Jesteś niedobra. — Rzucam w nią spinaczem.

— Proszę cię, Louise! Będzie fajnie, obiecuję! To jest tuż za rogiem, w podziemiach St Martin-in-the-Fields. Poszłybyśmy na pierwszą zmianę, od ósmej do dziesiątej, a potem miałybyś resztę wieczoru dla siebie... proooooooszę!

Myślę o naczyniach czekających w zlewie. Co mam lepszego do roboty?

— Jasne.

Piszczy z uciechy i zarzuca mi ręce na szyję.

— Jesteś aniołem! A właśnie, przypomniało mi się, że każdego roku wolontariusze organizują konkurs kostiumów. To ma być jakieś przebranie okolicznościowe i pomyślałam, że mogłybyśmy pójść jako anioły. W sklepie z kartkami po drugiej stronie ulicy sprzedają takie małe srebrne anielskie skrzydła z plastiku do zawieszenia na ramionach i aureole do kompletu, a ja mam jakieś stare białe koszule nocne, które możemy narzucić na dżinsy.

— Świetnie. To może ty skocz po te skrzydła, a przy okazji kup i te rzeczy ze swojej bożonarodzeniowej listy. Będę trzymać straż, aż wrócisz. — Wymachuję klejem jak czarodziejską różdżką. - A teraz jazda!

Nie ma to jak odrobina dobroczynności, żeby dziewczynie zrobiło się ciepłutko i przytulnie.

Następnego dnia wieczorem spotykamy się w operze i w łazience przebieramy się w nasze prowizoryczne anielskie stroje,

przywdziewając plastikowe skrzydła i aureole. Ruszamy Long Acre w stronę Trafalgar Square, wszędzie czuje się święta. Pada raczej deszcz niż śnieg, więc dzielimy się parasolem i tak, ciasno objęte, docieramy na miejsce w samą porę. Schodzimy w dół do piwnic, a tam aż się kotłuje. Elfy serwują indyka, renifery nalewają talerze zupy, kuropatwy z gruszą bądź bez pilnie odkrawają obfite porcje świątecznego puddingu. Duch Tegorocznego Bożego Narodzenia — człowiek o imieniu Reg, w imponującej karminowej szacie i przyprawionej rudej brodzie — wyznacza nam stanowisko przy kawie i herbacie.

Przez następne dwie godziny nie ustajemy ani na chwilę. Parzymy niezliczone dzbanki kawy i herbaty, dolewamy do pustych filiżanek, śpiewamy kolędy i zmywamy stopy naczyń. Pomagamy rozładowywać napływające od lokalnych producentów niekończące się zapasy żywności: kanapki, świeże jarzyny i owoce, indyki w całości, a także ubrania, koce, papierosy i buty. Układamy je w ogromne sterty, a cała armia innych wolontariuszy szybko je segreguje i rozdziela, zanim zostają przydzielone do różnych miejsc, a czasami wędrują do kuchni na obrzeżach Londynu, gdzie potrzeby są większe. Zaglądają do nas wiedzeni ciekawością przechodnie i zostają pomagać: grupy studentów, turyści, a także tacy, co nie są bezdomni, ale tak się czują. Tak jak ja. I przez kilka godzin jesteśmy częścią czegoś.

Ogarnia mnie poczucie wielkiej obfitości — nie tylko zapasów, ale energii, radości i nadziei. Kiedy tak w pośpiechu napełniam kubek za kubkiem, uśmiechając się i śmiejąc z ludźmi, z którymi normalnie nawet nie wymieniam spojrzenia na ulicy, uświadamiam sobie, że jestem szczęśliwa. Taka właśnie jest istota szczęścia, a jednak dotąd zawsze mi to umykało.

*** Aluzja do popularnej piosenki opowiadającej o prezentach, które bohater dostaje od ukochanej na kolejne dwanaście dni Bożego Narodzenia. Jednym nich jest kuropatwa na gruszy (przyp. tłum.).**

Wtem pośród morza nieogolonych twarzy dostrzegam znajomy uśmiech.

— Więc przypuszczasz, że możesz sobie ze mną spać, a potem ulotnić się bez śladu! - Eddie uśmiecha się szeroko. — Poproszę herbatę, skoro już to robisz. Raz-dwa! Moja publiczność czeka!

Na głowie ma ścierkę, a całe ciało owinięte spłóviałym niebieskim pledem podróznym.

— Eddie! — Jestem świadoma zwróconych na mnie oczu, zwłaszcza pewnego chichoczącego siedzącego w kącie dziadka, który cały wieczór bezskutecznie usiłował mnie poderwać. — Po pierwsze, co tu robisz? Myślałam, że jesteś w Paryżu. A po drugie, co ty masz na sobie?

— Jesteśmy poprzebierani, no nie? Jestem Małym Jezuskiem, a to są moje pieluszki.

— Masz na głowie ścierkę. Zaraz, zaraz, przecież to nasza ścierka! Eddie, podwędziłeś ją nam!

Prostuje się.

— Ktoś mojego pokroju nie podwędza ścierek, tylko je przywłaszcza. Ale masz szczęście. Jestem gotów ci ją wypożyczyć za skromną opłatą. Ale być może będziesz musiała rozstać się ze swoją aureolą.

Czerwienię się.

— Kiedy wróciłeś? Jedna czy dwie kostki cukru? — pytam, rzucając mu kilka.

— NIE RZUCAĆ JEDZENIEM! - huczy Reg przez całą salę.

Eddie opiera się o ladę i rozgląda ukradkiem.

— Słuchaj, skoro ja jestem Małym Jezuskiem, a ty najwyraźniej aniołem, to może byśmy tak położyli się w stajence?

— He, he, he! — chichocze dziadek.

— No właśnie - Eddie szczyrzy się w uśmiechu. Zupełnie nie wiem, co powiedzieć.

— Więc, mój aniele? - szepcze miękko.

— Hej! Myślałem, że jesteś tu po to, żeby grać na pianinie!

— krzyczy Reg.

— Jak już mówiłem, publiczność czeka na mnie! — Schodzi na bok, żeby nie tamować ruchu, i znika w tłumie.

Flora nachyla się do mnie.

— Pewnie nie powinnam ci tego mówić, ale nie był ani trochę zainteresowany dzisiejszą imprezą, dopóki się nie dowiedział, że też idziesz. Chyba cię naprawdę lubi, Louise. Zostałaś ostrzeżona!

Znowu się rumienię.

— Ale kiedy on wrócił? I czegoś mógłby chcieć od takiego starego babska jak ja?

— Wrócił wczoraj z czymś, co mi wygląda na brudne pranie z czterech miesięcy i nawet nie chcę myśleć, czego on może od ciebie chcieć!

Serce mi wali młotem.

— Ale ja jestem od niego dziewięć lat starsza!

— On lubi starsze kobiety, Louise.

— Wielkie dzięki.

Nigdy dotąd nie miałam wątpliwej przyjemności myślenia o sobie jako o starszej kobiecie. Nie wiem, czy mi się to , podoba.

— No tak — mówi, wycierając ciepłą kałużę rozlanej herbaty - jeśli ty go nie lubisz, w porządku. Ale szczerze, od czasu Lary nie widziałam, żeby był tak poruszony.

— Lary? — Zalewa mnie nagła fala zazdrości. - Kto to jest ta Lara?

Uśmiecha się chytrze.

— Jakaś tam wiolonczelistka, która złamała mu serce zeszłej wiosny.

— Aha. — Wyobrażam sobie utalentowaną piękność *a la* Jacquelyn du Pre.

— Jeśli chcesz znać moje zdanie, to był z niej kawał krowy

- wykręca ścierkę do zlewu.

Rozglądam się po sali. W kącie Eddie przystawia krzesło do starego pianina. Po chwili całą piwnicę wypełniają dźwięki ragtime'u, zaraźliwe i żywiołowe jak sam Eddie.

Kiedy zjawia się zmiana na dziesiątą, Reg wznosi rękę, żeby uciszyć zebranych.

— Hej! Cisza! Dziękuję! Już chyba pora głosować na najlepsze przebranie!

Następują huczne oklaski.

— A teraz wszyscy ustawcie się w szeregu, a wtedy po kolei położę każdemu rękę na głowie i publiczność zadecyduje!

Wolontariusze formują nierówny, niesforny rząd i Reg mozolnie się wzdłuż niego przedziera. Eddie gra dla każdego zawodnika fragment odpowiedniej kolędy, a kiedy przychodzi kolej na nas, odgrywa melodię *There Must Be an Angel* Eurythmics.

W końcu wygrywa sam Reg. Ze swoją powiewającą aksamitną szatą i basowym śmiechem jest idealnym Duchem Bożego Narodzenia, ale każemy mu się nieźle nabiegać po nagrodę.

— To chyba wszystko — wzdycha Flora, kiedy wynurzamy się z podziemi kościoła. — Teraz oficjalnie jesteśmy ludźmi dobrymi.

— Co byście powiedziały na drinka, pięknie panie? — Eddie obejmuje nas obie za szyje.

— Tak jak stoimy? — mówię. — Może i jest Wigilia, ale nawet anioła nie obsłużą w takim stroju!

— Zapominasz chyba, że jestem Małym Jezuskiem. Mam znajomości! Taxi! Do Ritza, dobry człowieku!

— Eddie, nie! Nie możemy! Nie do Ritza! — protestuję. — Nie w tych strojach!

Flora chichocze.

— Wyluzuj się, Louise! Będzie wesoło!

— Nie, nie. Nie dla mnie. Chyba po prostu się zmyję i pójdę do domu. Szczerze mówiąc, jestem dosyć zmęczona.

- Zdejmę swoje pieluszki, jeśli pójdziesz — Eddie ciągnie mnie w stronę otwartych drzwi taksówki. — Właściwie to jeśli pójdziesz, zdejmę z siebie wszystko!

Nagle zaczynam się denerwować, tracę grunt pod nogami. Co w ogóle ten przystojny, utalentowany młody człowiek może mieć wspólnego ze mną? Czemu tak mu zależy? Czuję potrzebę rzucenia się do ucieczki, zanim doszczętnie zniszczę te fałszywe, wspaniałe wyobrażenia o moim charakterze, jakie on jeszcze piastuje.

- Jedzie nocny autobus! Jak pobiegnę, może go złapię! Dobranoc i Wesołych Świąt!

Szybko cmokam każde z nich w policzek i puszczam się pędem przez Trafalgar Square, a moje plastikowe skrzydła łopoczą na wietrze.

- Zaczekaj chwilkę! — Eddie biegnie za mną, co wcale nie jest łatwe, kiedy się ma na sobie wielki wełniany koc. Chwyta mnie za rękę. — W następnym weekend urządzam spotkanie na swojej łodzi. Przyjdiesz?

- Na swojej łodzi? - nie wiem, co powiedzieć. Autobus toczy się ciężko, jęcząc pod ciężarem szczególnie wesołego górnego piętra. Mocniej ściska mi dłoń.

- Proszę cię, Louise, przyjdź. I nie uciekaj teraz, możemy cię odwiedzić do domu.

Żołądek kurczy mi się ze strachu. Lubię go. Lubię go bardziej, niż powinnam. I to właśnie jest problem.

Autobus staje ze zgrzytem i wypełnia się pasażerami. Nie, nie martw się... Już przyjechał! - Patrzę mu w oczy. Wesołych Świąt, Eddie, jesteś wspaniałym Jezuskiem! Jesteś wspaniałym... wszystko jedno czym!

To znaczy, że przyjdiesz? — nalega. Konduktor dzwoni i autobus, telepiąc się, wyjeżdża z zatoczki. Wyrwam dłoń z jego dłoni i pędem wskakuję do środka.

— Zobaczą... Pogadam z Florą i dam ci znać! Wesołych Świąt! — wołam.

I kiedy autobus chwiejnie toczy się ulicą Whitehall, odwracam się i widzę, że on dalej smutno stoi na środku Trafalgar Square. Ze ścierką na głowie.

Wdrapuję się na piętro i siadam koło faceta w czerwonej czapeczce, który śliniąc się, podrzemuje z głową opartą o szybę. Zrywam z głowy aureolę i wyplątnę się ze skrzydeł. Wszyscy wrzeszczą, śmieją się, krzyczą coś do telefonów komórkowych.

Przetaczamy się obok Big Bena i Parlamentu, wreszcie obok ulicy, na której przez tyle lat mieszkałam ze swoim byłym mężem. Zastanawiam się, co robi i czy jego mieszkanie dalej wygląda tak samo. Może by tak wysiąść na następnym przystanku i zobaczyć? Co by zrobił, gdybym stanęła w jego drzwiach ubrana w starą koszulę nocną? Czy w ogóle by mnie poznał, czy też byłabym dla niego równie nierozpoznawalna jak on dla mnie tamtego wieczora w teatrze? Dojeżdżamy do następnego przystanku i znowu ruszamy. Ale nie wysiadam. Nawet po to, żeby popatrzeć. Autobus przejeżdża przez most i ten moment mija.

W domu szykuję sobie kąpiel i nastawiam płytę Rh z balladami Chopina, które przypominają mi Eddiego. Podgrzewam trochę zupy i siadam przy stole, maczając sucharki w pomidorowym kremie i gapiąc się na choinkę.

Jest cicha noc.

I myślę o drodze, jaką przeszłam, żeby tak tu siedzieć samotnie, jedząc zupę w Wigilię, i o tym, jak nawet nie chciałam wysiąść z autobusu, i o ludziach w St Martin. I zastanawiam się, co robi Reg, kiedy nie jest Duchem Bożego Narodzenia, i o tym, czybym go rozpoznała na ulicy, i o Florze i Eddiem, czy poszli do Ritza i gdzie teraz są. A potem myślę o Oliverze Wendcie i swojej pewności, że to mężczyzna dla mnie, i o tym, jak wyglądał na tylnym siedzeniu taksówki, kiedy odjeżdżała, i o swojej pracy, i o tym, jak się bałam i jak się myliłam co do

wszystkich. A potem myślę o Colinie i Rh świętujących Boże Narodzenie w domu ze swoimi rodzinami i o naszym małym śmiesznym domu tu, w Londynie.

I przepływa przeze mnie nieoczekiwana fala szczęścia.

Warto było.

Warto było, żebym mogła siedzieć właśnie tutaj, właśnie teraz. Sama.

I tej nocy spałam snem sprawiedliwego.

Żagle

Jedyne, co powinno powiewać na jachcie, to flaga. Natomiast powiewająca sukienka czy spódniczka jest tu zupełnie nie na miejscu. Co za tym idzie, w ubiorze najbardziej zalecany jest prosty, nawet odrobinę męski styl. Okazje do morskich przygód nadarzają się bardzo rzadko, korzystaj więc z nich. Bez wahania odrzuć stroje wieczorowe i buty na wysokim obcasie, ale zachowaj poczucie humoru i dostosuj się do sytuacji, będąc dobrym członkiem załogi i równą dziewczyną.

Masz szansę udowodnić wszystkim, że nie boisz się pokazać bez makijażu, nie zostawiasz po sobie bałaganu i masz stabilne usposobienie, a twoja elegancja opiera się na prostocie. Jeśli rzeczywiście tak jest (oraz jeśli nie masz skłonności do choroby morskiej i umiesz pływać), z pewnością będziesz się doskonale bawić.

Kiedy w następnym tygodniu przychodzę do pracy, na biurku czeka na mnie kartka.

EDWARD JAMES UPRZEJMIE ZAPRASZA NA CHRZEST SWEGO JACHTU, KTÓRY ODBĘDZIE SIĘ W NAJBLIŻSZĄ SOBOTĘ O GODZ. 14 NA PRZYSTANI W CHELSEA UPRASZA SIĘ O POTWIERDZENIE OBECNOŚCI 07771283112

Flora i Poppy chichoczą, kiedy ustawiam sobie zaproszenie przy komputerze.

— Idziecie na to przyjęcie? — pytam.

— Nie zostałyśmy zaproszone - mówi Poppy. I znowu chichoczą. Tego wieczoru po powrocie do domu dzwonię do Rh, która nadal jest w Dorset.

— Co powinnam zrobić?

— A co chcesz zrobić?

— Sama nie wiem. Tylko że... on jest taki młody. Mój Boże! Ma dwadzieścia cztery lata! Po co on mnie w ogóle zaprasza?

— Naprawdę myślisz, że to twoja rzecz? W końcu jest dorosły. Musisz ufać, że wie, czego chce. A tak w ogóle, to czemu uważasz, że wiek gra rolę? Spójrz na Colina i Andy'ego.

Przez chwilę się zastanawiam.

— Chyba zawsze mi się zdawało, że mężczyzna powinien być starszy... starszy i raczej nie aż tak atrakcyjny. Jeśli mam być szczerą, to ja chcę być tą młodą i atrakcyjną, chcę być górą. A zresztą, jaką by to miało przyszłość i po co w ogóle miałabym teraz się z kimś wiązać, wiedząc, że nie ma to żadnej przyszłości? Ria, kiedy on będzie miał trzydzieści cztery lata, ja będę miała czterdzieści trzy! On będzie młody i gibki, a ja się będę przymierzać do terapii hormonalnej!

— Powoli, powoli. Ciągłe powtarzasz te liczby, jakby one coś znaczyły. Zacznijmy od początku. Lubisz go?

Uśmiecham się. Nie potrafię nawet myśleć o Eddiem, nie uśmiechając się.

— Och, jest cudowny! Błyskotliwy i taki utalentowany, a najwspanialszy w nim jest ten niewiarygodny entuzjazm! Z nim wszystko jest przygodą. A jak on gra na fortepianie! Ria, uwielbiałabyś go!

Słyszę jej śmiech po drugiej stronie.

— Posłuchaj się sama, Louise! Może na razie po prostu skoncentruj się na tym, pójdz za tym i zobacz, co będzie.

Odkładałam słuchawkę, ale wciąż jestem niespokojna i postanawiam zasięgnąć jeszcze jednej opinii. Col leży na kanapie, przeglądając magazyn kulturystyczny „Pump” (przynajmniej mam nadzieję, że to magazyn kulturystyczny). Rzucam się na fotel.

— Col, co byś zrobił na moim miejscu?

— Przeleciałbym go, to jasne. Zapowiada się świetnie!

— Col! Ale tak serio, co byś zrobił? Patrzy na mnie z absolutną powagą.

— Przeleciałbym go. Czemu myślisz, że żartuję? Boże, ci geje! A raczej w ogóle mężczyźni.

— Ale co będzie, jak ja się zaangażuję, a on mnie potem rzuci dla młodszej?

Wznosi brwi. -No i...?

— Do diabła, Col! Byłabym zdruzgotana!

— Ale, złotko, to nie powód, żeby się wykręcać od życia. Wtedy będziesz zraniona. Wielkie rzeczy. Wszyscy się z tym liczymy. Jaki sens w ogóle żyć, jeśli człowiek tak bardzo boi się bólu, że nie jest w stanie docenić rzadkich klejnotów, kiedy je napotka? - Na chwilę zamyka czasopismo. — Wszyscy chcemy się chronić, ale tak się nie da. Tylko tyle. Możesz albo cieszyć się tym wspaniałym, fascynującym, młodym facetem, albo czekać, aż zjawi się jakiś przeciętny nudziarz, który da ci poczucie bezpieczeństwa. - Col zaczyna się śmiać. — Pamiętasz, jak to było z Oliverem Wendtem?

- Jesteś okrutny! I nie ma nic złego w tym, że człowiek chce się czuć bezpiecznie...

- Kochanie, w miłości nic nie jest bezpieczne!

- Nie wiem, czy to miłość — rumienię się. — Na to jest ciut za wcześnie.

Uśmiecha się.

- No tak, zresztą nieważne. Uwierz mi, Louise, jeśli nie spróbujesz, będziesz żałować do końca życia.

Przez resztę tygodnia jestem trochę otumaniona, ustawicznie gapię się na zaproszenie i zastanawiam, co zrobić.

Chrzest łodzi. Nie lubię łodzi. I zawsze bałam się morza. Przeraza mnie myśl, że mogłabym osiąść na mieliźnie, a wokół tylko woda i ani śladu brzegu.

A poza tym, jak tu się ubrać na łódź w środku zimy?

- Będzie zimno — ostrzega Ria. — Postawiłabym na coś ciepłego, jakiś obszerny sweter rybacki i granatową dwurzędową kurtkę marynarską.

- Nie jest to mój ulubiony styl — krzywię się. — Zaraz powiesz, że mi się przyda kapitańska czapka.

- Co to, to nie... Ale śliczny wełniany kapelusik i może jeszcze para wełnianych spodni nie zaszkodzi.

- Jak mam kogokolwiek uwodzić, wyglądając jak statysta z *Petera Grimesa* *?

Wzrusza ramionami.

- Na morzu będzie lodowato. Dałabym sobie spokój z uwodzeniem kogokolwiek, a zamiast tego była po prostu równą dziewczyną.

Równa dziewczyna. Znowu to samo. Najpierw Madame Dariaux, a teraz Ria. Cały czas mi to chodzi po głowie. Równa dziewczyna zna swoje miejsce, przyjmuje rzeczy takimi,

*** Aluzja do opery Beniamina Brittena osnutej wokół wątku jednego z bohaterów dziewiętnastowiecznego poematu George'a Crabbe'a pod tytułem *The Borough*. Peter Grimes, czarny charakter, „kłusował na wodach, a na lądzie kradł”, i także uśmiercał swoich terminatorów za złe traktowanie (przyp. tłum.).**

jakimi są, przegrywa z fasonem, nie przestaje próbować, nie boczy się ani nie idzie sobie do domu, mówiąc, że już się nie bawi. Równa dziewczyna to nie to samo, co ktoś, komu się wszystko udaje.

Czy mam odwagę być równą dziewczyną w miłości? Czy może lepiej w ogóle się w to nie bawić?

W końcu w czwartek wykręcam numer podany na zaproszeniu.

-Halo, Eddie?

— Cześć, Louise.

— Tu Louise.

— Wiem — mówi.

— Pomyślałam, że oddzwonię, żeby powiedzieć, że z chęcią przyjdę na przyjęcie. - Ręce mi się trzęsą. Czy głos mam w porządku ?

— To cudownie! — W jego głosie słyszę uśmiech. — Co za piękny dzień! Chcesz, żebym po ciebie przyjechał?

— O nie! — Spokojnie, mówię sobie. — W końcu jesteś gospodarzem, a przyjdzie cała masa ludzi i trzeba się będzie nimi zająć. Spotkamy się na przystani, tam gdzie wszyscy. Tylko jak poznam twoją łódź?

— Zobaczysz, poznasz - śmieje się. — Nie jest jakaś strasznie duża, jest czerwona i nazywa się *Lammerhlavier*.

Odkładałam słuchawkę. Czerwień to bardzo dziwny kolor dla jachtu.

Sobota. Jestem okutana czarnymi spodniami i grubasnym kremowym swetrem pożyczonym od Colina. Wszystko razem robi przyciężkie wrażenie, ale za to jest bardzo ciepłe. Włosy mam związane w koński ogon, makijaż — minimalny, na wypadek gdyby oczy łzawiły mi od wiatru. Raczej nie tak wyobrażam sobie kobietę wyruszającą na pierwszą randkę. Wyglądam anonimowo i nijako. Wpadam w panikę i już mam wyjść w czarnych kozaczkach na małej szpilce, kiedy w drzwiach zatrzymuje mnie Ria.

- Nie możesz być na łodzi w butach na wysokich obcasach - tłumaczy.
— To zrukuje efekt.

Zagania mnie niby zagubione dziecię z powrotem do mojego pokoju, skąd po chwili wynurzam się ubrana w stare adidas. Wkładam wełnianą czapkę i płaszcz, po czym nareszcie mogę wyjść, wyglądając bardziej jak Michelin Man* niż elegancki gość przyjęcia na jachcie.

Jest cudownie pogodny dzień, słoneczny i wietrzny. Wstępuję do Woolwortha, kupuję *Titanica* i butelkę szlachetnego szampana. Dziesięć po drugiej wędruję już po przystani w Chelsea, rozglądając się za czerwonym jachtem i mając nadzieję, że nie będę tam osobą najstarszą.

Jestem najstarsza.

Hammerl^lavier jest zgrabnie wciśnięty między dwa wielkie liniowce i najpewniej w ogóle bym go nie zauważyła, gdyby nie dochodzące zeń dźwięki fortepianu. Spoglądam w dół i widzę zgrabny pokład, długi na jakieś piętnaście metrów, przystrojony lampkami i małymi flagami brytyjskimi - rzeczny stateczek Eddiego. Nie widać żadnego specjalnego poruszenia. Ponownie sprawdzam godzinę. Może przysłałam za wcześnie. Stateczki nie miewają dzwonek przy drzwiach, przynajmniej ja nic takiego tu nie widzę. Więc zamiast tego wołam. Po paru minutach mojego wołania ile sił w płucach fortepian cichnie i Eddie wynurza się na pokład. Ma na sobie pięknie skrojony granatowy garnitur i jaskrawo różowy jedwabny krawat.

- Przyszłaś! Wyglądasz wspaniale! - mówi. Mogę się tylko roześmiać.

- Wiem doskonale, że nie. Nie wiem, jak to się stało, ale chyba źle zrozumiałam twoje zaproszenie. Jak widzisz, jestem ubrana jak na dalekomorską podróż!

- Czy to by cię ucieszyło? — Wyciąga do mnie rękę.

*** Michelin Man — opasły, skonstruowany z opon stwór, znak firmowy Michelin Tire and Rubber Company (przyp. tłum.).**

— Sama nie wiem. Trochę boję się wody. I przepraszam, że jestem tak wcześnie, może mogłabym pomóc w przygotowaniach, zanim przyjdą inni goście.

— Dobrze. — Uśmiecha się i odwraca wzrok. — Może i masz rację. Ale najpierw wejdź do środka z tego zimna.

Ujmuję jego dłoń i zstępuję po schodkach do ciepłego wnętrza łodzi.

W środku jest jak w małym, ciasnym domku. Przez niewielką pokładową kuchnię wchodzi się do jasnego, zadziwiająco komfortowo urządzonego salonu, a za nim są jeszcze drzwi, prowadzące, jak przypuszczam, do sypialni od frontu. Salon jest czarujący. Ściany są zastawione książkami i stosami nut. Przy jednej ze ścian stoi pianino, a na nim jeszcze więcej nut. Na podłodze leżą wysłużone wschodnie dywany. Reszta imponującej kolekcji płyt została poupychana koło parapetu, na książkach, ułożona w stosy, gdzie się tylko da. Jedynym pozbawionym ich miejscem w całym pokoju jest mały, okrągły mahoniowy stolik, na którym elegancko nakryto dla dwóch osób.

— Och! - Zaskoczona wpatruję się w stolik. — Czy to dla mnie? To znaczy dla nas?

Uśmiecha się nieśmiało.

— Jeśli zechcesz zostać.

Nie mogę poukładać sobie w głowie, co się właściwie dzieje.

— Więc nie będzie nikogo więcej ?

— Nie, Louise. Tylko ty. Mam nadzieję, że nie masz mi tego za złe.

— Aha — siadam na oparciu kanapy — tylko ja. Kiwa głową.

Nie chciałam tego mówić, ale czuję, że muszę. Spuszczam wzrok i patrzę na swoje dłonie, na miejsce, gdzie kiedyś nosiłam obrączkę.

— Eddie, ty wiesz, ile ja mam lat, prawda? Trzydzieści trzy. Jestem starsza od ciebie o dziewięć lat.

— Czyż to nie cudownie? — Uśmiecha się.

— Ale to nie wszystko. Jestem rozwiedziona. Całe lata nie byłam na randce. Ja jestem... ja jestem z Pittsburgha! Przepraszam, jeśli pozwoliłam ci odnieść wrażenie, że jestem młodsza czy... no nie wiem... inna, niż faktycznie jestem. Jesteś niesamowitym człowiekiem i bardzo cię podziwiam.

Przerywa mi.

— Zrywasz ze mną? Jeszcze nawet nigdzie nie poszliśmy. Czuję, jak gdzieś w środku wzbiera we mnie beznadziejna pustka samotności. Znane głuche i dojmujące uczucie.

— Nie. Nie chciałam, żeby to zabrzmiało tak arogancko. Tylko że... nie za bardzo wiem, dlaczego miałbyś w ogóle czegoś takiego chcieć. To znaczy nie wiem, za kogo ani za co mnie masz, ale ja nie jestem... ja jestem... — głos zaczyna mi się łamać. — Jestem... kartofel.

Mruga oczami.

— Przepraszam, czy ja dobrze usłyszałem, że jesteś kartofel? Kiwam głową. Nie mogę tego zrobić. Nagle jestem znowu

w Twentieth Century Galleries, jestem znowu tą wzdętą, bezpłciową kobietą po trzydziestce w workowatej szarej sukience, tęsknie zapatrzoną w czarno-biały świat niewyobrażalnego przepychu i piękna. A Eddie jest urodziwszy, elegantszy i bardziej utalentowany niż wszystkie te sławne twarze razem wzięte.

Gardło mam ściśnięte i pieką mnie oczy, w których wzbierają łzy.

— Kartofel, Eddie, kartofel! Nie ma eleganckich kartofli.

— Spokojnie, Louise. — Podchodzi bliżej. — Co to znaczy... o co chodzi z tym kartoflem ?

Wstaję, chcąc jak najszybciej wyjść.

— Kartofel to znaczy, że nie mogę tego zrobić. Kartofel znaczy... Muszę stąd wyjść. Przepraszam, muszę iść...

Otacza mnie ramieniem.

— Czy chodzi o ten Pittsburgh? Spokojnie, no, już dobrze - szepcze.

Pachnie kwiatami i ciepłem, tak jak tamtego dnia, kiedy drzemaliśmy objęci, i wszystko we mnie aż topnieje rozgrzane przemożnym pragnieniem, żeby się zatracić, żeby coraz głębiej i głębiej zapadać się w ten uścisk.

Ale nie, dość już.

Postępujesz głupio, powtarza uporczywie głos w mojej głowie. To jest złe. I nagle cała tonę. Straciłam z oczu brzeg i naokoło jest tylko woda. Panikuję i odpycham Eddiego.

— Przykro mi, Eddie, naprawdę. — Przelatuję obok jak strzała i dopadam brzegu.

Nie idzie za mną.

I dopiero gdy siedzę w taksówce, płacząc, zdaję sobie sprawę, że nadal trzymam kasetę wideo i szampana.

Kiedy wracam, Colina i Rh nie ma w domu. Ale przyszła do mnie paczka ze Stanów i leży na stole w jadalni.

To spóźniony prezent gwiazdkowy od matki. Starannie zapakowany w złoty papier i przewiązany białą jedwabną wstążką, pod którą wetknięty jest mały bilecik:

„Hej, córciu!

Znalazłam to któregoś dnia na strychu i pomyślałam o tobie".

Pamiętasz?

Zawsze miałaś własny styl!

Masz dużo odwagi, Louise. Zawsze byłam z tego dumna. Nie poddawaj się teraz. Najlepsze dopiero przed tobą. Kocham cię.

Całusy - mama".

Rozwijam papier.

A tam starannie zabezpieczony przezroczystym miękkim papierem leży kremowy zakieciak z piórkami. Ten, który dostałam, kiedy miałam dwanaście lat.

Zamki błyskawiczne

Zamki błyskawiczne są początkiem i zakończeniem. Każdy wieczór zaczyna się od tego, że żona prosi męża, by ją zapiął, co ten czyni w nerwowym pośpiechu. Jednak jeśli żona będzie mieć szczęście i dość bystrości, jeszcze tego samego wieczora mąż nie będzie się mógł doczekać, by znowu ją rozpiąć!

-Eddie! Hej! Eddie!

Teraz jest ciemno i wietrzno, wiatr burzy wodę w czarne fale, które uderzają o brzeg łodzi. Wewnątrz się świeci, ale nie słychać muzyki. Może wyszedł, może nawet poszedł gdzieś z kimś innym i spóźniłam się.

- Eddie, jesteś tam? Eddie!

Żadnej odpowiedzi. Przychodzi mi do głowy, że może nawet tam jest, ale po prostu nie chce ze mną rozmawiać. Nigdy więcej.

Wszystko zepsułam.

Cóż mogę zrobić. Odwracam się i idę z powrotem wzdłuż przystani, wtulając głowę w ramiona, chroniąc się przed potężnym wiatrem, ze wszystkich sił prac naprzód, na przekór niewidzialnym dłoniom, które pchają mnie w przeciwną stronę. Naokoło łopocą żagle, cumy naprężają się niebezpiecznie, a lampy chwieją się na wszystkie strony, jakby w każdej chwili mogły zostać zmiecione w ciemność nocy.

Nagle uderza mnie silny podmuch. Tracę grunt pod nogami i aż się zataczam, potykam się po ciemku i upadam. Lądowanie jest tak gwałtowne, jakby to ziemia wystrzeliła, uderzając mnie w twarz. Próbując się podeprzeć, obcieram sobie ręce, a moja torebka w zderzeniu z ziemią eksploduje i cała zawartość rozsypuje się w ciemności na wszystkie strony.

A niech to szlag! Szukając po omacku jak ślepiec brakujących drobnych, szminki i kluczy, przeklinam, że zmieniłam buty. W ogóle zrobiłam głupio, wracając tutaj. Co za idiotka najpierw zwiewa z randki, a po paru godzinach znów się zjawia w nadziei, że zastanie go czekającego. Włosy mi się rozsypują i tańczą wokół głowy, tak że prawie nic nie widzę. Zebrawszy to, co udało mi się znaleźć, staję na nogi i właśnie się otrzepuję, gdy przez zawieję zbliża się do mnie zakapturzony człowiek.

- W porządku? Masz wszystko? — woła. Znam ten głos. Teraz stoimy twarzą w twarz.

— Nie, nic nie jest w porządku. Nic.

Wbija wzrok w ziemię. Szalejący wokół nas wiatr jest jak tysiąc głosów, które wypełniają powietrze szeptaniem.

- Byłam strasznie głupia i popełniłam okropny błąd — ciągnę.

Przez dłuższą chwilę milczy. W końcu podnosi wzrok.

— Nie mogę być niczym innym, niż jestem, Louise. Jeśli to ma być dla ciebie problemem, nic nie poradzę. Jak zdecydujesz, tak będzie. Nie mogę zrobić ani powiedzieć niczego, co sprawi, że będziesz się czuć bezpiecznie.

— Och, Eddie! Ale ja już nie chcę się czuć bezpiecznie! Myliłam się! Tak bardzo się myliłam!

Wyciągam ramiona i chowam twarz na jego piersi, obejmując go z całych sił.

— Przebacz mi, proszę. Nawet jeśli już nie chcesz ze mną chodzić... Nawet jeśli chcesz, żebyśmy byli tylko przyjaciółmi. Wolę cię znać i żebyś był częścią mojego życia w jakikolwiek sposób niż wcale!

Zdaje mi się, że całe wieki mijają, zanim on też otacza mnie ramionami. I stoimy tak, przytuleni w ciemnościach. A potem bierze mnie na ręce i niesie do domu.

— I nigdy więcej w naszym związku ani słowa o kartoflach! — Całuje moje ramię, przyciągając mnie bliżej.

— Nigdy — wtulam twarz w jego tors.

— A co to właściwie znaczy?

— Nic. Takie słowo-klucz, hasło do odwrotu, znaczy: „Pora iść”.

Całuję tył jego głowy i wszystkie delikatne, zwinne palce, każdy z osobna. Uwalnia dłonie i opiera się o zagłówek, wpatrując się we mnie intensywnie.

— Burak — szepcze łagodnie. — Burak, Louise Canova. Śmieję się.

— A to niby co znaczy?

— Zostań. — Delikatnie całuje mnie w usta. — Zostań.

Sześć miesięcy później właśnie rozpakowuję swoje książki, wsuwając je pomiędzy płyty Eddiego, gdy natrafiam na swoją dawną przyjaciółkę — cienki szary tomik zatytułowany *Elegancja*.

Grzbiet ma wytarty, a okładkę postrzępioną na rogach. Siadam na brzeжку sofy, a książka sama otwiera mi się na jednym z początkowych rozdziałów o jakże odpowiednim tytule:

Atuty wieku

Francuzi powiadają: „Elegancja jest przywilejem wieku”. I Bogu dzięki, jest to prawda. Granic między dzieciństwem, młodością, wiekiem dojrzałym a starością nie wyznaczają automatycznie żadne konkretne urodziny. Kobieta zachowuje młodość w takim stopniu, w jakim podziela zainteresowania ludzi młodych.

Należy, rzecz jasna, bronić się zaciekle przed naporem dodatkowych kilogramów, zmarszczek i podwójnych podbródków, ma-

jac jednak do tej bitwy stosunek filozoficzny, bo nawet najzdolniejszy chirurg plastyczny nie odtworzy młodości. Dużo lepiej jest bez próżnych żalów cieszyć się życiem, gdy zwraca nam dawne wysiłki i daje radości, którymi nareszcie możemy się dzielić, zamiast boczyć się jak małe dziewczynki, gdy jesteśmy do tej roli stanowczo za dorosłe.

Elegancję można osiągnąć jedynie za cenę licznych błędów, które najlepiej wspominać z uśmiechem. W końcu to właśnie w chwilach kiedy się całkiem zapominamy, jesteśmy najpiękniejsze.

Zamykam książkę.

Oto idealne miejsce dla niej, między biografią Glenna Goulda a 48 preludiami i fugami Bacha.

Myślę, że Madame Dariaux byłaby zadowolona.